

**Mieszko Zagańczyk**

# **Czarna Ikona**

**Tom 1**

2006

**trident**

## PROLOG

Mnich oderwał wzrok od księgi. Wzniósł oczy do nieba i powtarzając w ustach ciche słowa modlitwy, podźwignął się z klęcznika.

– Amen – szepnął.

Szurając sandałami, ruszył w stronę schodów.

Ta część monasteru, jego ostatnia kondygnacja, nie miała okien. Jasność wnikała do środka przez niewielki dymnik wybity w suficie, oświetlając klęcznik i pulpit z modlitewnikiem. Były to jeno pojedyncze smugi słoneczne, rozbite na pasma wąskie jak włosy aniołów. W celi panował półmrok, a światła padało tylko tyle, ile trzeba, by zajrzeć na karty księgi. W powietrzu wirowały drobinki pyłu, rozjaśnione tworzyły leniwie sunącą zawiesinę. Idąc, starzec w czarnym habicie rozbił ją, tworząc nowe konstelacje kurzu.

Na dole ciągnęła się galeria długa na jakieś sto kroków. Tutaj światło nie znajdowało już barier – zalewało wszystkie kąty, bijąc blaskiem od zbiegających ścian. W pierwszym odruchu zakonnik aż przysłonił oczy; godziny spędzone w mrocznej samotni odzwyczyły go od słońca. Nie zatrzymywał się jednak, wkrótce zaś mrowienie pod powiekami zelżało. Przywykł do jasności.

Przeciął podwórzec, idąc do następnych schodów. Mijał korytarze, krużganki, sale – jak cały monaster wykute w tufowych skałach. Tam, gdzie nie docierało słońce, wszystko tu miało piaskowoszarą barwę, zaś w miejscach nieustannie wystawionych na działanie promieni – trupioblada. Podeszedł do balustrady i wyjrzał na zewnątrz.

*Co w tym jest, że ci wszyscy biedni głupcy wybierają zawsze tę drogę?* – pomyślał.

Owszem – toż tędy prowadziła aleja do głównej bramy, a stamtąd – do zewnętrznej galerii monasteru. Siedem kondygnacji, siedemset siedemdziesiąt siedem schodów, wyniosłe skały wyżłobione przez ludzkie mrówki na chwałę Pana i wszechobecny blask słońca odbijającego się od białych kamieni. To robiło wrażenie i odbierało zdolność myślenia. Przyciągało obcych intruzów jak nocne motyle do kaganka, choć to przecie nie była jedyna droga. Jednak szli zawsze tędy, tracąc swoją śmiałość i wyuczony instynkt.

Mnich spojrział w dół. Dwie przyczajone postaci w zakurzonych strojach, z prostymi mieczami przy pasach. Domyślał się, co czują: uderzyło ich piękno monasteru. Onieśmieliła wyniosłość białych skał. I zaniepokoiła cisza tylko z rzadka mącona potępieńczym jękiem

wiatru.

Wzniósł do góry ramię i wskazał na wędrowców.

Zza jego pleców cicho wychynęli braciszkanie. Tak jak i on, odziani byli w czarne habitury z głębokimi kapturami, tyle że ich strój – i tu się różnili – nosił wyraźne ślady zużycia. Czerni zszarzała, zaś postrzępione brzegi odzienia w szybkim marszu furkotały niczym małe proporce.

Zakonnicy sunęli w milczącym kondukcje, jeden za drugim, krok za krokiem. Zeszli po kręconych schodach na niższy poziom, gdzie spotkali się z następną grupą. Z każdej celi, którą mijala ta milcząca procesja, wychodzili kolejni braciszkanie, dołączali do innych z dłońmi skrytymi w rękawach habitów, z twarzami pod kapturami, bez słowa, za to z cichym trzepotem poroździeranego materiału.

Starzec spokojnie obserwował bieg wydarzeń. Niespodziewani goście zagłębili się pomiędzy skały wypełniające wąwóz przed bramą. Wreszcie dotarli i do niej. Przeszli, nic nie zauważając.

*Trzeba zadbać o to, by brama odzyskała dawną świetność – pomyślał z troską. – Teraz nie różni się niczym szczególnym od skalnych rzeźb wiatru, wody i powietrza. Nie dziwne, że nic nie spostrzegli – trudno, by baczyli na spróchniałe, przekrzywione pale, na garść wyblakłego popiołu, na zetlałe szczątki szmat.*

Tamci szli dalej. Z początku jeszcze rozglądali się, wietrząc niebezpieczeństwo, jednak niezmacona cisza najwyraźniej ich uspokoiła. Przeszli rzucić spojrzenia na boki, skupiając wzrok na wspaniałej budowli ponad nimi. *A i owszem – myślał mnich – tak misternie wykutego monasteru nie znajdziecie w całej Kapadocji. W całym Cesarstwie ani poza nim, na ziemiach Persów, Egipcjan, ani u Łacinników, Bułgarów i Rusów. Nigdzie. Tak pięknie kutych galerii, spięrzeń stopni, rzeźb natury i malowideł czynionych ręką człowieka na chwałę Pana. Oj, moi drodzy przybysze, takich cudów nie uświadczycie nigdzie na tym świecie, więc patrzcie, póki możecie! Patrzcie teraz, bo później będzie za późno.*

W tej samej chwili braciszkanie zeszli na sam dół, pokonawszy jakieś pięć setek krętych stopni. Ile cel minęli po drodze? Któżby to liczył. Ilu zakonników w turkoczających habitach dołączyło się do procesji? Tego też nikt nie ogarniał, dość powiedzieć, że było ich wielu. Przystanąłi zwartą ławą na placu przed monasterem.

Przystanąłi też wędrowcy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – zawołał jeden z nich, unosząc prawą dłoń w przyjacielskim geście. Był krępy, nabity w sobie, a jego twarz znaczyły podłużne blizny.

*Są zaskoczeni – skonstatował mnich. – Spodziewali się Pan wie czego, może demonów, może smoków i bazylijszków, może zbrojnych siekających powietrze ostrzami. A tymczasem na ich powitanie wychodzą rozmodleni zakonnicy.*

– Niech będzie pochwalony – powtórzył jak echo drugi z wędrowców, nieco wyższy i nie tak pocięty, jednak ostatnie słowa uwięzły mu w gardle.

Już wiedzieli, że nie doczekają się odpowiedzi. Że nie usłyszą: *Na wieki wieków...*

Wędrowcy w zakurzonych strojach jak na komendę oparli dłonie na głowniach mieczy. Cofnęli się kilka kroków, jednak nie dali się ogarnąć panice.

– Niech będzie pochwalony... – krępy z bliznami przemówił tym razem po armeńsku, jednak i te słowa padły w próżnię.

Wtedy braciszkanie ruszyli do przodu. Przybysze jeszcze przez chwilę stali wpatrzeni w nadchodzącą procesję, w końcu jednak pojęli, w czym rzecz.

Obydwaj zatoczyli się ze strachu. Kilka kroków w tył, wykrzywione twarze, zbielełe knykcie na rękojeściach mieczy.

– Co jest, co to jest...? – bełkotał ten wyższy.

Zakonnicy parli do przodu. W milczeniu, szeroką ławą, jeden za drugim, ramię przy ramieniu. Nagle ciszę monasteru wypełnił narastający śpiew. Mnisi zaintonowali swoją modlitwę jednym basowym głosem.

– Zabij! – ryknął krępy w nagłym porywie odwagi. Wzniósł swój zakrzywiony miecz i rzucił się w stronę mnichów. Chwilę później do boju ruszył jego towarzysz, przesywając powietrze jazgotliwym okrzykiem.

Braciszkanie nie ustąpili. Żaden nie cofnął się nawet o krok. Szli naprzód, coraz głośniejsz wznosząc swoją pieśń. Monotonne nuty wibrowały wśród skał, rezonując w najdalszych zakamarkach klasztoru.

Napastnik z bliznami dopadł pierwszego zakonnika. Sieknął go mieczem przez łeb. Ten padł. W ciszy, bez wrzasku, bez krwi. Zaraz jego miejsce zajął inny. Obok szli następni, jeden przy drugim, niczym jedno. Zamach i cios. Krępy przybysz sieknął raz, drugi, trzeci. Odcinane członki padały w biały kurz dziedzińca, jednak nie było krwi. Rąbani przez łeb mnisi chwiali się, później osuwali w dół, a na ich miejsce wchodzili kolejni. Powoli osaczali przybyszów, zachodząc ich z boku.

Tamci spostrzegli, co się święci. Nie przerywając rzeźnickiej roboty, jęli się powoli cofać, by zająć lepszą pozycję. Na to wzniesienie, tam parę kroków dalej, między skały, gdzie jednolity szyk zakonników musiał, siłą rzeczy, ulec rozbiciu.

Braciszkanie szli za nimi, wyciągając w przód nagie, pozbawione broni ramiona. Rozczapierzone palce chwytaly brzegi kubraków, próbowały przyciągnąć intruzów lub przewrócić ich na ziemię. Przybysze opierali się temu, jednak ich ruchy zdradzały już pierwsze oznaki osłabienia. Siekli ostrzami, wyszarpywali swe odzienie z uścisku, jednak zakonników było coraz więcej. Napierali niekończącą się falą, spychając wędrowców w stronę litej skały. Tam, przyparci do ściany, nie będą mieli gdzie się cofnąć, ani nawet wziąć solidnego zamachu, by zadać kolejny cios.

Stary mnich obserwował ten manewr niczym strateg podczas bitwy. Ciekawiło go, czy intruzi dostrzegą, co tak naprawdę im grozi, czy też tak zatarcili się już w wywijaniu mieczami, że sami przyspieszą swój koniec.

– Maksymus! Uciekamy! – wrzasnął wyższy z przybyszów, a jego głos odbił się wielokrotnym echem po tufowych ścianach monasteru. – Osaczają nas! Ściana!

*A jednak!* – pomyślał z uznaniem mnich. – *Czyli jeszcze nie koniec. Jeszcze mogą wygrać swój los.*

Krępy z bliźnami ryknął coś niezrozumiale. Obydwaj nagle skierowali się w bok, ramię przy ramieniu wyrąbując sobie przejście. Dostrzegli dla siebie nową szansę i uderzyli w braciszków z nowymi siłami. Wydostawszy się z pierścienia, biegiem popędzili przed siebie. W dół doliny, byle dalej od tego miejsca!

Zakonnicy nie gonili ich. Tylko kilku ruszyło w ślad za zbiegami, jednak i oni po paru krokach przystanęli z obojętnością, w której kryła się rezygnacja.

Tamci minęli skalną bramę i dopiero wtedy, nie słysząc za sobą odgłosów pogoni, odważyli się spojrzeć w tył.

Byli wolni! Ocaleni! Mnisi odpuścili. Nie gonili ich.

Nie gonili. Tak, to prawda.

Spomiędzy skał, jak spod ziemi, przecinając drogę uciekinierom, wychynęła szóstka braciszków. Skąd się wzięli, przekłęci? I co niosą, łypiąc chytrym wzrokiem na swoje ofiary?

– *Gamoto!* – przeklął ten z bliźnami. – *Mają sieć!* – ryknął, ale było za późno. Na głowy przybyszów spadła wielka pajęczyna sznurów, w jednej chwili krępując ich ruchy.

Próbowali się ratować. Cięli mieczami, wściekle rycząc, jednak na próżno. Napastnicy zarzucili na nich sieć, omotali. W końcu wędrowcy padli okręceni sznurami i nic już nie mogło im pomóc. Gdy na ich głowy poleciały krótkie ciosy drewnianych pałek, znieruchomieli, pozwalając się spętać do reszty.

Mnich spoglądał na to z satysfakcją. Kiwając z zadowoleniem głową, patrzył, jak braciszkwowie czynią przygotowania. Nieprzytomni jeńcy zostali odplątani z sieci. Przeguby więźniów ścisnęły powrozy, jednak nogi pozostały wolne, zwisały z nich tylko swobodne liny. Zakonnicy powlekli ich w stronę bramy. Tam już pracowała druga grupa.

Struganie drewna ciosanego ostrzami odebranymi wędrowcom odbijało się od skał niczym w wyschniętej studni. Braciszkwowie nie tracili czasu: gdy jedni pracowali nad drewnem, inni kopali doły. I jedni, i drudzy uwinęli się z tą robotą w try miga.

Wtedy bliźnowaty wrócił do przytomności. Ale braciszkwowie trzymali go mocno, więc tylko przewracał oczami. Gdy zobaczył, co się dzieje, wrzasnął:

– Jezu Chryste! Co wy robicie, pomiłujcie! Nieee!

Szarpał się, jednak trzy pary ramion przygwoździły go do ziemi.

– Nieee, litości, na rany Chrystusa!

Już szli do niego ze świeżo wystruganym palem. Wrazili ostry koniec między nogi, przymierzyli i ciągnąc za liny, nabili przybysza na sam koniec drąga.

Bliźnowaty zawył jak zarzynane koźle. Jego wrzask obił się o ściany wąwozu i wypełnił wszystkie cele monasteru.

Harmider oprzytomnił tego drugiego. Widząc, jak zakonnicy stawiają pal z nadzianym kompanem do dołu, jak zasypują jego podstawę ziemią i kamieniami, jak ciągnąc za powrozy, wbijają drąg głęboko w jelita Maksymusa, porzygał się ze strachu i obrzydzenia. Później zawył. Jeszcze głośniej niż jego towarzysz.

Przestał, dopiero gdy przebijający mu wnętrzości pal rozsadził też płuca.

– Amen – szepnął stary mnich. Teraz brama znów została ozdobiona jak należy. Chwilę patrzył na braciszków uprzątających pobojowisko, zabierających liny, sieć i miecze, po czym udał się z powrotem do swojej samotni.

# ROZDZIAŁ 1

Kupiec z Rusi widział Konstantynopol po raz pierwszy. Dopłynął tu z Perejasławia, najpierw rzeką Dniepr, później przez Morze Ruskie, na które *Romaioi* mówili Czarne albo też Pont. Jego galera miała pomyślne prądy, a towar w całości dotarł na miejsce. Teraz należało dobrą sprzedać, jednak kupiec, a zwano go Włodzimierz po wielkim władcy Rusi, zaś po ojcu – Igorowicz, zdał się w tej materii na swego współnika i szwagra, który w stolicy imperium Greków bywał nieraz.

Szedł tedy Włodzimierz Igorowicz po Konstantynopolu w towarzystwie dwóch wareskich najemników przydzielonych mu do ochrony. O tym mieście słyszał opowieści pełne zachwytu, jednak to, co ujrzał, wprawiało go w największe osłupienie. Już sam port zapierał dech: kotwiczyły tu setki, jeżeli nie tysiące jednostek najróżniejszych konstrukcji i wymiarów. Galery, dromony, liburny – małe, duże, średnie. Na ich pokładach, na nabrzeżu i przy portowych tawernach niósł się wielojęzyczny harmider ludzkich głosów – w grece, po łacinie, mowie Bułgarów, jak również, a jakżeby inaczej, Rusów. Marynarze, handlarze, robotnicy, pijacy i portowe dziewczki. Rejwach ludzkiego mrowiska. Aż kręciło się od tego w głowie.

Opuścił port i szedł dalej w miasto. Kroczył kupiec Włodzimierz, z podziwem oglądając zdobne pałace pokryte geometrycznymi, barwnymi ornamentami. Rzymskie łuki triumfalne, ciągnące się bez końca akwedukty, pachnące kwieciem ocienione ogrody i bogate cerkwie. Wkrótce dotarł do solidnego starożytnego muru obronnego, zwanego tu Murem Septymiusza Sewera. Idąc wzdłuż niego, doszedł do Forum Konstantyna, gdzie spędził dłuższy czas, kontemplując umieszczoną pośrodku placu kolumnę. Gdy nacieszył oczy, ruszył dalej: na szeroką, reprezentacyjną ulicę Mese. Ta aleja nie przypominała niczego, co znał z Rusi, z ziem Bułgarów, Lachów czy nawet miast Cesarstwa Niemieckiego. Rozumiał teraz, dlaczego Konstantynopol zwali stolicą świata. Tylu wysmukłych kolumn, tylu mozaik na murach domów, tylu błyszczących cerkwi nie widział nigdy i nigdzie.

Tu już obserwowały Włodzimierza Igorowicza uważne oczy. Obserwowały jego samego, jak również towarzyszącą mu ochronę. Patrzyły uważnie na miecze Waregów, na toporki o długich drzewcach zatknięte za pas, na długie tuniki do kolan wykonane z grubej, mięsistej materii, przykryte z wierzchu kolczugami, na jasne brody zaplecione w warkoczyki. Woje

sprawiali groźne wrażenie, jednak widać było, że przybyli z Północy i nie znają zbyt dobrze miejscowych warunków. Spod hełmów ściekały na ich ogorzałe twarze strużki potu. Czyli oni też, jak ich pan, byli tu po raz pierwszy. Warescy najemnicy służący u *basileusa* nosili się lżej, ich przewiewne tuniki miały krótsze rękawy i nigdy nie schodziły poniżej kolan.

Równie wnikliwie oczy obserwowały kupca. Zwłaszcza tłusty mieszek tworzący kuliste zgrubienie pod lekką szatą. Rus, niesiony zachwytem jak na skrzydłach, dotarł do szerokiego placu, Forum Teodozjusza, pełnego rozkrzyczanych głosów mieszkańców Konstantynopola, cudzoziemskich kupców, majtków z portu...

Chwilę później przybysz stał się świadkiem intrygującego zdarzenia.

Tłum na przeciwległym krańcu placu zafalował i naraz huknął niespodziewanym hałasem. Z narastającego wrzasku wybił się pełen wściekłości i rozpaczony głos:

– Złodziej! Okradł mnie! Trzymać złodzieja!

Spośród gawiedzi wyskoczył masywny drab. Opuchnięta od licznych bójek gęba, łysy łeb i szerokie bary ledwie okryte krótką tuniką. W ruchach dryblasza była pewna ociężałość, niedźwiedziowatość naturalna dla chłopca o takich gabarytach. Oprych sadził wielkimi kroczykami, wprawiając ziemię w dudnienie. Nie miał żadnej broni ani niczego, co – sądząc po zamieszaniu – właśnie skradł.

Zaraz z tłumu wybiegł drugi, ten, co krzyczał. Dostatnio odziany paniczyk, młody, o miłej twarzy ozdobionej misternie wyciętą bródką. Jego wzorzysta dalmatyka bordowej barwy, lamowana na złoto, sugerowała, że okradziony jest synem jakiegoś wielmoży, jednak niezbyt wysoko postawionego, skoro bez eskorty.

– Złodziej! Okradł mnie! – wrzeszczał młodzian. – Trzymajcie go!

Włodzimierz Igorowicz patrzył na to jak na bezpłatne widowisko. Zaiste – sprawdziło się. Sprawdziło się, że Konstantynopol to miasto tysiąca uciech, setek rozrywek, cudów z całego świata. Podróżni z Rusi, którzy w swych eskapadach zahaczyli o stolicę imperium Greków, opowiadali o saraceńskich piratach, którzy tu potrafili zapomnieć o swoim surowym bogu, pijąc na umór. O miejscowych żołnierzach, którzy ze świętym obrazkiem na szyi i nabożnym śpiewem na ustach szli w bój na chwałę swojego *basileusa*. O bezlitosnych rzezimieszkach, którzy potrafią w biały dzień nieźle poharatać nieostrożnych mieszczan. O fortunach, jakie przetracili lekkomyślni kupcy wiozący towary z Lewantu na Północ i z krain Wikingów do Persji.

Z zainteresowaniem patrzył Włodzimierz, jak wielkie bydlę ludzkie gna przed siebie, roztrącając gawieź. Trzasnął potrącony stragan z owocami: po bruku z głuchym dudnieniem poleciały przejrzałe arbuzy. Połowa pękła od razu, tuż po zderzeniu z wyłożoną kamieniami ulicą. Reszta rozbiła się o marmurowe podmurówki otaczające Łuk Teodozjusza. Plac spłynął słodką, nieco wodnistą czerwienią.

– Ejże, ćwoku! – ryknął ktoś. – Czekaj no, niech ja sięgnę po pałkę...!

– Straż! Straż! Co to za porządk! – wtórował mu inny głos. – Do czego to podobne...



Tanie pogroźki... Pokrzykujący za złodziejem mieszczanie mieli pewność, że osiłek nie zawróci, by rozkwasić parę nosów, połamać kilka kości, obić żebra czy chociażby rzucić grube słowo. Wprost przeciwnie: im bardziej się drab oddalał, tym donośniej rozbrzmiewały wrzaski:

– Złodziej! Bandyta! Straż! Kiedy ktoś zrobi z tym porządek!?

Włodzimierz Igorowicz również znajdował w tym uciechę. Sam by zakrzyknął niesiony świętym oburzeniem tłumu, gdyby nie pewien drobiazg. Nagle zdał sobie sprawę, że oprych gna w jego kierunku. Najwyraźniej uciekał do portu, by tam zanurkować w ciasne uliczki nadbrzeżnej dzielnicy.

Po chwili kupiec poczuł niepokój. Złodziej pędził jak wściekły bawół, jakby żadna przeszkoda dla niego nie istniała. W dodatku najbliższą przeszkodą stojącą mu na drodze był on sam, przybysz z Rusi, Włodzimierz Igorowicz.

I jego obstawa.

– Odsuniecie się, panie – rzekł jeden z Waregów. Delikatnie, ale stanowczo odsunął kupca w bok, sam stając na drodze rozpędzonego dryblasa. Gdy zyskał pewność, że ten nadal nie zamierza zmienić kierunku, wy dobył miecz i znacząco uniósł ostrze na wysokość oczu.

– Trzymajcie go! Wal go! W łeb! – darł się paniczyk, licząc na to, że chociaż w najemnikach znajdzie jakąś pomoc. Nie, Waregowie mieli swoją robotę: chronić kupca. Rozstrzyganie awantur wśród mieszkańców Konstantynopola nie należało do ich powinności. Tym bardziej że angażowanie się w takie spory stało w jawnej sprzeczności z rozkazami: nie odstępować swojego pana.

Jednak drab parł dalej do przodu, roztrącając wszystko, co stało na jego drodze. Miecz wojownika z kupieckiej obstawy nie zrobił na nim wrażenia. Opuchniętą gębę skrzywił grymas, który przy odrobinie dobrych chęci można było określić jako uśmiech. Jeszcze kilka kroków. Zdawało się, że aż tu dochodzi odór skwaśniałego wina, jakim wionął osiłek.

Wareg wziął zamach i ciął powietrze. Na postrach, nie brał przecież pod uwagę, że złodziej zaryzykuje walkę. I jeszcze raz, aż zahuczało. Trzeci cios wymierzył tak, by zdzielić dryblasa przez wielki jak ceber łeb.

Tamten był o trzy kroki. O dwa. Tuż.

Najemnik wyprowadził cios.

Niespodziewanie oprych odbił w lewo. Zrobił zwód i zanurkował pod idącym po łuku ostrzem. Odbił się lekko od bruku i mijając o dwa palce klingę, gdzie tam! – o jeden palec, o pół – uderzył Warega łbem. Prosto w pierś, aż ten stracił równowagę. Mimo kolczugi najemnik poczuł się tak, jakby staranował go rozjuszony byk. Miecz przeciął pustkę. Wojak poleciał w tył, z chrzęstem padając na bruk.

Złodziej upadł razem z nim, jednak od razu skoczył na nogi i poprawił pięścią w nieosłonięty niczym podbródek najemnika. Mógł już na tym poprzestać i uciekać dalej, jednak chwycił jeszcze za nadgarstek Warega i przekreślił. Chrupnęła łamana kość. Miecz

zabrzącał o kamienie.

Osilek porwał go i pomknął dalej, niemal o włos unikając ciosu topora drugiego ze zbrojnych.

Kto przy zdrowych zmysłach rzuciłby się z gołymi pięściami na wyćwiczonego w boju, osłoniętego kolczugą najemnika z dalekiej Północy? Kto ryzykowałby uderzenie z byka w pierś wojaka, nie mając stracha, że pierwiej napotka na swej drodze ostrze duńskiego topora? Lub nadzieje się na głownię miecza? Kto, uciekając pogoni, gnałby naprzeciw zbrojnych Waregów, którym źle z oczu patrzy, a na których twarzach nie znalazłbyś nawet śladu uśmiechu?

Nikt, jako żywo.

A jednak konstantynopolitański oprych nie miał takich obiekcji. I dlatego był górą.

Kupiec Włodzimierz przyglądał się temu w osłupieniu, niezbyt zdając sobie sprawę, czego właściwie jest świadkiem. No owszem – hecne mordobicie na ulicach Konstantynopola? Czemu nie, będzie o czym opowiadać w Perejasławiu. Ale żeby aż tak? I żeby zwykły miejski opryszek zrównał z brukiem wygę, który przemierzył z mieczem w ręku pół świata? To do niczego niepodobne.

Włodzimierz Igorowicz dopiero teraz spostrzegł, że łysy łeb oprycha zdobił tatuaż. Czy też raczej: na łysym łbie umieszczona była górna część tatuażu przedstawiającego węża grubego jak udo dorosłego mężczyzny. Reszta stwora niknęła gdzieś pod porwaną tuniką uciekającego.

Tymczasem powalony najemnik powstał z ziemi i z wściekłością ryknął coś w swoim północnym języku za uciekającym drabem. Ocierając krew z rozkwaszonej wargi, rzucił się w pogoń. Razem ze swym kompanem, drugim z najemników.

Wtedy kupiec doświadczył czegoś, co zaskoczyło go jeszcze bardziej niż wszystkie wydarzenia, których był dotychczas świadkiem. Safandulowaty paniczyk we wzorzystym stroju, dotąd biegnący gdzieś w tyle, nagle wyrósł tuż przed nim z nagim kindżalem w ręku. Złowrogi błysk w jego oczach mówił, że nie ma dobrych zamiarów. Wyprowadził dwa cięcia. Pierwsze, krótsze, rozcięło kosztowną szatę Włodzimierza Igorowicza. Drugie, nieco bardziej mozolne, ale i tak na tyle szybkie, że kupiec nie zdążył zareagować, pozbawiło go sakiewki suto nabitej złotymi monetami. Dwa czy trzy krążki metalu padły na kamień, którym wyłożony był plac, z cichym brzęczeniem łapiąc odbłaski słońca. Reszta, czule przyciskana przez paniczyka do piersi, szybko oddalała się w kierunku, w którym zniknął pierwszy drab.

– Łapaj złodzieja! – uciekając, nadal ryczał strojniś w bordowej tunice. – Straż, trzymać złodzieja! – Złodziej! Trzymać go! – zawtórował kupiec. – Trzymać złodzieja!

Za chwilę stał się świadkiem kolejnego cudu: paniczyk i osilek nagle pobiegli w dwie różne strony. Po chwili zniknęli, jakby ich nigdy tutaj nie było.

\* \* \*

Spotkali się kwadrans później na tyłach portowej tawerny „U Epifaniasza”.

Paniczyk i osiłek.

– *Gamoto!* Przekleństwo z tą szmatą – zaklął ten pierwszy, rozdzielając się z bordowej, lamowanej, złoto dalmatyki. Szaty zdjętej tego ranka z wystawy kupca z dobrej dzielnicy. – Patrz no! Złachwała się, jak uciekałem. Szkoda, bobyśmy jeszcze odstawili jakiś numer.

– Dobra, co tam szmata! Pokazuj, ile mamy! – burknął niecierpliwie jego kompan, znany jako Nicetas Wielka Pięść. W jego przypadku kupiec z Rusi się nie mylił: był to oprych i bandzior. Paskudna gęba nie pozostawiała wątpliwości. Tego nie szło oszukać.

A paniczyk? Nie, tu ocena Włodzimierza Iwanowicza była nietrafiona, o czym on sam też się zresztą przekonał. Tyle że zbyt późno.

Kalikst Belzebub, konstantynopolitański złodziej, zmiął zdobną szatę o barwie czerwonego wina i cisnął ją na stertę potłuczonych skorup oblepionych rybimi łbami. Śmietnisko za tawerną nie było zbyt przyjemnym miejscem, ale przynajmniej dawało pewność, że nie wlezie tu nikt nieproszony. I nie przerwie podziału łupów.

– Jak się w tym w ogóle pany bujają?! Długie, ciasne i z miejsca w strzęp idzie – mruknął Kalikst. Jego strój, założony pod dalmatyką wielmożątka, był bardziej praktyczny. Zgrzebna tunika do połowy ud i saraceńskie portki. Nieco przyszarzałe, gdzieniegdzie porozdzierane, ale wygodne. Do tego szeroki pas nabijany żelaznymi ćwiekami i przytroczony u boku wielki na łokieć seldżucki kindżał.

– Dawaj! Ile masz?!

– Na! Lipaj! – Kalikst sięgnął za pazuchę, gdzie w drugim mieszk, wzmocnionym metalową siateczką, spoczęła sakiewka oderżnięta od pasa kupca. – Policzmy.

Było tego sporo, jednak nie tak dużo, jak wskazywała na to liczba monet. Ponad sto dwadzieścia *follis* i pięć solidów. Co dawało razem niepełne sześć solidów. Widać kupiec nie planował większych zakupów, skoro zabrał jeno drobnaki.

– Same obierki! To już szmata była więcej warta...

– Ty! – warknął osiłek. – A może ty tam jeszcze gdzieś pokitrałeś więcej z tego, co?

– Wal w dupę osła! Nic nie kitram.

– A sprawdź w swoim mieszk! Na pewno coś się rozsypało!

– Ty, gruby! Przecie mówię! To jest wszystko.

Nicetas nie był do końca przekonany, ale machnął ręką. Czasem Kalikst doprowadzał go do szału, jednak znał kompana dobrze: jemu nie wciskałby kitu. Innym – owszem, jak najbardziej tak, kiedy należało. Ale między nimi dwoma była sztama. Bo jak inaczej mogliby chodzić razem na robotę?

Osiłek odebrał więc swoją część. Splunął i burcząc z niezadowolenia, poczłapał do wyjścia z zaułka.

Belzebub za nim.

– Ale rację masz... To jest gówno, nie robota! Widzisz takiego, mózgujesz, że to jakiś

nadziany mudak, a tu marne parę solidów. To już byle chłystek szwendający się po porcie, jak ma kapkę sprytu i zręczności w łapach, więcej chowa w sakiewce.

– Chcesz zarobić więcej? – dobiegł go nagle obcy głos z tyłu.

Kalikst przystanął. Nicetas również. Obaj odruchowo sięgnęli do pasa, opierając dłonie na rękojeściach noży.

– No, obaj możecie zarobić...

U wylotu zaułka zamajaczyła postać odziana na czarno mimo gorąca lejącego się z nieba. Nieznajomy od samych stóp aż po czubek głowy spowity był w gruby płaszcz. Spod szerokiego kaptura wystawały kłębki zmierzwionej, niechlujnej brody. Twarzy nie było widać.

– Ten numer... Zwiecie go *na złodzieja*, czyż nie? Jeden ucieka, drugi drze mordę: *Łapaj złodzieja!* i sam kradnie... Zmyślny sposób, ale w gruncie rzeczy mało finezyjny. No, no, no...

– Nieznajomy uniósł pojednawczo dłonie, widząc ponury grymas na gębie Nicetasa. Drab miał wielką ochotę zakończyć tę niespodziewaną rozmowę, waląc gościa pięścią między oczy. – Najważniejsze jest to, że to pomysł nader skuteczny! – kontynuował nieproszony kompan. – Sposoby same w sobie, nawet najbardziej wykoncypowane i zmyślne, na nic się zdają, gdy nie masz z nich efektu. Więc patrzmy tu na problem czysto teoretycznie, z punktu widzenia taktyki, rzekłbym nawet – filozofii tego szlachetnego zawodu, jakim jest zacne złodziejstwo, jednako... Chodzi o to, żeście zrobili, co było w planach, i zatem to należy brać pod uwagę. I w tym kontekście to było doskonałe. Mistrzowskie. Godne największego podziwu.

Przerwał na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, lecz nim Nicetas zdążył otworzyć usta i warknąć swoje: *Spadaj, pierdziel, albo ci piąchnę*, podjął dalszą mowę:

– Ale, jak sami widzicie, zarobek z tego nijaki. Kupiec z Rusi nie miał zbyt wiele w swoim trzosiku. Czy to pierwszy raz? Chyba nie. Sami wiecie, że to robota do dupy. Okradanie kupców na placu czy paniątek, które zbłąkały się przez pomyłkę do niewłaściwej dzielnicy... Nieee, to jest żaden zarobek.

Nicetas trzasnął pięścią w otwartą dłoń. Płasnęło. Splunął i burknął:

– Ej, *malakas!* A ty skąd to w ogóle o nas wiesz? Skąd wiesz o tym kupcu? I czy on tam Rus, czy Italczyk? Szpiegujesz nas!

Nieznajomy nie uląkł się. Spokojnie odparł:

– Nie szpieguję, lecz dyskretnie obserwuję. I nie tylko was. By nie odchodzić z nadto od faktów: szukałem takich zmyślnych mistrzów wytrycha jak wy. Którzy potrafią wykazać się swą zręcznością, odwagą i nie jest im obca sztuka improwizacji...

– Do rzeczy, panie – warknął niecierpliwie Belzebub. – Kapuję, że coś masz dla nas, więc nawijaj.

Tamten skinął głową.

– Mam coś dla was, ale nie tu. Wybaczcie – skinął głową na rybie resztki – ten smród

mąci me myśli, zatem chodźmy w miejsce równie dyskretne, ale nieco mniej uciążliwe dla zmysłu powonienia.

\* \* \*

Smoła. To była smoła.

Kalikst Belzebub zaklął ze złością. Jego prawa ręka przylepiła się do klejowatej mazi. Zaraz dołączyła do niej lewa. Obie były teraz czarne i lepkie.

– *Gamoto!* – syknął.

Nicetas Wielka Pięść rzucił kompanowi piorunujące spojrzenie. Wyszczrzył z wściekłością zęby. Ciemność niezmiennie trzymała okolice w swych wielkich łapskach, toteż takie zabiegi nie mogły odnieść skutku. Osilek mruknął więc zduszonym głosem:

– Cśśś... Zawrzyj japę!

Belzebub podniósł dłonie do oczu: nic. Nic nie widział. Powąchał: no po prostu smoła. Nie znosił tego zapachu. Przynajmniej wtedy, gdy gęsta maź zlepiła palce. Jego precyzyjne narzędzie pracy.

– *Gamoto!* – powtórzył mimowolnie.

Partacz, który zabezpieczał drewno łodzi, pociągnął deski smołą nie tylko na zewnątrz. Nieregularne plamy czarnej mazi pokrywały też środek krypy, rozlane, jakby rzemieślnik zdecydowanie nadużył wina podczas pracy. Nic to – łódka i tak była kradziona.

Tym razem Nicetas tylko kopnął go znacząco. Cisza, ziomek, przecież jesteście już w pobliżu!

Kalikst ledwie powstrzymał się, by nie oddać. Otarł dłonie o burtę krypy, jednak wciąż czuł maź. Miał nią wysmarowane całe ręce. Między palcami. Środki dłoni. Przeguby. Nieraz bywało, że pociągał smołą podeszwy sandałów. Na stromych dachach, podczas wspinaczki na gładkie mury lepka substancja pomagała zachować większą przyczepność. Ale dłonie? To ograniczało ruchy i nie pozwalało na precyzyjne pochwycenie narzędzi.

Starannie wycierał palce o rękaw, jeden po drugim, z prawej dłoni, z lewej dłoni, tak długo, aż lepkość ustąpiła. Czy też raczej: aż stała się mniej odczuwalna, bo nim skóra stanie się znów gładka i czuła na dotyk, minie kilka dni.

Wielka Pięść powoli przebierał wiosłami. Owinięte szmatami nawet nie plusnęły. W oddali zamajaczyły podłużne sylwety statków.

Bezksiężycowa noc sprzyjała im, zapewniając osłonę. Za plecami lśniły pojedyncze blade światła Konstantynopola. Przed nimi – nieco jaśniejsze ogniki rozświetlające Galatę, osadę po drugiej stronie Złotego Rogu. Tam mieli swój port weneccy i genueńscy kupcy podróżujący z dobrami na Morze Czarne. Tam też oni dwaj – Kalikst i Nicetas – mieli dotrzeć.

Płynęli w milczeniu, powolutku. Tuż przed celem swej drogi Nicetas złożył wiosła we wnętrzu łodzi. Sunęli po wodzie samą tylko siłą rozpędu, aż dobili do łańcucha przecinającego Złoty Róg.

Pokryte warstewką rdzy i bliżej nieokreślonego nalotu ogniwa tarły jedno o drugie, wydając tłumiony przez wodę zgrzyt.

Płynęli od beczki do beczki. Nicetas chwycił łańcuch, ciągnąc za sobą całą łódź. Tym sposobem dotarli do pierwszego okrętu. Ciemności już nieco zrzędyły: na wodzie lśniły odblaski latarni strażników patrolujących port w Galacie.

*To ten? Czy tamten?* – zapytał na migi Nicetas. Belzebub rozejrzał się. Ich tajemniczy zleceniodawca powiedział: w Galacie stoi sześć jednostek. Dwie dromony, trzy galery i jedna mała liburna. Dromony i liburna nas nie interesują, z galer tylko ta, która ma na dziobie figurę Neptuna.

Kalikst dał znać Nicetasowi: *Płyniemy do tej drugiej.* Z otwartego morza zerwał się wiatr wzniesający niewielkie fale, więc mogli śmielej wywijać wiosłami bez obawy, że ich plusk zwróci czyjąś uwagę. Musieli: u wyjścia z zatoki wyraźnie było już czuć prądy Bosforu. Nicetas kilkoma energicznymi ruchami podprowadził łódź do burty galery. Przyczaili się i czekali. Nasłuchiwali.

Głosy strażników na nabrzeżu szły echem po zabudowaniach Galaty. Jeden ze zbrojnych opowiadał jakąś facecję. Pozostali rechotali cicho, nie przerywając mu. Wreszcie doszli do puenty: mówca zakończył historię, podnosząc głos niczym kapłan na mszy, na koniec ryknął śmiechem. Tamci zawtórowali mu. Przez dłuższy czas gulgotali z uciechy, wreszcie zamilkli. W porcie zapadła cisza.

Strażnicy ruszyli na obchód portu.

Belzebub czuł, że teren nie jest do końca czysty. Że w pobliżu jest jeszcze ktoś.

Naciągnął na twarz czarny zawój. Nasłuchiwał jeszcze chwilę, po czym sięgnął po sznur. Przymierzył się i zarzucił hak na olinowanie galery. Żelazny szpon, nawet owinięty szmatami, narobiłby zbyt dużo hałasu, gdyby zaczepić go o drewno burty. Mając pewność, że hak znalazł mocny punkt zaczepienia, podciągnął się i wspiął na górę. Chwycił linę i powoli sunął w górę. Tuż przy pokładzie przystanął. Znieruchomiał, łowiąc dochodzące z niego dźwięki.

Nad sobą posłyszał westchnienie. Ostrożnie wychylił głowę ponad pokład. Dojrzał nieruchomy cień rosnącego mężczyzny zbrojnego w perski czekan. Spał? Chyba nie. Głowę trzymał prosto, jednak nie ruszał się, siedząc oparty o maszt.

*Jeszcze jeden* – dał znak Nicetasowi.

*Załatw go* – odpowiedział osiłek wymownym gestem podrzynanego gardła.

*Nie, nie ma potrzeby.*

Sięgnął na plecy, do pasa, do którego przytroczył rząd strzałek. Na tyle ostrych, by przebić skórzany kaftan czy zbroję, na tyle krótkich, by nie zabić, lecz dosięgnąć mięśni. Ich siłą było co innego: bezwonny, ale zdradziecki dekokał, nazywany mlekiem czarownic. Dobrze posłana strzałka z ostrzem połączonym ze zbiorniczkiem wypełnionym białą cieczą potrafiła uśpić wołu na pół dnia.

Kalikst wyciągnął dwie. Doszły celu. Mężczyzna nawet nie jęknął. Powoli osunął się na

deski pokładu.

Strażnicy na nabrzeżu doszli do końca galery i nim zdążyli zawrócić, Belzebub przeskoczył przez burtę na pokład. Przyłgnął do desek i bezgłośnie przepęłzył do leżącego pod masztem człowieka. Ogolonego na łyso mocarza, niemal tak rosteo jak Nicetas.

Obrócił go twarzą do góry: mleko czarownic zrobiło swoje. Sądząc z rysów, był to Turek, zapewne jeden z najemników pracujących dla kupców. Jego czekan ze zdobnymi okuciami na rękojeści, z misternym ornamentem wytrawionym na żelźcu lśnił w słabym blasku przybrzeżnych latarni, jakby rozświałała go od wewnątrz pulsująca magia.

*To złudzenie* – pomyślał Kalikst, z trudem odrywając wzrok od ostrza. Gdy strażnicy zawrócili, idąc ku dromonie na końcu portu, przemknął pod osłoną cienia na rufę statku. Tam też w szerokiej nadbudówce osłoniętej od frontu namiotem znajdowały się umieszczone pod kątem podwójne drzwi prowadzące pod pokład. Zdobne proporce zawieszane nad drewnianą konstrukcją furkotały cicho targane wiatrem.

Przyłożył ucho do drewna, nasłuchując głośów z wewnątrz. Tylko jednostajny stukot trących o siebie beczek rozkołysanych falami gdzieś głęboko w ładowni. I chlupot wody uderzającej o boki statku. Uniósł lekko jedną część włazu. Pordzewiałe zawiasy jęknęły cicho. Belzebub rzucił spłoszone spojrzenie w kierunku straży: byli daleko, więc nie zwlekając dłużej, odchylił drzwi i wskoczył do środka.

Zszedł po stromych schodkach w dół, aż trafił do wąskiego korytarzyka. Tuż przy zejściu z pokładu znajdowało się przejście do ładowni. Zaś na końcu korytarza, na wprost schodów – za solidnymi drzwiami z dębowego drewna okutego lśniącymi guzami ze stali – była kajuta właściciela statku, kupca z Genui, Rodriga Luigiego.

Belzebub przemknął przez korytarz i zbliżył ucho do dębowych desek. Ostrożnie nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Zamknięte. Nie mogło być inaczej. Sięgnął do pasa po lewej stronie, gdzie nosił przyborek z wytrychami. Wyciągnął środkowy, przymierzył. Nie, za mały! Wybrał kolejny i wsunął do zamka. Chwilę badał konstrukcję mechanizmu. Wstrzymując powietrze, delikatnie obracał narzędziem, podnosząc kolejne zapadki.

Robota zajęła mu kilka dobrych minut, nieco więcej, niż zamierzał. W końcu zamek cicho szcęknął i drzwi stanęły otworem. Ostrożnie wsunął się do wnętrza. Chwilę stał tuż za progiem, przenikając wzrokiem ciemność.

Na lewo prosta koja. Obok niej zdobny okrągły stolik. Za stoliczkiem niewielka szafa wbudowana w ścianę statku. Kalikst otworzył wąskie drzwiczki pokryte ornamentami: w środku leżały równo ułożone koszule. Obszukiwał tylną ściankę, aż wymacał deskę, która nieznacznie odstawała od pozostałych.

Pchnął ją. Odchyliła się bezgłośnie, odsłaniając skrytkę. Sięgnął do środka. Pusto. Tak jak przewidział tajemniczy zleceniodawca. Belzebub obmacał dno schowka. Gładka powierzchnia drewna i niewielki sęcdek w rogu. Podważył go paznokciem – wieczko odkryło kolejną skrytkę.

Była tam. Płaska, misternie rzeźbiona szkatułka z twardego drewna. Kalikst musnął opuszkami palców zawijasy na wieczku. Nacisnął mocniej, próbując zarysować powierzchnię. Heban. Znał ten dotyk i zapach.

Odchylił górną część i zbadał zawartość. Jedwabny woreczek z ciężkim, drobnym przedmiotem wewnątrz. I skórzana tuba, lekko spłaszczona, tak by pasowała swym kształtem do hebanowego pudełka.

– Wszystko jest, jak nawijał nieznajomy – mruknął cicho Belzebub i zatrzasnąwszy wieko, schował szkatułę do szerokiej kieszeni na piersi.

Mógł wracać, ale postanowił wyszukać coś jeszcze dla siebie. Sprawdził skrupulatnie wszystkie zakamarki szafy, przetrząsając ubrania, jednak nic nie znalazł. Począł badać meble, ale jedynym, co odkrył, była mała szufladka pod blatem stoliczka. Pusta.

W przeciwległym kącie kajuty odkrył pojemnik na mapy, tkwiło tam kilka zniszczonych od częstego używania rulonów. Obok stolik, w którego zagłębieniu leżały narzędzia nawigacyjne. Nic interesującego.

Niewielka skrzyneczka obok również była pusta. Nie dziw: kupiec niechybnie wszelkie dobra o większej wartości zabierał do swojej rezydencji w Galacie, włączając w to złoto i dokumenty. Rzecz jasna – poza szkatułką, która teraz spoczywała w kieszeni Kaliksta.

Przejrzał pozostałe zakamarki, jednak nic już więcej nie znalazł. Wrócił za drzwi, dobył wytrych i z powrotem zamknął zamek. Nim odchylił wierzeje prowadzące na pokład, nadstawił ucha. Wspiął się po schodkach i po chwili siedział już w łodzi z Nicetasem.

*Płyniemy* – dał mu znak. Osilek zanurzył wiosła. Głosy strażników na nabrzeżu cichły w oddali, teraz towarzyszył im tylko cichy szum wiatru i pluskanie fal.

– Masz? – zapytał Nicetas zduszonym szeptem, gdy już odpłynęli na bezpieczną odległość.

– Mam – odrzekł Belzebub, zsuwając z twarzy zawój.

– Co to jest?

– Szkatuła.

– Otwieraj!

– Nie tu, za ciemno. Podpłyn bliżej brzegu, tam gdzie pada światło z murów.

Wielka Pięść ochoczo napał na wiosła. Wkrótce łódka zanurzyła się w lekkiej poświacie padającej z latarni umieszczonych wzdłuż nabrzeża.

– Otwieraj!

Kalikst odchylił wieko i wydobył woreczek z jedwabiu. Sięgnął do wnętrza: pierścień. Uniósł go do światła: może mu się zdawało, może było tam zbyt ciemno, ale mógłby przysiąc, że metal, z którego jubiler wykonał to kunsztowne dzieło, jest przezroczysty. Jak włos anioła. Musnął palcem drobne napisy na powierzchni metalu. Nie potrafił ich odczytać. Były zbyt obce.

Zajrzał do skórzanej tuby. W środku tkwił zrolowany kawałek papieru, saraceńskiego



pergaminu. Belzebub rozwinął go i wygiął usta ze zdziwienia. Przed laty pobierał nauki u *grammatistes*a, czytać i pisać jako tako potrafił, znał nawet alfabet barbarzyńców z Zachodu, łacinników, ale te litery były mu obce.

– Co to? Co to za pismo?

– Nie idzie odczytać. Pewnie po arabsku, takich zawijasów używają jeno Saraceni. To nie po naszymu.

– Musi to być znaczny dokument. Może opis, jak dojść do starożytnego skarbcza pełnego złota i drogich kamieni. Nie ma na tym mapy?

– Nie, nie ma żadnej mapy.

– A pierścień? Musi sporo wart, skoro tyle z tym zachodu.

– Nieznajomy w kapturze stosownie sypnie nam grosiwem. Za pierścień i za pergamin.

Nicetas nie dawał za wygraną.

– A złota tam nie było? Na krypie?

– Kupiec komaruje na łądzie, w rezydencji. Tam kitra swoje fanty. Oddajmy po prostu szkatułę, odbierzmy solidy i sprawa zamknięta.

Płynęli w milczeniu. Wielka Pięść prowadził łódź energicznymi, długimi ruchami wiosł. Teraz obrali inną drogę. Zachowując odpowiednią odległość od brzegu, ruszyli w głąb Złotego Rogu. Opłynęli port z drugiej strony i przybili do nabrzeża, kryjąc się za remontowaną galerią okrytą rusztowaniami i pajęczyną lin. Tam porzucili łódkę, po czym przemknęli chyłkiem do miasta.

Omijając patrole strażników, doszli do niskiego domu z kamienia, przytulonego do murów obronnych. Kalikst zastukał w drzwi trzy razy, umówionym znakiem.

## ROZDZIAŁ 2

Morski potwór miał kształt wielkiej ryby z monstualnymi kłami sterczącymi z szeroko rozwartej paszczy jak rząd seldżuckich szabli. Na grzbiecie stwora, niczym na suchym lądzie, rosły palmy, zaś między ich liśćmi figlowało stado małych o złośliwych i bezmyślnych twarzach. Bestia lekko unosiła się ponad falami, rozbryzgując wodę w pogoni za stadem pierzchających delfinów. Między nimi dryfował statek całkowicie zdany na kaprysy żywiołu i kły lewiatana.

Nim jednak potwór pochwycił statek między szczęki, mozaika, na której był wyobrażony, zatoneła we mgle. Para wodna buchnęła z niewidocznych otworów w kamieniu i otoczyła wszystko bielą.

Po chwili z kłębow pary wychynął Eutymiusz Kassidos, drugi mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu.

– Według mnie to jest błąd – powiedział. – Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Wydobył spod gorącej mgły pęk związanych ze sobą witek i zaczął leniwie smagać plecy. Na jego skórze wykwitły czerwone pręgi, na twarzy – wyraz delikatnej rozkoszy.

– Takie zlecenie oznacza zaangażowanie gildii w jakąś pokrętną politykę – mówił dalej – jaka się dzieje za naszymi plecami, przy naszej niewiedzy. Ze złodziejów czyni najemnych zbirów. A nie takie jest powołanie złodzieja. Nie jesteśmy gildią zabójców. Nie chcemy zdobywać murów niedostępnych miast, nie pożądamy bogactw przynależnych do władców odległych krain. Nie jesteśmy też rycerzami ani wojskiem zaciężnym, ani też...

– To zlecenie to kawał dobrej złodziejskiej roboty! – przerwał mu Atanazy Meklidos, wielki mistrz złodziejskiej gildii. – Niczym się nie różni od tego, co robimy dotychczas! A że daleko? To nie jest przeszkoda. Wprost przeciwnie. Szansa dla nas!

Eutymiusz zaczął energiczniej okładać się witekami. Para wodna opadła już nieco, ponownie odsłaniając marmurową mozaikę z morskim potworem. Drugi mistrz usiadł tuż pod nią na ławie i z rezygnacją słuchał argumentów rozmówcy.

– To jest szansa dla nas, by rosnąć w siłę – ciągnął dalej Atanazy. – Opróżnianie sakiewek kupcom z Italii to dobre dla drobnych obwiesiów z portu. Właśnie dla tych tam twoich szajek. Naszą organizację stać na więcej. Mamy w naszych szeregach tak wybitne postaci, wybitne w swych fachach, że marnowanie ich talentów dla równie podłej roboty to

rzucanie złota w morskie fale.

– Trywializujesz, Atanazy. Mamy znaczące osiągnięcia, jak choćby... A zresztą, co ja będę przypominał, przecież dobrze wiesz, mistrzu. Rzec w tym, że jako gildia złodziei musimy się trzymać pewnych kanonów. Owszem, drobne odstępstwa zawsze przynoszą ożywczy powiew w naszej robocie, toteż nie protestuję przeciwko gościnnym występom w Nicei czy w Tesalonice. Ale nie możemy podejmować bezcelowego ryzyka, do jakiego ty nas namawiasz. Czy aż do tego stopnia zaślepią cię żądza zysku, że stałeś się głuchy na to, co mówi rozum? Na głos rozsądku, który głośno woła: ta sprawa śmierdzi.

*Żądza zysku! Eutymiusz, ten próżniak i utracjusz będzie mnie pouczał, co słuszne, a co nie?!* – pomyślał Atanazy. Sięgnął po pęk witek i jął z wściekłością smagać się po plecach.

– Pozostając przy tym, co ty proponujesz, skazani jesteśmy raczej na utratę pozycji. I co z tego, że coraz więcej kupców wozi ikrę od Rusów, len i zboże z Egiptu, a z Macedonii rudy żelaza? I co z tego, że jest coraz więcej spichrzy do opróżniania, kiedy my możemy sięgnąć do niewielkiej tylko ich części? Osiągnęliśmy punkt, poza który już się nie rozwijamy. Nie idziemy do przodu, tylko chodzimy w kółko. Powiem ci, co jest moim pragnieniem.

Mistrz Atanazy odrzucił witki i nie bacząc, że tkanina okrywająca jego przyrodzenie niebezpiecznie zsuwa się w dół, stanął na środku łaźni, po czym uniósł ramiona w teatralnym geście.

Eutymiusz uznał, że najwyższy czas napuścić do pomieszczenia więcej pary. Skinął na eunucha obsługującego salę. Ten skwapliwie przystąpił do swoich powinności – po chwili łeb potwora z palmami na grzbiecie ponownie zniknął pod kłębamii rozgrzanej mgły.

– Otóż moim pragnieniem, inaczej rzeknę: marzeniem, jest wyjść poza Konstantynopol – wyznał otwarcie wielki mistrz. – Gildia złodziei winna zaistnieć w Cezarei, Nicei, Smyrnie i gdzie tam jeszcze. To są tereny dziewicze, które nie zniosą pustki. Chciałbym zorganizować miejscowych złodziei w sprawny organizm, dać im wyższy cel i perspektywy do działania. To zlecenie pozwoli nam na zdobycie większych środków, umożliwi obsadzenie naszych ludzi w tych miejscach. To będzie prawdziwe umacnianie pozycji, tak jak umacnia się cesarstwo. Tam gdzie *basileus*, tam i my.

– Nie przeczę, jest to kusząca perspektywa – odparł Eutymiusz – ale nie mówimy przecież o Cezarei czy Nicei. To jest wyprawa pomiędzy siedliska demonów, to już igranie z siłami zła i diabelskich wysłańców. To wyprawa do samego piekła, między czarty plujące siarką i wiecznie gorejącym ogniem. Co nieco słyszałem o tamtym miejscu, jego zła sława pozwala mi przypuszczać, że nie będzie to, tak jak ty byś chciał, li tylko złodziejska robota.

Atanazy spojrział nań z politowaniem.

– Lud gada różne rzeczy, nigdy nie wiesz, ile w tym prawdy. Odsiejmy bajędy od tego, co wiemy na pewno. A wiemy sporo. Zapewniam cię jednak, przyjacielu, że ma się to nijak do tego, co gada pospólstwo. Ale tam pospólstwo! Toż i nie tylko przekupnie na targu i gawieź przy kubku wina powtarza te facecje, ale i sam drugi mistrz gildii złodziei, Eutymiusz

Kassidos. Pomyślałby kto, człek odważny, a przy tym kształcony i niechętny bajdom gminu.

Ten poczerwieniał, choć w kłębach pary ta nagła zmiana pozostała niezauważona.

– Mijasz się z prawdą, nie wiem, czy świadomie, w jakimś niepojętym dla mnie celu, czy przez swoją niewiedzę – zaatakował Atanazego, odrzucając witki.

Dał znać eunuchowi: więcej pary. Łaziebny posłusznie posłał w ich stronę kolejną porcję rozgrzanego powietrza.

– Narażasz ludzi – mówił dalej Eutymiusz – bo co się tam naprawdę kryje, wie sam Bóg w niebie. Dziwi mnie tylko jedno: teraz demonstracyjnie okazujesz nadmierną odwagę wobec sił nieczystych. A pamiętam, że nie zawsze takim byłeś. A może... A może to dlatego, że jesteś odważny, szafując życiem innych? Poślesz naszych ludzi na zatracenie. Uda się albo i nie. Jeżeli tak, to zdobędziemy fortunę. Jeżeli nie – to trudno.

*Skąd ci u Eutymiusza ta niespodziana troska o ludzi i gildię? – rozmyślał z rozdrażnieniem mistrz Meklidos. – Jak dotąd więcej wagi przywiązywał do swych korzyści, a dobro naszych ludzi i interesy gildii były jedynie środkiem do celu. Ale nie celem samym w sobie.*

Atanazy ściągnął gniewnie brwi. Od dawna już nie potrafił nawiązać z Eutymiuszem nici porozumienia. Nici, która winna łączyć ludzi o takim doświadczeniu, o wspólnym interesie, ludzi stojących na czele tajnej gildii. A przecież nie zawsze tak było. Lata temu rzeczy wyglądały zupełnie inaczej. Bądź co bądź, to Kassidos wraz z nim współtworzył organizację od jej podstaw. Wtedy wszystko zdawało się prostsze. Ale teraz... Wielki mistrz miał wrażenie, że tamten w głębi duszy podziela jego przekonania, wie, że ma rację, jednak zbytnio dał się ponieść rywalizacji.

*Jego ambicja doprowadzi go kiedyś do zguby, bo brak mu cierpliwości i opanowania, to pewne jak Bóg na niebie – uznał.*

Meklidos podciągnął okrywający go zwój i rzekł:

– Nasz zleceniodawca dostarczył nam plany tego miejsca. Jest skłonny wyjawić więcej, gdy zdecydujemy się podjąć tego zadania. To jest nasz atut: możemy działać z zaskoczenia, w pełni przygotowani. Możemy zaplanować całą akcję w najdrobniejszych detalach, a zważ, że to spryt, działanie w grupie i właśnie dokładne rozpoznanie terenu uczyniły nas tym, czym jesteśmy. Siła gildii złodziei nie polega na mieczu ani na czarnoksięstwie. Działając wedle ustalonej strategii, dysponując dobranym zespołem, możemy to zrobić z łatwością, z jaką ty pochłaniasz wędzone makrele i garniec wina na kolację. Nie podejmując ryzyka, skazani jesteśmy na sakiewki i nigdy nie sięgniemy większych zaszczytów.

Eutymiusz wycedził, nie kryjąc ironii:

– Oczywiście, będzie, jak ty uważasz, mistrzu. Moje zdanie znasz. Jestem pełen wiary, że weźmiesz je pod uwagę.

– Nie należy się spieszyć. Wysłałem do Kapadocji dwóch szpiegów, którzy mają baczniejsz się przyjrzeć, co nas tam czeka. To doświadczeni ludzie, będą więc w stanie wyczuć

niebezpieczeństwa. Jeżeli znajdą cokolwiek lub, nie daj Boże, nie powrócą, zapomnimy o sprawie.

*Może powinienes założyć własną gildię najemnych zbirów* – pomyślał Eutymiusz, jednak nie powiedział tego na głos. Entuzjazm i dobre samopoczucie mistrza nie przekonywały go, choć widział też tutaj pewną sposobność dla siebie.

\* \* \*

Po wyjściu z łaźni Eutymiusz skinął na rozpartego na murku Metodego. Karzeł, krzywiąc się niemiłosiernie, dłubał końcem noża między zębami. Wciąż nie mógł wydobyć resztek pieczonej baraniny, którą przekąsił był na śniadanie.

Gdy owionął go aromat wonności, jakimi skropił się mistrz, mimowolnie wygiął usta w wyrazie niechęci. Nie rozumiał tego uwielbienia do kąpieli i pachnideł. Jemu starczyło ostre noża, którym potrafił usunąć nie tylko resztki posiłku, ale także brud z paznokci.

Ruszyli aleją wzdłuż akweduktu, po to by dwieście kroków dalej skręcić w boczną ulicę biegnącą do portu. Tu rozłożyli swe kramy kupcy handlujący towarami przynoszonymi prosto z zawijających do miasta statków. Było wszystko. Ryby, ikra, garnki, wełna i bawełna, jedwab, damasceńskie kindżały, skóry i kosztowności z najdalszych zakątków świata. Metody aż zapłonął z radości: targ oblegały tłumy mieszkańców Konstantynopola. Wystarczyło jedno spojrzenie, a w jego głowie powstała precyzyjna mapa sakiewek noszonych przez gawieź na wyciągnięcie jego skorych do roboty dłoni.

– Atanazy upiera się przy swoim – rzekł Eutymiusz, gdy palce karła wyłuskały pierwszą garść złota od mijanego przechodnia. – To dobrze. Sam podsuwa nam nowe rozwiązanie. Wykorzystamy to do naszych celów.

– Głupiec... – mruknął Metody.

Kassidos przyznał mu rację.

– Tak. Choć swoją inteligencją mógłby obdzielić dziesięciu takich nikczemnych pokurczów jak ty, nie potrafi ustrzec się przed błędami. Gubi go pycha i nadmierna duma. Ale dla nas to łaska Boża.

Karzeł przytaknął w milczeniu: do jego sakiewki trafiły kolejne złote monety, wyprute z rękawów płaszcza jakiegoś wysokiego, jasnowłosego pielgrzyma. Nim je schował, zdążył poczynić spostrzeżenie, że takiego pieniądza jeszcze w życiu nie widział. To musiał być przybysz z bardzo daleka.

– Pozwolimy mu więc się pogрузić. Zginie przy tym paru ludzi, ale jego władza dobiegnie końca. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem kontent. Nawet nie musimy mu w tym pomagać, wystarczy jeno obserwować. Kiedy ta szaleńcza wyprawa przyniesie samą śmierć i hańbę, poparcie dla jego dalszej władzy w gildii spadnie do poziomu dna morskiego.

*Wtedy większość zapamięta mnie jako zdecydowanego przeciwnika tego zlecenia* – myślał z narastającą radością. – *Nie do wiary, że jeszcze kilka dni temu rozważałem, czy nie załatwić*

*sprawy przez najemnych skrytobójców. Tylko wówczas stronnicy Atanazego nie omieszkaliby mnie oskarżyć. Nic by na tym nie zyskali, bo i tak nie ma lepszego kandydata na mistrza niż ja. Ale to zrodziłoby nieprzyjemne przypuszczenia. Szeptaliby za plecami. Nie ufali. Kto wie, może doszłoby nawet do jakichś buntów. W końcu Atanazy ma paru oddanych stronników. Ale na bunty jest tylko jedna rada: wypalić je w zarodku mieczem i ogniem. Nauczeni przykładem pozostali nie mieliby wątpliwości, komu należna jest władza.*

– Przyjmiemy więc taką strategię – powiedział do karła, który tym razem bezczelnie, pod okiem wynajętych strażników, ściągnął z mijanego kramu, otoczonego miejskimi elegantkami, wielki pierścień ze srebra, z lśniącym rubinem pośrodku. – Będziemy sprzeciwiać się planom Atanazego. Na tyle głośno, by wszyscy to zapamiętali. Jednak niezbyt wytrwale, żeby przypadkiem mistrz nie odstąpił od swoich zamierzeń. To akurat nie jest w ogóle możliwe, więc pozwólmy mu przegrać w wielkim stylu. Gdy zginie ostatni z jego ludzi, zwołamy radę gildii, na której ktoś z naszego stronnictwa wysunie wniosek wzywający Atanazego do rezygnacji. Czy ty się możesz, nikiemny mały kurduplu, wreszcie opanować? – dodał Eutymiusz, gdy karzeł ściągnął z kramu kolejny łup: wielki bochen ciepłego jeszcze chleba.

– No co? Ćwiczę palce. Doskonałą fach.

– Ale chleb? Bochen niemal większy od ciebie? Czasem zdaje mi się, że mistrz ma jednak rację. Może okradanie pospólstwa to nie jest dobry koncept na dalsze działanie gildii. Zostaw to i pozwól mi zebrać myśli!

– Eeee – mruknął tylko Metody, odrywając wielki kęs pieczywa. Wpakował chleb do ust i żuł w milczeniu.

Kassidos powrócił do swoich rozważań:

– Wobec tego, co musi nadejść. Wobec klęski, o jaką on się prosi... Wniosek przejdzie jednogłośnie, no, powiedzmy: większością głosów. Zresztą nie zamierzamy przecież przywiązywać wagi do takich szczegółów. Głosowanie będzie tylko formalnością, przecież trudno sobie wyobrazić inny wybór.

– Ale... Co będzie, jak oskubią klechę na cacy? Wszystkie mu moniaki z kufrów wyłuskają, wszystkie złoto wyczyszczą z tajnych skrytków? I zarobią, i wyjdzie na ich, a nie na nasze.

– Głupiś! Tu nie chodzi o złoto. Choć z drugiej strony... – Eutymiusz potarł brodę z frasunku. – Masz trochę racji. Jest cień szansy, że ten szaleńczy plan powiedzie się i przyniesie Atanazemu chwałę miast hańby i wstydu. Hmm... To jeszcze rozważymy. Przygotujemy to tak, by taka ewentualność nie zaszła.

– Kosę im we flaki tuż za murami miasta i wszystko będzie jasne. Albo damy tamtemu cynk, że tu rzeźmieszki z Konstantynopola chcą mu moniaki spod poduszki wyciągnąć. Jak klecha ma co chować, jak taki bogaty, to najmie zbrojnych do ochrony i po ziomkach. Najemnicy im zgotują powitanie jak nasz cesarz Turkom pod Manzikert.

Manzikert... To już siedem lat miało, odkąd cesarz Roman IV Diogenes rozbił w puch armię seldżuckiego sułtana Alp Arslana. Bitwa nieopodal tamtej twierdzy powstrzymała ciągnący z Azji żywioł, od miesięcy przelewający się przez wschodnie granice cesarstwa. Jak to z emfazą i znaczną przesadą opiewali kronikarze, owego roku, 1071, Roman IV Diogenes zmienił historię, odsuwając w głąb stepów zagrożenie wymierzone nie tylko w cesarstwo, lecz cały świat chrześcijański. Owego roku władca zmienił świat, realizując wolę Bożą. Po prawdzie wojskowi taktycy nie uważają bitwy pod Manzikert za tak ważką, w istocie – jak twierdzą – była ona niezbyt istotną potyczką, a w razie, nie daj Boże, przegranej cesarstwo miałoby dosyć sił i solidnych twierdz w Armenii i na granicy z Syrią, by długo jeszcze trzymać seldżuckich najeźdźców poza granicami imperium. Jednakowoż, co również przyznają taktycy, bitwa była przełomem. Roman Diogenes, kapadocki generał, trzy lata wcześniej wybrany na cesarza głosami armii, udowodnił, że – mimo umiarkowanych sukcesów w pierwszej fazie wojny – jest właściwą osobą na tronie. Zamknął usta przeciwnikom na dworze, wzbudził entuzjazm wśród wojsk. Po Manzikercie były następne bitwy, wszystkie zwycięskie, a Turcy cofnęli się daleko za Eufrat, do Persji. To umocniło panowanie cesarstwa na wschodzie.

Jednak Eutymiuszowi przyszło na myśl co innego. Czy w tym porównaniu karła nie było jakiejś aluzji? Pod Manzikert wielką niesławą okrył się Andronik Dukas. Młodszy syn poprzedniego cesarza, Konstantyna X. Zdradziecki dowódca tylnej straży nie ustawał w spiskach, by odebrać tron, przynależny – jak twierdził – rodzinie Dukasów. Gdyby cesarz nie opanował paniki wśród uciekającej piechoty i kawalerii, do której powstania osobiście i z rozmysłem przyczynił się Andronik, sułtan Alp Arslan zamiast mało zaszczytnej śmierci miałby zapewnione zwycięstwo. Czy w ten sposób karzeł nie próbuje porównać Eutymiusza do Andronika? To znaczy – do zdrajcy knującego przeciwko *basileusowi*? Czy w tym nie było złowroziej wróżby, że Eutymiusza również czeka wygnanie i niesława?

Nie, chyba nie. Metody nie wdawał się w tak zawile ciągi myślowe, a jego porównania były znacznie prostsze.

– W dupę ich szablą i greckim ogniem przez łeb! Zasypią ich rojem zatrutych strzał, a gdy już padną, wylupią oczy, uszy poodcinają, łby poodcinają i nadzieją na włócznię, a gnijące członki wystawią na pożarcie krukowi, szczurom i robakom.

– Wiesz co, karyplu? Jesteś równie nikczemnego charakteru, jak i postury, ale chyba właśnie dlatego cię trzymam przy swoim boku. Twoje uwagi mają pewien powiew świeżości, na którą ja już się nie zawsze potrafię zdobyć. Tak, dobrze to ująłeś, sprawę trzeba załatwić prosto, bez zbędnego wahania.

Chwilę szli w milczeniu, przeciskając się przez rozkrzyczany tłum. Metody pogryzał chleb, a gdy już zaspokoił głód, cisnął niedojedzoną połówkę bochna na stertę śmieci, między bezpieczne psy buszujące w przegniłych resztkach warzyw.

– Atanazy wysłał tam szpiegów. Mają dokonać oględzin, popatrzeć, jak rzeczy stoją. Nie

wiem, co z tym zrobić... – myślał na głos Eutymiusz. – Z jednej strony wskazane jest w naszej obecnej sytuacji, by dostarczyli raport zachęcający do podjęcia wyprawy. Z drugiej strony, skoro uznaliśmy ją za szansę, która się przed nami rysuje, mogą działać nam na szkodę. Bo raz: albo dostarczą cennych informacji, które stronnikom Atanazego pozwolą na dokładne zaplanowanie wyprawy, a w rezultacie – wykonanie roboty. Bo dwa: dostarczą takich informacji, które jednak odwiodą mistrza od podjęcia tego wyzwania. Nie wiem, co gorsze... A jak nie wrócą, to być może mistrz też będzie mniej skory, by na to pójść. Druga taka okazja może się niezbyt szybko trafić.

Karzeł miał już na ten temat wyrobione zdanie.

– Skoro tak, skoro jest, jak widać, to po mojemu lepiej zadbać o to, coby nie dotarli ze złymi informacjami. Że klecha to mocarz i nie idzie go oskubać z piórek. A to, że nie wrócą w ogóle? Może wdali się w grandę gdzieś po drodze, próbując zwinąć złoto z sakiewek butnych najemników z Zachodu? Albo coś. Ja w każdym razie posłałem za nimi swoich ludzi.

Eutymiusz aż przystanął.

– Co zrobiłeś?

– No, posłałem za nimi swoich szpiegów, dziarmagi spoza gildii, nieznanne na mieście, ale mi osobiście dłużne drobną robótkę. Mają filować na tamtych...

– Skąd wiedziałeś? Dlaczego nie zostałem o tym powiadomiony?

– Eee, to tylko tak. Różne rzeczy się dzieją, czasem nie warto sobie zawracać tym bańki. A że widziałem dwóch łepków, jak o świcie ruszają z ekwipunkiem, szepcząc coś na odchodne z mistrzem... Tego samego dnia w południe już posłałem swoich.

– Z jakimi instrukcjami?

– Na razie mają tylko dobrze gałami obracać. Wtedy jeszcze nie szaiłem, że to chodzi o tego klechę. Patrzę: coś knują. Większa sprawa jakaś. No to myślę: my też musimy wiedzieć, co się kroi. No źle zrobiłem?

– Nie, dobrze. Mam nadzieję, że twoi chłopcy nie będą działać pochopnie. Nic, zobaczymy, co z tego wyniknie. Poczekajmy kilka dni. Pozwólmy im się bardziej odsłonić: mistrz dziś chce zebrać radę gildii i omówić bieżące interesy. Na pewno powie coś jeszcze i o tej sprawie.

– Sie wie.

– Tylko, Metody, ty mi się coś ostatnio rozbisurmaniłeś! Dobrze się spisujesz, ale, na Boga, ja muszę o wszystkim wiedzieć. Na bieżąco! Nie możesz działać na własną rękę.

– No sie wie. Nie ma stracha, przecież nie kazałem ich zabić.

– To dobrze.

\* \* \*

Zmierzył wzrokiem odległość. *Marne szanse* – pomyślał z rezygnacją. Nie do trafienia. Zakręcił procą. Zwolnił naciąg i wypuścił kamień.



Pocisk poleciał dwieście kroków i zniknął w falach, mijając beczkę o jakieś dwie stopy. Kalikst Belzebub zaklął.

– *Gamo*, jest za daleko! Prąd znosi ją w morze. Tak to nie idzie przywalić.

Nicetas zarechotał. Zerwał się z nagrzanego muru i wyciągnął rękę.

– Akurat, za daleko! Nawet z procy to trzeba umieć pakować. Dawaj ją!

Kalikst przekazał broń przyjacielowi i zrezygnowany przysiadł na kamieniach. Kwestia, kto będzie stawiał tego wieczoru wino w tawernie, wciąż pozostawała nierozwiązana. Kiedy beczka odpłynie dalej od brzegu, trzeba będzie znaleźć inny sposób na rozstrzygnięcie sporu.

Osilek wszedł po kostki do wody, szukając najlepszego pocisku. Sięgnął po gładkiego otoczaka i załadował go do procy. Szybko zakręcił, by posłać kamień w stronę beczki.

Pocisk minimalnie przeleciał nad celem.

– *Gamoto!* To przez te fale! – ryknął Nicetas. – Wymierzyłem błatnie, ale w ostatniej chwili beczkę zniosła fala. Widziałeś to? Widziałeś?

– Na pewno, chłopie. Też uważam, że to przekłete morze powinno być proste jak stół i nie robić nam na złość falami. Ale popatrz, jest wredne i uparte. Faluje dalej.

– Dajcie mi – powiedziała cicho Zoe. Zeskoczyła z murka i pochwyciła jeden z kamieni spod nóg. Niewielka plaża przylegająca do portu w południowej części miasta była nimi całkowicie wypełniona. Kamieniami i śmieciami przyniesionymi przez wodę.

– Sprawa tyczy mnie i Kaliksta – oponował Nicetas. – Nastukaliśmy co nieco w nocy, teraz powstała pałaca potrzeba rozdysponowania nadmiaru grosiwa. Pytanie: z czyjej kiesy. Mojej, czy raczej jego?

Zoe nie dała się zbyć.

– Doskonale, to zawrzyjmy układ. Jak teraz nie trafię, to stawiam. Cały wieczór. Może to rozwiąże wasz problem.

– Chcesz stawiać, dziewczyno? No, ja nie mówię nie. He, he, no racja! Problem będzie z głowy, w istocie.

– Nie chcę stawiać, ciołku, tylko rozwalić tę cholerną beczkę. Daj mi procę lepiej, co?

– Masz, masz. Hej, Belzebub, to sobie dziś popijem, bracie! Dziewczyna zatrząśnie sakiewką. A my...

Przestał się śmiać, gdy kamień wystrzelony przez Zoe trafił w sam środek beczki. Co gorsza, klepki były na tyle spróchniałe i rozmiękłe, że jeden pocisk wystarczył, by wybić w niej dziurę. Powoli zaczęła nabierać wody.

Zoe spojrzała na Nicetasa z mściwą satysfakcją.

– Przypatrz się dobrze, bo zaraz pójdzie na dno – powiedziała. – Przypatrz się dobrze, bo zaraz powiesz, że tu nigdy nie było żadnej beczki.

Wielka Pięść prychnął z pogardą:

– Co ty mi tu, mała...? Raz miałaś szczęście, a teraz strugasz cwaną gapę. Raz pierdyknąć procą to nawet baba z targu da radę. Akurat mniejsza fala podeszła, wiatr słabszy zawiał, ot

co.

Dziewczyna pokiwała głową z pełną dezaprobatą.

– Nie rób z siebie durnia, proszę. Może lepiej nic nie mów i nie wprawiaj w śmiech zebranej tutaj widowni. I sędziów jednocześnie.

Sięgnęła po kolejny kamień. Załadowała do procy i wskazała tonącą beczkę.

– Widzisz ją jeszcze? Trafię ją teraz. Patrz uważnie, bo po tym uderzeniu już na amen pójdzie na dno.

I tak się stało. Dziewczyna zakręciła procą i precyzyjnie posłała pocisk w wystający bok beczki. Teraz uderzenie było jeszcze trudniejsze: nasiąkającą wodą baryłkę już niemal w całości przykryły fale zatoki. Trafiona przez Zoe beczka momentalnie poszła na dno. Jakby jej nigdy tutaj nie było.

– *Diabolos*, nie kobieta – jęknął zrezygnowany Nicetas. – Istny *diabolos* i tyle powiem.

Kalikst patrzył na to bez emocji. Zdążył już na tyle poznać Zoe, że wiedział, czego się po niej spodziewać. Miła buzia aniołka zwiodła wielu, choć męski strój prowokował do niewybrednych żartów. Już niejeden marynarz, tracąc po kolejnym garncu wina zdolność właściwej oceny sytuacji, miał okazję pobrać spóźnioną nieco naukę, że to, co wbiło się pomiędzy jego nogi, zdecydowanie nie było lekkim kobiecym trzewikiem na delikatnej stopce. Potrafiła przykopać i dokładnie wiedziała, gdzie trafić. Potrafiła też kilka innych rzeczy. Jak widać, także strzelać z procy.

– Ech, głupia jestem. Mogliśmy inaczej ten zakład postawić. Nie trafiam, to stawiam. Jak trafiam, stawia Nicetas. Nie byłoby już problemu, a tak kwestia wina wciąż pozostaje otwarta.

Osilek obruszył się.

– Ja? A dlaczego ja, a nie Kalikst?

– Bo Kalikst wie, że jak ktoś mnie wpieni, to lepiej mordę zawrzeć i być cicho. Nie?

Rozgrzane w słońcu powietrze falowało, gnąc maszty galer leniwie sunących po zatoce. Słaby powiew znad morza dawał nieznaczną tylko ochłodę, jednak w mieście było jeszcze gorzej. Nawet w cieniu. Wysokie mury otaczające Konstantynopol, kościoły i domy, wszystko wstrzymywało ruch rozpalonego powietrza. W porcie niekiedy zjawiał się wiatr, niczym dobry duch niosący orzeźwienie. To było ich ulubione miejsce: niewielka kamienista plaża szerokości zaledwie czterech kroków, ulokowana w trójkącie wyznaczonym przez Morze Marmara, niewielki Port Hormisdasa i mury obronne miasta, które w dalszej części, idąc w stronę cypla Saragikos, wyrastały wprost z fal. W samym porcie, między murem a wodą, dostępny był jedynie niewielki fragment lądu, nieco szerszy naprzeciwko bramy, do której biegł zwodzony pomost. Port pozostawał nieosłonięty i w razie najazdu wrogowie mieli do niego pełny dostęp. Nic jednak na tym nie zyskiwali. Przystań nie stanowiła miejsca strategicznego. Tutaj wyładowywane były statki towarowe dowożące drewno do warsztatów rzemieślników czy ozdobny kamień na budowę kościołów. Po opróżnieniu ładowni jednostki opuszczały port, zaś w razie zagrożenia opuszczano kratę bramy i podnoszono pomost.

Tego dnia nie mieli nic do roboty. Nie było żadnych zleceń, a po nocnej robocie w Galacie w sakiewkach brzęczało tyle *nummi*, że nie musieli łuskać z monet kupców i mieszczan.

– Atanazy coś ma na stanie – przerwał ciszę Kalikst. – Coś się szykuje. Jakaś blatna robota, za duże moniaki. Ponoć coś większego.

Nicetas, rozparty na murku, nie podnosząc nawet głowy, mruknął:

– Mnicha idą oskubać jakiegoś... Czy innego klechę.

– Mnicha?

– No, mnicha. Coś mu tam trzeba wyjąć. Ale nie wiem, co za jeden. Mamy w mieście jakiegoś mnicha wartego trudu czy tylko zbieraninę umartwiających się obdartusów i wyrzutków, uciekających pod habit przed długami i zaciągiem?

– Ja słyszałam – wtrąciła Zoe – że mistrz posłał szpiegów, by zbadali grunt. Ponoć do Kapadocji, tak mówili.

Nicetas skoczył w górę.

– Tak mówili? Kto mówił? Skąd ty to w ogóle wiesz, dziewczyno?

Jej twarz rozjaśnił uśmiech triumfu.

– Moje zainteresowania nie kończą się na dnie dzbana z winem i sięgają o wiele dalej niż najbliższa tawerna. Nieważne kto. Wiem, co mówię.

– Bajdurzysz. Ja tam nie słyszałem, żeby mistrz kogokolwiek posyłał.

– Twoją uwagę za bardzo zaprzętała myśl, kto będzie trząśł sakiewką w szynku. Tak jak co dzień. Nie zauważyłbyś armii seldzuckiego sułtana, nawet jakby ci przedefilowała nad dzbanem.

– No, być może nie jestem aż tak zorientowany. Dupy nadstawiam w prawdziwej robocie, pod strzały strażników, a nie w łożu z baldachimem.

Kalikst prychnął z niesmakiem. Nieustanne kłótnie tych dwojga zaczynały go już nużyć. Może Nicetas nie znał Zoe tak dobrze jak on, ale te kilka upokorzeń, których doznał choćby już tylko tego dnia, powinny powstrzymać go przed dalszym pogrążaniem się w bagnie.

– Zoe, powiedz, co jeszcze wiesz.

– No, w zasadzie to niewiele. Jakiś wielmoża, jakiś bardzo tajemniczy pan o nieujawnionym imieniu, oferuje znaczną kwotę w złocie za zdobycie fantu z jakiegoś monasteru w Kapadocji.

– W Kapadocji? To kilka dni drogi stąd i nieznaną teren. Nie mamy tam wpływów ani naszych ludzi. Musi nieźle płacić, skoro mistrz rozważa taką ofertę.

– Dlatego posłał ludzi na przeszpiegi.

– Kogo?

– Nie wiem. Nie znam. Nic więcej nie wiem. Belzebub popadł w zadumę. Drobne kradzieże kupieckiego złota i włóczenie się całymi dniami po Konstantynopolu pozwalały żyć łatwo, wygodnie i przyjemnie, jednak jego zaczęło to już nużyć. Uciskać jak skurczony od

wody i słońca skórzany kubrak. Dla gildii działał już od – a kiedyż to było? – od ponad dziesięciu lat, chwytając każdą robotę, jaką naraił mu mistrz. Marzył jednak o czymś znaczniejszym. O czymś, co przyniesie mu więcej chwały i pieniędzy i stanowić będzie prawdziwe wyzwanie. Trzepanie sakiewek na rynku w Konstantynopolu dobre było dla kilkuletnich nicponi, dzieciarni z rynsztoka albo najmniej zdolnych kieszonkowców.

Problem brał się stąd, że gildią nie rządził już Atanazy. Nie, Eutymiusz też nie, choć perspektywa pozyskania władzy była siłą sprawczą wszelkich jego działań. Gildią rządziły intrygi i cicha rywalizacja jej dwóch przywódców. Cicha, bo z wierzchu obydwaj zachowywali pozory zgody i harmonii. Jednak pod tym toczyła się bezgłośna wojna na wpływy i sukcesy. Atanazy Meklidos, snujący wielkie plany, kreślący imperialne wizje gildii jako ponadmiejskiego przymierza sięgającego mackami najdalszych zakątków cesarstwa, szansę na dalsze zachowanie zwierzchnictwa widział w spektakularnych sukcesach. Przy winie chodziły różne opowieści o kolejnych tajemnych zleceniach, jakie mistrz dawał swoim najbardziej zaufanym ludziom, nawet jeżeli ich talenty i oddanie należało poddać pod dyskusję. Gildia robiła już nie tylko w Konstantynopolu, Chalcedonie i Chryzopolis. Mistrz posyłał ludzi do Nicei i z misjami do innych prowincji cesarstwa. Bywało, że nie wszyscy wrócili z nich w jednym kawałku, a nawet z głową na karku. Cena ryzyka, jakie wiązało się z tym fachem.

Eutymiusz podobnie. Zgromadziwszy wokół siebie grono zaufanych, starał się ubiec Atanazego na drodze do sukcesów, a co za tym idzie – do poparcia najbardziej wpływowych członków gildii. Wszelakimi sposobami usiłował przejąć najbardziej intratne zlecenia lub też – w razie porażki na tym polu – pomniejszyć zasługi Atanazego.

W efekcie nie było dobrej roboty. To znaczy – była, ale tylko dla zaufanych stronników obydwu mistrzów. Nie dla Kaliksta. I cóż z tego, że przez lata pozostawał wierny Atanazemu, nie tylko jako wielkiemu mistrzowi gildii. Od roku, a nawet prawie dwóch lat, wszystko szło nie tak, jak powinno. Chociaż on sam nie zmienił się przez ten czas, to zmienił się świat wokół niego. Atanazy nie darzył go już zaufaniem. Eutymiusz? Tym bardziej, z drugim mistrzem zamienił w życiu ledwie kilka słów. Kalikst nie uczestniczył w intrygach, nie stosował forteli i wybiegów. Atmosfera nieustannego spiskowania męczyła go, czuł instynktowną niechęć do tego typu korowodów. Stąd też pozostawał na uboczu, coraz bardziej oddalając się od Atanazego, nie zyskując również uznania w oczach Eutymiusza.

– Mistrzu – prosił nieraz – chciałbym też brać udział w tych lepszych zleceniach. Wiem, że innych darzysz niemałym zaufaniem. Dlaczego ja nie mogę mieć w tym udziału?

Atanazy patrzył na niego łagodnie i niezmiennie odpowiadał to samo:

– Cierpliwości, chłopcze. Jeszcze przyjdzie twój czas. Jeszcze przyjdzie dzień, gdy powierzę ci odpowiedzialność. Ale teraz... To nie jest dobry czas. To nie jest czas chwały...

Próbował więc działać na własną rękę. Szybko okazało się jednak, że tajna gildia złodziei w Konstantynopolu ma wśród zainteresowanych tak dużą sławę i renomę, że tylko tam

docierały kluczowe informacje i najlepsze zlecenia. Raz z pomocą Zoe na własną rękę zdobył cynk o egipskich kupcach, którzy podczas sztormu na Morzu Marmara nieznacznie uszkodzili galeryę. Lekko, więc nie zatonęli, jednak usterka była na tyle poważna, że statek nie zdołał dojść do portu w Konstantynopolu. Stał na przystani w Chalcedonie, na przeciwległym brzegu.

Zajęli się tym jeszcze tego samego wieczoru, całe popołudnie poświęcając na przygotowania. Gdy dotarli do galery, na miejscu zastali już tylko splądrowaną ładownię – ich ziomkowie z gildii zostawili co prawda większość ładunku, ale dla złodzieja nie było z tego żadnego pożytku: beczki z winem, wory ze zbożem, bele materiałów. Poznikała za to cenna broń i osobiste dobra kupców. By ukoić żal, wytoczyli z kompanem małą beczkę z kreteńską retsiną i rozpili ją na skałach. Belzebub nie za bardzo pamiętał, jak później wrócili do miasta.

– Dzisiaj będą radzić o tym mnichu – dodała Zoe. – Może wtedy coś wymyślą.

W głowie Kaliksta rodził się plan. Diabelsko dobry plan, jeżeli tylko nie skrewi.

## ROZDZIAŁ 3

To, co zwano Wielkim Pałacem, w istocie tworzył zespół kilku pałaców i kościołów stanowiących główny ośrodek reprezentacji i ceremoniału cesarskiego. Było to istne miasto w mieście, oddzielone i niezależne od stolicy imperium. Wielki Pałac posiadał sieć własnych wodociągów, cystern i łaźni, otaczały go niedostępne dla ogółu ogrody, ba, były tu nawet stadiony i areny, na których odbywały się widowiska cyrkowe przeznaczone tylko dla oczu *basileusa*, jego dworu oraz oficjalnych gości, posłów z dalekich krain.

Do Wielkiego Pałacu wiodła droga przez *Chalke*, wielki gmach o spiżowych bramach. Przechodząc przez pierwszą z nich, trafiało się do hali, którą zdobiły posągi cesarzy, wodzów oraz najdoskonalsze rzeźby stworzone przez świat hellenistyczny. Ot, chociażby dwa konie z brązu, sprowadzone z Efezu jeszcze przez Justyniana, sześć wieków temu. Tu też stała statua mężów podających sobie dłonie – Aristogejtona i Harmodiosa, zabójców ateńskiego tyrana Hippiasza.

Z hali wejściowej zadziwieni tyloma wspaniałościami przybysze i nawykli do nich dworacy wchodzili do Sali Trybunału, rzęsiście oświetlonej wieloramiennymi kandelabrami. Tutaj miały swe miejsce posiedzenia sądu, jak również oficjalne ceremonie mniejszej rangi.

Dalej zaś była Sala Dziewiętnastu Łóż, gdzie organizowano cesarskie uczyty i bankiety; zgodnie z dawnym zwyczajem władca i jego goście biesiadowali tu, spoczywając na obszernych sofach.

Tu też *basileus* Diogenes miał teraz przyjąć fatymidzkiego posła Al-Idrisiego.

Marszałek dworu dał znak: trębacze, fantazyjnie odziani w niebiesko-złote stroje, unieśli swe instrumenty i zadęli w ustniki. Salę Dziewiętnastu Łóż wypełnił wibrujący dźwięk fanfar. Ucichły rozmowy, zduszone niczym wiotkie płomyki świec na wietrze. Roześmiane twarze, powtarzające wieści zasłyszane na mieście czy dworskie plotki, zastygły. Grzmienie fanfar – zdało się – nie miało końca, a gdy ucichło, długo jeszcze rozbrzmiewało echem odbijane od ścian z porfiru. Trębacze opuścili instrumenty.

W tej samej chwili w sali rozbrzmiał chóralny śpiew. Młodzi eunuchowie, ledwie trzynasto – czy czternastoletni, wystrojeni w białe tuniki o złożonych brzegach, z czuprynymi trefionymi w blond loki, słodkimi anielskimi głosami wznieśli swą pieśń:

*Pan zwycięski, pan pobożny,  
Cesarz wszystkich narodów.  
Pan łaskawy, pan miłościwy –  
Jego władza jest władza Boga...*

Gdy skończyli ostatnią, czternastą zwrotkę, trębacze po raz wtóry unieśli swe instrumenty. Tym razem fanfary były krótkie, a przy tym o całą oktawę wyższe. Gdy echo trąb ucichło, marszałek dworu, rumiany od nadmiaru wina i tłustego jadła, zakrzyknął:

– Wstańcie, poddani, i oddajcie hołd, bo oto nadchodzi nasz pan, miłosiernie nam panujący autokrator *basileus Rhomaiôn, hagios, nikes*, Roman IV Diogenes, *pistos en Christo*, wraz z *basilissą*, Eudoksją Macrembolitissą.

Dworzanie, najbardziej zasłużeni i najwyższej rangi *archontes*, wojskowi, cywilni i kościelni, powstali i posłusznie zgięli karki w *proskynesis*, hołdzie oddawanym cesarzowi, który w tych mniej oficjalnych okolicznościach ograniczył się tylko do głębokiego ukłonu. Chwilę tak stali bez ruchu i szeptu, wręcz wstrzymując oddechy, aż wreszcie na szczycie szerokich schodów ukazał się cesarz wraz z małżonką. *Basileus* odziany był w błękitną, przesywaną złotem dalmatykę z jedwabiu, zaś barki i szyję osłaniał mu kołnierz z litego złota, wysadzany perłami. Na to narzucone miał *paludamentum* – inkrustowany rzadkimi kruszcami, zdobiony orłami Jowisza płaszcz starorzymskich wodzów. Już sam strój robił wrażenie, a co dopiero marsowa mina władcy!

Roman IV Diogenes przystanął, obrzucając surowym wzrokiem zgromadzonych. Z tej perspektywy jego dwór przypominał wojsko równo ustawione w kolumny, gotowe do walki. Tyle że tutaj jego poddani nie mieli mieczy i kusz, lecz noże stołowe, kielichy i talerze. A wrogiem był nie Seldżuk, lecz pieczone mięsiwo, chleby i wino. Stali jednak gotowi, by ruszyć do boju, wypatrywali jeno znaku swego dowódcy.

*Basileus* nie zamierzał ich zmuszać do długiego czekania, choć tego wymagała dworska celebra. Sam też chętnie by umoczył usta w chłodnym winie z Rodos. Ruszył w dół, a wraz z nimi cesarzowa Eudoksja.

Cesarska para zeszła po szerokich stopniach z różowego marmuru i skierowała się w stronę stołu. Po schodach tych, nazywanych cesarskimi, mogły stąpać jedynie stopy *basileusa* i *basilissy*. Nikt inny nie miał prawa ich skalać, a jeżeli stan rzeczy wymagał, by wszedł na nie sługa polerujący kamień do blasku, wolno mu było to uczynić jedynie na kolanach.

U dołu schodów pełnili swą powinność dwaj *candidati*, strażnicy pałacowi odziani w białe galowe uniformy, złożone zbroje i hełmy, białe pasy, także płaszcze i trzymający w dłoniach paradne włócznie przystrojone proporczykami z wizerunkiem orła.

Gdy władca i jego małżonka zeszli z ostatniego stopnia, wokół cesarskiej pary natychmiast zakręcili się *silentiari*, szambelani. Doprowadzili *basileusa* oraz *basilissę* do półkolistego stołu pokrytego lśniącym złotem.

Roman Diogenes zdjął płaszcz i zasiadł przy stole. Marszałek dworu klasnął dwa razy. Na ten znak w sali zaroilo się od sług wnoszących misy z jadłem.

Obok cesarza, po lewej jego stronie, zajął miejsce fatymidzki poseł, Ahmed Al-Idrisi, herold egipskiego kalifa Al-Mustansira. Towarzysząca mu osobista obstawa, trzech Saracenów z diablami błyskami w oczach, nie uczestniczyła w uczcie – Fatymidzi stali z boku, pod balkonem wiszącym nad główną salą. Z rękami splecionymi na piersiach czekali rozkazów swojego pana. Reszta egipskiej świty siedziała przy bocznych stołach razem z poddanymi cesarza.

Władca skinął na Dozyteusza, zaufanego eunucha o farbowanych na czerwono lokach. Ten, rozumiejąc bez słowa pragnienie swego pana, sięgnął po kryształową karafkę z winem. Nalał sobie znaczną porcję do pucharka i starannie rozcierając napój po podniebieniu, opróżnił naczynie. Skłonił się i napełnił kielich cesarza.

On zwilżył usta, pociągnął tęgi łyk i ocierając usta jedwabną chusteczką, rzekł do Al-Idrisiego:

– Rozważamy propozycję, jaką złożył nam szacowny Al-Mustansir. Wciąż jednak nie zapadła decyzja, a wszystko pozostaje jeszcze do przemyślenia.

Fatymidzki poseł skłonił się. Gestem odmówił wina, którego chciał mu nalać eunuch, po czym przemówił czystą greką:

– Zechciej, panie, wyrazić swe wątpliwości. Co sprawia, że ta propozycja, korzystna tak dla cesarstwa, jak i kalifatu, budzi twe obiekcje? Kalif dał mi pełnomocnictwa, możemy więc pertraktować...

*Basileus* pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Seldzuckie zagrożenie poznałem na własnej skórze. Zaiste niewiele brakowało, a turecki sułtan siedziałby dziś przy tym stole, chwając sobie rozkosze podniebienia, jakie są naszym udziałem. Jednak Bóg zlitował się nad swym wiernym sługą i nie pozwolił, by cesarstwo upadło. Jestem świadom, że prędzej czy później przyjdzie mi stanąć przeciw następcy Alp Arslana, a najeźdźca ze stepu nie przestanie myśleć o złocie i skarbach Konstantynopola.

Roman Diogenes skinął na sługę, wskazując misę z mięsiwem. Ten odkroił niewielki kawałek udka i nadziawszy go na długi szpikulec, skierował do ust. Chwilę rozcierał mięso między zębami, gdy zaś uznał, że nie jest zatrute i odpowiada wymogom cesarskiego podniebienia, odkroił większy kawał i nałożył go na szczerozłoty talerz władcy. Al-Idrisi wykorzystał tę chwilę, by wtrącić dwa zdania.

– Zechciej zauważyć, panie, że oto najwyraźniej nadszedł czas, by się z tym zmierzyć. Seldzucy od lat kilku łupią Syrię, są tuż za granicami cesarstwa, a teraz biją się z nami w Palestynie.

Cesarz pokiwał ze zrozumieniem głową. Gestem zachęcił gościa, by nie przerywał swojej mowy.



– Zważ panie na dwie rzeczy. Najeźdźca ze stepów nie ma szacunku dla innych niż on sam. Kalif Al-Mustansir pozwala żyć w pokoju zarówno błądzącym sunnitom, jak i chrześcijanom. Jedni i drudzy mogą w spokoju wieść swój żywot: odbywać pielgrzymki, prowadzić własne interesy i korzystać z pełni danych im praw, o ile wnoszą podatek *dżizzija*. Chrześcijanie pod panowaniem kalifa mogą bez obaw pielgrzymować do Jerozolimy i tam oddawać się swoim świętym rytuałom. Jednak Seldżuk nie ma w sobie tyle miłosierdzia...

– Tak jak nie miał Al-Hakim? – w pół zdania przerwał mu *basileus*. – Kalif bądź co bądź z fatymidzkiej dynastii. Zniszczył Grób Boży. I okrutnie mordował chrześcijan.

– Panie! To było osiem dziesiątek lat temu! Al-Hakim był szaleńcem, niezdrowym na umyśle uzurpatorem, który siebie samego obwołał bogiem, zaś religię pchnął na manowce herezji druzów. Teraz nadeszły inne czasy. Druzowie są źle widziani przez kalifa, zaś zniszczona świątynia chrześcijan została – jak powszechnie wiadomo – odbudowana dzięki wsparciu następnych kalifów. Chrześcijanie nie mają się co obawiać Fatymidów. Seldżucy. To Seldżucy są złem wcielonym.

Ahmed Al-Idrisi sięgnął po pieczoną jagnięcinę otoczoną wiankiem papryki i pomidorów. Odciął nożem kawał mięsa i wsadził go do ust.

– Jest też druga rzecz – powiedział, gdy przełknął kęs. – Seldżucy w Syrii to niebezpieczeństwo dla cesarstwa. Sultán umacnia się tam, tworzy własne państwo rosnące w dostatek. Syria do reszty zduszona przez Seldżuków oznaczać będzie, że u bram imperium staną hordy nieokrzesanych, nieznających litości barbarzyńców ze stepów. Ile trzeba będzie czekać, by ten żywioł przelał się przez granice cesarstwa?

Diogenes pokręcił głową.

– Odkąd cesarstwo wyparło z Armenii, z Bożą pomocą, wojska sultana, umacniamy na granicy ciąg twierdz i fortyfikacji. Umocnione są nawet najmniejsze wioski, tak więc w razie ataku powstrzymają oblężenie, nim nadejdzie pomoc. Pomiędzy wioskami góry i puste tereny, gdzie nie uświadczysz ani żywej duszy. Nie nakarmisz też jadącej na koniach armii. Przez granicę się nie przedrą.

Tej wymiany zdań bacznie słuchali dwaj inni uczestnicy uczty. Po lewej stronie, zajmując miejsce tuż za Al-Idrisim, siedział Jan Italos, filozof, uczeń Michała Psellosa. O Italosie, który przybył do Konstantynopola z Kalabrii blisko trzy dekady wcześniej, krążyły najróżniejsze wieści. Mimo lat spędzonych na dworze kolejnych cesarzy pozostawał postacią tajemniczą, o sposobie bycia nie dla wszystkich zrozumiałym. Italos nigdy nie opanował wytwornej greki, był też nieco chropawy, ba, niekiedy gburowaty w obejściu, zaś przedmiot jego zainteresowań stał w jaskrawej sprzeczności z oficjalnie przyjętymi interpretacjami nauk Ojców Kościoła. Jako spadkobierca tytułu *Konsula Filozofów* cieszył się względami cesarza, poważaniem wielu uczonych i dużą popularnością wśród studentów. Jednak ten syn normańskiego najemnika był solą w oku dostojników kościelnych. Powiadano, że wzorem Psellosa Italos nie tylko zgłębiał filozofię i nauki przyrodnicze, lecz także doktryny

chaldejskie, astrologię i demonologię. Rok temu dygnitarze kościelni doprowadzili do oskarżenia Italosa o bezbożność. Według nich miał on kultywować w cichości herezje, a ich jad sączyć powoli w serca i umysły oddanych mu bezgranicznie uczniów. Zarzuty były poważne: stosowanie dialektyki wobec tajemnicy wcielenia Chrystusa, dopuszczenie idei wędrówki dusz, wyznawanie poglądu głoszącego wieczność świata. To już zakrawało na jawne pogaństwo. Szeptano też, że Italos powątpiewał w cuda Chrystusa, jak również w cuda czynione przez świętych. Ile było w tym prawdy, wiedział chyba tylko sam oskarżony, jednak do procesu nie doszło. Cesarz Roman IV Diogenes zbyt cenił filozofa, by oddać go na pożarcie dworskim intrygantom. Wiedział, że zarzuty były w dużej mierze spreparowane. Zresztą nawet jeżeli oskarżyciele mieli rację, to nie chodziło im przecież o religię czy filozofię, lecz o politykę. Dwór w Konstantynopolu był polem nieustannych potyczek i walk o wpływy. Ścierały się tutaj najróżniejsze frakcje, dążąc do siebie tylko wiadomych celów. *Basileus* świadom był tego, że pałacowe intrygi w jakimś tam stopniu wymierzone są także w niego osobiście. Rodzina Dukasów nigdy nie zaprzestała marzeń o powrocie na tron. Ucieczka Andronika Dukasa i skazanie na śmierć jego stryja Jana nie powstrzymało ich krewnych i stronników przed dalszymi knowaniami.

Inny interes w ataku na *Konsula Filozofów* miał Kościół. Duchowni nie mogli dłużej tolerować sytuacji, w której kontrola nad nauczaniem pozostawała poza ich wpływem, będąc w gestii człowieka, którego przynależność duchowa, intencje i cele nigdy nie były przez nich do końca zrozumiałe. Italos stanowił ostatnią przeszkodę w scaleniu nauczania świeckiego i religijnego w jeden nierozzerwalny monolit. Cesarz wiedział jednak, że w Janie może znaleźć sprzymierzeńca, toteż zatuszował sprawę. Nie dopuścił do procesu i oddalił zarzuty.

Co sądził Italos o prośbie fatymidzkiego kalifa wyrażonej ustami Ahmeda Al-Idrisiego? Jako człek uczony i myśliciel nie zwykł wyciągać zbyt śpiesznych wniosków. Widział tu pewne za i przeciw, tezę i antytezę, wszelako nie zamierzał teraz roztrząsać problemu. Pragnął spojrzeć na mapy, w gwiazdy i w ogień. Wiedział, że argumenty filozofa muszą rozmijać się z oczekiwaniami i dążeniami żołnierza, toteż istotną kwestią było nie tyle, co on sam, Jan, uczeń Michała Psellosa, czyniłby na miejscu Romana IV, lecz co powinien doradzić mu jako cesarzowi, generałowi, wodzowi. Nadrzędną sprawą było jednak to, co może wydarzyć się w przyszłości, jaką wybierze władca. Italos wiedział, że musi wskazać cesarzowi wszystkie możliwe drogi rozwoju sytuacji. To wymagało jednak czasu spędzonego w pracowni.

Po prawicy cesarza, tuż obok Eudoksji, zasiadał największy antagonistą Jana, patriarcha Kosma. Nie, osobiście nie uczestniczył w oskarżeniach przeciwko *Konsulowi Filozofów*, jednak nie było tajemnicą, że wszelkie zarzuty powstawały z jego inspiracji. Kosma pryncypialnie strzegł czystości wiary, w herezjach i nieprawomyślnych filozofiach postrzegając większą szkodliwość dla wiary Chrystusowej niż w religii niesionej na tureckich szablach. Roman Diogenes – w ocenie patriarchy – wykazywał znaczną *eusebeia*, pobożność,

która objawiała się szacunkiem i hojnością dla Kościoła. W głębi duszy Kosma żywił jednak niechęć do cesarza: owszem, *basileus* strzegł imperium przed zagrożeniami czyhającymi z zewnątrz. Rozgromił Seldżuków, spychając ich w głąb Azji, a także – co bardziej cieszyło patriarchę – pobił normańskich panów na Sycylii. Tym samym umacniał potęgę Kościoła, prawdziwego Kościoła, jednak z drugiej strony Roman – i o to Kosma miał żal – zaniedbywał sprawy wewnętrzne. Z Bułgarii, Frygii i Pizydii ściekały do Konstantynopola najbardziej jadowite herezje. Bogomili byli tak bezkarni, że głosili swe plugawe słowa już nie tylko w zaciszach swoich monasterów, lecz także w samej stolicy. Paulicjanie, messalianie – gnostycko-manichejski jad sączył się powoli do dusz wiernych chrześcijan, zatruwając ich myśli, słowa i czyny. No i ten Italos! Wyniosły i kłótlivy barbarzyńca, który nie wiezieć jakim sposobem zdobył tak duże zaufanie cesarza. Patriarcha zdawał sobie sprawę, że niektóre z zarzutów kierowanych wobec filozofa to nadinterpretacja, jednak zważywszy na wyższy cel, nie widział w tym nic niestosownego. Nie miał jednak wątpliwości, że w oskarżeniach o magię i kontakty z demonami nie było ani krzty przesady. Bo jak inaczej uczeń Psellosa zdobyłby tak duże uznanie u Romana Diogenesa, bądź co bądź wojskowego i stratega, a nie miłośnika dysput o naturze bytu?

Jak zatem odnieść się do słów saraceńskiego posła? Najeźdźcy ze stepów niewątpliwie stanowili powód do niepokoju, zwłaszcza jeżeli mieli wtargnąć do miasta, w którym stał Święty Grób. Do Jerozolimy. Obca religia, która za swego proroka uznała pastucha z plemienia arabskich nomadów, była jawną obelgą wobec Chrystusa. Pan zapowiedział przecież, że przyjdą fałszywi prorocy. *Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i czynić będą wielkie znaki i cuda, aby, o ile można, zwieść i wybranych. Oto przepowiedziałem wam. Gdyby więc wam powiedzieli: Oto jest na pustyni – nie wychodźcie; oto jest w kryjówce – nie wierzcie.* Tak powiedział Pan.

Ale, po prawdzie, ten dziki lud żył w grzechu wynikającym z niewiedzy. Toteż słowo Chrystusowe, a nie miecz, należało nieść na stopy, Ewangelię głosić, a nie chwałę cesarstwa. Jeden władca, jedna religia, jedno państwo – tak, te słowa miałyby rację bytu, a więc wyprawa wojenna *basileusa* przeciwko wyznawcom Allaha z samej definicji byłaby krzewieniem słowa Chrystusowego. Byłaby, gdyby w istocie *jedno państwo* znaczyło *jedna religia*. Ale czy można zrównać tę wielogłową hydrę z Bożym państwem? Hydrę, w której głodne łby herezji zjadają coraz większe obszary imperium, wydzierają dusze, ciągnąc je w swoją stronę? Nie, tolerancja czy też może zaniedbanie – Diogenesa wobec nieprawomyślnych doktryn pseudochrześcijańskich nie pozwalała w spokoju ducha kierować myśli ku ewangelizacji stepów. Bo jak można głosić chwałę Chrystusa, gdy tuż pod bokiem kwitnie bluźnierstwo, które głosi, że Nasz Pan, Zbawiciel, to Logos, brat Satanaela, który udawał Boga ze Starego Testamentu i przekazał prawo Mojżeszowi? Nie! Kosma nie miał już wątpliwości. Wysiłek należy kierować ku samooczyszczeniu, dopiero wówczas cesarstwo zyska moralne prawo, by palić żywym ogniem innowierców od Mahometa.

*Nie – myślał dalej patriarcha. – Seldzucki poseł nie przynosi nic, co dałoby korzyść wierze chrześcijańskiej. Korzyść będzie miał jeno kalif Al-Mustansir, który chce rękami chrześcijan załatwić odwieczne spory ze swoimi braćmi w wierze, choć niezgodnymi politycznie. Seldżuk gorszy od Fatymida? Jeden i drugi trwa w pogaństwie, a kto wie czy za czas jakiś nie pojawi się nowy Al-Hakim, gotów zrównać Grób Pański z ziemią. W takiej sytuacji prawy philochristos winien skierować swe ostrze ku innym zagrożeniom. A nie ku utłudzie rozta czaranej przez Saracena.*

Tak rozmyślał patriarcha Kosma, coraz bardziej przychyłając się do zdania, że cesarz powinien odprawić gościa z Egiptu z niczym.

Ten zaś po chwili milczenia tak odparł na ostatnie słowa *basileusa*:

– Zechciej, panie, zważyć na jedno. Gdy nie przystąpisz do wojny... Gdy nie przystąpisz do wojny, wojska z Bożej łaski kalifa Al-Mustansira zmobilizują się i wyprą najeźdźców w głąb kontynentu. Ale na jak długo? Seldżycy to naród, który nie orze i nie sieje, nie zbiera plonów, nie wytwarza rzemiosła, nie uprawia handlu, sztuki, nie prowadzi racjonalnej polityki. Ich jedynym talentem jest wojna, ich jedynym powołaniem jest sianie śmierci i łez. Racz wziąć pod rozwagę, panie, ile lat minie, nim Turcy znów staną u granic twych ziem. Jeżeli teraz nie zdołają, przyjdą za dwa lata, mocniejsi w dwójnasób, w trójnasób. Jeszcze bardziej zdesperowani. Puszczą z ogniem ziemię, na których żyje lud miłujący pokój, zabarwią rzeki czerwienią, a my wtedy zapytamy: *Dlaczegoż nie podnieśliśmy miecza, gdy była ku temu okazja? Teraz już za późno, przyjdzie się oddać w niewolę i hańbę.* Panie! Oto nadeszła ta chwila, gdy dwa wielkie mocarstwa mogą na wieki ustanowić pokój na świecie. Zgnieceni teraz Seldżycy nie wstaną przez dekady, może stulecia, historia o nich zapomni, a kronikarze będą mogli pisać w annałach: *Nastąpiła epoka szczęścia i spokoju.*

Roman IV pokiwał z uznaniem głową. Gdy eunuch napełnił mu puchar winem, jął powoli sączyć trunek, bijąc się z myślami. Sytuacja była bardziej napięta, niż wcześniej sądził. Fatymidzi wysłali do niego posła z rodu kalifów, co nie jest tylko oznaką kurtuazji i szacunku należnego cesarzowi. Gra idzie o większą stawkę. Kalif mógłby równie dobrze kierować przemawiających tak gorącymi słowami posłów do Seldżuków, by zmówić się przeciwko imperium. Przecież łączyła ich religia, przynajmniej w podstawach, łączyły ich mimo wszystko bliższe kręgi duchowej kultury i zapewne jeszcze wiele innych rzeczy. A jednak Ahmed Al-Idrisi gorliwie zachęcał do sojuszu cesarza, a nie Wielkiego Seldżuka. Znaczy, że nie wszystkie słowa zostały jeszcze wypowiedziane, że nie padły jeszcze wszystkie argumenty, że nie wiadomo jeszcze wszystkiego.

– Zaiste – odparł władca – widzę, że sułtan przysłał na mój dwór zręcznego mówcę, który potrafi zgrabnymi słowami odmalować ogrom knowań, jakie grożą pokojowi mego państwa i ludów przynależnych do cesarstwa.

Ahmed Al-Idrisi zgiął kark w milczącym podziękowaniu.

– Wiedz – ciągnął *basileus* – że twe słowa zostaną przez nas z wnikliwością rozpatrzone,

a nasi *strategosi* rozważają je w swoich kalkulacjach. Jaka będzie moja decyzja w tej materii, ujawnię już wkrótce. Na razie jednak cieszymy się wyborym trunkiem i jadłem, melodiami granymi przez muzykantów i wzajemnym towarzystwem. Co zostanie postanowione, oświadczę jutrzejszego wieczoru. Może później.

Potem Diogenes oszczędnym gestem potwierdził milczące pytanie sług: *Tak, podajcie następne dania.*

– Jak każesz, panie – zgodził się cicho poseł i wbił zęby w następną porcję mięsa.

\* \* \*

Ruszył w mrok. Ostatnie promienie słońca przeświecały zza linii Muru Konstantyna, zza wież kościołów; ich długie cienie rozmyły się i wessała je szarość nadchodzącej nocy. Księżyc spoglądał na miasto z wąskim, szyderczym uśmiechem, w niemej wróżbie: *Nie dasz rady.* W oddali ujadły beznamiętne psy, słychać było muzykę dochodzącą z którejś tawerny, stłumione głosy biesiadników i odległy szum morza.

Był odziany jak na każdą złodziejską robotę, w czarny ubiór wzorowany na stroju noszonym przez saraceńskich rozbójników. Luźne, ale nie nazbyt szerokie spodnie, krótka tunika, pas z narzędziami. Na głowie długi zawój szczelnie okrywający twarz. Tylko oczy błyszczały w mroku.

Biegł cicho wąskimi uliczkami dzielnicy portowej. Tutaj życie tętniło niemal do rana, a tawerny stały otworem dla każdego spragnionego, głodnego; dla każdego podróżnego. Ale jakież podróżny mógłby się tu zabłąkać o tej porze? Tylko pijani marynarze, czyhające na ich miedziaki drobne opryski, wszelacy awanturnicy, żebracy, prostytutki i wszystkie te inne ludzkie męty, które wypełniają zaułki jak brudny ściek zalewający rynsztok.

Nie chciał być widziany przez nikogo z tych ludzi ani tym bardziej przez nielicznych strażników patrolujących te rejony. Przemykał od muru do muru, od bramy do bramy, mijając w cieniu nieświadomych tego nocnych przechodniów.

Szyderca na niebie zniknął za chmurami i na miasto spadła ciemność, niczym czarny płaszcz otulając domy i ulice.

Kalikst biegł dalej. Wkrótce duszne powietrze nocy wypełnił ostry zapach gnijących ryb. Zbliżał się do placu, na którym za dnia stał targ z płodami morza; miejsce to nazywano po prostu Rybim Targiem. Minął jeszcze dwa zaułki i ostrożnie wyjrzał na odkryty teren.

W oddali zobaczył sylwetki żebraków walczących ze zdziczałymi kundlami o resztki towarów porzucone przez handlarzy. Pośrodku targu wałały się szczątki drewnianych skrzynek. Połamane deszczułki, rybie łby i ogony – wszystko to zalane było słoną wodą z beczek, w której morskie towary moczyły się cały dzień, aby nie zepsuć się zbyt szybko. Ciecz nie zdążyła jeszcze ściec do kanałów, rozmywając resztki po bruku. Wokół placu wił się obezwładniający smród: sprzątacze przychodzili tu dopiero przed świtem, gdy większość resztek wybrali już nędzarze.

Przemknął wschodnią stroną placu. Biegł wzdłuż ściany domów. Nagle przystanął.

W wąskiej uliczce, która odchodziła w bok od targu, dostrzegł ciemne postaci. Doszły go odgłosy szamotaniny i czyjś zduszony jęk.

– O Boże! Bracia, za co? – posłyszał.

– Morda! Anim ci ja bratem, ani kamratem – odpowiedział na to chropawy głos w głębi. Kalikst znał go, przynajmniej tak mniemał. Choć to nie był jego interes, zakradł się ostrożnie. Nic nie widział, tylko majaczące w mroku sylwetki.

Spojrzał po dachach domów. Były zbyt odległe od ziemi, jednak z drugiej strony dostrzegł nieco niższą przybudówkę, wysoką na dwu chłopa. Zatoczył szeroki łuk i dopadł do ściany. Wspierając nogi na stercie pustych skrzynek, wdrapał się kilka stóp do góry. Wystarczyło, by chwycić szeroki daszek. Wisiał na nim chwilę, równając oddech.

Jedna ze skrzynek, poruszona wcześniej, runęła z głośnym plaśnięciem.

– Kto tam? Ej, Heretyk, idź no, lipaj, co tam, a jak trza, to przyżeń kosałkę!

– Pewno jakiś łach w syfie grzebie – odpowiedział Heretyk lekceważąco, jednak ruszył sprawdzić.

Belzebub wślizgnął się na dach. Jego nozdrza drażnił zapach smoły, którą pokryto deski przybudówki. Posłyszał łomot rozbijanych skrzynek i przyspieszone dyszenie rzezimieszka.

– Kundel jaki szukał szamy albo co...

Kalikst wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Gdy opryszek wrócił do kamratów, ostrożnie wychylił głowę znad daszka. W ciemnościach zaułka dojrzał cztery postaci.

Mimo mroku poznał tych ludzi. Wszyscy należeli do gildii. Złodzieje. Jednak nie wyglądało to na przyjacielską pogawędkę.

– No, nawijaj, eunuchu! Albo ci koskę w grdykę zapodam jak twemu kompanowi. Nawijaj albo ci fafle pourydam kozikiem!

Ten głos, chrapliwy bas, należał do wysokiego, wygolonego na łyso typu z wygiętym, podrdzewiałym kawałem żelastwa zamiast lewej dłoni. W prawej, która mu się jeszcze ostała, tkwił mocno wygięty kindżał zbroczony krwią. Tak, Belzebub nie miał wątpliwości. To był Leon Hakoręki, który wysoką pozycję w gildii zawdzięczał swojemu bezmyślnemu okrucieństwu.

Obok niego stali – jak się wkrótce zorientował Kalikst – jego wierni kompani: Filip Heretyk, chudy i wysuszony milczek, który jako jedyny uszedł z rzezi mnichów z monasteru Satanaela w Pizydii, a teraz odnalazł swe powołanie jako konstantynopoliński złodziej, i Paisjusz Cesarczyk, który uparcie twierdził, że wywodzi się z macedońskiej dynastii władców.

Wszyscy trzej byli zaufanymi ludźmi mistrza Eutymiusza. Czy raczej – należeli do popierającej go frakcji w wyniszczającej, choć dotąd raczej bezkrwawej wojnie wewnątrz gildii. Pełnili raczej rolę ostrzy do czarnej roboty, których zadaniem było krzyżowanie posunięć partii Atanazego.

Najwyraźniej teraz właśnie Belzebub stał się świadkiem takiego zajścia. Mocno obitym człowiekiem zalany krwią z rozciętego łuku brwiowego był ponad wszelką wątpliwość Tryfon Szachista – nieco pierdołowaty sekretarz Atanazego, pomagier raczej od główkowania niż wywijania majchrem czy kręcenia wytrychem. Bóg raczy wiedzieć co robił o tej porze w okolicach Targu Rybnego.

Wtedy niemrawy powiew wiatru przegonił chmury i na środek nieba znów wychynął szyderyczy uśmiech księżyca. Zrobiło się o ćwierć tonu jaśniej i Kalikst dojrzał na bruku skuloną postać w kałuży krwi. Nie wiedział, kto zacz, ale leżący zdecydowanie wyglądał na nieboszczyka.

– Masz na talerzu – perorował Łysol – gadkie z moim hakiem albo nożyk w dupie. Hak, jak widzisz, jest zardzewiały i odziubinkę tępy. A juźci, zaniedbałem go co nieco! – Leon sieknął powietrze. Tryfon Szachista aż się skulił ze strachu. – Ale myślę se... Taki tępy rdzewiuch, jak go wbiję komuś we flaki albo w dupsko wrażę, czyni ból taki, że nie ma dziarmagi, co by nie wyśpiewał wszystkiego jak na spowiedzi. Zatem nawijaj, *koproskilo!*

– Nie zabijaj, bracie, przecież my jedno...

– Jakie jedno, jakie jedno, jak ta wesz Atanazy swoje kręci na boku i mistrza Eutymiusza nie szanuje?! A nam z takim gnidą nie po drodze! – Leon wbił koniec kindżału w podbródek Tryfona. Krew pociekła cienką strużką, chlapiąc tunikę nieboraka.

Przekonany tym argumentem Szachista zaczął śpiewać:

– O północy, za kościołem Pantokratora. Miałem być ja, no i... – Tryfon spojrzał znacząco na zwłoki u swoich stóp. – No i on. Hasło jest *Efez*, odzew *Antiochia*. Mieliśmy dostać te dokumenta, wtedy Ośle Ucho mógłby przekonać innych na radzie, że tamta wpadka to była zdrada Turka, a nie nasze zaniedbanie. Gdyby były jeszcze jakieś problemy, mieliśmy odszukać tę dziwkę z portu, taką rudą, z wielkimi cyckami. Ona robi wśród kupców, nie szlaja się po szynkach, ale jest do kupienia. No więc mieliśmy ją odnaleźć i podsypać tyle *nummi*, ile zawoła, żeby tylko gadała po naszymu. Ośle Ucho powiedział, że wtedy tamci już się przymkną, ale zostanie smród, więc dla pewności chcieliśmy jeszcze uciszyć tamtego kurwiego syna...

Hakoręki burknął coś niezrozumiale i dołożył Szachiście pięścią między oczy. Ten z cichym jękiem osunął się na bruk. Łysol dał znak Cesarczykowi.

– Dziargaj go i noga.

*Wojna wewnątrz gildii rozgorzała na dobre* – pomyślał Belzebub i sięgnął po strzałki nasączone mlekiem czarownic. Wyciągnął cztery i nim Paisjusz zdążył wydobyć z pasa nóż, by poderznąć gardło Tryfona, wyrzucił je jedna po drugiej w stronę zbirów na dole.

Pierwsze dwie strzałki uderzyły prosto w lśniącą w słabym blasku księżyca łysinę Leona. Obydwie weszły w kość, ale nie przebiły jej, tylko tkwiły na podobieństwo diabelskich rogów. Zaskoczony Hakoręki ryknął z bólu i wypuściwszy z dłoni kindżał, zatoczył się w tył. Uniósł zdrową rękę, znaczył ją bez haka, by strząsnąć tkwiące w czaszce ostrza, jednak mleko

czarownic zdążyło zatruć krew. Ramię dosięgło ucha, jednak wyżej już nie poszło. Zabrakło sił, a mięśnie stężały. Próbował jeszcze dostać sztywniejącą dłońią do głowy, ale nawet słabnący ryk wściekłości i bólu, który teraz przeszedł w dychawiczne rżenie, zwiastował to, co nieuchronne. I stało się: Leon Hakoręki runął z łoskotem na ziemię tuż obok swojego kindżału.

Z resztą nie poszło tak prosto. Strzałka wyrzucona w stronę Cesarczyka doszła celu, ale nie dość dokładnie. Utonęła w fałdach jego tuniki i najwyraźniej nie weszła w ciało. Musiała jednak lekko drasnąć skórę, bo ramię, które już zacisnęło się na rękojeści noża za pasem, zwiotczało i opadło bezwładne. Paisjusz jednak nie stracił przytomności, wciąż stał na nogach.

Ostatnia, czwarta strzałka minimalnie chybiła celu, którym były plecy Filipa Heretyka. Zbir w ostatniej chwili, wiedziony instynktem, a może przez przypadek, obrócił się w bok, tak że szpikulec tylko musnął jego okrycie.

Kalikst skoczył mu na plecy. Heretyk sapnął: siła uderzenia wybiła zbirowi powietrze z płuc. Zatoczył się w przód, padając prosto na wciąż skulonego na bruku półprzytomnego Szachistę. To zamortyzowało upadek i pozwoliło Filipowi odzyskać równowagę. Wierzgnął, próbując strącić Belzebuba.

Przez ten czas doszedł do siebie Cesarczyk. Prawa dłoń zdrętwiała mu na amen, zwisając niczym niezgrabnie ostrugany klocek drewna. Druga jednak pozostała sprawna i to w niej znalazł się nóż, który wcześniej miał rozciąć gardło Tryfona.

Paisjusz ryknął z wściekłością i niezgrabnie młócił powietrze nad głową Kaliksta. Widać było, że do walki lewą nienawykły. Jeden z ciosów chybił o włos, ledwie tnąc zawój osłaniający twarz Belzebuba.

Ten wyszarpnął zza pazuchy swoje ostrze – długi puginał skrytobójcy. Dźgnął nim w plecy szamoczącego się pod nim Heretyka, niezbyt głęboko, omijając serce. Nie chciał zabijać, choć powinien, dziabnął więc wysoko, pod łopatkę. Filip oklapł nagle, a z rany trysnęła ciepła krew.

Kalikst zeskoczył z niego i ruszył na Cesarczyka. Ten, jak się okazało, nie był tak słabym przeciwnikiem, jak by sugerowało bezwładne ramię. Wywijał ostrzem przed nosem Belzebuba, w końcu jednak jeden dobrze wymierzony kopniak posłał go na bruk. Kolejny wytrącił z dłoni nóż.

Nie było już czasu na dalszą bijatykę. Kalikst złapał za ramię zdrętwiałego ze strachu Tryfona, zalanego krwią, umazanego błotem, zaślinionego, i pociągnął go w stronę wyjścia z zaułka. Początkowo Szachista stawiał opór, odruchowo, w końcu nie wiedział, z kim ma do czynienia, jednak zdecydowane szarpnięcie poparte cichym, acz stanowczym: *Chodu!* przekonało go, że nie ma co zwlekać. Ruszył przez Targ Rybny zgięty wpół jak szmaciana lalka.

Trzy ulice dalej Belzebub przystanął i puścił rękaw Tryfona.



– Stąd masz już prosto do Pantokratora – rzekł mu. – Ale może zapomnij już o tej sprawie i ratuj skórę. Tamci trochę dostali, ale zaraz się podniosą. Będą cię szukać.

– Kim jesteś? – wystękał Szachista.

– Nieważne. Nikim.

– Jesteś z gildii – zauważył Tryfon, zaskakująco trzeźwo jak na swój obecny stan. – Twój nocny strój... Ja chyba cię znam. Jesteś z frakcji Atanazego?

– Nie interesuj się tym aż tak bardzo. Zabieraj stąd swoją dupę i wiew. Drugi raz ci nie pomogę, niech cię szlachtują jak barana. Bywaj!

Nie czekając na odpowiedź, Kalikst zniknął w cieniu najbliższych zabudowań. Niespodziewana awantura tylko zabrała mu cenny czas – czuł, że już może być za późno.

– Eee, dzięki! – posłyszał za sobą słaby głos Szachisty. Spojrzał nań kątem oka: Tryfon stał niezdecydowany pośrodku ulicy, zastanawiając się, gdzie iść.

*On nie przeżyje dzisiejszej nocy* – pomyślał z rezygnacją Belzebub i przyspieszywszy kroku, zniknął w cieniu muru mijanego kościoła.

## ROZDZIAŁ 4

Dobra gildii złodziei w Konstantynopolu można było znaleźć we wszystkich częściach stolicy, począwszy od dzielnic portowych, na Blachernie i Galacie skończywszy. Były to zazwyczaj nierzucające się w oczy domostwa, sklepy, magazyny i spichlerze. Część z nich pełniła swą rzeczywistą rolę, jednak w większości w budynkach tych składowano łupy pozyskane podczas wypraw. Znajdowali tam również schronienie członkowie organizacji, ich goście; tam też złodzieje doskonalili swe umiejętności w fechtunku, strzelaniu z łuków i kusz, otwieraniu zamków czy patroszeniu sakiewek.

Głównym punktem kontaktowym gildii, który stanowił też nieoficjalne biuro, gdzie przyjmowano zaufanych interesantów, był skład o pospolitej nazwie MIECZE I INNA BRON, ulokowany w V dzielnicy. W obszernym magazynie zebrane zostały niemal wszystkie znane rodzaje uzbrojenia. Włócznie jazdy *klibanophoroi*, dziryty, kontariony, spathiony, machairy, toporki, maczugi, proste miecze piechoty, tureckie i greckie łuki, kusze, dębowe tarcze piechoty temowej, metalowe puklerze, armeńskie zbroje łuskowe, spigelhelmy Waregów, kapaliny, hełmy żebrowe, segmentowe... Nieprzebrane dobra o nieustalonym pochodzeniu, większość jednak, wbrew mniemaniom, pochodziła z uczciwej działalności handlowej. Została nabyta od kupców, jako że legalność legitymizowała dalsze istnienie tego miejsca.

Między stołami i stojakami z uzbrojeniem chodziły w milczeniu dwa ponure oprychy, Ignacy Połamkość i Gabriel Okrutnik. Już ich przydomki wystarczały, by utrzymać porządek w składzie, chroniąc go przed potencjalnymi awanturnikami, którym – dajmy na to – przysłoby do głowy wyklócać się o niższą cenę za turecki kiścień albo perski czekan. Wystarczyło wówczas jedno warknięcie wyplute spod kulfoniastego, bezkształtnego nosa Gabriela, by zapał delikwenta do targów szybko minął. Naznaczona bliznami, pocięta w licznych mordobiciach gęba Okrutnika starczyła za resztę: zaraz z sakiewki wyskakiwał żądany stosik solidów, po czym awanturnik dawał nogę, jakby go gonili.

Rzecz jasna, nie Połamkościem i Okrutnikiem stał ten interes. Nawet jeżeli fasadowy, to musiał na siebie zarabiać. Ponure draby były przydatne, gdy zaistniała potrzeba zdyscyplinowania miejskich obwiesiów, jednak nad całością czuwał rosty Bułgar – Nicefor Góra. Nie pierwszej młodości, ale wciąż sprawny i dobrze umięśniony. Wyróżniał się łagodniejszym obliczem – choć twarz naznaczyły mu już pierwsze zmarszczki, to

przynajmniej nie szpeciły jej blizny jak u tamtych. Góra ujmował gości spokojem i to on robił interesy ze znaczniejszymi klientami. Załatwiał też bieżące sprawy gildii: wydawał broń i wyposażenie złodziejom podążającym na akcje, wypłacał należności za fanty lub wykonaną robotę. Przyjmował też zlecenia od zaufanych lub poleconych ludzi, umawiał ich na spotkania z Atanazym lub Eutymiuszem.

Dwaj mistrzowie gildii złodziei w Konstantynopolu nigdy jednak tu nie bywali. Główna siedziba organizacji, w której załatwiano najpoważniejsze sprawy i gdzie odbywały się narady, ulokowana była zupełnie gdzie indziej.

\* \* \*

Belzebub przeciął Mese i ruszył do zachodniej części miasta. Niczym nocny łowca przemykał niezauważony między patrolami straży, wrzeszczącymi pijakami, dziwkami oraz grasującymi w ciemnościach łotrzykami – zbirami najgorszego autoramentu, którzy kradli bez żadnych zasad i talentu. Te szumowiny nie miały skrupułów, by ograbić z paru miedziaków bezdomnego ślepcę czy zebrzącą matkę z dzieckiem. Szanujący się złodzieje z gildii plwali na nich z pogardą. Szczury buszujące w kanałach! Kalikst szczególnie nie chciał mieć tej nocy z takimi do czynienia.

Biegł do zachodniej części miasta. Minął Mur Konstantyna – dawną linię obronną miasta, która już wieki temu straciła na znaczeniu po wzniesieniu zewnętrznych umocnień Teodozjusza. Dawne fortyfikacje stanowiły linię oddzielającą ściśle miejską, zwartą część Konstantynopola od tego, co poza nią.

Spalone mury klasztoru w woskowym świetle księżycy wyglądały jak brama do piekieł. Okoliczni mieszkańcy opowiadali, że coraz to wiatr niesie stamtąd zawrodozenie i piekielny śmiech przyprawiający o ciarki na plecach. Bardziej dociekliwi, zaglądając przez szczeliny w skruszałych kamieniach muru, widzieli tam też trupioblade błyski, nieziemskie światła. *Niechybnie demony rajcują* – mówili ludzie, choć odprawiane za dnia egzorcyzmy nie wykazały, by miały przebywać tam jakiegokolwiek istoty piekielne.

Przed laty, za czasów świetności tego klasztoru i kościoła Świętego Michała, zagnieździła się tu herezja wyznawców aniołów. Stara apostazja, która przed wiekami wzrosła we Frygii, już w cztery wieki po Chrystusie zesłała na manowce gnostycyzmu, twierdząc, że to aniołowie stworzyli świat i obdarzyli ludzkość Mojżeszowym prawem pochodzącym od Boga. Kult ten potępił oficjalnie synod w Laodycei, wydając ostrzeżenie: *Chrześcijanie nie powinni przyzywać aniołów i otaczać ich kultem, którego zakazano. Niech będzie wyklęty ten, kto skrycie oddał duszę temu bałwochwalstwu.* Potępienie z ust świętych mężów nie przeszkadzało dalej rozkwitać herezji, a w całym cesarstwie, także w Konstantynopolu, przez kolejne stulecia powstawały liczne kościoły Świętego Michała. Później kult aniołów zanikł, czy też może dobrze się skrył już nie w kościołach, lecz w zamkniętych murach klasztoru.

Tutaj odszczepieńcy długi czas w tajemnicy wyznawali swoją apostazję, jednak za

czasów poprzedniego patriarchy, Jana VIII Xifilina, klasztor spalono, a heretyków przepędzono. Dotąd nikt nie miał tyle odwagi, by odbudować to miejsce – ponure ruiny na obrzeżach miasta powoli zarastały zielskiem i legendami powtarzanymi przez miejscowych.

Opowieści nie brały się znikąd. Ta brama do piekieł była w istocie wejściem do tajnej siedziby gildii złodziei w Konstantynopolu. Głosy demonów? Światła diabłów? Teraz Kalikst Belzebub miał być takim diabłem.

Począł, aż księżyc zajdzie za porozdzierane chmury, i odwinął z pasa linę. Wziął krótki zamach, po czym zarzucił hak na szczyt muru. Metal cicho zazgrzytał o kamień. Kalikst wspinał się na górę i miękko wskoczył na podwórze. Zwinął linę. Nasłuchiwał.

Wiatr cicho szeleścił wyschniętymi wiechciami traw, gdzieś w oddali wyły bezpańskie psy. Cykady grały swój nocny koncert i wydawało się, że wokół klasztornych murów nie ma żywej duszy.

Ruszył w stronę ruin. Przeskoczył rząd zeschniętego zielska i przemknął zapuszczoną alejką pełną kamieni i chwastów. Nagle przypadł do ziemi. Zza wiszących strzępów chmur wychynął szyderczy sierp księżyca, a na klasztorny dziedziniec padła smuga bladego światła.

Pośrodku stał mnich. Postać w czarnym habicie z kapturem naciągniętym głęboko na oczy i rękoma splecionymi w fałdach szerokich rękawów. Stał nieruchomo niczym kamienna figura. Posąg? Nie, Kalikst znał to miejsce. Nigdy nie było tu żadnego posągu.

*Widział mnie – rozmyślał z niepokojem Belzebub. – To jeden z nich i musiał mnie widzieć. Albo usłyszał chrzęst haka zaczepianego o mur.*

Sięgnął do pasa i wy dobył dwie strzałki. Poglaskał opuszkami palców ich lotki, sprawdzając, czy się nie zwichrowały. Były dobre, ale mnich stał za daleko. W półmroku trudno będzie trafić.

Przywarł twarzą do ziemi. Serce łomotało tak, że – myślał – słysząc je jak bicie kościelnych dzwonów. Granie cykad przybrało na mocy, jakby w przeczuciu krwi, która zostanie przelana. Złowróżbne tony buczące monotonną wibracją, drażniące uszy, idące głębiej, do samego środka głowy. *Widział mnie? Nie, to niemożliwe. Chociaż... Jest zbyt spokojny, ale... Chce mnie zwieść, udając obojętność. I co robić? Szybki skok w przód i nóż w serce. Albo czekać dalej i zasypać mnicha strzałkami. Wrócić, okrążyć z drugiej strony i wtedy uderzyć? Nie, to niewykonalne, suche trawy czynią zbyt wiele hałasu.* Więc czekał.

Nagle postać w habicie drgnęła i ruszyła prosto na Kaliksta. Drobne kamyczki chrzęściły pod sandałami mnicha, pod kapturem – przysiągłbyś – zaślniły złe oczy. Złodziej odczekał chwilę, licząc kroki tamtego.

Raz, dwa, trzy.

Cztery.

Pięć. Sześć.

Teraz!

Nie!!!

Powstrzymał się w ostatniej chwili. Mnich, czy też należy powiedzieć – strażnik z gildii przebrany w mnisi habit, przeszedł obok niego obojętnym krokiem i skręcił w boczną alejkę. Po chwili wchłonął go półmrok.

Belzebub nie tracił czasu. Kilkoma susami przeskoczył przez dziedziniec i dopadł bocznego wejścia do ruin. Wślizgnął się do środka, lawirując między kupami gruzu, połamanymi deskami i skorupami pozostałymi po rozbitych naczyniach. Klasztor go nie interesował – tutaj nic nie było. Tylko śmieci i wszechobecny, wżarty na stałe swąd spalenizny.

Pobiegł ku wejściu do podziemi. Żelazne drzwiczki były lekko uchylone. Ostrożnie pociągnął za masywną klamkę. Drzwi lekko, bez jednego dźwięku odsłoniły mroczną czeluść lochów.

\* \* \*

Po kilkunastu krokach w absolutnych ciemnościach dostrzegł w oddali blask nierównego światła. Przyłgnął do ściany i powoli pełził w jego kierunku. Z zewnątrz nie dochodził tu żaden dźwięk, tylko bicie jego serca szło echem po korytarzach. Przynajmniej tak mu się zdawało, dopóki nie posłyszał przed sobą cichego skwierczenia. Pochodnia!

Sunąc wzdłuż ściany, dotarł do rozwidlenia korytarzy. Żagiew tkwiła w stalowej obręczy wbitej w ścianę. Oświetlała rozstaje podziemnych dróg. Belzebub wybrał tę na wprost.

Po stu krokach doszedł do niewielkiej komory rozjaśnionej przez kolejną pochodnię. Wysoki sufit i dwie umieszczone symetrycznie kolumny. Szedł dalej i szybko dotarł do drugiej, bliźniaczej sali. Minął ją.

Wkrótce posłyszał cichą rozmowę, zaś na kamieniach załśniły odległe blaski ognia. Przywarł do muru i ostrożnie sunął w stronę światła. Gdy ściana skończyła się, przyklęknął i wyjrzał zza rogu.

I od razu skoczył w tył, przylegając płasko do muru. Strażnicy! Widać tym razem mistrzowie rozprawiali o sprawach szczególnej wagi. Dotąd nie zadawali sobie trudu wystawiania aż takiej ochrony. Jeden na górze i góra trzech gdzieś tam, pośrodku Wielkiej Sali, krążących w mroku wokół stołu, przy którym odbywała się rada.

Teraz jednak u wejścia stanęło dwóch ludzi odzianych jak ich kompan przed klasztorem w mnisie habity, tyle że prostsze, pozbawione kapturów. Na to mieli nałożone pasy z przytroczonymi toporkami i, zważywszy na ich masywne sylwetki i kanciaste gęby drabów, stroje zakonników stawały się całkowicie zbędne. Nikt, patrząc na tych tutaj, nie miał wątpliwości, że to nieznające miłosierdzia oprychy.

Kalikst nasłuchiwał. Strażnicy zamilkli. Krążyli w promieniu kilku kroków od wejścia niespiesznym, leniwym krokiem. Gdy odgłosy stąpania znikły w oddali, ponownie wyjrzał zza rogu.

Wielka Sala miała kształt prostokąta i tylko pośrodku sklepienie wybrzuszało się do góry

niczym kopuła katedry. Na całej długości sufit podierały masywne, walcowate kolumny zwieńczone kwadratowymi głowicami. Gdyby je wyjąć, byłoby tu tyle miejsca, że stanęłaby cała Hagia Sofia. Ta olbrzymia komnata, cały system korytarzy, pustych zaułków, odnóg i komór tworzyły pod Konstantynopolem małe miasto. Kto, kiedy i po co je wybudował? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Tego nie wiedział nikt, choć patrząc po starych murach, zatartych inskrypcjach, szczątkach rzeźb, należało sądzić, że miejsce to powstało jeszcze w czasach starożytnych, może jeszcze przedtem, nim na górze dawni Grecy wybudowali swą kolonię *Byzantion*.

Powiadano, że w Wielkiej Sali, pod kopułowym zwieńczeniem, miały swe miejsce pogańskie rytuały, w których składano ludzi w ofierze ku czci żądnych krwi bogów. Kapłani kamiennymi nożami wydzierali serca płaczących dziewcząt i młodych chłopców, czemu przyglądał się tłum mamroczący w opętaniu słowa modlitwy. Tak gadano, choć przecie nikt nie znał prawdziwej historii tego miejsca. Gdy odkryła je gildia, już po wypędzeniu z klasztoru na górze wyznawców aniołów, w korytarzach i salkach buszowały szczury biegające między potrzaskanymi szczątkami marmurowych rzeźb.

Teraz pośrodku sali, przy porfirowym stole w kształcie oktagonu, siedziała Wielka Rada gildii złodziei w Konstantynopolu. Kalikst widział tylko cienie, ruchome w blasku pochodni zatkniętych na kolumnach. Na blacie, obok lampki oliwnej pełgającej ruchliwym światłem, leżały zwoje pergaminów, niechybnie mapy jakoweś albo insze plany; dalej stała fantazyjnie zdobiona amfora, z której co jakiś czas nalewano rubinowego wina do rżniętych w kryształ kielichów.

Osobistej ochrony mistrzów Kalikst nie dostrzegł nigdzie, wiedział jednak, że gdzieś w ciemnościach krążą najlepsze ostrza gildii, przygotowane, by szybko i bez hałasu zlikwidować intruzów. Takich jak on.

Nie zbliżając się już ani o krok do linii straży przy wejściu, wrócił w głąb korytarza, zastanawiając się, co dalej. Mógł pójść jeszcze inną drogą... Tyle że było to przejście, którego istnienia się domyślał, jednak nigdy dotąd nie zbadał i nawet nie brał pod uwagę.

Nie pozostawało jednak nic innego. Wrócił do komory z pochodnią. Wyrwał ją ze szczeliny i poświecił. Pośrodku, między dwiema kolumnami, w suficie ział otwór przewodu wentylacyjnego. Dość szeroki, by przecisnął się nim człowiek. Tyle że umieszczony był jakieś dwadzieścia stóp nad podłogą pomieszczenia, zaś od każdego z kamiennych słupów dzieliły go co najmniej trzy kroki. Belzebub poświecił w górę, jednak nigdzie nie dostrzegł najmniejszego punktu zaczepienia.

Następna komora. To samo. Wysoki sufit, czarna dziura i dwie oddalone od siebie kolumny. Musiał szukać innego wejścia.

Znalazł je po dłuższym krążeniu po korytarzach w jednej ze ślepych odnóg. Zawalony sufit trójkolumnowej komory grodził dalsze przejście, ułatwiając przy tym dostęp do czarnego gardła systemu wentylacji.

Wdrapał się po gruzach aż pod sufit. Z góry szedł lekki powiew. Znak, że przewód jest drożny. Można iść.

Przyległ plecami do ściany komina. Stopy oparł z drugiej strony i tak sunął w górę.

Gdy dotarł do poziomego korytarza, stanął wobec kolejnej trudności. Którędy teraz? Klucząc w podziemiach, skręcał tyle razy, że zatracił już poczucie przestrzeni. Próbując odtworzyć w myślach mapę korytarzy, ruszył w kierunku, z którego przyszedł.

Pełził na czworakach, bijąc głową o niski sufit wąskiego tunelu. Kilka razy mijał wejścia, które prowadziły do innych komór. Przechodził nad nimi i szedł dalej.

Kiedy niemal zyskał już pewność, że zabłądził, zobaczył słabe światło sączące się z kolejnego otworu. Dotarł tam i wyjrzał.

Był dokładnie na szczycie kopuły, która przydawała Wielkiej Sali podobieństwa do katedry. Na dole, jakieś sto pięćdziesiąt stóp poniżej, stał porfirowy stół w kształcie oktagonu. Przy nim zaś radzili mistrzowie gildii złodziei w Konstantynopolu. Kalikst nadstawił ucha.

Mówił mistrz Atanazy Meklidos. Jego głos, tylko nieznacznie zniekształcony przez echo, rozbijał się o kopułę:

– Nasz człowiek na dworze donosi, że cesarz nie podjął jeszcze decyzji. Obiecał wzmocnić posterunki na granicy i w razie potrzeby wysłać do Syrii oddziały najemników. Zestawiwszy to z wcześniejszymi informacjami, nie sposób wykluczyć, że cesarz będzie chciał w ten sposób pozbyć się żądających coraz więcej rycerzy z Zachodu. Tu nie mamy jeszcze pełni obrazu sytuacji, ale wszystko wskazuje na to, że oddziały pozostające pod dowództwem Roussela de Bailleula posłane zostaną na wyniszczający bój. Nasz szpieg twierdzi, że de Bailleul ma coraz większe oczekiwania, żąda więcej złota i więcej zaszczytów, zaś skarbiec *basileusa* zbytnio by ucierpiał, gdyby sprostać jego apetytom. Inaczej rzecz ujmując: skarbiec został poważnie uszczuplony przez wojny prowadzone w ciągu ostatnich kilku lat, w dużej części jest to zasługą najemników. Co więcej, cesarz powątpiewa w lojalność Normanów, którzy niezadowoleni z opóźnień w wypłatach są coraz bardziej podatni na podszepty jego przeciwników.

– Dukasowie? Ród Komnenów? – wtrącił Eutymiusz Kassidos. – Nie pogrzebali marzeń o tronie?

– Cesarz ma wielu przeciwników, choć pozornie jego pozycja jest niezachwiana. Jednak dług u najemników może doprowadzić do buntu czy zdrady.

– Dlaczego zatem nie naślą skrytobójcy? – zapytał ktoś chrapliwym basem.

Belzebub nie potrafił zidentyfikować tego głosu. Radę gildii tworzyło ośmiu ludzi, z których osobiście znał trzech. Pięciu pozostałych – z widzenia. Lub słyszenia. Nie był w stanie rozpoznać ich głosów.

– Mniemam, że cesarz jest chroniony przez jakiegoś rodzaju magię.

Na te słowa pomieszczenie rozbrzmiało gwarem podekscytowanych głosów. Atanazy uciszył zebranych i kontynuował:

– Jej natura jest nieznana, nieznane jest też pochodzenie owej magii, ale ona istnieje, o tym świadczą ostatnie wydarzenia. Do pałacu cesarskiego zakradł się skrytobójca. A może tylko złodziej? Nie z naszej gildii, nikt, kogo byśmy znali. Ponoć jakiś Trak. Słudzy przez dwa dni ścierali jego krew i flaki rozprysnięte na suficie w przedsionku sypialni cesarza. Co chciał ten nieszczęśnik osiągnąć, nie dowiemy się już nigdy, jednak nie sądzę, by miał wielu naśladowców... Ale wracając do meritum. Najnowsze informacje pozyskane przez naszego człowieka wskazują na to, że cesarz jak na razie nie zamierza przystępować do większej kampanii przeciwko Seldżukom. Wyśle prawdopodobnie swoich przeciwników politycznych, w tym niewygodnych Normanów, na wyniszczającą wojnę w Syrii. Tym ostatnim, jak wskazują nasze wnioski, zamierza obiecać wszystkie łupy, jakie zdobędą podczas wyprawy. Czyli dla Normanów będzie to wyprawa po złoto. Tym sposobem cesarz zapewni sobie, że albo najemnicy oddadzą życie, walcząc w słusznej sprawie, albo też zdobędą okupowane tereny i wypłacą sobie należność z tego, co tam znajdą. W obydwu wariantach cesarz ma szansę zyskać.

Kalixst zaniepokoił się. Czyżby rada gildii zamierzała ograniczyć swoje spotkanie li tylko do omówienia sytuacji na dworze *basileusa*? Niewiele go ona obchodziła. No owszem, takie historie to doskonała opowieść przy dzbanie wina, ale nie po to przecież przemyskał przez ponure kazamaty Konstantynopola, żeby wynieść stąd tylko krwawe historie o skrytobójcy rozprysniętym na suficie. Z narastającą rezygnacją słuchał, o czym prawią członkowie rady: w dalszym ciągu to samo! Jakie reperkusje będzie miał sukces najemników w tej fazie wojny? Na jak długo cesarz zamierza oddać najemnikom wyłączność na łupy? Na ile można oszacować wartość tego, co Normani mogą zdobyć w Syrii?

Pytań było więcej, a na każde padała odpowiedź. Długa i wyczerpująca, zaś głos mistrza Atanazego brzęczał niczym rój pszczół. Belzebub, rozpląszczony nad otworem wentylacyjnym, popadł w ośpienie graniczące ze snem. Z tego stanu wyrwały go dopiero słowa:

– Czarny Mnich?

– Tak, Czarny Mnich.

– Czy zdajesz sobie, mistrzu Atanazy, sprawę z tego, kto zacz i czym grozi podejmowanie jakichkolwiek działań wobec niego?

– Drogi Eutymiuszu, moja odpowiedź brzmi: *Tak*. I uprzedzając twoje następne pytania, odpowiem, że dzięki tej robocie nasza gildia ma szansę nabrać wiatru w żagle. Może więcej zyskać, niż stracić.

– Nie jesteśmy gildią zabójców magów. Złodziejstwo to szlachetny zawód, o ile stoimy przy pewnych zasadach i nie przekraczamy granicy, za którą mistrz wytrycha staje się pospolitym mordercą, najemnikiem w cudzych wojnach czy najpospolitszym rozbójnikiem łupiącym podróżnych na trakcie.

Atanazy przerwał mu:



– Eutymiuszu, dobrze znam twe argumenty i doprawdy chciałbym, abyś w rzeczy samej miał tyle troski o losy gildii. Co do tego można jednak powątpiewać...

Drugi mistrz nie dał się zbić z tropu.

– Ty znasz, Atanazy – powiedział – ale może nasi szacunku godni towarzysze nie zostali z nimi zaznajomieni. Mam prawo wyrazić to, co myślę, a ty niechybnie próbujesz sztuczkami retorycznymi zmienić bieg dysputy.

– Tak, niech mówi – zaburczał kolejny bas. Maksymus Tefrikos albo Teolept Mędrzec. Obaj podobnie bełkotali, połykając głoski. – Niech mówi, co ma przeciw, chcemy wiedzieć.

– Tak, tak – poparły go inne głosy.

Atanazy skinął głową w przyzwoleniu i Eutymiusz ciągnął:

– Ja również jestem za tym, by nasza gildia rozkwitała. Utrzymujesz, że twą troską jest to, by gildia rozwinęła się także w Cezarei czy Smyrnie, i my też uważamy, że nasza nieobecność w tych miastach to strata kolejnych solidów. Musimy zatem robić wszystko, by zdobyć na tych terenach nowych ludzi, wysłać tam naszych nadzorców, zorganizować strukturę... Mistrzu, co ty nam miast tego proponujesz? Igranie z magią. Wyprawę do serca Kapadocji, gdzie w swym niedostępnym, opuszczonym monasterze żyje Czarny Mnich. Co wiemy o tym apostacie? Bardzo niewiele, ale jedno jest pewne: stamtąd nikt nie wraca żywy. Czarny Mnich włada nieznaną, ale potężną magią, ma na swych usługach demony i diabły, a stawanie przeciw nim to przywilej magów, czarnoksiężników, ale nie złodziei. Nie chcemy się do tego mieszać, nie chcemy ściągnąć na nasze głowy nieszczęść z czystej chciwości.

Wielki mistrz dłużej tego nie zdzierzył.

– Wstyd, Eutymiuszu, że powtarzasz bajdy, które gawiedź rozpowiada przy kwaśnym winie. Demony, magia? Owszem, jest pewne ryzyko, ale kto jego nie podejmuje, ten nie ma szans na zwycięstwo. Co do faktów, Czarny Mnich żyje w eremie, gdzie tylko wiatr wyje, hulając po pustych celach, jakie pozostały po jego współbraciach. A tych się jeno garstka ostała, ubogich mnichów w porwanych habitach. Jego strażnikami są strach i plotki rozsiewane przez maluczkich. My zaś dysponujemy dokładnym planem monasteru Czarnego Mnicha! To raz. Dwa, nasz zleceniodawca zapewnił nas, że udzieli nam wszelkich dodatkowych informacji o rozlokowaniu ewentualnych pułapek, straży czy – jak ty tam chcesz – diabłów i demonów, które bronić mają dostępu do monasteru. Trzeba jeno wysłać czterech – pięciu ludzi, wskazać im drogę. Wykradną, co jest do ukradzenia, i wrócą. Jednym słowem: czysta złodziejska robota. Przy tej wiedzy, jaką już częściowo zyskaliśmy i jeszcze zyskamy, gdy weźmiemy to zlecenie, będzie to minimum ryzyka, zupełnie niczym rzezanie sakiewek kupcom. No i najważniejsze: za taką wycieczkę dostaniemy tyle złota, że wystarczy na to, by kupić trzy... no, może przesadzam, niech będzie – dwie posiadłości w Cezarei i zorganizować tamtejszych łotrzyków w sprawnie działający organizm – gildię złodziei.

Sięgnął po jeden ze zwojów leżących na stole. Rozpostarł go szerzej i stukając palcem w mapę, prawil:

– Tu jest wszystko. Wiemy, jak tam dojść, znamy sekretne przejście, wiemy, gdzie dokładnie znajduje się fant do zdobycia. Chyba nie jest to coś, co przekracza możliwości i talenty naszej gildii.

Eutymiusz pokiwał głową.

– Tak, tak, dobrze, żeś przypomniał, mistrzu. Fant do zdobycia. Może przypomnisz, co mają zdobyć nasi zdolni chłopcy?

Atanazy wzruszył ramionami.

– Ikona Upadłego Anioła – odparł krótko.

– Ikona Upadłego Anioła... Otóż to! Zatem... Racz przybliżyć naszym drogim mistrzom, cóż to za drogocenna rzecz.

– Heretycka ikona przedstawiająca Satanaela, który wedle odszczepieńczych religii jest złym synem Boga, bratem Jezusa Chrystusa. Apostata, który namalował ten obraz, pochodził z najbardziej skrajnej i odległej od prawowitej religii herezji. Jej zwolennicy nazywają siebie chrystomachowie, przeciwnicy Chrystusa. Powstała tylko jedna kopia obrazu Satanaela. Ikona jest zakazana, a jej wartość, jak widać, ogromna.

– Zapomniałeś dodać dlaczego, mistrzu. Kto tylko dotknie ikony dłonią, nie osłoniwszy jej wprzód, na tego spada czarna śmierć, pomór, który przyprawia o straszliwe męczarnie, ból i łzy. Pomór, który zamienia ciało człowieka w cuchnącą galaretę. Czarna jest ona i smród zgnilizny toczy tak silny, że zdolny zabić.

– Znowu powtarzasz pijackie bajdy z tawerny. Taka gadanina może zwieść jeno drobnych łotrzyków czyhających w zaułku na pijanych marynarzy. Nasza gildia jest organizacją skupiającą ludzi wyszkolonych i odważnych, a naszą powinnością jest właśnie podejmowanie takich wyzwań. Gdyby trwać przy twoim planie, Eutymiuszu, gildia przestałaby istnieć. Nie mielibyśmy ani tej podziemnej świątyni, ani domów i posiadłości w całym Konstantynopolu. Wszystko związane jest z pewnym ryzykiem, ale jak dotąd wychodziliśmy z takich przygód zwycięsko. Ty zaś boisz się, obleciał cię strach! Tak, boisz się! – powtórzył Atanazy, widząc, że te słowa wywarły należyte wrażenie. – Drżysz jak królik w norze. Nieee, my nie jesteśmy królikami. Lisami raczej, sprytnymi i mądrymi. Nasze działanie oparte jest na dokładnie przemyślanym planie. Będzie to operacja przeprowadzona przez najlepszych złodziei gildii. Razem, bez brawury, bez ryzyka, z pełnią naszej wiedzy i doświadczenia.

– Nie obleciał mnie strach, mistrzu. To jest rozwaga! Wspomnisz jeszcze moje słowa, przypomnisz sobie dzisiejszy wieczór, gdy nawoływałem do opamiętania. Ale wtedy będzie za późno! – Eutymiusz, demonstrując rezygnację, nalał sobie wina z amfory i opróżnił kielich jednym haustem.

– Dobrze, zatem uznaję, że wszyscy zostali zaznajomieni z materią sprawy – powrócił do tematu Atanazy. – Dodam jeszcze, że do Kapadocji wysłani zostali szpiegdy, których zadaniem jest obserwacja okolicy, w której żyje Czarny Mnich. Nasi ludzie mają zweryfikować zgodność map, a także poczynić własne spostrzeżenia dotyczące zabezpieczeń.

Szpiedzy wyruszyli tydzień temu. Dajmy im jeszcze kilka dni na robotę i na powrót. Za jakieś dziesięć dni, na następnej naradzie, winniśmy już mieć szczegółowy raport. Do tego czasu proponuję wstrzymać się z decyzją i przemyśleć to wszystko, co dzisiaj zostało powiedziane. Czy są jeszcze jakieś uwagi?

Uwag nie było i kiedy rada gildii powróciła do omawiania niuansów dworskiej polityki cesarza, Kalikst cicho wycofał się do zasypanej komory.

## ROZDZIAŁ 5

Patriarcha Kosma przywołał sługę, Aleksandryjczyka o imieniu Marcjan.

– Pójdź do biblioteki i znajdź mi księgę „Hexameron”. Później przynieś więcej oliwy do kaganków oraz uzupełnij wodę w dzbanie. Pragnę ten wieczór spędzić na lekturze, zatem nie chcę, by mi przeszkadzano.

Marcjan skłonił się i oddalił, by wykonać polecenia. Szedł chłod, więc patriarcha narzucił szeroki płaszcz z wełny. Podszedł do okna. Cykady jak co noc grały swój koncert; księżyc, wąski niczym sierp wykuty przez niezbyt zdolnego ucznia kowala, krył się za rozproszonymi chmurami pchanymi po niebie przez nagłe powiewy wiatru.

*Nie – powrócił myślami do propozycji posła Fatymidów, Ahmeda Al-Idrisiego. – Nie powinien basileus iść na rękę kalifowi z Egiptu, toż Święty Grób dalej pozostanie pod panowaniem obcej religii. Chyba że cesarz ruszy przeciw kalifowi, jak już przepędzi Seidżuków z Palestyny. Jednak ten Saracen nazbyt mu schlebia, a on bierze to za dobrą monetę. Sądzi, że te hołdy i grzeczności to gwarancje przyjaźni, a powinien zachować wstrzeźliwość i daleko idący sceptycyzm. Lepiej by już było, gdyby basileus pozwolił wyznawcom Mahometa niszczyć się wzajemnie. Nie, Diogenes nie powinien przystępować do wojny między saraceńskimi odłamami. Winien wzmocnić tylko granice i na razie poprzestać na tępieniu heretyckiej zarazy, która truje cesarstwo od środka. Gdy wycieknie krew barbarzyńców, to wtedy. Wtedy wyzwolić Grób Pana z pomocą rycerstwa z Zachodu. Też barbarzyńców, ale w takiej sytuacji...*

Przybył Marcjan, dźwigając pod pachą „Hexameron”. W rękę trzymał dzban świeżej wody źródlanej i naczynie z oliwą. Patriarcha machinalnie sięgnął po księgę, otworzył ją i wziął puchar. Napełnił go wodą, po czym odczekawszy, aż ucichnie człapanie sandałów aleksandryjskiego sługi, zatopił się w lekturze.

Po chwili powrócił do rozmyślań: *Z drugiej strony, trzeba przyznać, jest w tym pewna rozwaga ze strony cesarza. Nie jest skłonny angażować wszystkich sił, dba też o dobre stosunki z sąsiednimi władcami. Nawet jeżeli są to tylko barbarzyńscy wyznawcy Mahometa, nieuznający Jezusa Chrystusa za Syna Bożego, to rozsądek nakazuje nie wszczynać wojny bez potrzeby. Ale czy z tych samych względów trzeba wiązać aż tak bliskie sojusze?*

Nagle patriarcha poczuł się nieswojo. Na jego gardle spoczął czubek oksydowanego na

czarno puginą. Zamarł, bojąc się wziąć głębszy oddech: ostrze przy najmniejszym ruchu niechybnie przebiłoby skórę i weszło głębiej. Czoło Kosmy zrosił pot.

– Racz wybaczyć, panie, to najście. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz – usłyszał cichy głos. – Nie jestem skrytobójcą, choć mój strój, droga, którą się tu dostałem, oraz manieri pozwalają ci żywić najgorsze obawy. Nie, wprost przeciwnie, panie. Jestem przyjacielem. Nóż podsunąłem z obawy, że widząc mnie wchodzącego przez okno, wzniesiesz zbyteczne larum i przywołasz sługi. A tego przecież nie chcemy. Czyż nie?

– Nie – wychrypiał Kosma. – Nie chcemy.

– Doskonale. Ciesz się panie, to, że tak szybko doszliśmy do porozumienia. A teraz racz posłuchać. Zamiaruję odjąć ostrze od twej krtani. Gdy to już uczynię, pragnę powiedzieć ci parę zdań, które winny cię zainteresować. Nie wątpię, że zaciekawią cię niezmiernie. Niemniej zechciej, panie, potwierdzić, że nie będziesz wzniecał niepotrzebnej wrzawy, bym nie musiał ponownie dobywać noża. A więc chowam nóż, a ty, panie, nie czynisz niepotrzebnych ruchów, nie wołasz sług, nie wołasz pomocy. Czym mam rację?

– Tak – wystękał cicho patriarcha.

Nieznajomy odjął ostrze od gardła Kosmy i schował je za pas. Złożył ukłon i jeszcze raz przeprosił:

– Wybaczcie, panie. To było konieczne. Jestem posłańcem i mam dla was wieści nadzwyczajnej rangi. Na pewno zechcecie się tym zainteresować. Rzecz dotyczy propozycji składanych przez posła z Egiptu.

Patriarcha otarł pot z czoła. Jego serce powoli odzyskiwało swój naturalny rytm; mógł już też odetchnąć pełną piersią. Spojrzał na niecodziennego gościa.

Posłaniec odziany był w czarny strój skrytobójcy, nocnego łotrzyka. Przy pasie tkwiły dwa długie noże, oksydowany puginą i kindżał ze zdobioną rękojeścią. Twarz nieznajomego skrywał arabski zawój okręcony wokół głowy tak, że tylko oczy błyskały. Złe oczy.

– Zwą mnie Symeon Złe Oko. Jestem tu po to, by przedstawić ci pewną propozycję. Przysłał mnie tu pan mój, Michał Dukas. Sprawa, jak wspomniałem, dotyczy aktualnych zdarzeń na rubieżach cesarstwa.

Kosma sięgnął po dzban z wodą. Nappełnił kielich i duszkiem wypił. Odkasznął i rzekł:

– Nie nawykłem do takich najść i do takiej śmiałości. Taki postępek godzien jest najsurowszej kary, moralnego i fizycznego potępienia, jednak to, co mówisz, Symeonie, zdaje się być intrygujące i godne mej uwagi. Michał Dukas, powiadasz. Ile to już lat...

Przez chwilę dyszał, bezskutecznie próbując wyrównać oddech. Niespodziewane najście, nie ma co ukrywać, nadwerżyło jego nerwy i zmaściło spokój ducha, jaki daje wieczorna lektura, rozmyślanie i modlitwa do Boga. Wreszcie zebrał się w sobie.

– Tak, ma to pewien walor, mów więc. Mów, człowieku, niech twe wieści w rzeczy samej będą usprawiedliwieniem dla twych manier.

Posłaniec odwinął zawój z głowy, odsłaniając twarz. Wręczył patriarsze pismo opatrzone

pieczęcią.

– Panie, przeczytaj list od mojego pana. A następnie pozwól, że ja dodam coś od siebie.

Cztery kwadranse później patriarcha Konstantynopola powiedział:

– To, co mówisz, jest poruszające. Poruszające i wstrząsające jest również pismo twojego pana, którego dobrze pamiętam sprzed lat. Pamiętam również ojca twojego pana, świętej pamięci. Jemu jestem szczególnie dużo winien... Poruszające jest to wszystko, ale niepozbawione pewnej logiki. Dobrze. Powiedz Michałowi, że się z nim spotkam. Na miejsce spotkania wyznaczam Niceę. Będę tam w sprawach Kościoła za cztery dni.

\* \* \*

W tym samym czasie Roman IV Diogenes radził się *Konsula Filozofów*, Jana Italosa.

– Panie, nie oczekuj ode mnie gotowej odpowiedzi – rzekł gniewnie mędrzec, gdy *basileus* zapytał go o zdanie na temat prośby fatymidzkiego posła. – Gdybym był taki mądry, gdybym zjadł wszystkie rozumy na śniadanie, pewnie to ja byłbym na tronie i władał imperium miast ciebie.

Cesarz westchnął z niecierpliwością. Puszczać mimo uszu grubiaństwo Italosa, podszedł do stolika i nalał sobie z karafy wina. Sączył trunek w zamyśleniu. Jako generał i wódz wiedział, co należy uczynić. Przystąpić do wojny i zdobywać jak największe połacie terenów; przyłączać je do cesarstwa. Wypierać i niszczyć wrogów. Jednak jako władca imperium musiał się liczyć także z innymi aspektami. Finansami. Polityką. Szansą na utrzymanie zdobytych terenów dłużej niż przez miesiąc czy dwa. Musiał odpowiedzieć sobie na pytanie: czy sojusz z kalifem Egiptu gwarantuje trwały pokój, czy też oznacza jeno kolejne wojny i kolejne wydatki? Te ostatnie władcę najbardziej trapiły. Poprzednia wojna z Turkami przyniosła tak duże spustoszenie w skarbcu, że po dziś dzień zbieranie wielotysięcznej armii zakrawało na zbyt dużą śmiałość. Najemnicy normańscy, gwardia wareska, rozmaite hufce rycerzy z Zachodu – te siły gwarantowały największą moc bojową. Piechota temowa, tworzona przez kolonów, rycerzy-chłopów, którzy posiadli swoją ziemię w zamian za udział w operacjach wojennych, to rozwiązanie dobre na czas obrony, gdy przez granicę wdzierają się najeźdźcy, pustosząc kraj. Ale teraz? Teraz to szykował się atak na ziemie wroga. Piechota temowa była niezdatna do takich wypraw, toteż trzeba będzie oprzeć się na wojskach najemnych. Ale skąd na to brać pieniądze? Wycisnąć poprzez nowe podatki z tych samych kolonów w zamian za odstąpienie od udziału w wojnie? Ale toż to warstwa zubożała do tego stopnia, że dalsze nakładanie danin doprowadzi do ucieczki ludności ze wsi do miast, upadku gospodarstw i w rezultacie sprawi, że zabraknie siły, która mogłaby wypracować odpowiedni dochód.

A do tego *basileus* musiał się liczyć z niepokorną postawą wielkich rodów. Fokasowie, Dukasowie, Komnenowie, Maleinosowie – rodziny wywodzące się z dawnych dowódców temowych i drobnych posiadaczy ziemskich rosły w siłę, łaknąc przy tym coraz większej

władzy. By zadać kłam swemu niskiemu pochodzeniu, chętnie splatali swe korzenie z antenatami starożytnych rodów, tworzyli zmyślane genealogie i coraz częściej równali się z cesarzami. W przeszłości bywało, że rody prowadziły swoją własną politykę, nawet swoje własne działania wojenne, podjazdy w Syrii czy na krańcach Persji. Rodów cesarz nie był pewien – niezadowolone z rosnących podatków czy wasalnych powinności równie dobrze mogły zebrać normańskich najemników i ruszyć miast na wschód, przeciwko Seldżukom – na Konstantynopol. By dokonać przewrotu.

Władca nałaf jeszcze jeden kielich wina i pogrążony w myślach błędził wzrokiem po pracowni Italosa. *Konsul Filozofów* mieszkał w starej, kruszej latarni morskiej wzniesionej na cyplu Saragikos, nad samym Bosforem. Wtopiona w linię murów obronnych budowla już przed wielu laty przestała pełnić swoją właściwą funkcję, zaś okolica – choć to niedaleko centrum miasta – straszyla pustką i nienaturalną ciszą, mąconą jeno przez ponure zawrozczenie wiatru od morza. Dziwne miejsce, niezbyt bezpieczne, ale Italos nie chciał słyszeć o apartamentach w pałacu.

Na pierwszej kondygnacji latarni ulokowane były pomieszczenia mieszkalne, kuchnia, wielka izba, w której filozof przyjmował gości, zaś drugie piętro, gdzie wchodziło się po krętych schodkach z marmuru, zajmowała pracownia. Wypełniały ją księgi ustawione rzędami na półkach, starożytne papirusy, zwoje, mapy, szkice. Spomiędzy nich wyzierały globusy, instrumenty astronomiczne i pomiarowe, jakieś tajemne przyrządy o zagadkowym przeznaczeniu, ba, w jednym z kątów cesarz dostrzegł nawet alembik i nieznanne mu z nazwy szklane naczynia alchemików; ponad tym zwisały z powały zioła.

– Dobrze, filozofie. Zaczynaj. Nie ma czasu na cczą gadaninę.

Italos w zamyśleniu przeglądał jakieś grube tomiszcze z rogami okutymi zaśnieżonym metalem. Śliniąc palec, przewracał grube strony i szeptał do siebie w obcym języku.

Roman Diogenes z brzękiem odstawił pusty kielich.

– Mistrzu?

– Tak? Hmmm, wybac, panie, zajrzałem do „Wojen” Prokopiusza. W dawnych dziejach największą można znaleźć inspirację do tego, z czym mamy do czynienia dziś. Choć w kolejnym swoim dziele, „Historii sekretnej”, Prokopiusz daje się poznać z nieco innej strony, co rzuca odmienne światło na twierdzenia zawarte w „Wojnach”... Jednak w sumie lektura ta pozwala na pewne przemyślenia.

Uczony z trzaskiem zamknął księgę. Potargał brodę i swoim wzrokiem spojrzął na cesarza.

– Panie, czy jesteśmy w tej chwili bezpieczni? Mam na myśli: czy możemy oddać się, hmm, ceremonii bez obaw, że wtargnie tu któryś z twych nadgorliwych sług lub też, co gorsza, informator na usługach patriarchy czy któregoś z twych przeciwników na dworze?

*Basileus* wszedł mu w słowo:

– Możesz robić, co trzeba. Wejścia na dole pilnują moi zaufani ludzie. Jednocześnie mają

zakaz wchodzenia tu, choćby nie wiem co.

– Znakomicie. Zaczynamy zatem.

Jan Italos podszedł do biblioteczki i wszedł na drabinkę. Zdjął oprawiony w czarną skórę tom. Wolumin bez tytułu: zarówno okładka, jak i stronice, gdzie zazwyczaj wyczytać można wszelkie informacje o dziele, były puste. Cesarz zwrócił uwagę na jeszcze jeden szczegół: karty księgi zapisane zostały pismem arabskim. Czego już nie mógł wiedzieć – był to w rzeczywistości język perski.

– Zechciej, panie, spocząć wygodnie, o tu, na sofie – rzekł filozof.

Roman Diogenes skinął głową i podciągając poły swej szaty, zajął wskazane miejsce. Italos rozłożył tom na stole. Śliniąc palec, przerzucał karty, aż trafił na właściwy ustęp. Czytał go powoli, kiwając głową. Mruczał niezrozumiałe słowa, skubiąc brodę.

Wreszcie odłożył księgę. Zatrzasnął okiennice z grubego, okutego żelazem drewna. Od środka dodatkowo spuścił na okno grubą kotarę.

– Jeszcze drzwi – mruknął do siebie Italos. Zaryglował wszystkie zamki i szarpnął za klamkę, jakby nie wierzył, że trzy żelazne sztaby na pewno dobrze trzymają. Zaciągnął na drzwi grubą kotarę i rzekł:

– Już wszystko gotowe. Jenó światło.

Przygasił lampki oliwne, które dotąd rześście rozświetlały pomieszczenie. Na chwilę zapadła ciemność, którą rozproszyło zielone, chybotliwe światełko.

Cesarz spostrzegł, że jego źródłem jest świeca w kształcie jakiejś postaci. Pytanie o naturę istoty rzeźbionej w wosku zamarło mu na ustach. Słodki zapach wijący się ciężko wokół zielonej poświaty oszołomił go i zniewolił.

– Patrz w płomień, panie – rzekł filozof, jednak była to zbędna prośba. Zielony ognik zniewalał oczy, nie pozwalał spojrzeć w inną stronę. Zresztą gdzie – w mrok? W ciemne zakamarki komnaty zalewanej słabymi zielonkawymi błyskami? Ognik nie pozwalał na odwrócenie wzroku, usypiając zmysły.

Italos powtarzał z pamięci:

– *Atar. Atar. Atar. Zurwan...*

Władca próbował uchwycić sens słyszanych słów: na próżno. Wymawiane przez Italosa zdania nie przypominały mu niczego, co wcześniej słyszał: obce dźwięki były dla jego umysłu niczym uderzenie bicia, drażniły słuch, rezonowały wewnątrz czaszki jak kamienie rzucone o blachę. Zdało mu się, że rozpoznaje słowa perskie, arabskie i żydowskie, był pewien, że filozof powtórzył kilka razy imię Ahura-Mazda, nim jednak *basileus* zdążył zebrać myśli i przypomnieć sobie, skąd je zna – a raczej: dlaczego je pamięta – płomień świecy zaczął rosnąć.

Stracił też swoją barwę. Nagle zbieła, zalewając komnatę trupioblady światłem. Cesarz cofnął się instynktownie, to jednak było na nic: eksplodująca jasność zalała go niczym wybuch greckiego ognia na polu bitwy. Poczł mocarne uderzenie w pierś, aż stracił dech, a



twarz nabiegła mu krwią. Przed oczami zatańczyły pstrokate płatki, uszy wypełnił monotony łomot. Ogarnął go strach, uczucie obezwładniającej paniki, nim jednak zawładnęło nim na dobre, obraz przejaśniał, zaś łoskot w głowie ustąpił.

Roman Diogenes poczuł niespodziewaną euforię. Zobaczył przyszłość.

\* \* \*

Jan Italos napełnił kielich winem i podał go *basileusowi*.

– Nie może to być – sapnął gniewnie władca, przyjmując naczynie. Upił tęgi łyk i rzekł: – Po raz wtóry widzę to samo. Ta sama wizja, Italosie, i nie mogę powiedzieć, żeby mnie to radowało. Wprost przeciwnie. Jestem wielce nierad.

Filozof łypnął ptasimi oczami i potargał brodę. Tego się spodziewał, a jeżeli nawet nie – to brał ten wariant pod uwagę. Przyszłość można zmienić, ale to, co nieuniknione, wcześniej czy później powróci.

– To samo... – mruknął uczony. – To samo, co siedem lat temu. Pierwsza wizja.

– Tak. Wtedy ukazałeś mi zdradę Dukasów i... – Cesarz zadrżał i osuszył do końca kielich. – Teraz widziałem podobne rzeczy. Michał Dukas cesarzem! Imperium pustoszone przez Seldżuków z jednej strony, jakieś bandy, bezładne zbieraniny, pozostałości mojej armii z drugiej. Ormianie w Anatolii podnieśli bunt, no i najemnicy... Normañscy zdrajcy z tym de Bailleulem na czele. O nie! Nie myliłem się co do niego, to nie jest człek godny zaufania! Grabieże, gwałt, krew, chaos. A później... To już inny obraz, jakby po latach. Wielka krucjata rycerzy z Zachodu. Dumnych, wyniosłych, pogardliwych. Wdziałem ich, jak szli: zjednoczeni pod znakiem krzyża, maszerujący, by ocalić Grób Pański. Zniszczenie, pożoga, zatracenie... Krew!

Roman Diogenes nie wyglądał zbyt dobrze. Italos nalał mu kolejny kielich wina, po namyśle sięgnął po inne naczynie i wypełnił je zimną wodą. Podał władcy.

– I moi synowie – ciągnął roztrzęsiony cesarz. – Widziałem ich! Widziałem, Italosie! Nicefor umierający gdzieś w kazamatach, skuty łańcuchami, poraniony... Komu tak zawinił? Komu?! I Leon na wygnaniu u obcych. Ruś to była. Daleko od Konstantynopola... Podłe miejsce.

– To tylko jedna z możliwych dróg, choć bardzo prawdopodobna. Przyszłość nie idzie jednym szlakiem, lecz w każdej chwili może podążać we wszystkie możliwe strony. Ty widziałeś taką przyszłość, jaka może, ale nie musi się zdarzyć, gdy pozostawimy sprawy własnemu losowi. Ale nawet wówczas może nadejść coś, czego tutaj nie dojrzałeś, coś, co zmieniłoby ten obraz dzień czy dwa później. I już miałbyś, panie, nową przyszłość, zupełnie inne obrazy. W każdej chwili możesz dokonać też własnej ingerencji, jednak wtedy twoje czyny i układ planet tworzą nową konfigurację i wszystko rusza od nowa.

*Basileus* zanurzył usta w kielichu z wodą. Skrzywił się. Oddał naczynie filozofowi, nie dopijając. Gestem wskazał na puchar z winem.

To, co zobaczył w wizji, nakazywało pójść na rękę egipskiemu kalifowi. Czyżby Seldżycy stanowili aż tak wielką siłę? Po przegranych wojnach w ostatnich dziesięciu latach powinni sami błagać o pokój. Lizać rany, zapominając na lata o skarbach Konstantynopola. A jednak tak się nie stało. *Ten naród jest przerażający* – pomyślał z niepokojem cesarz. – *Teraz wspólnie z Fatymidami, jak Bóg da, odeprę ich po raz kolejny. Ale co będzie za sto lat? Dwieście? Trzysta?*

Zapytany o to Italos tylko pokręcił głową.

– Nie, panie. To zbyt odległa przyszłość. Każdego dnia mogą powstawać nowe rozgałęzienia. Rozgałęzienia, czyli możliwe drogi rozwoju sytuacji – dodał tytułem wyjaśnienia, widząc w oczach władcy niepewność. – Miesiące, lata, dekady... Po tym czasie rozgałęzień będzie tak wiele, że wyłuskanie z tego rzeczywistego, to znaczy najbardziej logicznego i prawdopodobnego obrazu przyszłości graniczy z cudem. Nie potrafię wskazać tej najbardziej prawdopodobnej przyszłości dalej niż na miesiąc czy dwa do przodu.

Cesarz pokiwał ze zrozumieniem głową, choć w duchu wciąż dręczyły go te same pytania: *Cóż stanie się, gdy mnie zabraknie? Gdy zabraknie Italosa? Leon i Nicefor są jeszcze za młodzi, ledwie po parę lat mają, więc nie dla nich wojaczka. Nie dla nich tron, nie teraz. Czy moi następcy będą mieli w sobie tyle siły, determinacji i talentu wojennego, by powstrzymać turecką dzicz ze stepów? A może nie? Może nieznający prawdziwego Boga najeżdźcy, barbarzyńcy niemający poważania i szacunku dla imperium, przyjdą w takiej gromadzie, w takich hordach, że na nic zdadzą się grube mury Konstantynopola, na nic zda się bohaterska obrona mieszkańców miasta. Na nic oddanie Waregów, na nic poświęcenie Normanów, na nic przelana krew. Konstantynopol stolicą tureckiego imperium? Nazwaliby to, powiedzmy, Eis tin poli czy jakoś równie niedorzecznie.*

Roman Diogenes aż zadrzał na tę myśl. Imperia upadają, tego uczy historia. Nic nie trwa wiecznie. Czas upadku przyjdzie też dla cesarstwa. Ale co po nim? Imperium Seldżuków? To wprost niewyobrażalne. Musiał temu zapobiec! Powstrzymać dzicz. Zmiażdżyć. Rozbić.

Władca poderwał się.

– Italosie! Ukaż mi teraz inną przyszłość. Taką, w której wyruszę naprzeciw barbarzyńskim hordom. Chcę wiedzieć wszystko! Wszystko, filozofie, rozumiesz?

*Panie, toż powtarzam* – pomyślał z lekkim rozdrażnieniem uczony. Tylko pomyślał. – *Toż powtarzam, że ja nie pokazuję przyszłości, jeno wskazuję drogi. A jak się los potoczy, to wie tylko Bóg w niebiesiech.*

– Michał Dukas cesarzem! – burknął *basileus*. – Ukochany syn Eudoksji znów daje znać o sobie mimo wygnania z Konstantynopola! Bóg mi świadkiem, gdyby nie łązy cesarzowej, skazałbym jej zdradzieckich synalków na śmierć. Michała, Andronika, a nawet Konstantyna, choć nic jeszcze nie zawinił. Michał Dukas cesarzem! Ale czy coś ponad to? Czy przystępować do wielkiej kampanii? Pokażże mi, Italosie, co dla mnie z tego wyniknie!

Filozof burknął coś niezrozumiale i z ociąganiem zaczął wygaszać lampki oliwne. Nim

zdusił ostatnią, odpalił od niej nową świecę. Również rzeźbioną na kształt ludzkiej postaci. Lecz teraz ogień jaśniał niebieskim światłem.

Było to inne uczucie: cesarz poczuł nagłą ociążałość. Niebieski, pełgający płomyk usypiał go, odebrał myślom jasność, choć z drugiej strony władca odnalazł w tym pewną przyjemność. Nim zdążył się nią nasycić, Italos rozpoczął recytację. Obce słowa kłuły niczym szpileczki. Początkowo było to nawet przyjemne, lekkie drażnienie, jednak im więcej słów, tym ból stawał się bardziej uciążliwy. Przy ostatnich zdaniach udręczony nim Roman ledwo tłumiał okrzyk. Wreszcie poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, jednak w tej samej chwili ogarnęła go euforia. Jęk bólu zamarł mu na ustach, przerodził się w uśmiech. Niebieskie światło świecy zbiegło i zalało komnatę jasnym blaskiem.

Tym razem *basileus* widział zupełnie inny obraz: obóz wojskowy, on sam w swym namiocie w otoczeniu generałów i strategów. Na stole mapy oświetlone chybottliwym światłem lampek. Obok, na drugim, niewielkim stolczku, srebrna taca z białym chlebem, misą pełną oliwek, kozim serem i zimną pieczenią. Cesarz z wizji sięgnął po mięsiwo i odrywając niewielkie kęsy, słuchał relacji strategosa.

– Panie – prawil tamten – Seldzucy już nie wytrzymają długo. Jutro, jak Bóg pozwoli, Baalbek będzie nasze. Mamy już Gibelet, Bejrut, Sydon. Turcy nie mają już żadnego punktu oparcia aż do Damaszku. Nasi szpiedzy donoszą, że Fatymidzi z Egiptu są bliscy zdobycia Hebronu, toteż kleszcze zaciskają się.

– Hebron? To nie zaszli daleko. Tu należy pomyśleć, czy kalif nie gra na zwłokę, szcędząc własnych żołnierzy. Liczy na to, że nasze wojska zrobią to, co powinien zrobić on?  
– Władca sięgnął po chleb i kilka oliwek. Przekąsił, myśląc nad czymś, marszcząc czoło, po czym rzekł: – Ale z drugiej strony odwlekanie ze strony kalifa ofensywy na Palestynę grozi mu utratą kontroli nad tymi terytoriami. Czy zamierza zdobyć Jerozolimę, czy to również pozostawia nam?

Strateg uderzył palcem w zwoje rozłożone na stole.

– Panie, jakkolwiek by było, widać dla nas nową sposobność. Kalif nie kwapi się z wprowadzeniem swoich wojsk do Palestyny, choć nie wiemy, czy ze słabości, czy z rozmysłu. Cokolwiek knuje, pozwala nam to z większą śmiałością spojrzeć na przyszłą mapę świata. Jest to mapa, w której Palestyna stanowi część cesarstwa, jak za Justyniana.

– Hmm, taką właśnie mapę zawsze chciałem wyrysować!

Obraz rozmył się i ściemniał.

Teraz Roman Diogenes widział co innego: noc. Cisza, cesarz z wizji śpi, a na zewnątrz strażę. Co ma znaczyć ta scena? Cóż jest osobliwego w odpoczynku przed decydującym uderzeniem na Baalbek?

Nagle w ciemnościach zamajaczył niewyraźny cień. Złudzenie? Senna mara? Nie, oto zza zasłony mroku wychynęła odziana na czarno postać. Mężczyzna w ciemnym stroju skrytobójcy. Podszedł do władcy i chwilę tak stał, patrząc na cesarskie oblicze. Błysnął

puginał. Ostrze zatopiło się w sercu śpiącego. Cicho i skutecznie: cesarz z wizji nawet nie jęknął. W ciemnościach jego krew miała barwę smoły.

– Niece! – krzyknął *basileus*, strącając ze stołu świecę. Zapadła ciemność. Italos chwycił rozżarzony węgielek skrywany w żelaznej skrzynce. Za jego pomocą zapalił oliwne lampki.

Komnatę wypełnił ciepły blask. Filozof podbiegł do cesarza: ten patrzył w sufit nieobecny wzrokiem.

– Panie! Zbudź się!

Podsunał władcy kielich z winem. On, nieświadom, co czyni, wytrącił naczynie z dłoni uczonego. Ten szybko ocenił sytuację: inaczej się nie da. Klepnął Romana dłonią w policzki. Pomogło.

– Italosisie, przerażają mnie te wizje, którymi mnie tu mamisz – rzekł cesarz po dłuższej chwili. Pił łąpczywie wino, mimowolnie kręcąc głową z dezaprobaty. – To nie może być! Widziałem własną śmierć! Żeby na polu walki! To byłby honor. Ale gdzie tam! Śmierć z ręki skrytobójcy. Italosisie, wyobrażasz to sobie? Ktoś chce mi zdradziecko, z ukrycia, zadać śmierć. Podczas wojennej kampanii przeciwko Seldżukom. Judasze tylko czekają, aż się odślonię! Tak było podczas wyprawy na Sycylię, tak było, gdym toczył bój w Bułgarii, tak jest i teraz. Nigdy jednak ta wizja nie była tak prawdziwa! Tak namacalna! Tak dosłowna!

*Basileus* sięgnął pod dalmatykę w okolicach serca, jeszcze czując w nim chłód puginału. Jednak nie... To tylko mara.

Filozof uspokajał władcę:

– Panie, wiesz, że tutaj nic ci nie grozi. Tak jak sobie życzyłeś, w Konstantynopolu twojego bezpieczeństwa pilnują posłuszne demony. Zmuszone do służby łańcuchami starożytnych zaklęć. Osiem demonów, każdy ma pieczęć nad inną stroną świata. Nie masz się co obawiać, panie.

– Ale to nie było w Konstantynopolu! Tak, wiem, jak to jest! Nie mogę wyjechać poza mury miasta! Bo nie mam pewności, czy któryś z moich zaufanych ludzi nie jest zdrajcą i nie zechce na mnie nasłać płatnego mordercy?

– Panie, toż takie było twoje życzenie. Zrobiłem, co mogłem. Sprawilem, że aniołowie ciemności będą roztaczać nad tobą baldachim swojej mocy... Miałeś ostatnio okazję ocenić, jak bardzo są skuteczne. Nie wiem, czy do dzisiaj słudzy zdołali zeszkrobać z sufitu resztki tego Traka. Jeżeli rzeczywiście był to Trak, jak mówili, bo skąd taki wniosek, tego nie wiem. Niewiele z niego zostało, toż mógł być tak samo Saracenen czy innym Bułgarem.

Cesarz posłał mu zniecierpliwione spojrzenie: *Tamto teraz nie ma znaczenia, Trak to czy Bułgar, nie o tym teraz mówimy.*

– Dlaczego twoje demony nie mogą strzec mnie nieustannie, niezależnie od tego, gdzie przebywam? To jak to jest: tu, w Konstantynopolu, są pełne mocy i dopadną, kiedy trzeba, każdego spiskowca, ale wystarczy, że przepłynę do Chalcedonu, i już te potężne stworzenia spoza światów są bezbronnie niczym jagnięta?

Italos westchnął ciężko. Tłumaczył już to władcy nieraz i zawsze słuchał tych samych zarzutów.

– Panie, to nie jest tak. Demony mają moc wszędzie i nic nie odbierze im ich siły. Jednakowoż tylko tutaj, w mieście, przywiązane są do twojej osoby. Udało mi się tego dokonać poprzez rozmieszczenie w ściśle określonych punktach wokół Konstantynopola ośmiu kamieni z piekieł. Każdy z nich został oznaczony inną, stosowną dla tego miejsca inskrypcją. Trudno takie same działania podejmować w terenie. Musiałbym za każdym razem układać osiem kamieni, a na każdym wyryć odpowiednie słowa.

– Toż to gorsze niżli więzienie! Bez twych demonów może byłbym mniej bezpieczny, ale zdany na siebie. To samo groziłoby mi i tu, w pałacu, i na polu walki. Skrytobójca! W pałacu tak! Ale na polu bitwy? Podczas wyprawy przeciwko najeźdźcom ze stepów?

– Ta wizja pozwala nam przygotować siły na to, co może nadejść – klarował filozof. – Jak na Sycylii i w Bułgarii. Zresztą błędem jest traktowanie tych obrazów zbyt dosłownie. Tak się może stać, ale nie musi.

Roman Diogenes przerwał mu.

– Tak, tak, słyszałem to już tysiąc razy. I cóż z tego!? Nie musi, ale może. Co mnie obejdą twoje teorie, gdy w moim sercu zatopi się puginał zdrajcy? Dlaczego moje straże nie potrafiły mnie przypilnować? I kto to mógł być? Dukasowie? Komnenowie? Botaniates? Którzy z dworskich intrygantów? Mów, Italosie! Chcę wiedzieć, jaka jest przyszłość i kto za tym stoi.

Uczony wzruszył ramionami. Tego już nie był w stanie powiedzieć.

– Do diabła z tym! – zakrzyknął gniewnie cesarz i ruszył w stronę wyjścia. – Zgromadziłeś wokół siebie tyle ksiąg, ale pożytku z tego nie ma zbyt wiele. Twe nauki mówią mi to, co mogę sam wywnioskować, patrząc na mapę i słuchając szpiegów. Nie są jednak w stanie wskazać mi rozsądnego rozwiązania. Tego jedynego możliwego, a nie dziesiątek wariantów.

*Basileus* wściekłym ruchem odciągnął kotarę. Chwilę zmagał się ze sztabami zamków, nim jednak Italos zdążył przyjść mu z pomocą, władca szarpnął drzwiami, objając je z trzaskiem o mur, i bez słowa zniknął w korytarzu.

## ROZDZIAŁ 6

Nicetas zdążył się już narąbać jak sterta drewna na opał. Belzebub pokręcił z niedowierzaniem głową: przecież zostawił przyjaciela na całkiem krótko.

– Więc przepuszczasz solidy na dziewczki, miast w wybornej kompanii wina pochłać! A my tu na ciebie czekamy. Ja, Zoe. A ty chędożysz w najlepsze!

Dziewczyna spojrzała na Kaliksta z wściekłością, której nie mógł skryć nawet dym snujący się pod powałą. Małe pugiwały w jej oczach były gotowe, by zadać śmiertelny cios. Po chwili ciężącej jak kamień młyński Zoe fuknęła i odwróciła wzrok, udając, że bardziej od przybyłego ziomka ciekawi ją spór dwóch pijanych majtków. Belzebub klapnął obok niej.

– Takie przyjemności zostawiam sobie na dalszą część wieczoru. Na razie, przyjacielu, miałem małą robótkę do zrobienia.

– He? Jeszcze ci nie styka? Mało wczoraj naskubaliśmy? A co to za fucha?

Kalikst przeklinał swoją nieostrożność. Zapomniał, że Nicetas po paru kubkach wina potrafił być niewyobrażalnie namolny.

– Dajże mi lepiej gardło przepłukać – rzekł wymijająco i zmienił temat: – Hej, Zoe, coś taka struta?

Dziewczyna posłała mu szybkie spojrzenie. Już nie było w nim pugiaków, ale wciąż wyginała usta w podkówkę.

Portowa tawerna „U Epifaniusza” huczała dziesiątkami głosów zlewających się w jedno pijackie brzęczenie. Powiedzieć: *jak w ulu* to za mało. To było gniazdo rozochoconych szerszeni. Awantura wisiała w powietrzu: trzy ławy dalej dwóch ogolonych na łyso, wytatuowanych wioślarzy z galery już wszczęło burdę, plując sobie w twarz przekleństwa. Nie było w tym prawdziwej agresji ani nienawiści. Raczej ta typowa pijacka zawziętość, gdy brat w mgnieniu oka może stać się wrogiem, a łyk wina później znów jest najlepszym druhem wysłuchującym wynurzeń od serca.

Chwilę był spokój, po czym jeden z awanturników rozpoczął opowieść. Nieco bełkotliwą, ale zebrani w tawernie pijacy chętnie nadstawili uszu.

– Na własne oczy widziałem! I cała kompania, co ze mną była, może zaświadczyć! Było to na wiosnę, gdyśmy się najęli u perskiego kupca. Wieźli my po Morzu Czerwonym ikrę od Rusów, a także wino i oliwę z Grecji. Płynęliśmy w stronę słońca, gdzie ludy czarne i dzikie.

I tam, po czterech dniach żeglugi, przysła burza. Posejdon wzburzył wodę, a fale były takie, że nasz kapitan, a był to Syryjczyk, chytry i podstępny, ale nie głupi przecie, dał rozkaz, coby płynąć do brzegu, szukać zatoki. Bijąc się z falami i burzą, łykając słoną wodę, dotarliśmy do wybrzeży krainy, która nie ma imienia, gdzie żyją czarni ludzie biegający nago, obwieszeni jeno ozdobami ze szczerzego złota. I tam, wtedy, stojąc na cichych wodach zatoki, zobaczyli my jednoroźca. No, wszyscy go widzieli! Stał na brzegu, ziejąc ogniem. Łeb miał niczym smok, paskudny i pokryty guzami. Z czoła wyrastał mu róg, lekko zakręcony, a długi jak me ramię, gruby u podstawy, a na końcu ostrzejszy niżli puginał. Mógłby tym rogiem przebić dwa lwy naraz albo słonia i nawet by się nie ugiął. Miał też brodę, długą szyję, z postawy podobny był do jelenia, jeno ze dwa razy większy, zaś nogi jak u lwa – mocarne i giętkie. Stał ten jednorożec, mierząc nas wzrokiem, pluł ogniem i wtedy, powiadam wam, wszyscy wznosili modły do swych bogów, nie wiedząc, co gorsze: bestia na brzegu czy sztorm na otwartym morzu.

Tyradę przerwał chrapliwy rechot.

– He, he, łżesz jak pies, Szczerbul! Gdzieś ty pływał? Do Libii i Egiptu najdalej, a reszta przysniła ci się, gdyś tam na słońcu wina zbytńo pochłał, poprawiając rakiją. Owszem, jednoroźce żyją w kraju czarnych ludzi, ale nie mają brody! Ha, ha, może kożę żeś widział, koza też ma róg, a nawet dwa, i brodę. Jam widział prawdziwego jednoroźca!

Belzebub kątem oka popatrzył na rozmówców. Dwóch śłaniających się z przepicia wioślarzy z galery otoczonych zasłuchanymi plugawymi gębami takich samych najemnych majtków z kupieckich statków jak oni. Ten, którego zwano Szczerbulem (trafnie – spod wygiętych wściekle warg wystawały trzy... nie, cztery gnijące zęby!), pokryty był mozaiką tatuaży nieudolnie zrobionych przez niego samego lub równie mało utalentowanego kompana. Nadmiernie rozwinięte od wioseł mięśnie jeszcze bardziej zniekształcały te sinoszare rysunki syren, morskich węży i zębatach ryb.

Drugi galernik, który przerwał Szczerbulowi opowieść, różnił się tylko tym, że nie miał oka. Łysy łeb przecinała mu czarna opaska, tył głowy zdobiła niewielka szrama, jednak poza tym obaj wyglądali jak bliźniacy.

– Jam widział jednoroźca na targu w Aleksandrii. Nubijczycy przywieźli go w klatce na sprzedaż, a złowili w głębi łądu, daleko za pustynią, którą Saraceni zwą AsSahra. Nie miał on brody, zaś jego róg był prosty i strzelisty jak Kolumna Konstantyna. Łeb miał jak koń, ale kły jak krokodyl, zaś jego szyja była krótka i krępa. Dolna część ciała przypominała lwa, a jego umaszczenie było czarne, czarne jako węgiel, zaś na końcu miał on ogon niczym skorpion, gruby i zakończony kolcem pełnym jadu. I nie jest prawdą, co Szczerbul głędzi, że...

Co nie jest prawdą, tego już nie dokończył. Na łbie galernika wylądował dzban z winem, ciśnięty z rozmachem dłonią pierwszego majtka. Czerwień trunku zmieszała się z krwią. To wystarczyło za sygnał. Chwilę później przy ławie wioślarzy wybuchła regularna bitwa. Początkowo na pięści, dzbany, michy i kubki, jednak gdy ten oręż okazał się za słaby, w ruch

poszły noże.

Zupełnie niezrażony tym wszystkim Nicetas Wielka Pięść wznosił kubek pełen wina i zakrzyknął:

– Zdrowie najlepszego złodzieja w Konstantynopolu! No, żebyście wiedzieli, do czego ten chłopak jest zdolny! Nie ma takiego drugiego w tym mieście, klnę się na Boga, niech mnie diabli w kotle smażą, jeżeli łżę! Pijemy! Dziś ja stawiam, a co tam!

Z tyłu posłyszeli nagle złowrogie mruknięcie.

– Taa, doprawdy? Taki z niego cwany gość? Te, a to może on mi buchnął?

Kalikst zerknął za siebie kątem oka. Zobaczył jakiegoś nabitego w sobie kurdupla o gębie pociętej bliznami. Tylko nieznacznie przykrywały je wypielęgnowane długie wąsy na turecką modłę. Zza pasa sterczały mu dwa zakręcone noże kute na wschodni sposób i zdobione arabeskami.

– Musi on mi buchnął, skoro taki zdolny.

Nicetas wlał w siebie następną porcję wina i ryknął na całą tawernę:

– No co, kurdupel?! Co ci buchnął? A jeżeli nawet, to co? Zdolny jest chłopak, to oskubał gęś do gołej skóry. O, prze-ep-praszam... Widzę, że nie do gołej. Się wąchy ostały, jak u Huna na koniku, co ze stepu tu do nas galopem.

Belzebub rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie: *Dajże spokój, dopiero co zaczęliśmy, a już mordobicie?*

Na próżno. Wielka Pięść wiedział swoje. Wypadł zza stołu i chwiejnym krokiem dopłynął do człowieka z bliznami na gębie.

– No co tam, aleksandryjski eunuchu? Co ci mój kompan Kalikst z sakiewki wydobył? Solidy, które zbierałeś na zakup kozy? Mówisz: *Trudno*, zaciskasz zęby i płaczesz! Nie będzie chędożenia!

Kurdupel z bliznami nie dał się sprowokować. Zlustrował Nicetasa pełnym pogardy wzrokiem i grzecznie rzekł:

– Jedno albo drugie, kupo tłuszczu. Albo jestem eunuchem, albo gromadziłem miedziaki na kozę do chędożenia. Jedno albo drugie, inaczej być nie może.

Wielka Pięść stracił rezon. Mimo harmidru panującego w tawernie zdawało się, że słyszc, jak w głowie osiłka powoli przeskakują tryby ciężkich myśli.

Wtedy z pomocą przyszła Zoe. Wskoczyła zza ławy i huknęła Nicetasa w ucho.

– Siadaj, ciołku! Zawsze z tobą to samo.

Drab posłusznie poczłapał na swoje miejsce. Ciężko klapnął na ławie i chwycił dzban z winem. Dziewczyna odwróciła się do bliznowatego.

– Wybacz mu, przyjacielu. Nicetas, ten wielki dryblas jednym ciosem zabijający rozsierdzone byki, rozrywający lwy na strzepy, dziś stanowczo za dużo wychylił trunków mimo wczesnej pory. Nie miał wobec ciebie złych zamiarów, wybacz mu więc.

Pocięta gęba zmarszczył gniewnie czoło, jedyne miejsce na jego facjacie, gdzie nie było



śladów po nożach. Chytre oczka latały to w tę, to we w tę.

– A ty co za jedna? Dziewka w męskim stroju? Jakaś jego dupodajka udająca chłopca i niańka zarazem? Dupy dajesz, a jak przyjdzie potrzeba, bronisz przed wciarami w tawernie?

Zoe zacisnęła zęby i przełknęła tę ostentacyjną zniewagę.

– Przyjacielu, przeprosiłam cię w jego imieniu. Więc siądź, gdzie twoje miejsce, i zapomnij o całym zajściu.

Bliznowaty kurdupel rozkręcił się jednak. Wyszedł zza stołu i stanął przed dziewczyną.

– Skoro ta spasiona świnią woli chłopców, to dlaczego chędoży ciebie, a nie tego drugiego, co to niby złodziejem jest jakimś wielce cwany? A może was oboje posuwa? Na zmianę. He, he!

Belzebub chwycił dzban. Nie mógł dłużej tkwić w tawernie „U Epifaniusza” tak całkiem na trzeźwo. Awantury toczyły się własnym rytmem, rządziły swoistą logiką, jakiej nie mógł pojąć człowiek, który od rana pił tylko wodę.

Tymczasem Zoe zbliżyła swoją twarz aniołka do pociętej gęby.

– Bój się, karle! On miał chętkę na twój zadek. Ciekawe, czy też tak pociachany jak twoja facjata, ha? Wiem, żeś na to liczył, ale musisz wiedzieć jedno: jakby ci wsadził w tyłek, rozerwałoby cię od środka. Winienesz całować me stopy za to, że cię ustrzegła od straszliwej śmierci w cierpieniach i wiecznej pogardy twych kompanów.

Kalikst znał tę melodię. Zoe dała się sprowokować i sama prowokowała. Z zainteresowaniem patrzyła, co dalej.

Kurdupel poczerwieniał i drgnął. Tylko drgnął, choć zapewne chciał więcej: najpewniej dobyć swych ostrzy wygiętych na saraceński sposób. Zresztą cokolwiek zamierzał – Zoe nie pozwoliła mu na to.

Skoczyła w stronę bliznowatego jak dziki kot. Jednym ruchem wyszarpnęła mu z za pasa ostrza. Cofnęła się o pół kroku, jednocześnie unosząc klingi w górę, na sztorc. Płynnie skoczyła w bok, unikając spodziewanego ciosu w twarz, co i tak nie nastąpiło. Jeden krótki skok. I już była za nim. Ostrza tylko zalśniły w świetle lamp oliwnych. Pierwszy nóż – między nogami kurdupła. Drugi nóż – przy jego szyi. Na twarzy niewysokiego wykwitł wyraz niedowierzania powoli przeradzający się w czerwoną wściekłość.

Nawet galernicy od jednorożca przestali wywijać kosami. Kobieta jak demon, to było coś!

Zoe lekko drasnęła bliznowatego w podbródek. Cienka strużka krwi pociekła mu za kaftan. Jakby się zaciął przy goleniu. Gwar w gnieździe szerszeni przycichł nieco – kilku gości tawerny zasiadających przy najbliższych stolikach z zaciekawieniem patrzyło, co jeszcze im pokaże ta cwana mała.

– He, he – zarechotał ktoś w odległym kącie sali. – Zoe znowu daje popalić jakiemuś ciulowi.

Wtedy kurdupel szarpnął się zupełnie bez pomysłu, jakby stracił zdrowy rozsądek.

– Spokojnie, przyjacielu. Nie fikaj, bo cię drasnę głębiej – usłyszał.

Belzebub wiedział, co robić. Pociągnął Nicetasa w stronę wyjścia z tawerny.

– Już kończymy?

– Ty może i tak. Ale na razie zmieniamy melinę. Zbieraj dupsko.

Osilek doturlał się do drzwi. Kalikst za nim.

Zza tłumu pijących wyleciał jak kula z katapulty szynkarz w towarzystwie dwóch pomocników – wysokich bliźniaków o żylastych ramionach, przedłużonych o nabijane kamieniami pałki.

– Hola, Nicetasie! A kto za napitek będzie płacił?

Wielka Pięść zaszczycił go mętnym spojrzeniem swych pijanych oczek. O co temu chodzi? O co się awanturuje ten rumiany kiep? Napitek? Płacił? A tak.

– A masz, chytry Syryjczyku! – Nicetas dobył sakwę i grzebiąc w niej niedbale, wyłuskał kilka *nummi*. Cisnął je szynkarzowi pod nogi. – Ano masz. Masz i udław się!

Jeden z bliźniaków ruszył w ich stronę z groźną miną. Właściciel tawerny wstrzymał go krótkim ruchem pulchnych dłoni i wskazał podbródkiem na monety.

Dryblas, zaciskając zęby, niezgrabnie przysiadł i zaczął zbierać rozrzucone miedziaki.

Belzebub skinął na Zoe: *Możemy wiać.*

Dziewczyna puściła bliźnowatego i zabierając ze sobą jego noże, wskoczyła na stół.

– Aleee, co to, do siedmuset diabłów, ma być? – wybełkotał któryś z portowych robotników zupełnie nieświadom, co się dzieje i do kogo mówi. Pocięło rozlane wino.

Zoe odskoczyła od blatu i jednym zwinnym skokiem przemknęła nad głowami pijących. Wylądowała dwa kroki od Kaliksta.

Po chwili całą trójką zniknęli za drzwiami tawerny.

– Zabiję! Stój, ty sprzedajna wszeteczniczo!

Na nic krzyki. Nim kurdupel z bliźnami wyskoczył na ulicę, po trójce złodziei nie było już śladu.

\* \* \*

Później zaszli jeszcze do tawerny „Pod Czarnym Krabem” trzy ulice dalej. A na koniec do dwu innych stojących wzdłuż nabrzeża: „Bezgłowego Scyty” i „U Teofilakta”. Tam też Kalikst wyrównał do Nicetasa, choć nie był aż tak skory do awantur. Nie licząc drobnej szarpaniny, podczas której Wielka Pięść wybił dwa przednie zęby jakiemuś przybłądzie z egipskiej galery, tej nocy nie działo się nic, o czym mogliby wspominać kronikarze.

To zaś, co działo się rano w głowie Belzebuba, gdy już wino wywietrzało – a pozostały tylko smutne realia, jakie dopadają po nocy każdego hulakę – również nie znalazłoby się w sferze zainteresowań pisarza. Nawet jeżeli Kalikst uważał, że takiej burzy, że takiego sztormu, że takiej zawieruchy nie widział nikt ani tu, ani na całym Morzu Marmara – ach, gdzie tam! – na całym Morzu Śródziemnym, a kto wie – zapewne i na wszystkich morzach

świata, jakie Pan Bóg stworzył i dał człowiekowi na użytkowanie. I owszem – gdyby te straszne żywioły szalały nie tylko w głowie Kaliksta, żaden szacowny kronikarz nie omieszkaby zawrzeć w swych księgach szczegółowego opisu tego wydarzenia. Jednak nie mówimy o tym, co *gdyby*, lecz o tym, co było.

Sztormy sztormami, ale jeszcze inna rzecz nie dawała spokoju Belzebubowi. Obudził się w łóżku, które bez wątplenia nie należało do niego. Jedno spojrzenie i już nie miał wątpliwości: to było niewielkie pomieszczenie mieszkalne w przybudówce przylegającej do portowych magazynów, dobrze mu znana izba Zoe. Ona sama zaś, całkiem naga, leżała rozciągnięta obok, bezwstydnie, acz nieświadomie wystawiając mu pod oczy swe foremne, choć dosyć drobne piersi. Wciąż spała, a na jej twarzy, okolonej ciemnymi kosmykami przylepionymi do czoła, malował się wyraz błęgiego szczęścia.

Kalikst zapytany w tej chwili, co było w nocy, nie potrafiłby odpowiedzieć. Wytężałby pamięć, dociekając, co miało miejsce po tym, gdy opuścili tawernę „U Teofilakta”. Próżne wysiłki. Drzwi, które zatrzasnęły się za nimi, gdy umknęli z winiarni, odgrodziły go od wspomnień wieczoru. Powstrzymując sztorm w głowie, próbował przeniknąć mrok niepamięci. Zoe była naga, jednak on sam spał w ubraniu, nawet butów nie zdjął. Niby w niczym to nie przeszkadza, a niekiedy nawet bywa o wiele bardziej praktyczne. Ale w tych okolicznościach... Sam już nie wiedział. Co gorsza, taka sytuacja miała miejsce nie pierwszy raz. Znowu budził się z kuszącą nagą Zoe u boku, z szumem w głowie, bez pamięci. Los tak chciał, że nigdy nie było między nimi nic bez wina. A po winie – co było, tego nie wiedział. Nie pamiętał, ona też pewnie nie. Albo nie chciała powiedzieć.

Nie, Kalikst Belzebub nie miał problemów z dziewczkami. Potrafił je bałamucić jak mało który. Gdy sięgał pamięcią, było ich... No, zresztą kto by tam liczył. Był czas, że każdą większą popijawę w wesołej kompanii z portu kończył w objęciach jakiejś pięknej dzierlatki. Czasem wymagało to pewnego uszczuplenia kiesy, brzęknięcia paroma solidami, jednak zasadniczo nie było to potrzebne. Smagłe, czarnowłose dziewczęta z Konstantynopola lub nieco dzikie Turczynki. Była też pewna Bułgarka, z którą miewał spotkania nie tylko po biesiadach w tawernie. Zaznał miłości ze zmysłowymi Nubijkami, nieśmiałyymi Syryjkami... no i z Anną. Ta kobieta z dalekiej Północy przybyła na ziemie cesarstwa z pewnym najemnikiem, Armeńczykiem, który wygrał niebieskooką białogłową w kości od perskiego handlarza niewolników. Zdarzyło się, że Kalikst w pozbawionej sensu ulicznej awanturze dziabnął najemnika kindżałem w grdykę. Jeden cios i od razu śmiertelny, niezamierzony i chyba całkiem niepotrzebny. Ten czyn, poza pragnieniem zemsty kompanów Armeńczyka, zapewnił Belzebubowi gorącą, pełną oddania miłość Anny. Korzystał z tego dobra bez jakichkolwiek obiekcji, łapczywie zrywając soczyste owoce ich uczucia. Niebieskookiej białogłowie dopiero wówczas się odwidziało, gdy na jej wymruczane pytanie odpowiedział, krzycząc z przerażeniem: *Matżeństwo? Dzieci? Niech mnie diabli przed tym bronią!*

Żal po zniknięciu Anny koił w objęciach kolejnych dzierlatek z tawern na nabrzeżu. One

już nie miały takich oczekiwań. Wystarczył dzban wina i gorąca noc spędzona w zatęchłej izbie.

Ale z Zoe było inaczej. Gdy ją poznał, zdała mu się mało atrakcyjna. Sam był wtedy młodziakiem, a ona wyglądała bardziej jak młody łobuziak z portowych dzielnic niż jak kobieta. Krótka obcięta, zawsze umorusana, poobijana, klnąca jak chłopak. Dobry kumpel, towarzysz zabaw, pierwszych popijaw. Ale obiekt pożądania? Nie, na pewno nie wtedy!

Jednak z czasem... Kalikst długo nie mógł zrozumieć, co się z nim dzieje. Chciał widzieć w Zoe kompana do pijaństw, ziomka, z którym mógł kraść sakiewki nieostrożnym mieszczanom. Ale kobieta? I do tego coraz powabniejsza, o delikatnym licu i pięknych czarnych oczach. Odpychał od siebie tę myśl, a ta wraz przychodziła: że tego, co czuł do Zoe, nie można porównać do kumplowskiej sztamy, jaką trzymał z Nicetasem. Dziewczyna budziła w nim uczucia, jakich zapewne oczekiwała Anna. To było jeszcze głęboko ukryte, odpychane, jednak coraz częściej dawało znać o sobie. Co gorsza, im bardziej rosło w siłę, tym bardziej odbierało mu rezon. Z Zoe nie potrafił tak, jak z portowymi ladacznicami. W ogóle z nią nie potrafił. I choć nieraz kończyli popijawy we wspólnym łóżu, nie potrafił nigdy odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie działo się w nocy.

Tak też było i teraz.

Dogorywając, leżał ze wzrokiem zawieszonym na sęczkach drewna w belce podtrzymującej sufit. Próbował jeszcze zasnąć, jednak bez efektu.

Zoe obudziła się akurat wtedy, gdy po raz kolejny skupił wzrok na jej kształtnym ciele. Podziwiał płaski brzuch dziewczyny i dwa wzniesienia ponad nim, rozważając, czy jest szansa na to, by prześcieradło, którym była przykryta, zjechało jeszcze niżej. Zaczął wyobrażać sobie, jak sunie językiem po jej gładkiej skórze, jak pieści te piękne ciemnobrązowe guziczki, a później schodzi niżej i niżej...

– Ej, a ty co? Wlepiasz gały jak osioł w worek owsa – mruknęła z udawaną złością Zoe, wstając z taką energią, jakby problem sztormów w głowie w ogóle jej nie dotyczył. Owinęła się prześcieradłem, zeskoczyła z łóżka i złapała dzban z wodą.

Długo piła, a potem rzuciła z przekąsem:

– Jestem pewna, że nic nie pamiętasz z nocy. A jak zwykle dużo się działo. No, minę masz, jakby cię żywym ogniem w pięty piekli. W głowie sztorm?

– Sztorm – przyznał z niechęcią Kalikst, roztrząsając, czy w tej uwadze o nocy ukryta była jakaś głębsza treść. Noc w ogóle? Czy noc z Zoe, w łóżku? Czy może jedno i drugie?

Niestety, Zoe najwyraźniej bawiła się jego niewiedzą i brakiem pewności. Znaczy – coś musiało być, bo jaki by miała w tym interes? Zresztą... Zawsze było tak samo. Ciekawe, co ona czuła w takich chwilach? Kątem oka patrzył, jak dziewczyna narzuca na siebie tunikę, zwiewną i tak lekką, że jej ciało jeszcze bardziej kusilo niż wtedy, gdy spała. Rzadko widywał ją w takim stroju. Po mieście nosiła się po męsku, na tyle skutecznie maskując swą kobiecość, że zazwyczaj brano ją za młodego wyrostka. To też prowadziło niekiedy do

zabawnych konsekwencji: Zoe miała największe powodzenie wśród portowych dziewczek, jak również dworzan i kapłanów gustujących raczej w chłopcach. Do czasu, oczywiście, gdy to, kim jest, nie wyszło na jaw.

A może nic nie było, a zabawa niepewnością Kaliksta to tylko jego wymysł? Już miał się zapytać – w końcu jeżeli spędzili razem noc, kto wie, może już kolejną, zakończoną aktem pełnego oddania, to Zoe nie ma nic przeciw temu, by o tym najnormalniej pod słońcem pomówić. Otworzył usta, ale ona go ubiegła.

– Słuchajże no, kochasiu – rzuciła niedbale przez ramię, przetrząsając fatalaszki w skrzyni pod ścianą. – Nie chcę cię wyrzucać, twe towarzystwo jest całkiem miłe, jednak teraz chciałabym poświęcić czas na parę spraw. Rozumiesz? Nie musisz mi przy nich towarzyszyć, więc jak chcesz, możemy spotkać się za kwadrans u Jednookiego na śniadaniu. Możesz nawet dla mnie od razu coś zamówić. Niech będą smażone jajka i chleb do tego. A teraz idź już.

No tak, zawsze go zbywała w ten sam sposób. Belzebub zmył się jak niepyszny, myśląc o tym, co mogło być, a nie było. A może było?

Nie wiedział.

\* \* \*

Niedługo później, kiedy zobaczył ją, jak idzie, jego myśli zaprzętały już zupełnie inne sprawy. Skinął na Jednookiego: *Dawaj śniadanie!* Ledwie Zoe usiadła na miejscu, jak zwykle ubrana w strój miejskiego łotrzyka, oberżysta przyniósł dwa wielkie talerze wypełnione smażonymi jajkami. Do tego chleb pocięty na grube pajdy i piwo. Belzebub zaczął od napitku. Dopiero osuszywszy jeden kubek, poczuł, że sztorm w jego głowie uspokaja się, a w brzuchu narasta głód.

Dziewczyna wcinała bez słowa, wpychając pełne łychy jajek i wielkie kęsy chleba. Kalikst uzmysłowił sobie, że od poprzedniego południa w ustach miał tylko kolejne kubki z winem. Nic do jedzenia, bo zazwyczaj zapominał o takich detalach. Skinął na Jednookiego, żeby poleił więcej piwa. Potem, nie zwlekając, zajął się śniadaniem.

Jadło zapchało ssącą dziurę w żołądku, a piwo miło rozleniwiło. Belzebub popatrzył po okolicy. Oberża Jednookiego stała nad samym brzegiem Złotego Rogu. Z drugiej strony zatoki lekko chygotały się weneckie statki, między którymi robili swoje z Nicetasem dwie noce temu. Obok tawerny był targ, na którym rybacy sprzedawali, co tam tylko wydobyli sieciami z morza. Fakt, trochę za bardzo jechało rybami, ale z czasem człowiek przywyka i nie może bez tego żyć. Czuć było też smołę, morską sól, bryzę i rozgrzane przez słońce kamienie. Zapachy, które towarzyszyły Kalikstowi od dziecka.

Leniwie patrzył na tłumy chodzące pobliskimi uliczkami. Wioślarze z galer, rybacy, kupcy, gospodynie uzupełniające od rana domowe zapasy, między nimi drobne złodziejaszki, które w życiu nawet nie słyszały o czymś takim jak gildia. Mieszkańcy Konstantynopola szybko załatwiali swoje sprawy i szli dalej, na ich miejsce spływały nowe masy ludzkie.

Brzęczały monety, trzeszczały skrzynie z dostawami towarów. Pokrzykiwania robotników portowych mieszały się z zawrotem kramarzy i jazgotem przekupek. Greka pobrzmiwała na równi z mową Syryjczyków, śpiewnym językiem Rusów, łacinników, Żydów, Egipcjan, Ormian, a nawet Persów. Wszystkie języki ludzkości, wszystkie nacje, wszystkie kolory twarzy; rozmaite obyczaje, o jakich nie pisały jeszcze kroniki historyków. Konstantynopol, wieczna stolica świata.

Oderwał wzrok od tego barwnego widowiska portowej codzienności i jakby mimochodem rzekł do Zoe:

– Jakbym gdzieś zniknął na kilka dni... to znaczy, że zniknąłem.

Dziewczyna spojrzała na niego jak na wiejskiego przygłupa.

– Co?

Zreflektował się. Z wysiłkiem zebrał myśli i zaczął jeszcze raz:

– Jakbym gdzieś zniknął na kilka dni z miasta, to znaczy, że mam coś na oku. Robotę. Nie ma obaw.

– Masz robotę? I chcesz ją wziąć, dając chodu bez słowa?

– No, nie bez słowa. Przecież właśnie mówię.

– Gównu mówisz! Co to za fucha?

Uznał, że jednak już powiedział zbyt wiele. Trzeba było trzymać gębę na kłódkę, przynajmniej ani słowa Zoe. Nicetas by to pewnie szybciej zrozumiał.

– Eee, od razu tam! Tak tylko mówię, na wszelki wypadek. No, różne mam sprawy na oku, takie tam... Może znajdzie taka konieczność, że parę dzionków będę w podróży, więc nawijam, co byś później nie musiała po ludziach rozpytywać.

Nie tak prosto było jednak uśpić jej czujność. Dziewczyna już wietrzyła, co jest grane.

– Ty! Co ty mi tu wciskasz? Albo powiesz mi, co to za sprawa, co za cholerną fuchę dorwałeś za miastem za tłuste solidy, albo zabieraj stąd dupę i nie chcę cię znać!

Zoe była stanowczo zbyt inteligentna i nazbyt impulsywna. Groźna mieszanka, zwłaszcza gdy chce się coś ukryć.

– Eee tam, Zoe! Spokojnie. Na razie nie mam roboty. Może nie będę miał, wtedy tej rozmowy w ogóle nie było. Ale jakby co, to chcę, żebyś wiedziała, że jest u mnie jak trza.

Dziewczyna poczerwieniała z wściekłości.

– Jeżeli natychmiast nie powiesz mi, o co chodzi, nie chcę cię więcej znać!

– Zoe, nie mogę nic powiedzieć. Jakby co, to obiecuję, że będziesz wiedziała o tym pierwsza. Ale teraz gęba na kłódkę. Ani mru-mru. Cisza na morzu.

Zerwała się z krzesła. Nie powiedziała jednego słowa, ale wygięte w podkówkę usta i błyskawice ciskane z oczu były aż nadto wymowne. Chwilę mierzyła go morderczym wzrokiem, zabijając w myślach co najmniej tuzin razy, po czym lawirując zgrabnie między stołami, wyskoczyła na ulicę i nie patrząc za siebie, zniknęła w tłumie.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. *Jak to jest – myślał – że zawsze dają się w to*

wciągnąć? Co bym nie powiedział, zawsze jest nie tak, nawet jak chcę dobrze. Nic nie powiem – jest źle. Powiem – jest jeszcze gorzej. Kobiety!

\* \* \*

Resztę dnia spędził na przygotowaniach. Po pierwsze, odwiedził skład Nicefora Góry, gdzie uzupełnił zapas strzałek do rzucania i zakupił pewną ilość mleka czarownic. Szybko zapłacił i ograniczając się do zdawkowych pozdrowień, ruszył po dalsze sprawunki. W składzie było wszystko, czego potrzebował, jednak zgromadzenie pełnego ekwipunku, broni i stroju niepotrzebnie zwróciłoby uwagę Góry. Zaraz zaczęłyby się komentarze: *Ooo, to widzę, że znaczna sprawa jest na rzeczy. No musi być to poważne zlecenie, skoro tyle nummi idzie na obstalunek.* Albo jeszcze inaczej: *Ten to zawsze wie, gdzie ucho przyłożyć! No to powiedzże, gdzie teraz można zarobić parę solidów.*

Tego chciał uniknąć, zresztą po co w ogóle ma ktoś wiedzieć, że coś szykuje? Na dalsze zakupy zaszedł do znajomego Syryjczyka, który miał asortyment znacznie skromniejszy niż Nicefor, ale dyskrecja była zapewniona. Kalikst wybrał u niego mamelucki bułat, broń dosyć nietypową jak na te strony, ale w ocenie Belzebuba takie ostrze było wygodniejsze w użyciu niż nieporęczne *spathiony*. Do tego niewielki łuk refleksyjny z sajdakiem, wzorowany na tureckim, ale wyrabiany przez miejscowych rzemieślników, bardziej staranny niż ci ze stepów. Dla ochrony lekką kolczugę z rękawami po łokcie. Na to wszystko wydał aż siedem solidów. Syryjczyk drogo sobie liczył, niechybnie po to, by się targować. Kalikst niechętnie dał mu tę przyjemność – zbił cenę o dwa solidy i choć czuł, że kramarz skłonny był obniżyć ją jeszcze bardziej, machnął na to ręką i zapłacił. Tamten nie krył rozczarowania – oczekiwał, że rytuał hałaśliwego przebijania cen potrwa dłużej. Sam więc obniżył należność o jeszcze jednego solida, co i tak w sumie dawało więcej, niż się należało. Belzebub jednak nie czuł uwagi do zbyt długiego handlowania, chciał tylko kupić co trzeba i pójść w swoją stronę.

Kolejne solidy – pięć monet – wydał na konia. Po uważnych oględzinach zrezygnował z zachwalanych przez żydowskiego kupca szlachetnych rumaków z Anatolii i Iranu. Wybrał miejscową odmianę, nawykłą do długich podróży i jedzenia przydrożnych chwastów. Nie potrzebował konia na paradę.

Na załatwianiu takich spraw zeszła Kalikstowi reszta dnia. Był już gotów do podróży, ale przedtem czekało go jeszcze jedno zadanie. Tu, w Konstantynopolu.

– Wybacz, mistrzu, ale sam mnie do tego zmusiłeś. Muszę to zrobić – mruknął sam do siebie pod nosem.

Gdy zapadł zmrok, naciągnął czarny strój nocnego złodzieja i dobrał zestaw narzędzi: wytrychy, piłki, haczyki i strzałki do rzucania. Owinął twarz zawojem, po czym ruszył w miasto, jak zawsze unikając wzroku mijanych przechodniów.

Kierował się w stronę rezydencji mistrza Atanazego.

## ROZDZIAŁ 7

– Demon?

– Ano tak. Demon. Zabija wszystkich, co tylko za blisko podejda.

Cykady grały swój popołudniowy koncert. Słowa kupca z trudem przebijały się przez natarczywą muzykę owadów.

– Ludzie miejscowe gadają, że to wszystko ze studni wyszło.

Popatrzył na gadatliwego człowieczka. Rysy twarzy i akcent zdradzały, że to Syryjczyk, chociaż odziany był na modłę konstantynopolitańską. Długa tunika w kolorze czerwonego wina, zdobiona złotymi nitkami nie była najlepszym strojem na podróż przez zakurzone drogi Anatolii. Do tego rumiane policzki, krótkie rączki i wyraz naiwnej ufności, jaki malował się na twarzy kupca. Wszystko wołało: *Mam ci ja tu wypchany solidami mieszek, proszę, panie zbójcu, obrabuj mnie i pozbaw wszelkiego dobra. Możesz nawet zabrać mój piękny strój w kolorze rubinów, a na pewno odsprzedasz go z zyskiem.*

Kalikst Belzebub z trudem powstrzymał odruch, który nakazywał mu spełnić tę prośbę.

– Ze studni? – zapytał.

– A jużci. Miejscowi gadali. Tutejszy przeor, bo to ziemia monastynu, kazał kopać zbiornik na wodę, by do źródła się dogrzebać. Żeby okoliczne pola wodą napoić, bo deszcze tu nieczęsto padają. No i ten przeor, znaczy jego robotnicy zaczęli kopać. Kopiają, kopiają, nagle patrzą: ruiny. Musi jakaś pogańska świątynia albo co, bo znaleźli wielkie kamienne płyty z osobliwymi znakami i napisami, których nikt nie potrafił odczytać. No i miejscowi, znaczy ci kopacze, a właściwie ten przeor, Bogu jęli radośnie dziękować, że będzie z tego dobry budulec, lepszy niż tutejsze skały, coby umocnienia porobić i wznieść solidne budowle. Kazał kopać dalej, a płyty wydobyć i odciągnąć na posiadłości monastynu. Ruszyli pierwszą płytę: nic. Drugą, trzecią: nic. Dopiero czwarta, rozumiesz, chroniła wejście do lochu. Do lochu tej świątyni. Kiedy parobcy ją podnieśli, z wnętrza zabrzmiał chichot diabelski...

Kupiec przeżegnał się nerwowo. Rzucił na boki szybkie spojrzenia, niechybnie w obawie, że zza skałek wyskoczy nagle gromada smolistych szatanów.

– Diabelski... Po prostu... No, znać, że tu diabli. Eee... – grubasek najwyraźniej stracił wątek swej opowieści.

– Diabelski chichot. Zabrzmiał z wnętrza... – Kalikst naprowadził go na właściwy trop.



– Ano chichot! – Kupiec odzyskał rezon. – I jak mówią, ciemność na chwilę zapadła. Z dziury w ziemi, z tej świątyni dawnej pogańskiej, wyskoczyła gromada demonów, które tam były uwięzione. Pochwyliły ciała parobków i ich opętały. A jeden, dla którego zabrakło ciał ludzi, czmychnął do tego drzewa. O tam! I nie chce wyjść.

Belzebub spojrział w ślad za pulchnym paluszkiem kupca. W tym miejscu droga wiodła na niewielki pagórek, tak jak cała okolica porośnięty zeschłymi trawami, karłowatymi drzewkami i poznaczony rozrzuconymi bezładnie skałkami. Jakies pięćdziesiąt kroków dalej szlak dochodził do rozstajów. Tu krzyżowały się drogi wiodące do Kapadocji i Paflagonii.

Na prawo od skrzyżowania, pośród wydeptanych traw, stało pięć wozów kupieckich, wokół których łąziło bez celu kilku zbrojnych dźwigających długie miecze. Przy bokach przytroczone mieli sajdaki z łukami, zaś na plecach – kołczany pełne strzał. Ich szyje wręcz uginały się pod talizmanami zawieszonymi na rzemykach i srebrnych łańcuszkach. Medaliki, święte obrazki, krzyżyki – wszystko, co mogło zapewnić pomyślność i Boską ochronę. Czule całowane, przyciskane do serca, pieszczone w trakcie cichej modlitwy.

Teraz Kalikst zrozumiał niefrasobliwy strój swojego rozmówcy. Grubasek miał solidną ochronę, poza zbrojnymi podróżowało wraz z nim kilku innych kupców odzianych równie pięknie i bogato.

Odciągnął wierzchowca na bok i przywiązał cugle do wyschniętego, pozbawionego gałęzi pieńka. Nie był to zbyt dobry punkt zaczepienia. Gdyby koń przestraszył się – dajmy na to – demona albo innego złego ducha, o którym prawił kupiec, to dalszą część drogi Belzebub musiałby pokonać pieszo. Jednak poza skarłałym drzewkiem nie było tu nic lepszego. Tylko skały, marne poletka i trawy niemrawo szeleszczące w powiewach wiatru.

– Wieziemy do Konstantynopola kitajski jedwab i pachnidła z Indii. Drogocenny ładunek, z którym idziemy od samego Damaszku – wyjaśnił Syryjczyk. – I tu nas demon zatrzymał. Ostatni z tych demonów, który skrył się w tym drzewie.

Sto kroków dalej, na lewo od traktu, stał wysoki, nieco poskręcany cyprys. Jego żywe gałęzie zupełnie nie pasowały do jałowej okolicy, do suchej ziemi i traw poruszanych ganiem cykad. Kalikst dopiero po chwili dojrzał wśród zeschniętych wiechci nieruchome ciała – koni, które ciągnęły pierwszy wóz kupieckiej karawany. Rozszarpane – zdało się – pazurami jakiegoś potężnego drapieznika. Zakrwawione, z rozwleczonymi wnętrzościami, wciąż uwiązane w skórzanej uprzęży. Muchy krążące nad zwłokami. Kilkanaście kroków dalej w trawie leżały ciała ludzi, tak samo rozszarpanych, obleczonych zakrzepłą czerwienią. Pięć, dziesięć, nie – więcej trupów wygiętych w nienaturalnych pozach. Cierpieli. Przed śmiercią cierpieli, to było widać.

Popatrzył uważniej na ciała. Z tej odległości trudno było dojrzeć szczegóły, jednak zauważył, że pośród zakonników, robotników rolnych, kolonów zabitych przez demona leżała także kobieta. Luźna tunika zachłapana krwią ledwie zakrywała kształtne ciało o wyraźnych krągłościach. Twarzy jednak nie szło się przyjrzeć. Nie, inaczej: tam, gdzie niegdyś musiała

być głowa niewiasty, teraz straszyl bezkształtny rudoczerwony strzęp. Belzebub mimowolnie zadrżał. Coś ścisnęło go w żołądku.

– Zabija wszystkich. Ludzi, zwierzęta... Kto tylko podejdzie bliżej, tak jak nasze koniki z pierwszego wozu. I przednia straż karawany. Woźnica, który prowadził wóz. Tylko much nie zabija. Much jest coraz więcej i więcej, i chyba jeszcze ani jedna nie padła. Podłe stworzenia, musi z samych piekieł, z tej tam dziury co i demon...

– Jak to zabija? Czym zabija?

– Ano... No po prostu zabija. Idą koniki, idą, wóz prowadzą, nagle coś, taka jakby siła od tego drzewa się zakotłowała, coś jakby podmuch śmiertelnego wiatru, jak wybuch białych płomieni, tylko że bez żaru. I nagle nasze zwierzęta rozerwało coś. Ta siła. Łby pourywała, wnętrzności wywlekła... Ludzie tak samo. Padli, brocząc krwią, dobrze, że głów przynajmniej im nie poodcinał. Jeden dychał jeszcze, czołgał się, ale umarł, bo tyle krwi mu wyciekło.

Wokół obstawy karawany chodzili miejscowi. Koloni o rumianych twarzach i kilku mnichów w przybrudzonych habitach. Żywo o czymś rozprawiali.

– A ci co? Co to za zbieranina? – zapytał Kalikst.

– No, naszło się ich tu, kiedy demon zaatakował pierwszy wóz. Powiadają, że zły rośnie w siłę. Bo dotąd zabijał tych, którzy podchodzili pod samo drzewo, zbaczając ze szlaku. Widać jednak wzbiera w nim siła: jak kogo ubije, to wysysa jego duszę, pożera i w ten sposób coraz dalej może zabijać. A teraz aż do traktu i atakuje przejeżdżających Bogu jeno ducha winnych kupców.

– Nie można przejechać?

– Nie idzie. Znaczący można obrać drogę naokoło, idąc szerokim łukiem przez pola. I gdyby nie nasz wóz, tak byśmy poczynili. Ale tam nasze cenne towary. Zbyt cenne. Jeden wóz mniej i nasza wyprawa będzie nieopłacalna, bo nie weźmiemy już za nasze dobra więcej solidów. I tak ceny wzrosły, odkąd w Syrii i Persji panoszą się Seldżuci. To dziki naród, żyje jeno z grabieży i śmierci. Wszystkie szlaki handlowe muszą iść teraz drogami naokoło.

Skinąwszy głową Syryjczykowi, Belzebub podszedł do grupki rozgadanych miejscowych. Jakiś chudy mnich, żwawy starzec w skufii na tysej głowie, perorował w uniesieniu:

– To hardy demon, przyjezdny, pewnikiem z Kapadocji, bo tam złe duchy już zupełnie nie mają posłuchu i poważania dla świętych ludzi. Spójrzcie po tych polach, po tych łąkach i trawach wysuszonych przez słońce. Tu demony przybierają postać jaszczurek, zajęcy i koszatek, bywa też, że pcheł. Łatwo je rozpoznać i łatwo przegonić. Tak jak zajęce, są one płochliwe i niezdecydowane. Święty człek, wystarczy, nakaże im: *Idź precz, siło nieczyste, odpuść, odejdz i nie wracaj!* I słuchają, bo są stworzeniami o słabej woli. Ale ten... Doprawdy, to musi jakiś silny demon z Kapadocji. Najpierw zajął jako swoją siedzibę uschnięte drzewo, cyprys, który zasługiwał już tylko na ścięcie, bo nadto wyrósł i ta niezbyt urodzajna ziemia nie mogła mu już dać wody. Demon zajął drzewo, czyniąc sobie kpinę z Boga. W ciągu jednej nocy gałęzie drzewa, dotąd usychające i pożółkłe, pokryły się żywą

zielenią. Oto bluźnierstwo przeciwko Panu! Kpina z Wszechmogącego! Tym aktem powiada sprytny demon: *Jam ci posiadał taką samą moc jak Stwórca. Mogę dawać życie i mogę je odbierać.*

Zasłuchana w słowa starca gawieź zaczęła szeptać nerwowo. Kilku przeżegnało się z niepokojem.

– *Mogę dawać życie i mogę je odbierać* – perorował dalej mnich. – *Czy to drzewo, czy zając, czy człek. Każde stworzenie Boże.* Kpina i bluźnierstwo!

– Koniec świata! To musi koniec świata i dzień Sądu nadchodzi – jęknął ktoś w trwodze.

Starzec w skufii obruszył się. Ściągnął gniewnie brwi i potoczył wzrokiem ponad głowami słuchaczy.

– Który? Który to powiedział? Demon bluźni swoimi czynami, ale to, te słowa, to jest dopiero bluźnierstwo! Myślicie, że co? Że byle demon, byle diabelski posługacz, pierwszy lepszy szatański parobek, który na co dzień zamiata podłogę między kotłami w piekle, może zwiastować dzień Sądu? Niedoczekanie! Niedoczekanie, powiadam. To jeno kpiny i harce złego, żarty czynione z pobożnego ludu.

Tłumek kolonów i wiejskich obwiesiów umilkł. Nikt się nie chciał przyznać do słów, które wyrażały obawy wszystkich. Mnich sapnął gniewnie, gromiąc spojrzeniem gawieź, po czym znów przemówił:

– To ziemia monastyru i takie rzeczy nie mają prawa tu zachodzić. Przyjezdny demon z Kapadocji, nawet najbardziej hardy, nie będzie dłużej plwał na słowa Pana. To ziemia monastyru! Nasz przeor, gdy tylko spostrzegł, do jakiej zguby doprowadziła nieroztropność kopaczy, zawezwał świętego męża. Święty mąż przybędzie z miasta Ancyra i odprawi egzorcyzmy, które wygnają nieczystą siłę z tego oto drzewa. Przybędzie święty Eustracjusz Garidas!

*Eustracjusz Garidas, biskup z Ancyry. Święty człowiek* – mówił o nim lud, zaś opowieści o czynionych przezeń cudach powtarzano tak w tawernach, jak i w murach kościołów. Eustracjusz znany był ze swych egzorcyzmów, chętnie jeździł po ziemiach imperium, Anatolii, Kapadocji, Paflagonii, przepędzając demony i zbłąkane duchy kuszące do zła spokojnych poddanych cesarstwa. Kościelni i dworscy dostojnicy z Konstantynopola wyrażali się o nim już bardziej powściągliwie, widząc w nim jednego z kandydatów na patriarchę. Sam Eustracjusz Garidas niechętnie podejmował ten temat. Powiadał: *Patriarchą Konstantynopola jest Kostna i póki czyni swoją posługę, takie słowa nie przystoją.* Taka postawa jeszcze bardziej zjednywała mu zwolenników i tylko nieliczni utrzymywali, że za tym kryje się przemyślana kalkulacja.

Stary mnich prawił dalej:

– Święty Eustracjusz Garidas w swej walce przeciwko demonom, w swej krucjacie przeciwko siłom nieczystym, w swych egzorcyzmach przywołuje imię naszego patrona, świętego Teodora z Sykeon. Już dziecięciem będąc, pokazał Eustracjusz, że złe duchy mu

niestraszne. Nieopodal wioski, w której mieszkał, zwykły gromadzić się demony nękające miejscową ludność pod postacią wilków i inszych dzikich zwierząt. Tam też, na jedno ze wzgórz, przybywała Artemida w otoczeniu złych duchów, w południe i o północy czyniąc istne sabaty, a każdy, kto chciał tam podejść, padał trupem na miejscu zupełnie jak tutaj. Święty Eustracjusz nakazał wtedy: *Wykopcie mi jamę w ziemi, najbliżej, jak się da, tak bym mógł przepędzić złe duchy z powrotem do piekieł*. I mimo że był dziecięciem jeszcze, posłuchali go, bo taka była moc z jego słów. Wykopali jamę nieopodal miejsca, gdzie harcowały stworzenia z piekieł. Święty pozostał w tej jamie od Bożego Narodzenia do Niedzieli Palmowej, utrzymując post, spędzając czas na modlitwach do świętego Teodora. Miejscowi słyszeli jęki i lamenty. To złe duchy, demony przeklęte, tak cierpiały niepokojone obecnością świętego męża, który wtedy, jak powiadam, jeszcze dziecięciem był. Aż wreszcie nadszedł ten dzień! Dzień triumfu, dzień chwały, dzień, w którym uciekł ostatni ze złych duchów i już nigdy to miejsce nie było nawiedzane. I więcej rzeknę: owo wzgórze stało się świętym miejscem, gdzie wybudowano świątynię, a garstka ziemi spod jej murów, zmieszana z jadłem i napitkiem, pozwala wypędzić wszelkie choroby tak ludzi, jak i zwierząt.

– Nie może to być! – jęknął z przestachem któryś ze słuchaczy. Belzebub spojrział w tłum: odezwał się ten sam człek, co wcześniej szeptał o końcu świata i Sądzie Ostatecznym – umorusany pylistą ziemią kolon w podartej sukmanie.

Jednak mnich nie był tak spostrzegawczy.

– Który? Który to powiedział? – wykrzyknął ze złością. Potoczył gniewnym wzrokiem po zasłuchanej gawiedzi, zaś ta zmalęła i zbiła się pod tym srogim spojrzeniem w zwartą, cichą gromadkę. Nawet kupiec-gaduła, co to chwilę wcześniej ust nie zamykał, umilkł pod wrażeniem marsowego oblicza pobożnego starca.

– To święty Teodor – podjął mnich po chwili – pokazał Eustracjuszowi, jak zwyciężać demony. Święty Teodor z Sykeon, patron naszego bractwa.

Ta opowieść zaciekała Kaliksta. Nie to, żeby natchnione słowa o wyczynach świętego Eustracjusza wywarły na nim aż takie wrażenie jak na miejscowych. W stolicy różne rzeczy opowiadano, wieczorami w tawernach słyhać było nie takie historie. Bajarzy równie dobrych jak mnich znał co najmniej kilku, a każdy z nich, dzierżąc w garści dzban z winem, mógł gadać całą noc, do pierwszych promieni słońca opiewając czyny świętych, wprawiając słuchaczy w zdumienie wieściami z dalekich krain. Bywało, że swe opowieści snuli też Italczyki albo normańscy najemnicy z Sycylii. Ci lubowali się w innych gadkach: prawili o wyczynach rycerzy, odważnych panów wywijających mieczem na polach bitew, w zmaganiach ze smokami, z dzikimi Saracenami. Albo jeszcze insi: majtkowie czy wioślarze z galer bajający o morskich potworach, piratach grasujących po śródziemnych morzach, o syrenach zwodzających statki na skały. Znał te opowieści i to, co mówił starzec w podartym habicie, nie mogło go w niczym zadziwić.

Jednako niespodziewane spotkanie w sercu Anatolii stanowiło miłą odmianę po nużącej

podróży. Mijał już piąty dzień, odkąd opuścił Konstantynopol. Zatrzymywał się tylko na krótkie odpoczynki nocą, bardziej w trosce o konia niż o siebie. Unikał miast i wsi, śpiąc z dala od traktu, w trawach, pod osłoną wzgórz i drzew. Zbytek bezpieczeństwa? A nawet jeżeli – lepiej, by nikt nie widział go na szlaku. By nikt pytany później nie mógł wyjawić: *A jużci, jechał tu taki jeden cudak, dziwacznie odziany, musi z miasta wielkiego. Jechał sam na koniu, uzbrojony jak na wojnę.* Kalikst wolał pozostać niezauważony, ograniczając swoje kontakty z miejscowymi do niezbędnego minimum. Kilka razy, dostrzegając w dali patrole gwardzistów z mijanych miast albo wieśniaków wędrujących do sąsiednich temów, zbaczał z drogi.

Ale teraz było już za późno na takie wybiegi. Już i tak go widzieli, najpierw gadatliwy kupiec, który – traf chciał – oddalił się od reszty za potrzebą. A później cała ta zbieranina... *No nic* – pomyślał Belzebub. – *Nie zawadzi trochę odpocząć, poczekać, aż nadjedzie święty.*

Słońce powoli opadało za ciemne wzgórza na horyzoncie. Nim zapadnie mrok, minie najwyżej godzina lub dwie, w tych okolicznościach mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Kupcy najwyraźniej też doszli do wniosku, że na dalszą podróż tego dnia nie mają już co liczyć. Pokrzykując na woźniców, nakazali wycofać wozy na bezpieczną odległość. Byle z dala od diabelskiego cyprysu. Ich obwieszona świętymi medalikami obstawa z wyraźną ulgą przyjęła taki obrót spraw. Zbrojni ochoczo ruszyli w ślad za wozami, prowadząc swe konie na sąsiednie wzgórza, jakieś dwieście kroków od rozstajów.

Wróciwszy po konia, Kalikst odwiązał go od suchego drzewka. Zauważył przy tym, że zostawione tu zwierzę zdążyło wyżreć szeroki krąg trawy niemal na całą długość uzdy. *To był dobry zakup* – pomyślał z zadowoleniem. – *Wierzchowiec może niezbyt paradny, pośledniej rasy, ale za to wytrzymały i mało wymagający.* Belzebub poprowadził go w stronę wozów.

– Zapraszamy – przemówił uprzejmie kupiec. – Tyle już przegadaliśmy, a ja się jeszcze nie przedstawiłem. Jestem Antymos z Laodycei, kupiec, no zresztą to widać, jaki fach mój.

– Kalikst z Konstantynopola – złodziej również się przedstawił, jednak swego rzemiosła nie ujawnił. No i nie dodał: *Kalikst zwany Belzebubem*, choć uśmiechnął się w duchu na myśl, jakie w tych okolicznościach wrażenie zrobiłby jego diabelski przydomek.

– Złe czasy nastały, złe... Wojna i niepokój... Za panów fatymidzkich narzekaliśmy. Narzekałem ja, jak i moi współnicy. Egipski kalif nałożył nieludzkie podatki, a i bywało, że nie zawsze miał poważanie dla praw, które wobec nas stanowił. Bywało, że musieliśmy płacić dwa razy zamiast raz, a pewnych towarów nie mogliśmy przywozić bez wniesienia cła tak wysokiego, że nie szło handlować. Ale odkąd przyszli nowi panowie, Seldżycy, i zajęli Damaszek, Laodyceę i inne piękne miasta, jest jeszcze gorzej. Nałożyli trybuty po dwakroć większe, zajęli wszystkie statki handlowe na potrzeby wojska, bywa, że grabią towary, a i wiarę trza ukrywać. Gorzej jest niż za Fatymidów...

Kupiec zmarkotniał i przez dłuższy czas milczał. Tarł w zamyśleniu czoło, wreszcie zapytał:

– A ty, przyjacielu, jedziesz przecież z Konstantynopola. Jakie tam nowe wieści? Co

cesarz na to? Będzie wojna?

– Różne rzeczy ludzie gadają... – rzekł Kalikst wymijająco.

– Ale jak? Chyba pójdzie *basileus* rozprawić się z Seldżukami? Zbierze wojska z całego imperium, zbierze najemnych rycerzy łacinników, zbierze zbuntowane plemiona tureckie, zbierze wojów z Bułgarii, Pieczyngów, Armeńczyków...

Belzebub przerwał tę wyliczankę:

– Poseł przybył z Egiptu i obiecując sojusz, namawia na wspólną wojnę z Turkami. Ponoć, tak mówią, cesarz chce umocnić granicę i wysłać w okolice normańskich najemników. Ale co więcej, to nie wiem.

– Czyli będzie wojna! – krzyknął z entuzjazmem Antymos. – Niech Bóg da, żeby cesarz ocalił Syrię. Bo jak tak dalej pójdzie, to interes trza będzie zamknąć. Albo opuścić rodzinne strony i z Rusi towary wozić.

Jeszcze chwil kilka omawiali sprawy polityki, po czym kupiec zniknął we wnętrzu wozu. Tymczasem reszta karawany zajęła się ustawianiem obozowiska. Zbrojni, pohukując na woźniców, nakazali ustawić wozy w półkolu, by osłoniły ludzi i zwierzęta od widoku demonicznego cyprysa i pokrwawionych ciał w jego zasięgu. Wyprężone konie poszły na bok, gdzie zbudowano im prowizoryczną zagrodę ulokowaną między kilkoma skałkami i ciągiem kolczastych krzewów. W półkolu wozów rozpalono ogniska – najemnicy pracowicie rąbali zeschnięte pieńki, karczując niemal wszystkie drzewka w okolicy. W tym czasie kupcy zajęli miejsce wokół płomieni. Kalikst dołączył do nich.

Gdy czerwieniejąca kula słońca schyliła się za horyzont, koloni i mnisi, dotąd zawzięcie dyskutujący, przytaczając kolejne opowieści o świętych i demonach, zaczęli wznosić modły. Wkrótce dołączyli do nich wojacy z obstawy. Modły prowadził stary mnich, wznosząc wysoko krzyż z przypiętym do niego różańcem. Modulując głos, śpiewał z pamięci kolejne psalmy. Wzywał Boga, by przyjął do siebie dusze zabitych przez demona, wzywał imię świętego Teodora, by przegnał złego ducha, by zapewnił spokój i dobrobyt mieszkańcom tej ziemi.

Kalikst zaległ przy ognisku, okrył się cienką derką i zapadł w sen.

\* \* \*

Michał Dukas gestem odprawił szpiega.

– Dziękuję, Symeonie. Dobrze się sprawiłeś. Póki cię nie wezwę, możesz swawolić i hulać. Dwa dni, może trzy...

Symeon Złe Oko złożył ukłon i odszedł. Za drzwiami komnaty odebrał od dowódcy straży swoją broń: dwa długie noże, oksydowany puginał i kindżał ze zdobioną rękojeścią. Posłał mu pełne wywyższości spojrzenie, po czym zbiegł po schodach w dół.

Wtedy Michał wstał z tronu osadzonego na okrągłej płycie z czerwonego porfiru, z niemal identycznej kopii cesarskiego siedziska w pałacu. Sięgnął do wazy z owocami i

wybrał stamtąd kiść winogron.

– Wszystko idzie po naszej myśli, bracie. Słyszałeś, co nam doniósł wierny Symeon. Italczyki są skłonni stanąć po naszej stronie. I nie dziwne! Diogenes tak ciśnie ich łami i podatkami, że nie mają nic do stracenia. Za to wiele do zyskania. Zniesienie opłat za towary sprowadzane z Lewantu i z Rusi oraz prawo nieograniczonego osiedlania się w stolicy. To niewiele, sam przyznasz. Ich poparcie nie kosztuje nas ani jednego solidu. Jutro, drogi bracie, wyruszam więc na umówione spotkanie w porcie w Selucji. Wyłożę im sprawę i przedstawię gwarancje na piśmie, gdyż bez tego nie będą tak skłonni nadstawiać za nas karku.

Andronik Dukas odrzucił okrywający go dotąd płaszcz na sofę i stanął przy oknie, patrząc na ogród rezydencji.

– Przywileje dla kupców... Gwarantowane na piśmie. To cię kiedyś może kosztować jeszcze więcej solidów, niż mieści cesarski skarbiec.

– Przywileje można odebrać – klarował Michał, pojedynczo, z wielkim namaszczeniem pakował je do ust i powoli rozgryzał, sycąc się smakiem soku na języku. – Oczywiście nie wprost, w końcu umowy zobowiązują, a przecież nie chcemy bez potrzeby narażać na szwank naszego słowa i czynić sobie nowych wrogów. Można więc odebrać korzyści płynące z przywilejów. Zamiast ceł jakiś nowy podatek, na przykład *masztowy*, od każdego masztu każdej jednostki wpływającej do portu. Albo podatek *za ochronę dróg morskich*, a na tych, którym się to nie będzie podobać, wyślę najemnych piratów. Jak złupią parę italskich statków, to jedynym, o czym Italczyki będą marzyć, stanie się ochrona przez cesarza ich szlaków handlowych.

Drugi z Dukasów w milczeniu spoglądał przez okno. Obserwował, jak Symeon Złe Oko niespiesznie prowadzi konia do wschodniej części rezydencji, gdzie znajdowały się stajnie. Gdy szpieg zniknął za rogiem, powiedział:

– Italczyki to kupcy. Dla nich ważny jest jeno interes. Ale w dalszym ciągu nie wiem, jak zdołałeś przekonać patriarchę. To surowy człowiek, znany ze swych zasad.

Michał zaśmiał się. Oplukał ręce w misie z wodą, strzepnął jej nadmiar i wszedł na porfirowy podest. Zasiadł na tronie.

– Owszem, znany ze swych zasad i znany ze swej niechęci do herezji. Chcesz znać szczegóły naszego spotkania w Nicei? Wyłożyłem mu szczerze nasze racje. Pomnij, bracie, że patriarcha pamięta jeszcze czasy, gdy na cesarskim tronie zasiadał nasz świętej pamięci ojciec. To za jego panowania Kosma doszedł do wysokich godności, właśnie dzięki poparciu naszej rodziny. Co prawda łaskę patriarchy otrzymał za Diogenesa, ale to nie umniejsza zasług Dukasów. Zaś Diogenes nie potrafi ustrzec się przed licznymi błędami, które w oczach Kosmy urastają do rozmiarów grzechu śmiertelnego. Weźmy pobłażliwość wobec herezji. Pobłażliwość wiele mówiącą. Znaczącą. Jakże wymowną. Obiecałem patriarche, że przywrócę właściwy porządek rzeczy. Że gdy odzyskam władzę, niezwłocznie przystąpię do karczowania tego ugoru. Wyplenię plugawe i jadowite herezje manichejskiej proveniencji.

Paulicjan, bogomiłów, messalian i kogo tam jeszcze. Albo się nawrócą, albo śmierć!

Andronik skinął ze zrozumieniem głową. Co jak co, ale taki argument musiał przemawiać do bogobojnego patriarchy. Ale czy to wystarczy, by zjednać go do spiskowych planów?

Brat jakby czytał w jego myślach.

– Oczywiście, to nie wszystko. Jest coś, co Kosmę bardziej uwiera, choć nie wyzna tego nawet na mękach. To sprawa natury bardziej osobistej. Ten barbarzyńca Italos! Italos, który na cesarskim dworze para się czarną magią i herezjami. Dlaczego nasza matka po śmierci ojca zamiast mnie na cesarza wybrała Diogenesa? Człowieka oskarżonego o zdradę stanu, który nagle uszedł katu prosto w małżeńskie objęcia cesarzowej! Zasugerowałem Kosmie, że Diogenes wszedł w konszachty z siłami nieczystymi, stąd jego droga z kazamatów na tron. Na patriarsze zrobiło to duże wrażenie.

Michał Dukas przymknął powieki. Znów stanął mu przed oczami ten poranek, gdy matka, cesarzowa Eudoksja, weszła do jego komnaty sypialnej, usiadła na łożu i nazwała go *najlepszym ze swoich synów* oraz *swoim imperatorem*. Później jednak usłyszał słowa, które oznaczały dlań początek całego nieszczęścia: *Wstań i poznaj swojego ojczyma. Mimo że zajmie miejsce twojego ojca, Konstantyna X, będzie poddanym, a nie władcą. Ja zachowam tron, a gdy przyjdzie czas – przejmiesz go ty*. Na swoje nieszczęście uwierzył w to. Diogenes szybko zyskał wysoką pozycję, zaś wpływy Michała malały. Ojczym zyskał miłość matki, poparcie wśród dworu, a także – co najgorsze – jako generał mógł liczyć na pełne oddanie wojska. Później sprawy już całkiem wymknęły się spod kontroli. Najazd barbarzyńskich Seldżuków, oddanie pełnej władzy w ręce Diogenesa, by poprowadził przeciwko nim kampanię. Nieudana dywersja Andronika pod Manzikert, skazanie na śmierć stryja Jana – za kierowanie spiskiem. Potem uwięzienie i śmierć z wycieńczenia Psellosa, filozofa i doradcy rodu – oskarżonego o sianie intryg. A później łzy matki i wygnanie Dukasów z Konstantynopola.

Otrząsnął się z tych rozmyślań. Spojrzał na stojącego przy oknie brata. Ten odstąpił od okna i podszedł do tronu. Rzekł z przekąsem:

– Ale ty czynisz to samo. Konszachty z siłami nieczystymi. Czarna magia. Herezje.

Starszy z Dukasów pokręcił z dezaprobatą głową. Nie mógł zrozumieć niechęci Andronika do ich nowego sprzymierzeńca.

– Z całym szacunkiem, drogi bracie. Jesteś doskonałym dowódcą, żołnierzem, *strategosem*, ale brak ci zmysłu polityki. Nie umiesz spojrzeć na rzecz z szerszej perspektywy. Innymi słowy mówiąc, jesteś zbyt prostoliniorny, Androniku. *Basileus* byłby z ciebie żaden.

– Daruj sobie.

Michał zerwał się. Odwinął połę płaszcza i żywo gestykulując, tłumaczył:

– Czarny Mnich jest mi potrzebny teraz. Później... Nie, nie zamierzam korzystać z jego magii. Tak, masz rację, czynię to samo co uzurpator. Z tą różnicą, że Diogenes jest zbyt słaby,



by uwolnić się od wpływów tego barbarzyńcy. Jest zbyt słaby, by rządzić bez pomocy sił nieczystych. My zaś zrobimy inaczej. Zawrzemy jednorazowy układ z Czarnym Mnichem. Tylko w jednym celu. Później nasze drogi się rozejdą. Tylko w jednym celu...

Andronik z niepokojem rozejrzał się po komnacie. Zawsze, kiedy mówili na ten temat, przechodziły go dreszcze. Jakby w pomieszczeniu był jeszcze ktoś.

– Tak, tak, słyszałem to już kilka razy. Ale wciąż nie wiem, jaki masz w tym cel – powiedział.

Jego brat zatrzęsł się w bezgłośnym śmiechu.

– Jaki cel...? Otóż ten najważniejszy! On zapewni nam to, czego nie zdołaliśmy dokonać tradycyjnymi środkami. Już nie mówię o tych desperatach, jak ten Trak, którzy nie baczą na demony pilnujące pałacu uzurpatora. Wspomnij jednak wyprawy na Sycylię i do Bułgarii, gdzie Diogenesa nie chroniła żadna magia, a jednak zawsze wychodził z opresji obronną ręką. Nie sposób wykluczyć, że jest to sprawka tego barbarzyńcy Italosa. Musimy mieć kogoś, kto jest w stanie pokonać jego magię. Chciałbym więc, Androniku, żebyś... – Nabrał tchu i począł mówić, starając się nie pominąć żadnego elementu swej układanki: – W czasie gdy ja będę układał się z Komnenami, a wiedz, że kapadockie i anatolijskie rody także są skłonne nas poprzeć, więc gdy ja będę przekonywał Aleksego Komnena, by także przyjął naszą linię polityczną, ty będziesz musiał dopilnować tej najważniejszej sprawy.

Andronik skrył niechęć do tego pomysłu. Z kamienną twarzą rzekł:

– Jak sobie życzysz, bracie. Co mam więc zrobić?

– Chcę, żebyś pojechał do niego i nadzorował postęp prac. Możesz wziąć Symeona, by ci przybliżył materię dzieła. Chociaż obiecałem mu wolne, to jakbyś potrzebował, Symeon będzie na twoje wezwanie. Pamiętaj o jednym, Androniku. Potrzebujemy każdego wsparcia, nawet za cenę obietnic, których nigdy nie zamierzamy spełnić. Jak będzie trzeba, to za sojuszników weźmiemy Seldżuków i ich Mahometa. Heretyków czy choćby czarnych magów. Mnich może być po prostu dogodnym narzędziem. Jeno trzeba się nim nauczyć odpowiednio posługiwać.

Młodszy brat pokręcił głową. Skrzywił usta w dezaprobatie.

– To nie ma sensu. Skoro jest tak, jak prawisz, to czego on od ciebie oczekuje, Michale?

– Dobrze pytanie. Co mnie dziwi, on nie wysuwa na razie żadnych żądań.

– Żadnych?

– Najmniejszych. Nie domaga się dla siebie żadnych korzyści... Z jednym tylko, niewielkim wyjątkiem.

– A jednak! Jakim?

– Potrzebna mu jest krew cesarza. Uzurpatora. Krew Diogenesa.

## ROZDZIAŁ 8

Obudził go gwar podekscytowanych głosów. Ognisko już dogasło, tylko kilka bierwion tliło się jeszcze na pomarańczowo, wzniesając cienką smużkę dymu.

Był świt. I chłód. Obozowisko przemierzali ospali najemnicy z obstawy kupców, jednak to nie oni czynili harmider. Nieco dalej, tam gdzie wieczorem odprawiali modły mnisi, teraz stała niewielka grupa jeźdźców. Otaczali ich braciszkiwie zasłuchani w słowa mówcy na koniu.

– Całą noc jechałem na wieść o tym przypadku, choć moi wierni towarzysze radzili mi, bym zaczekał do rana. Mówili: *Ojczy, to nie jest dobry zwyczaj, by jeździć po zmroku. Drogę łatwo zgubić, diabolos sprowadzi ze szlaku na pustkowie, a tam zbójnicy ograbią.* Ale mnie niestraszne demony, a Bóg jeden wie ile jeszcze śmierci przyniesie ze sobą przeklęty zły duch, do którego mnie wezwaliście.

Eustracjusz Garidas. Biskup Ancyry. Święty. Postawny starzec z długą brodą, skromnie odziany w czarną, nieco wyblakłą riasę, prostą i skromną sutannę. Z twarzy świętego bił spokój, pogoda ducha i pewność siebie. Towarzyszył mu mnich otulony płaszczem o barwie czerwonego wina – ten dla odmiany minę miał posępną, jakby zmartwioną – i czterech wareskich gwardzistów. Na ich piersiach osłoniętych kolczugami zwisały rzemyki i łańcuszki z dewocjonaliami, które różniły się od krzyżyków i łańcuszków na szyjach zbrojnych z kupieckiej obstawy tym, że wykonano je ze złota. Moda z Konstantynopola dotarła nawet do Waregów. Belzebub pokręcił z niedowierzaniem głową.

Mnich, który w nocy prowadził modły, pomógł zsiąść Eustracjuszowi i zaczął mu objaśniać sytuację.

– Jestem brat Bazyli z monasteru Świętego Teodora. To nieopodal, ot tam, za tymi wzgórzami. Nasz przeor wyznaczył mnie, żebym doglądał tej sprawy, i to ja pozwoliłem sobie prosić o pomoc waszą wielebność. Wszystko stąd, że okoliczni koloni w swej zupełnej bezmyślności zaczęli drążyć dół w ziemi, by dokopać się do źródła. To jeszcze nic złego, jednak ci nieroztropni ludzie miast wody znaleźli kamienne płyty, musi z jakiejś świątyni pogańskiej albo grobowca. No i ci głupi chłopci, miast poprzestać swojego kopania, miast zasypać dziurę, jeśli drążyć dalej, radując się znaleziskiem. Wydobyli płyty z jakiegoś szlachetnego marmuru i zaciągnęli na swoje podwórka, by z nich chlewiki i stajenki porobić.

Kalikst nie słuchał dalej. Przypominał sobie, że Antymos, powtarzając opowieści miejscowych kolonów, inaczej przedstawiał tę historię, ale teraz to już nie miało znaczenia. Myślał, co dalej. Demon w cyprysie, egzorcysta, kupcy – gdyby nie miał nic lepszego do roboty, zostałby na pewno popatrzeć, jak biskup Eustracjusz wygania z drzewa złego ducha. Jak *diabolos* ucieka z wrzaskiem i wyciem przed siłą modlitwy i słów świętego. Ale z drugiej strony każdy dzień zwłoki, każde pół dnia to większa szansa, że z Konstantynopola wyruszy za nim pościg. Że gildia pokrzyżuje jego plany.

*Me, nie mogę tu zostać – zdecydował. – Jadę dalej, do Kapadocji. Wszystko według planu.*

Słońce zaczęło świecić coraz silniej. Chłód poranka ustąpił, z wozów i znad ognisk zaczęli wstawać kupcy, ich zbrojna ochrona i woźnice. Wszyscy, widząc, że przybył długo oczekiwany gość, szybko strząsali sen z powiek i przyłączali się do zebranego za obozowiskiem tłumu.

– Niezwłocznie! Przystąpię do egzorcyzmów niezwłocznie – zapewnił Eustracjusz Garidas w odpowiedzi na pytanie brata Bazylego, czym wywołał szum aprobaty. – Pozwólcie mi jeno poczynić przygotowania. Jak już rzekłem, byłem w podróży całą noc i choć nie czuję zdrożenia, to jednak chciałbym się nieco posilić i pomodlić w cichości. By wyciszyć umysł przed walką z demonem.

*No to zaczekam – pomyślał Belzebub.*

\* \* \*

Biskup Eustracjusz postąpił kilka kroków w przód. Nic. Nic się nie stało, choć już, można by przysiąc, święty przekroczył granicę, do której sięga moc demona.

Jeszcze krok i doszedł do poskręcanych zwłok żołnierza, tego, co zginął od utraty krwi, pełną po ataku złego. Przybysz stanął i wznosił wysoko rękę z wielkim krzyżem ze złota.

– Demon cicho, nawet nie jęknie – stwierdził brat Bazyli. – Widać czuje potęgę świętego męża. Patrzcie! Nawet gałązka nie drgnie. A taki był hardy.

Gawiedz zaczęła szeptać z podziwem. Zebrani w bezpiecznej odległości kupcy, mnisi, żołnierze i koloni z zapartym tchem obserwowali każdy krok egzorcysty.

– Dzień Sądu, koniec świata! – wyrwało się któremuś. Brat Bazyli ściągnął gniewnie brwi. Byłbyż to ten sam defetysta, który mu nieustannie przerywał?

Tymczasem biskup Eustracjusz szedł dalej. Minął wóz kupców i rozszarpane truchła koni. Ścisnął mocniej krzyż, zaczął cicho szeptać słowa modlitwy.

– Cud, istny cud – szepnął Antymos. – Przecie jak on, no ten demon znaczy, wtedy cisnął takim bezgłośnym gromem, to aż ich tam wszystkich, no tych moich żołnierzy i koniki, w powietrze uniosło. A święty śmiało kroczy do przodu, a demon ani piśnie.

Egzorcysta przystanął, mając u swych stóp poskręcane ciała wcześniejszych ofiar. Potoczył wzrokiem po polu i zadrżał mimowolnie na widok zmasakrowanej kobiety bez

głowy. Roje much, krążąc nad trupami, bzyczały nieprzyjemnie. Czarne, tłuste owady o lśniących odwłokach przywierały do ciał w miejscach, gdzie jeszcze ostała się niezaschnięta krew.

– Odejdź! Uciekaj! Niech ogarnie cię lęk! – zakrzyknął gromko Eustracjusz z krzyżem wysoko wzniesionym ponad głowę. – Czy przyjmujesz postać węża, oblicze bestii, czy jesteś jak opary lub ptak albo drzewo! Czy jesteś tu na stałe, czy przybywasz o świcie, w południe lub o północy. Czyś jest w morzu, czy w rzece, w studni czy pod ziemią, nad przepaścią, w fosie czy w jeziorze, w trzcinach, a może na dachu łązni, w kałuży wody, w grzmocie, w burzy, czy też w gaju lub gęstwinie, w ptaku lub drzewie, w suchych trawach na łąkach. Wiemy czy nie wiemy, skąd przybywasz – odejdź! Uciekaj! Wracaj na pustynię bez wody, na ziemi niezorań, tam, gdzie nie mieszka człowiek. Niech ogarnie cię lęk!

Nagle drzewo zaszumiło jak pod podmuchem wiatru, choć powietrze wokół stało duszne i gęste. Gałązki cyprysa zadrgały, szeleszcząc igłami. Roje much zaczęły podrywać się z ciał i wirować z wściekłym bzyczeniem, niechętnie porzucając zaschnięte plamy krwi, wyżarte oczodoły i gnijące wnętrzości. Wkrótce już wszystkie wlatywały nad ziemią w ciemnym roju, na podobieństwo deszczowej chmury.

– Odejdź! Uciekaj! Niech ogarnie cię lęk! – powtórzył egzorcysta i drzewo zadrgało jak pod uderzeniem burzy. Rój much zbił się w gęstniejącą kulę, coraz mniejszą, coraz bardziej zwartą. Bzyczały z narastającą furią rozwścieczone niczym byk na arenie, jak głodny lew goniący antylopę.

– Jezu Chryste! Zaraz opadną zgrają na niego! To *diabolo*s, nie muchy! – zakrzyknął ktoś z tłumu.

I miał rację. Kula czarnych owadów nagle poderwała się w górę, nabierając prędkości, i pomknęła po skosie w dół, prosto na świętego męża. Pęd powietrza spłaszczyl rój na podobieństwo wielkiego jaja i tak uderzyły na Eustracjusza.

Biskup, osłaniając twarz krzyżem, zakrzyknął tylko:

– Odejdź!

Z dala wyglądało to, jakby bucząca czarna chmura połknęła egzorcystę. Połknęła go i wessała w siebie, rozdzierając w mgnieniu oka na setki tysięcy drobnych strzępków. Rozszarpując i pożerając.

Złudzenie. Muchy tylko przemknęły mimo biskupa, przelatując pod nim, nad nim, obok, jedynie lekko muskając go swymi ohydnyimi skrzydełkami i trupim smrodem niesionym na lśniących odwłokach.

Przemknęły, po czym zatoczyły krąg i chwilę jeszcze wibrowały w zwartej kuli. Wreszcie rój się rozsypał. Muchy pomknęły we wszystkie strony świata i zapadła niczym niezmacona cisza poranka.

Eustracjusz zmówił podziękowanie Bogu, po czym ruszył w stronę cyprysa. Teraz nic już nie mogło go zatrzymać. Szedł, powtarzając słowa egzorcyzmu:

– Odejdź! Uciekaj! Niech ogarnie cię lęk!

Tłum szeptał:

– Tak daleko jeszcze nikt nie dotarł! Cud! Cud! Panie, wybaw nas od złego!

Święty minął ostatnie ciało. Między nim a drzewem znajdowały się już tylko stojące na baczność trawy i porozrzucane bez ładu kamienie.

Cyprys zafalował. To już nie było łagodne kiwanie gałązkami jak przy wietrze. Teraz młócił konarami jak zapaśnik podczas igrzysk na hipodromie, z taką siłą, że aż słyhać było tarcie kory, aż źdźbła traw przyłgnęły do ziemi, jakby też ogarnął je lęk przed *diabolosem*.

To jednak nie przestraszyło świętego. Podeszedł do samego drzewa i stojąc o krok od niego, wyrecytował:

– Czy jesteś tu na stałe, czy przybywasz o świcie, w południe lub o północy. Czy jesteś w wietrze, w ptaku lub drzewie, czy suchych trawach na łąkach. Gdziekolwiek się ukrywasz. Skądkolwiek przybywasz. Niech ogarnie cię lęk! Odejdź!

Wzniósł złoty krzyż i zaczepił go na gałęzi, unikając ciosów konara. Pochwyił obydwoma dłońmi siekiere trzymaną dotąd w lewej ręce. Nie przerywając słów modlitwy, uderzył w korę drzewa.

Po okolicy rozeszło się wściekłe wycie demona. Już nie tylko bzyczenie much, już nie tylko gniewny szum cyprysowych igiełek, nie tylko trzeszczenie gałęzi. Prawdziwy ryk złego ducha, głęboki, wychodzący jakby spod ziemi, nieprzyjemny, przeszywający.

Mnisi i koloni padli na kolana i czynili modły:

– Jezu Chryste, trzymaj nas w swojej opiece.

Eustracjusz Garidas zadał kolejny cios, a z drzewa odpadł kawałek kory wielki jak dwie dłonie. Uderzał raz po razie, wybijając ostrzem siekiery coraz większe drzazgi. Demon ryczał, trzęsąc konarem, na którym zawieszony był krzyż. Na próżno. Z każdym uderzeniem żelaza jego siły słabły. Egzorcysta nie przestawał: wytrwale rąbał z modlitwą na ustach. Zły duch umilkł.

Nagle zaszło coś niepojętego. Ziemia zadrżała lekko, a spod cyprysu dał się słyszeć stłumiony ryk przeszywający jelita i ściskający serce. Gwałtowny podmuch wiatru odepchnął Eustracjusza od pnia, wytrącił mu z dłoni siekiere i wznosił go wysoko ponad koronę drzewa. Egzorcysta wisiał chwilę w powietrzu, w niemym zdziwieniu, z szeroko rozpostartymi ramionami. Nagle zaczął wirować jak listek rzucony w prąd rzeki, furkocząc szatą. Kręcił się tak dobre kilka chwil, bezradnie próbując odzyskać panowanie nad swym ciałem, po czym ta sama siła, która wyniosła biskupa pod niebiosa, rozerwała go na strzępy. Jak szmacianego pajacyka szarpanego przez znudzone dziecko. Najpierw ręce wyrwane w ramionach. I nogi odrzucone wraz z dolną częścią tuniki. Z otwartych ran buchnęła krew malująca powietrze spiralnymi wzorami. Pozbawiony członków kadłubek wirował jeszcze chwilę, po czym od ciała oderwała się głowa. Wystrzelona jak z katapulty pomknęła w stronę zgromadzonych nieopodal ludzi.

– Jezu Chryste! – jęknął brat Bazyli. – Demon zabił świętego! Rozerwał go na strzępy!  
Pod jego nogami wylądowała głowa Eustracjusza, znacząc suchą trawę żywą czerwienią.  
Mnich z ciężkim łomotem opadł na ziemię.

\* \* \*

Jeździec w zielonym stroju gwałtownym ruchem ściągnął wodze konia. Wierzchowiec zarżał przejmująco, odsłaniając rząd żółtych zębów, po czym stanął na tylnych nogach. Trwał tak chwilę, kiwając łbem, i wyuczonym ruchem zrobił obrót w tył.

Jego pan cofnął się, powstrzymując swojego wierzchowca. Zwierzę zaryło kopytami w ziemi.

Zielono odziany jeździec poluzował wodze. Szybko ocenił sytuację: piłka była precyzyjnie wystawiona do strzału. Wziął zamach i z całej siły uderzył ją końcem kija. Biała kula ze skóry poszybowała prosto między tyczki wyznaczające bramkę.

– Trafiona! – obwieścił sędzia w rydwanie, po czym gestem nakazał wznowić grę.

Karzeł Metody zaklął szpetnie i splunął pod nogi.

– Musi ustawione! Przecież Bułgar już trzeci raz oddaje piłkę Krótkiej Nodze, kiedy nie musiał. A Krótka Noga, to mu trza przyznać, umie pierdyknąć, jak już tylko dobrze podjedzie.

Eutymiusz pokręcił w milczeniu głową. Rozgrywka prowadzona na hipodromie tylko w niewielkiej części przykuwała jego uwagę, ale w tym przypadku skłonny był przyznać rację Metodemu. Zawodnicy nie grali czysto.

Po chwili jego myśli powróciły do właściwego tematu. Sytuacja w gildii zaczynała się coraz bardziej komplikować. Czuł, że traci z trudem zdobyte przyczółki władzy. No i cała ta sprawa z diabelską ikoną!

– Czyli mówisz, nie wrócili – zagadnął karła.

– Ano nie.

– Żadnych wieści?

– Nic.

– Przyznaj się, kazałeś tym swoim wyróżnąć szpiegów Atanazego.

Metody przeżegnał się ostentacyjnie.

– Niech Bóg broni! Zabić szpiega, zanim przyniesie wieści, to grzech śmiertelny. Moje chłopaki miały za tamtymi iść krok w krok. Lipić. Zapisywać sobie w pamięci.

– Ręczysz za nich? Może oskubali tamtych ze złota czy broni i poszli w swoją stronę.

– Rzekłem im, że jak się akuratnie sprawią, to mój pan kopsnie im po dwadzieścia solidów na pacynę. To więcej warte niż koń i stary miecz.

Drugi mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu spojrział na karła z wściekłością. Metody stanowczo za śmiało sobie poczyna.

– Twój pan? Dwadzieścia solidów? Takiś hojny z cudzej sakiewki? Niedoczekanie!

– Eee, to tylko tak. Na zachętę. Coby nie robili na boku.

– Zgoda, ale gdy zachęceni przyniosą wieści, to z czyjej kiesy zapłacisz? Zgaduję, że ze swojej. I oddając im każdego brzęczącego solida, będziesz miał niczym niezmaconą pewność, że to, co od nich słyszysz, to nie łgarstwa wymyślone na poczekaniu, by tylko dostać złoto?

Karzeł nie stracił rezonu.

– Jak przyjdą z wieściami, to im powiem, że źle słyszeli i chodziło o dwa solidy, i to do podziału. A jakby łgarstwa zamiast prawdy... O nie, co to, to nie! Wtedy w tym mieście mają przechłapanie. Naślę na nich swoje dziarmagi. Przysmażą im jajca żywym ogniem, to się w try miga przyznają do każdej picerki.

Pokurcz przerwał na chwilę, patrząc, jak niebieski jeździec gna z piłką w stronę bramki zielonych.

– Diabła tam! Tego też trza przysmażyć! – krzyknął, gdy zawodnik spuścił piłkę.

Eutymiusz przywołał go do porządku.

– Więc, noo... – ciągnął dalej Metody. – Jestem więc pewien, że przynieśli by wieści. I to prawdziwe wieści. Po mojemu to jeszcze mają czas. Cały czas mogą jeszcze wrócić. Może jutro? Albo za dwa dni.

Mistrz zapadł w zadumę. Misterne plany, które układał, rozsypywały się jak dziecięce klocki. Niewyjaśniona kradzież dokumentów z domu Atanazego zmieniła układ sił. Wszyscy zapamiętali, że to właśnie Eutymiusz był największym przeciwnikiem wyprawy do Kapadocji. Nie znalazł zrozumienia wśród członków rady gildii, więc gdy z tajnej skrytki wielkiego mistrza zniknął plan tamtego miejsca, tamci uznali, że to właśnie Eutymiusz sięgnął po ostateczne środki. Ale przecież tak nie było, bo to niedorzeczne: zleceniodawca tej roboty mógł dostarczyć nową mapę, skoro i tak miał jeszcze wyjawic dodatkowe szczegóły: dokładne rozmieszczenie pułapek i tajnych przejść. Ale – jak mniemali oskarżyciele Eutymiusza – chodziło mu o wzbudzenie fermentu i zasianie podejrzeń. O poniżenie Atanazego, puszczenie w miasto dowcipów o tym, że, patrzcie, niby wielki mistrz gildii złodziei w Konstantynopolu, a jego też okradli.

Eutymiusz pokiwał z podziwem głową. Tak, to w sumie szczytny cel i ten zamiar się komuś powiódł. Gorzej, że uderzał też w niego samego. Obaj na tym stracili.

Chyba że to podstęp samego Atanazego. Sfingował kradzież dokumentów, by rzucić podejrzenia na przeciwników tej szaleńczej wyprawy. Aby skierować rozmowę z zagadnień merytorycznych na wzajemne oskarżenia. *Widzicie, mamy w naszych szeregach zdrajcę, który skierował swe ostrze przeciwko gildii...* I wychodzi, rzecz jasna, że to on, Eutymiusz, drugi mistrz, posunął się do tak podłych czynów. Ta wersja była dosyć prawdopodobna – bo nikt wiary by nie dał, że Atanazy trzymałby tak ważne pergaminy w miejscu dostępnym dla byle łachmyty. Taka niefrasobliwość wydawałaby się wielce niepokojąca. Więc albo wielki mistrz lekce sobie ważył sprawy bezpieczeństwa, albo sam ukartował włamanie. *Muszę poruszyć tę kwestię na najbliższym spotkaniu rady* – stwierdził w myślach Eutymiusz.

– A w mieście? Co mówią twoi ludzie w mieście? – zapytał Metodego.

Karzeł w roztargnieniu oderwał wzrok od jeźdźców goniących za piłką.

– Chodzi o te pergaminy Atanazego? No, to jest bardzo dziwna sprawa. Niech mnie diabli porwą, ale to nikt z naszych ludzi. Nikt nie zdradził, nikt nie działał na własną rękę.

– To wiem, ale nie o to pytam. – Drugi mistrz utrzymywał też własnych donosicieli, o których Metody nie miał nawet pojęcia. Z ich pomocą Eutymiusz wyjaśnił tę sprawę w pierwszej kolejności. Zdecydowanie wykluczał, żeby zaszła tu jakaś samowola któregoś z jego stronników.

– Znaczy od Atanazego? Że niby sam się okradł? Chyba nie, jest zaprawdę wściekły i zapędził swoich do szukania złodzieja. Krążą po mieście, wypytują, szpiegują nawzajem jeden drugiego... My też krążymy i jestem pewien, że dopadniemy łobuza wcześniej czy później.

– Lepiej wcześniej – mruknął drugi mistrz. Krótka Noga posłał między tyczki kolejną piłkę. Karzeł aż podskoczył z wściekłości.

– Ustawiony, nie ma co! Trzy solidy postawiłem! Trzy solidy, a oni co...

– Lepiej wcześniej – powtórzył Eutymiusz.

\* \* \*

Brat Bazyli klęczał przy drodze i bijąc się kułakiem w pierś, wznosił żarliwe modły do Boga. Obok niego w pyłe i kurzu klęczeli braciszczowie od świętego Teodora. Oraz tajemniczy mnich w białym habicie, który przybył tu wraz z Eustracjuszem Garidasem, warescy gwardziści z ochrony biskupa, zaś nieco dalej – miejscowi koloni, którzy zeszli się tu na wieść o egzorcyzmach.

– Panie, to musi być znak jakiś! – zawodził Bazyli. – Za jakie grzechy doświadczasz nas tak ciężko?

– Dzień Sądu nadchodzi – jęknął ktoś z tyłu, jednak tym razem mnich nie zareagował. Kto wie, może śmierć świętego istotnie zwiastuje nadchodzący koniec świata? Nikt nie znał Bożych planów.

Kalikst wskoczył na konia i skinął uprzejmie do Antymosa.

– Bywaj, kupcze! Wierzę, że zdołasz jakoś wyjść z opresji. Ja muszę już jechać w swoją stronę.

– Ale wozu mi już nikt nie zwróci – biadolił Syryjczyk, łapiąc się za głowę. Jego twarz zszarzała jak popiół z ogniska, podkrążone oczy zdradzały, że niewiele spał. – Nikt mi nie odda cennych towarów, które wiozę z samego Damaszku. Teraz nasza wyprawa jest już niemal nieopłacalna. Turek ze swoimi cłami, grabieżcy na drogach i morzach, a teraz demony!

– Może demon odpuści i uwolni twój wóz – dodał mu otuchy Belzebub. – W końcu przecie musi mu się znudzić, ile można siedzieć w poskręcany cyprysie na środku pola. Bywaj! – powtórzył i lekko uderzył kolanami bok konia. Zwierzę ruszyło lekkim klusem,



omijając z dala obóz kupców, rozmodlonych mnichów i krąg mocy demona.

Dopiero kilkaset kroków dalej Kalikst powrócił na właściwy szlak i już nie zwlekając, pomknął w stronę Kapadocji. Słońce weszło wysoko na nieboskłon, skracając cienie i wypędzając ze wszelkich zakamarków poranny chłód. Robiło się coraz cieplej, cykady zachęczone narastającym żarem rozpoczęły swój codzienny koncert.

*Jak ostro popędzę konia, nie przystając już nigdzie po drodze... – zaczął kalkulować w myślach Belzebub – to do jutra powinienem dotrzeć na miejsce. Jutro przed południem najpóźniej.*

Z naprzeciwna ciągnęła kolejna grupa mnichów odzianych w postrzępione habity. Szli miarowym krokiem, niosąc krzyż oraz ikonę z wizerunkiem świętego Teodora z Sykeon, a nad polami i łąkami zabrzmiała ich surowa pieśń. Pochód zamykało kilku chłopów. Na ich ogorzałych od słońca twarzach malował się strach, ale też i zaciekawienie.

Ominął ich galopem, naraz jednak przystanął. Chwilę w zamyśleniu patrzył na otoczoną chmurą pyłu procesję, po czym zawrócił konia i pognał z powrotem do obozowiska.

– Kupcze – powiedział do Antymosa – wiem, jak przepędzić demona. Masz oliwę?

Tamten aż wybałuszył oczy.

– Niece, panie. Jak już rzekłem, wiozę kitajski jedwab i pachnidła z Indii. W tamtym wozie, tym, co demon uwięził, miałem też ładunek czerwonych sandałów z drogiej skóry babilońskiej, jednak...

– Nie to mam na myśli – wszedł mu w słowo Belzebub. – Pytam, czy masz w swoich wozach trochę oliwy. Dzban wystarczy. Wystarczy zwykła oliwa używana w kuchni.

– W kuchni? Chcesz wywabić demona smakowitymi zapachami potraw? – Syryjczyk już całkiem stracił nadzieję. Jedyne, na co było go stać, to sarkazm. – Przyznam, że dla mnie byłaby to pokusa, bo lubię dobrze zjeść – to mówiąc, znacząco poklepał się po brzuchu – jednak zły duch chyba zwykł inaczej przekąszać. Tym go nie przepędzisz.

Belzebub zeskoczył z konia.

– Znajdź dzban, pół dzbana oliwy, a dokończymy to, co zaczął egzorcysta. Odzyskasz swój wóz, Antymosie.

– Powiadasz, Kalikście? – W oczach kupca załśnił ogień nadziei. – No, mam gdzieś w zapasach, pośród suszonego mięsiwa i ryb, niewielką flaszkę z oliwą. Czy się nada?

– Przynies szybko! Całą oliwę, jaką masz.

Syryjczyk ruszył do wozu, zaś młody złodziej poszedł porozmawiać z żołnierzami z eskorty karawany. Chwilę klarował im, na czym polega plan. Zbrojni bez specjalnego entuzjazmu, ale zgodnie ruszyli do wozów i sakw przy koniach. Po dwóch pacierzach zaczęli wracać, niosąc naręcza strzał do łuku.

Przeglądał je. Nie były tak dobre jak jego własne, ale tutaj nie chodziło o jakąś szczególną precyzję. Przeliczył: było ich siedem dziesiątek i jeszcze sześć. Powinno wystarczyć.

– Doskonale – pochwalił kupca, gdy ten przyniósł mu zatkanie wielkim korkiem gliniane naczynie wypełnione oliwą. Nie było tego zbyt dużo, ot, ilości takie, aby pokropić zbyt wysuszone mięso lub zamoczyć chleb. Ale powinno wystarczyć. – Teraz daj mi kawałek jakiejś szmaty. I nie mam na myśli kitajskich jedwabi. Jakieś stare odzienie, cokolwiek.

Antymos przyniósł jedną ze swoich tunik.

– O tak. To właśnie miałem na myśli.

Sięgnął po nóż. Kilkoma sprawnymi cięciami pociął szatę na pasy. Później każdy z kawałków rozdzielił na trzy części. Zebrał skrawki i zawiązał je na końcach strzał. Starczyło na cztery dziesiątki. Niezbyt wiele, ale przy takich ilościach oliwy wystarczająco.

Mnisi, nie zwracając na niego uwagi, dalej wznosili swe modły, przyzywając świętego Teodora i Jezusa Chrystusa. Tylko kilku wieśniaków powstało z klęczek, przyglądając się z dala, co tam pan ze stolicy wydumał.

Przelał oliwę do pustego kociołka, w którym gotowano wodę podczas nocnej warty. Umieścił naczynie nad ogniem i delikatnie podgrzewał. Gdy tłuszcz zaczął parować, zmniejszył ogień, rozsuwając bierwiona, i przywołał dwóch zbrojnych z obstawy Antymosa. Wysokiemu chudzielcowi o imieniu Syzyniusz zlecił maczanie szmat w gorącej oliwie. Jego niższy kompan, Izydor, o szkaradnej gębie podziabanej przez komary, miał przypalać strzały i podawać Kalikstowi.

– Gotowi? – zapytał ten, ściągając łuk z pleców.

Tamci odpowiedzieli mu niepewnym mruknięciem.

Pierwsza strzała pomknęła prosto w stronę cyprysa. Wbiła się w górną część pnia tuż pod iglastymi gałęziami, chwilę płonęła i zgasła.

– *Gamo!* – mruknął Belzebub. Czyżby coś było nie tak? Skinął na Izydora. Następną strzała w ogień. Na cięciwę. Naciągnięcie i strzał.

Nim doleciała do celu, Kalikst nakładał już następną. I jeszcze jedną. Piątą, szóstą, ósmą, jedenastą.

Trzy minimalnie chybiły celu, muskając konary, ale pozostałe wbiły się tam, gdzie pierwsza. Płonęły. To jednak było za mało.

Syzyniusz sięgnął po kolejne naręczce strzał i podawał je jedna po drugiej Makaremu. Belzebub szył równo, tym razem naciągając cięciwę nieco lżej. Mierzył wyżej – nie w pień, lecz w gęstwą gałęzi, tak żeby strzały mogły się w nie zaplątać.

Drzewo zapłonęło.

Ogień rozgorzał w jego koronie. Pierwsza partia strzał tylko niegroźnie opaliła korę, choć i tam wykwiwały już pierwsze ogniki.

– Dalej! – zakomenderował Belzebub. Pomocnicy uwijali się coraz raźniej.

Wtedy obudził się demon. Cyprys zadrżał, wygiął konary, trzeszcząc przejmująco, jakby to on sam cierpiał, a nie ukryty w nim zły duch. Poruszył konarami, strząsając strzały spomiędzy igieł.

Belzebub zaklął. Wiedział, że ogień ogarniający gałęzie był jeszcze słaby, więc każdy gwałtowny ruch tylko przygaszał płomienie. To jeszcze nie była ta chwila, w której potrząsanie konarami będzie rozniecać ogień, dopuszczając między igliwie powietrze i zarażając żarem inne gałęzie.

Trzeci pęk strzał: zaczął równo szyć z łuku. Dwie w pień. Trzy lekko w gałęzie, tam gdzie wisiały poprzednie. Pozostałe w te miejsca, gdzie rozgorzał największy ogień.

Demon zatrzeszczał konarami.

– Hosanna! – zaintonował radośnie brat Bazyli. Przerwał modły i w otoczeniu braciszków obserwował bieg wydarzeń. – A więc święty Teodor wysłuchał naszych błagań i zesłał nam zbawienie. Dziękujmy mu za to! Dziękujmy Bogu za miłosierdzie!

– Obyś się nie pospieszył z tymi modłami – mruknął niechętnie Kalikst. Kątem oka zauważył, że z gałęci Syzyniusza wystaje już ostatni, niewielki pęk strzał. *Teraz albo nic z tego nie będzie* – pomyślał i skinął na pomocników.

– Dalej!

Demon spokojnymi ruchami gałęzi próbował strząsać płonące strzały i gasić ogień pełzający po igliwiu. Niestety, jego wysiłki przynosiły efekty. W kilku miejscach, gdzie – zdawało się – za chwilę buchnie pożar jak w składzie bawełny, płomienie przygasły, zamiast nich wykwitwały gęste chmury białego dymu.

Belzebub wbił wzrok w jedno miejsce. W górnej części pnia cyprys skręcał się spiralnie i tam też wyrastała największa gęstwa gałązek. Kalikst posłał tam wszystkie strzały, jakie jeszcze miał.

To było dobre posunięcie. *Diabolo*s szarpnął cyprysem, zrzucając ogniste pociski w objęcia otoczonej igliwem spirali. Stamtąd już nie mogły wypaść.

Drzewo buchnęło żywym ogniem. Niewielkie płomyczki-jaszczurki, dotąd nieśmiało przemykające między gałęziami, teraz przerodziły się w potężne smoki, których nic już nie mogło powstrzymać. Igły cyprysa zapłonęły ze skwierczeniem, a rozżarzone szyszki, trzaskając, leciały na boki jak kamienie wystrzelone z procy. Miejsca, w których wcześniej tylko się tliło, teraz rozgorzały na dobre żółto-czerwonymi językami.

Brat Bazyli był w ekstazie.

– Święty Teodorze, to ty żeś wskazał drogę, którą mamy iść! Ty żeś zesłał nam obrońcę, który dokończył wielkie dzieło świętego! Hosanna!

– Hosanna! – powtarzali w uniesieniu zakonnicy, a za nimi koloni, gwardziści, zbrojni z ochrony i kupcy. Nawet smutny mnich w białym habicie ożywił się, klaszcząc radośnie.

Gdy płomień zamienił gałęzie w czarne kikuty i ogarnął pień, usłyszeli wściekły ryk. Gorejące drzewo zadrgało w ostatnim spazmie, a światło słońca przysłonił przelatujący cień. Poczuli ohydny smród łajna i zgnilizny.

Po chwili światłość wróciła.

Demon pierzchł.

## ROZDZIAŁ 9

Patriarcha Kosma wznosił ręce ku niebu. Żył nabiegły mu krwią, znacząc czoło podłużnymi pręgami.

– ...Dlatego też, uważam, cesarstwo winno przyłączyć się do krucjaty przeciwko seldżuckim najeźdźcom. W imię Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, wzywam cię, panie, byś ruszył do Syrii na czele swych wojsk, nie zwlekając ni dnia. Bo każdy dzień zwłoki to dzień na korzyść pogańskiej religii, herezji głoszonej przez czarownika, który swe rozwiąże i bałamutne prawa wyczytał z księgi przyniesionej na rogach białego byka, z podjudzenia samego diabła.

Wypowiedziawszy ostatnie słowo, patriarcha osłabł. Opuścił ramiona i z głośnym westchnieniem wypuścił powietrze z płuc. Zachwiał się w porę podtrzymany przez Marcjana.

W komnacie zapadła cisza. Cesarz w milczeniu patrzył na lśniąca setką kolorów mozaikę przedstawiającą jego zwycięstwo pod Manzikert. Wreszcie przemówił:

– Zadziwiasz mnie, ojcze. Mógłbym przysiąc, że ostatnio skłaniałeś się ku temu, by odrzucić zaproszenia egipskich posłów. Że zagrożenie dla imperium dostrzegasz raczej w herezjach, które kwitną wewnątrz cesarstwa, a nie na jego obrzeżach czy wręcz poza nim. W bogomiłach podnoszących bunty w Bułgarii. Paulicjanach z Tracji.

Kosma zmieszał się.

– Panie, prawdę mówisz. Tak, trujące herezje toczą twe państwo niczym robacy i to jest szkodliwość, jakiej nie należy lekceważyć. Jednak zważ, panie, że we wszystkim trzeba mieć umiar i brać odpowiednie proporcje. Jak już rzekłem, dziki Seldżuk w Syrii i Palestynie, niepilnowany i niezwalczany mieczem i ogniem, może przysporzyć tyle samo szkód, co herezja bogomiłowa czy paulicjan. Teraz nadszedł taki czas, że trzeba dać mu odpór. Zwalczyć, by później, z Bożą pomocą, w spokoju ducha poświęcić się porządkom we własnym państwie.

Roman IV Diogenes skinął na eunucha. Ten w mig rozpoznał gest: pan chce wina. Podbiegł do stołu pod oknem i napełnił puchar białym trunkiem z Rodos. Kosma kontynuował w uniesieniu.

Patriarchę niespodziewanie wsparł Aleksy Komnen. Wielmoża jak dotąd tylko przysłuchiwał się dyskusji, teraz jednak uznał, że przyszła chwila, gdy powinien

wypowiedzieć swoje zdanie.

– Panie – zaczął – wybacz, ale troska o losy imperium skłania mnie do tego, by również zabrać głos. Zechciej mnie wysłuchać.

*Basileus* zaklął w duchu. Komnenowie byli wpływowym rodem, którego nawet władcy nie wolno lekceważyć. Wywodzili się wprawdzie z drobnych posiadaczy ziemskich z Anatolii i choć ich znajomość wyższej polityki, spraw wojskowości czy strategii była nikła, to jednak dzięki dochodom osiąganym z rozległych posiadłości oraz umiejętności uczestniczenia w dworskim życiu zdobyli sobie spore wpływy. Komnenom nieobce były ambicje związane z tronem, choć wizję państwa mieli dosyć krótkowzroczną i – co tu dużo mówić – bardzo niedojrzałą. Swoje wyobrażenie o cesarzu czerpali chyba ze starożytnych eposów, widząc przed nim tylko powinności bohatera. A więc: zdobywać i łaskawą ręką rozdzielać to, co zdobyte. Choć z drugiej strony Roman Diogenes dostrzegał w Aleksym pewne cechy, które predysponują go na władcę. Miał wizję – całkiem nierealną, ale miał. Wykazywał też cechy dobrego mówcy i potrafił zjednywać sobie różne stronnictwa, nie zawsze przyjazne samemu *basileusowi*. To ostatnie stanowiło pewien powód do niepokoju i Roman IV, gdyby mógł, pozbyłby się w jakiś sposób zarówno Aleksego, jak i jego kuzynów. Niestety, z Komnenami trzeba było jakoś żyć. Układać sobie poprawne stosunki, bo mimo wszystko byli niekiedy użyteczni.

Władca zaklął więc w duchu, jednak nie powiedział ani słowa. Skinął tylko, pozwalając wielmoży wypowiedzieć swoje zdanie. Ten zaczął przemowę.

Słuchając jej, cesarz pokiwał w zamyśleniu głową. Tak, Aleksy Komnen mógłby objąć tron, gdyby jego zabrakło. Marzy o tym, to widać. Ale nie on jeden. A takie pomysły trzeba dusić w zarodku. Nie pozwolić im zbyt rozkwitać.

– ...Należy więc korzystać i uderzyć na Seldżuków, wypierając ich jak najdalej. Bo później układ sił może się zmienić! – zakończył z emfazą Aleksy.

– Piękne słowa – rzekł *basileus*, gdy Komnen zamilkł. – Chwytające za serce, ale widać, że wypowiada je lekkoduch, który nie ma pojęcia o funkcjonowaniu państwa. Podboje! Imperium jak za Justyniana! Marzenie każdego, którego nauczono jako tako trzymać miecz w dłoni. Palestyna, Libia, Trypolitana? Te czasy już nie wrócą i dążenie do tego to mrzonka.

Tu cesarz zrobił pauzę dla efektu. Ponownie skinął na sługę, a ten przyniósł mu kolejny puchar z winem. Diogenes przypomniał sobie wizję, którą mu ukazał Italos. Tam też padły słowa o granicach cesarstwa jak za czasów Justyniana. Ale to przecież rojenia i nic więcej! Piękne czasy, dni chwały już nie powrócą. W świecie zachodzą przemiany i władca, który tego nie dostrzega, doprasza się o klęskę.

– A więc, mój drogi Aleksy, pozwól, że udzielę ci małej lekcji rządzenia cesarstwem. Otóż wszelkie działania wojenne niosą za sobą niewyobrażalne obciążenie dla skarbcza. Już nie chodzi tylko o oczywiste wydatki: broń, transport, wyżywienie i żołd. W systemie temowym, kiedy wojnę obronną prowadzą koloni broniący swych pól, takie koszty są

niezauważalne. Stąd też, dzięki temu, że wbrew moim poprzednikom stawiającym na italskich najemników rozbudowałem temy i ograniczyłem wpływy rycerstwa z Zachodu, cesarstwo jest w stanie długo i wydajnie bronić się przed najazdami. Ale wyprawy zdobycze? Tu już trzeba głębiej sięgnąć do kiesy. I powiem ci, nie zdradzając zbyt wielkiej tajemnicy, mój skarbiec nie jest tak zasobny, jak byśmy tego chcieli. Normañscy najemnicy wysoko sobie cenią swoje usługi. Na tyle wysoko, że wciąż jeszcze nie spłaciliśmy ich za poprzednie kampanie. Ci ludzie wciąż są naszymi wierzycielami i w tych okolicznościach nie powinniśmy zaciągać kolejnych długów. Bez najemników podboje w Syrii i Palestynie będą niezwykle ciężkie. Od lat próbuję odbudować własne siły cesarstwa. Rdzenni *Romaioi* tak samo jak do handlu, tak i do wojaczki nie mają zbyt dużego przekonania ani talentu. Stąd też muszę tworzyć armię, wykorzystując Słowian, Armeńczyków, Pieczyngów czy obcych, ale lojalnych Waregów. Czy te siły są już dziś gotowe, by podjąć walkę w Syrii i Palestynie w taki sposób, by nie spustoszyć cesarskiego skarbcza? Jeżeli będziemy co do tego przekonani bez cienia wątpliwości, przystąpimy do wojny. Na razie jednak trzeba wykazać się rozważą i spojrzeć na problem z szerszej perspektywy. Dlatego nie mówmy już więcej o natchnionych wizjach granic cesarstwa sprzed wieków, ale mówmy o tym, czy możemy podźwignąć ciężar wyprawy, do której nas namawia poseł.

Aleksy Komnen bez słowa złożył ukłon, nie próbując już podjąć dyskusji. Wycofał się w otoczenie swoich sług.

*Tak – pomyślał z satysfakcją cesarz. – Wielu marzy o tronie, jakby sprawowanie władzy polegało li tylko na przestawianiu pionków na mapie podbojów. Jakby rządzenie polegało jedynie na wydawaniu edyktów spisanych w przerwie między jedną ucztą a drugą.*

Roman Diogenes podniósł się z tronu i rzekł do zebranych:

– Dziękuję wam za rady i waszą tu obecność. Dziękuję zwłaszcza waszej wielebności patriarsze za cenne wsparcie duchowe. Teraz jednak możecie odejść. Pragnę jeno, by został Italos, mój doradca.

Sala opustoszała.

– Jakie jest twoje zdanie, Italosie? Wysłuchaliśmy głosów różnych stronnictw. Głosów czyichś interesów, bo przecież nie są to głosy sumienia. Trochę dziwi mnie to jednostronne poparcie dla idei wojny w Syrii. Nagle cały mój dwór, rody magnackie, a nawet Kościół – wszyscy niespodziewanie zaczęli zgadzać się z tym, co mówi poseł Fatymidów. Nie mam wątpliwości. To są głosy interesów, rozbijającej ambicji, skrytej polityki. Tego mam nadto, co dzień słyszę ludzi, którzy próbują przekonać mnie do swojej racji. Ale chciałbym po tym wszystkim poznać twoje zdanie, Italosie, bo wierzę, że ty jeden jesteś wolny od zewnętrznych wpływów.

Filozof łypnął oczami jak sowa.

– Z tego widać, że szkoda czasu i języka na dysputy z dworakami – powiedział. – I z patriarchą. Oni są jako te hieny, tylko patrzą, gdzie tu kawałek padliny urwać.

Roman Diogenes skinął dłonią w niecierpliwym geście, który znaczył: *Tak, Italosie, ale do rzeczy*. Ten pojął w lot.

– Otóż bliski byłbym twierdzenia, że należy podjąć to wyzwanie. Jednak z przyczyn nieco odmiennych, niż przedstawiają to moi przedmówcy. Im nie wolno wierzyć, nawet gdy mają rację. No chociażby ten patriarcha. Te jego natchnione kazania, w których...

– Italosie!

Mędrzec zamilkł. Chwilę mrucał coś niezrozumiale, szarpiąc brodę, wreszcie powrócił do tematu:

– Miałeś, panie, dwie wizje, które dokładnie pokazują niebezpieczeństwa, jakie wiążą się z twoją decyzją. Pierwszy obraz: chaos, rządy Dukasów. A później: obcy rycerze z Zachodu. Krucjata czyniona na podobieństwo owego muzułmańskiego *dżihadu*, jak to nazywają, świętej wojny. Taką samą świętą wojnę chcą toczyć łacinnicy! Już gdy szalony sułtan Al-Hakim zrujnował świątynię Grobu Pańskiego w Jerozolimie, zachodnie rycerstwo, jak i otoczenie samego papieża z Rzymu, zaczęło podnosić kwestię zbrojnej wyprawy do Ziemi Świętej. Od tego czasu minęły dekady, zaszło wiele zmian, jednak idea oswobodzenia Palestyny z rąk muzułmańskich nie umarła. Wprost przeciwnie, o tym się wiele mówi. I choć nie jest to kwestia podejmowana w oficjalnych dysputach, zapewniam cię, panie, że ten problem będzie narastać. Wystarczy iskra, a nastąpi wybuch. Z zachodu nadciągnęłyby zbrojne oddziały, by dokonać ostatecznego rozrachunku z seldżuckimi Turkami. Panie! To już nie byłoby pojedynczy najemnicy, lecz hordy w niczym nie lepsze niż najeźdźcy ze stepów. Hordy ogarnięte świętą wojną w obronie chrześcijaństwa! Nie należy oczekiwać niczego dobrego po tym, że tereny na wschodniej granicy cesarstwa staną się areną walk wielkich sił. Wschodu i Zachodu!

Cesarz przerwał przemowę Italosa.

– Ja ich nie będę zapraszał. Nie są tu mile widziani. Oddziały najemników – to jeszcze ujdzie, jak zabraknie sił, by stłamsić bunt wśród Bułgarów czy Armeńczyków. Ale jedynie w interesie cesarstwa, a nie rzymskiego biskupa.

– Jestem pewien, że przyjdą i tak. Proszeni czy nie. Może za lat dziesięć, może za sto lub dwieście... Przyjdą, gdy tylko ujrzą słabość cesarstwa. Gdy tylko spostrzegą, że cesarz z Konstantynopola nie panuje nad swoim imperium.

– Do rzeczy, Italosie. Do rzeczy! – zniecierpliwiał się *basileus*. – Wiem, jak wyglądają sprawy w polityce, chcę tylko usłyszeć, co mi radzisz.

*Konsul Filozofów* chwilę chodził od ściany do ściany, wreszcie przystanął i rzekł:

– Lekceważenie tego, co się dzieje za wschodnią granicą, to błąd. Niestabilna sytuacja w Syrii i Palestynie jest zachętą dla lokalnych watażków, by zaprowadzić tam własne porządki. Rządy niezależne od cesarstwa, działające na jego niekorzyść. Panie, moje zdanie jest takie, i wierzę, że ty też to czujesz w głębi serca, że tam trzeba wejść pełną siłą i zaprowadzić porządek. Nawet nie licząc się z kosztami. Bo w przeciwnym razie cesarstwo najedzie z

jednej strony dzicz z Persji, z drugiej dzicz z Kaukazu, a z trzeciej nie mniej zdiczałe w swych obyczajach zachodnie rycerstwo. Państwo stanie się areną walk nie tylko zbrojnych, ale i politycznych. Zważ panie na Wenecjan! Trybuty, jakie na nich nałożyłeś, to jak łańcuch, który krępuje ruchy. Teraz są pokorni, ale kto wie czy nie zechcą wykorzystać zawieruchy wojennej, by w cichości wzniecić powstanie wśród Słowian czy Armeńczyków. Takie posunięcia będą dyktować im ich własne interesy. Tutaj cesarstwo musi wejść i zdecydowanie pokazać swoją siłę. Pokazać, że jest pan, który może nie włada już całym światem – bo o tym nikt nie śni – ale włada ludami chrześcijańskimi i centrum świata. Bo jeżeli nie, to sam, panie, widziałeś... Chaos. Michał Dukas cesarzem, imperium pustoszone przez Seldżuków, lokalne wojny i bunty... Cesarstwo nie może okazać swej słabości, bo wtedy spadną na nie wszystkie plagi. Roman Diogenes zamyślił się.

– Zaiste to widziałem w wizji, która pochodziła z zielonego ognia. Ale co powiedzieć o tych obrazach, które zesłał niebieski płomień?

Jan Italos, gestykulując, tłumaczył dalej:

– Tak, tak... I o to właśnie chodzi! Mówiliśmy na razie o wizji pierwszej. Więc znane są już wszelkie konsekwencje, które wynikają z niepodjęcia wyzwania. Teraz wiemy jednak, że zaistniały tu jeszcze inne siły. Siły, które naślą na ciebie, panie, wyzutego z sumienia skrytobójcę.

– Więc co o tym powiesz, Italosie?

– Panie, to tylko jedna z możliwych dróg, ale nie jedyna. Grozi ci zabójca, jednak mając już teraz wiedzę o jutrzejszych zdarzeniach, możesz dążyć do tego, by zapobiec przyszłości niebieskiego płomienia. Tak jak powstrzymałeś skrytobójców wysłanych na ciebie na Sycylii i w Bułgarii. Tak jak wcześniej zdołałeś powstrzymać knowania Andronika Dukasa.

– Andronik Dukas... – powtórzył cesarz w zamyśleniu. – I jego zdradziecki stryj Jan. Tak, wtedy też dałeś mi wizję, która jednoznacznie pokazywała przyszłość. A jednak stało się inaczej. Jak dzisiaj wyglądałby świat, cesarstwo, gdyby Dukasowie zrealizowali swe plany? – zakończył władca retorycznie, jednak filozof podchwycił tę myśl.

– Tego, oczywiście, nikt nie wie... Ale najpewniej dziś na tronie siedziałby jeden z tych słabych młodych Dukasów, a turecki sułtanat rozciągałby się już w odległości kilku godzin konnej podróży z Konstantynopola. Cesarstwo biegłoby ku nieuchronnej klęsce...

*Basileus* przerwał te rozważania.

– Czy potrafisz... Czy będziesz potrafił wskazać tego zabójcę? Czy w razie potrzeby dojrzyz go w swoich wizjach, tak jak skrytobójców na Sycylii i w Bułgarii?

– Tak, panie. Jeżeli nie dziś, to jutro. Wiemy, jaką drogą podąży przyszłość. I wiemy, jak temu zapobiec.

Cesarz pokiwał głową z aprobatą.

– Przekaż logotetom, iż pragnę, żeby niezwłocznie przygotowali audiencję dla fatymidzkiego posła. Czuję, że tym razem negocjacje zakończą się i dojdziemy do konsensu.



\* \* \*

– Bratku, wdepłeś w niezłe gówno. Siedzisz w nim po same uszy.

To była prawda. Może nie dosłownie, ale ta metafora dobrze opisywała stan, w jakim się znalazł. Siedział oparty o skarłate drzewko, jakich tu moc, spętany jak wędzonka. Jego kostki, kolana, przeguby, jak i całe ramiona oplatała gruba lina boleśnie wrzynająca się w ciało. Sznury trzymały go sztywno naprężonego przy samym pieńku, jakaś gałąź dźgała w plecy. Mógł... Nie mógł nic, najwyżej złapać na język strużkę krwi ciekącą z rozbitego czoła.

– Oj, koleżko, i na ci przyszło?

Było ich dwóch. Turek w przybrudzonej turbanie dźgający go ostrym szpikulcem wieńczącym głownię toporka. I jego kompan z zapalem przetrząsający sakwy Kaliksta. Armeńczyk, sądząc po akcencie.

– O cie choroba! Lipnij no, Mustafa! Toż to nasz ziomek. Zobacz.

Armeńczyk wysypał z juków wierzchowca złodziejskie narzędzia Belzebuba. Wytrychy, piłki, nawoskowaną linkę, szpikulce, haczyki i strzałki do rzucania. Oglądał poszczególne przedmioty, gwiżdżąc przy tym z podziwem.

– No to widzę, ziomek, że robim w tym samym rzemiośle. Eee, no to po co ci to było? Po co nam w drogę weszłeś?

Turek spojrzał zaciekawiony.

– Na Allaha, też złodziej. Ale widać paniczek jakiś. A na co ci takie fidrygałki, co? Na ryby idziesz z tymi drutami? Ej, Wahid, co to w ogóle jest? – zapytał kompana, ze zdziwieniem obracając w palcach jeden z wytrychów Kaliksta. Wygięty haczyk z niewielką pętelką z drutu na końcu.

Armeńczyk zerknął z miną znawcy. W jego oczach odmalowała się niepewność, jednak nie tracił rezonu.

– Musi ziomek z miasta jechać, pewnie z Nicei. Tam złodzieje takie mają fantazyjne kluczyki czy inne wytryszki. Ty, mówże! – warknął do Belzebuba. – Co tu masz i skąd jesteś?

– To jest wytrych nazywany *pazur smoka* – mruknął niechętnie Kalikst.

– Pazur smoka? Co ty mi tu za sztuki wstawiasz? To smoki mają na końcach pazurów takie pętelki?

– A widziałeś kiedyś smoka? Widziałeś jego pazury?

Wahid pokręcił głową.

– No nie... A ty widziałeś?

– Ty, Wahid. No co ty, on cię robi w osła! – zauważył przytomnie jego kompan.

Belzebub z miejsca dostał w szczękę. Zabolało. Poczuł, jak uderzenie rezonuje wewnątrz jego głowy, rozrywając na nowo powoli zasychającą ranę na czole.

Turek znów przyłożył kolec na czubku swojego toporka do policzka Kaliksta.

– Widzisz, fajfusie? Ty masz tu jakieś sprytne haczyki, wytryszki, pierdołki. U siebie na

mieście... Więc mówisz, że skąd jesteś?

Szpikulec wbił się w skórę. Kropla krwi. Dwie. Cienki strumyczek.

– Z Konstantynopola.

– No więc, fajfusie, u siebie w Konstantynopolu tymi haczyki sprytnie wywijasz i jumasz babom klejnoty spod poduszki, a tera ci się zachciało psuć robotę uczciwym złodziejom jak my. Powiedz mi, ziomuś, dlaczego? Nie dość ci było babich pierścionków i wisiorków?

Słuchając tego, Belzebub gorączkowo myślał, o co im chodzi. Jaką robotę? Co im zepsuł?

Pochwycili go – wychodziłoby ze słońca – z godzinę jazdy po tym, jak pożegnał się z kupcami i mnichami. Podziękowaniom i pieśniami ku jego chwale nie było końca. Antymos, obdarowawszy nowego przyjaciela parą czerwonych sandałów z cennej skóry babilońskiej, namawiał go na wspólny posiłek. Mnisi śpiewali hymny pochwalne, w zapale nazywając go *świętym Kalikstem*. Gwardziści i żołnierze z kupieckiej obstawy gratulowali odwagi, pomysłowości i przytomności umysłu. Wszyscy przekonywali, że nie ma potrzeby, by już odjeżdżał. *Po tylu wspólnych przejściach – prawili – należy nam się chwilka przy garncu wina i mięsiwie pieczonym na ognisku.*

On jednak zdecydowanie odmówił, przedstawiając im niemal całą prawdę: *Jadę w interesach do Kapadocji. Każdy dzień, bal pół dnia czy kilka godzin zwłoki może mnie kosztować niewyobrażalne góry złota, więc muszę jechać teraz, zaraz, już, nie zwlekając.* Później żałował swej szczerości, przecież mógł im powiedzieć cokolwiek albo wręcz stworzyć jakąś mylącą trop historię na wypadek, gdyby kiedyś dotarł tu pościg z Konstantynopola. No ale najważniejsze, że uznali wyższość jego celów. Jak mus, to mus, trzeba jechać. Odjeżdżał żegnany śpiewem, owacjami i modlitwami.

Wtedy na nowo dokonał kalkulacji czasu i odległości: *jeżeli teraz ruszę galopem i nic mnie nie zatrzyma...*

Zatrzymało. Gdy myśli Belzebuba skradały się już po zakamarkach monasteru Czarnego Mnicha, jego ciało zostało spętane sznurową pętlą zarzuconą ręką Mustafy. Nagle stracił dech, przed oczami zatańczyły mu pstrokate płatki, a długa lina ściskająca za gardło zrzuciła go z konia.

– Bratku, wdepłeś w niezłe gówno – powiedział Turek, przytykając mu kolec toporka pod oko.

A teraz siedział przy sękatym pieńku spętany jak wędzone mięsiwo i zastanawiał się, o co im chodzi.

Wahid musiał zauważyć w jego wzroku szczere niezrozumienie, bo zaczął tłumaczyć:

– Widzisz, ziomek. My tu poważną robotę mamy już od kilkunastu dzionków co najmniej.

– Dwa miesiące, Wahid! – doprecyzował Mustafa. – To już nie jest kilkanaście dni.

– Tak, dwa miesiące. I, proszę ja ciebie, tyś nas tej roboty pozbawił!

Kalikst spojrzał na Armeńczyka jak na obłąkańca.

– Jeszcze nie rozumisz? Demona nam spaliłeś! Demona, co na bogatych kupców i inszych podróżnych narażał i ich rozpiżdział w drobny mak!

Zaczynał rozumieć, ale nie do końca.

– No bo, kurna, jak żeśmy z Mustafą skumali, że tu jakiś demon, cwana gapa, rozpiżdziela łajzów, co po trakcie, co po rozstajach się szlajają, tośmy tu założyli swój rewir. I tutaj było, proszę ja ciebie, nasze źródło solidów. Tylko se leżysz i czekasz, aż nadjadą kupcy-głupcy, demon ich zabije, a my wtedy tylko sakiewki opróżnimy.

– Ale jak?! – wykrzyknął zdziwiony Belzebub. – Demon zabijał wszystkich. Ludzi, zwierzęta. Kto się tylko zbliżył na sto kroków. A później dwieście.

Wahid zarechotał.

– Taką samą sztuczką, jak ciebie schwytaliśmy, to i tym kupcom-głupcom te dobra podkradaliśmy. Albo innym wędrowcom. Co kto padł, to go liną ściągaliśmy. Albo pętlą, albo hakiem! – Armeńczyk z dumą zaprezentował przytroczoną przy końskim siodle linę z kotwiczką. – Bo jak widzisz, my też mamy swoje pętliki i haczyki, tylko tycio większe. A jak koniecznie chcesz wiedzieć, to mamy też drągi z hakami, którymi ściągaliśmy trupy, jak się zaklinowały. Albo wozy, no jak ten wóz, co już mieliśmy na oku. Tylko trzeba było podejść, tam gdzie demon ubijał, nie za blisko, ale tak, żeby liną sięgnąć. Mieliśmy wszystko, plan wymyślony od początku do końca...

Mustafa dźgnął Kaliksta w drugi policzek i ryknął do Armeńczyka.

– Ej, Wahid, a po co ty mu to wszystko mówisz? To nasze sztuczki, a ty mu wszystko śpiewasz.

– ...a ty nam go zmarnowałeś – dokończył Armeńczyk, ignorując uwagę swojego towarzysza. – I towary kupców. I ten złoty krzyż, co ten klecha od egzorcyzmów zgubił.

Turek dał spokój jeńcowi. Rozmarzył się.

– Tak, ten krzyż to dopiero było coś! Myślisz, że był cały ze złota?

– A jużci. Takie klechy bogate, biskupy, noszą tylko szczerze złoto. Jak cesarz w Konstantynopolu.

– Ale nawet jeżeli, to co? – Mustafa pokręcił z powątpiewaniem głową. – Klecha powiesił go na drzewie, a tam byśmy już liną nie sięgnęli. Za daleko. To i nas by demon ubił.

– Ja bym sięgnął.

– Na dwieście kroków byś linę zarzucił? Głupiś, Wahid.

Armeńczyk podrapał się po głowie. W odróżnieniu od Mustafy nie nosił na niej okrycia. Ciemne, starannie natłuszczone włosy opinała jedynie opaska z miękkiej skóry, wysadzana drobnymi kamieniami.

– Już ja bym coś wymyślił. Tak jak nasz ziomek z łuku bym go zdjął.

*Żaden z ciebie ziomek* – pomyślał Kalikst, ale pomny ostrza Turka powstrzymał się przed wyrażeniem tej opinii. – *Żadni z was złodzieje. Złodziejstwo to sztuka przemykania nocą, precyzyjna robota bez krwi i trupów, to mistrzostwo w zdobywaniu tego, co niedostępne, tego,*

*co ukryte. A wy? Zwykle szumowiny, hieny żerujące na padlinie. Pospolite opryszki, zbóje. Nie, nawet nie zbóje! Zbóje potrafią stanąć do walki, nawet jeżeli na zwykłych kupców napadają. Nie dojadają resztek po innych. Więc nie zbóje ani złodzieje. Hieny, dziedziczące psy obgryzające trupy.*

Nie powiedział tego na głos, ale coś musiało być w jego wzroku, bo Mustafa wymierzył mu potężnego kopniaka prosto w żołądek i znów przystawił do twarzy swój toporek.

– Coś ci nie w smak, bratku? Nie w smak ci nasze towarzystwo?

Ostry szpikulec powędrował teraz pod szczękę Belzebuba. Turek dźgnął, trafiając w kość. Brodę Kaliksta zalała rozplywająca się fala bólu.

– Ciekawym, czy jakbym pchnął teraz, toby ci koniec wyszedł nosem – wysapał mu prosto w twarz Mustafa. – Im dłużej patrzam na twą fałszywą gębę, to tym bardziej mam ochotę to sprawdzić. Nie podobasz mi się, bratku. Zepsułeś nam robotę, a teraz jeszcze...

Niespodziewanie Wahid wybawił jeńca z opresji.

– A co to? Pergamin jakiś? Plan jakiś! Mapa! – gadał podekscytowany, wyciągając z tobołków Belzebuba najgłębiej schowaną i najlepiej zabezpieczoną tajemnicę. Plany wykradzione z domu mistrza Atanazego.

Armeńczyk odrzucił w bok skórzany pokrowiec skrywający dokument i rozłożył mapę, opierając ją na końskim zadzie. Chwilę gapił się na skreślone na niej znaki.

– Co to jest? Jakiś skarb ukryłeś, ziomek? Co to za skarb? Dużo złota? Gdzie to jest?

Turek też się zainteresował. Zawiesił toporek przy pasie i podszedł do końskiego zadu. Długo patrzył na pergamin, wreszcie zawyrokował:

– To na pewno plan do złota. Tylko nie mogę tego rozczytać, co tu stoi. Tego pisma nie znam.

Wahid zarechotał szyderczo:

– Przecie ty nieuczony w piśmie! To co masz znać albo nie znać?

Jego kamrat poczerwieniał. Złapał za toporek, jednak zaraz się opanował.

– Ty też nieuczony.

Jak na komendę obrócili wzrok na Kaliksta.

– Ale nasz ziomek z Konstantynopola musi znać pismo. To jego plan.

Patrzyli na niego jak dwa głodne wilki na wycieńczoną koszatkę.

– Zabieramy go do obozu – zakomenderował Mustafa.

Obóz znajdował się jakieś czterysta kroków od spalonego cyprysa, po przeciwnej stronie niż rozstaje. Od drogi osłaniało go niewielkie wzgórze, które tym samym stanowiło doskonały punkt obserwacyjny. U jego stóp zbóje ustawili prowizoryczne ogrodzenie z kolczastych gałęzi, zbudowali palenisko otoczone kamieniami, zaś dwa wgłębienia wygrzebane w ziemi i wymoszczone trawą służyły im za legowiska. Poniżej, w niewielkiej dolince, odpoczywały konie.

Mustafa przykucnął przy palenisku, dorzucił dwie garści suchych gałązek i zaczął

dmuchać. Gdy ogień rozgorzał na dobre, sięgnął po odebrany Kalikstowi mamelucki bułat. Umieścił koniec ostrza w płomieniu.

Belzebub poruszył się niespokojnie. Wiedział, co to może znaczyć.

– Tak, ziomek. Będziesz śpiewał – rzekł Wahid, obserwując, jak jeniec próbuje bezskutecznie poluzować krępujące go liny. – Chyba że wolisz wszystko powiedzieć, zanim cię Mustafa pogłaszcze rozpalonym żelastwem. Mów! Co to za plan?

Kalikst szarpnął się jeszcze raz i płaczącym tonem wyrzucił z siebie:

– Nie wiem, co to za plan, to nie moje pismo! Nie moje pismo, zrabowałem je jednemu paniczykowi z mieczykiem, co samotnie na koniku jechał. Nie miał wiele, tylko parę solidów, ten bułat, no i pergamin. Nie wiem, co to za pergamin, ja nieuczony w piśmie, ale wziąłem, pomyślałem, że się nada, no nadał się, bracia ziomkowie, jak widzę, zainteresowani, weźta ten pergamin, to nie mój i nie wiem, co tam stoi!

W odpowiedzi Armeńczyk tylko parsknął śmiechem.

– Piękna gadka, ziomek, prawie mnie wkręciłeś. No, aktor z ciebie urodzony, mógłbyś w trupie jakiejś albo w mieście na hipodromie występować i gawiedź rozśmieszać! Ha, ha, ha! – Nagle spowaźniał. Błysnął złowrogo oczami. – Tylko że to nie są figle. Takie gadki to nie do nas. Popatrz! Mustafa już rozgrzał żelazo, już jest czerwone jak owoc granatu. Jak go znam, poczeka jeszcze chwilę, aż ostrze zbieleje. Wtedy ci przyłoży do pięt najpierw, później do jajec, a później... To już będziesz ugotowany i wszystko nam powiesz, jak na spowiedzi.

Jeniec w duchu klął na własną głupotę. Bajka była dobra, tylko należało ją zostawić na koniec. Obrabowany paniczyk, pismo, którego nie idzie rozczytać – to była dobra historyjka, ale teraz? Teraz trudno będzie im cokolwiek wcisnąć.

Wahid rozłożył plan i jął się weń uważnie wpatrywać. To, co narysowane, łatwo zrozumieć. Tylne wejście do jakiejś warowni czy monasteru, czy innej posiadłości. Chyba monaster, bo krzyż wielki na środku. Droga poprzez kazamaty i coś – ale co? – oznaczone jakimiś znaczkami. Dalej na piętro, na jeszcze jedno, znów na jeszcze jedno i do skarbcza. A tam... Tam na pewno złoto. Ale co znaczą te wszystkie opisy dookoła? Te znaczki? I gdzie to jest?

– Pomogę ci – Armeńczyk rzekł po chwili do Kaliksta. – To jest monaster, w którym jest ukryte złoto. Wejście jest od tyłu, idziesz tędy, tędy, tędy i tu do skarbcza. Tak? Tak, to jasne. A teraz mów, ziomuś! No, gdzie to jest? I ile tego złota, co?

– Dajże spokój! – Zza Wahida wysunęła się złowroga sylwetka Mustafy. Trzymał w garści rozpalony do białości bułat, a w oczach lśniła mu okrutna determinacja. Tu już nie było żartów, Belzebub to czuł.

Turek przykucnął koło niego i pociągnął za linę przy nogach. Porozcinał rzemyki w sandałach, po czym zsunął je z nóg. Uśmiechając się złowrogo, przyłożył rozżarzony metal na płask do niczym nieosłoniętej pięty.

Kalikst zawył. Poczł swąd przypalanej skóry. Pulsujące pieczenie ogarnęło całe ciało,

jakby ktoś wlał mu w żyły ołowiu.

– Trzymaj go, Wahid. Trzymaj mu nogi, to go trochę dłużej przysmażę.

Armeńczyk złapał za linę krępującą nogi jeńca i docisnął ją do ziemi. Mustafa spojrzął zafrasowany na koniec ostrza: już traciło swą ognistą biel. Wsunął żelazo w płomień. Po dłuższej chwili podszedł z powrotem do Belzebuba.

Ten miał już przed oczami mgłę, widział tylko oczy oprawcy. Ciemne jak otchłań piekieł. Zalsniło w nich czyste zło, pogarda i nieskrywana nienawiść. Zobaczył w nich demony harcujące wokół kotłów wypełnionych wrzącym olejem, w których gotują się na wieczne potępienie okrutni i występni za życia doczesnego grzesznicy. Zobaczył w nich anioły ciemności liczące, niczym bogacze złoto, potępione dusze. Zobaczył w nich czeluść bez dna, gdzie dnem mogło być tylko niewysłowione cierpienie.

Nagle ujrzał też coś innego. Między ciemnymi oczami Mustafy wyrosła niewielka, ostra piramidka. Grot strzały. Pośrodku – niczym trzecie oko. Tylko zamiast łez pociekła z niego krew i Turek zamarł z otwartymi ustami, w pół szyderczego uśmiechu, a ręka z rozgrzanym żelastwem zawisła o włos od stopy Kaliksta.

Zbój bezgłośnie osunął się na ziemię. Rozgrzane żelastwo spadło na stopę Belzebuba.

Pieczenie. Ból jak z piekła! Tak muszą cierpieć grzesznicy gotowani w kotłach z olejem!

Wahid skoczył w bok, wyszarpując zza pasa miecz. Ruch niezbyt sensowny i całkowicie nieskuteczny. Nim Armeńczyk zdążył wziąć zamach, jego pierś przeszła strzała. Zachwiał się i charcząc, zrobił krok w tył. Nie padł od razu. Bohatersko parł naprzód, w stronę nieznanego łucznika, ale wtedy dosięgła go druga strzała. W brzuch. I trzecia – prosto w otwarte ze zdziwienia i bólu usta. Brocząc krwią, zbój runął na ziemię i znieruchomiał.

Nie od razu Kalikst opanował swój ból. Szybkie myśli. Beładne. Co się dzieje? Piekło? Piekło na ziemi? Demon? Demon żyje? Demon z cyprysa powrócił? Jak? Dlaczego? Demon szuka pomsty?

Załamionymi z bólu oczami spojrzął na szczyt wzgórza, gdzie majaczyła sylwetka zabójcy. Potarł powieki i zamrugał.

Nie. To nie był demon.

Na trawiastym wzniesieniu stała Zoe.

## ROZDZIAŁ 10

Mistrz Atanazy Meklidos w milczeniu podziwiał manewry statków w porcie. Z odległości, jaka dzieliła jego rezydencję od zatoki, galery sunące po jej wodach przypominały dziecięce zabawki drążone w korze drzewa, puszczane dla uciechy w miejskich kanałach. Jednak od razu rozpoznał okręt fatymidzkiego posła. Jednostka wyraźnie się różniła od statków kupców ze Wschodu, nie przypominała też cesarskich dromon ani żaglowców Italczyków. To była jedna z tych bojowych jednostek, jakich używali Saraceni w swych morskich podbojach. *Za ciężka, za niska, za mało zwrotna* – ocenił mistrz Atanazy, jednak musiał przyznać, że okręt prezentował się nadzwyczaj efektownie. Świeżo wysmołowany, zdobiony kunsztownymi malowidłami, oznaczony proporcami kalifa Al-Mustansira.

Okręt posła Ahmeda Al-Idrisiego sunął powoli do ujścia zatoki otoczony eskortą galer cesarza. Uroczyste pożegnanie.

*Będzie wojna* – skonstatował Atanazy, przypominając sobie najświeższe doniesienia szpiegów. – *Więc Roman Diogenes zawarł przymierze z Fatymidami i pójdzie na Seldżuków. Sojusz z kalifem. To dobre posunięcie, jeżeli sprawy pójdą tą drogą, jak pragnie władca.*

Oderwał się od tych rozmyślań i zapytał stojącego za jego plecami mężczyznę:

– Jesteś pewien tego, co mówisz?

Tryfon Szachista potwierdził:

– To już sprawdzone. Mam świadków. Mam relacje jego kompanów. Znalazłem kupców. Wszystko układa się w logiczną całość. Nie ma wątpliwości. To Kalikst Belzebub.

Atanazy zacisnął gniewnie usta. Po chwili jednak grymas na jego twarzy zelżał.

*A więc to prawda. Kalikst. Teraz przeciwko mnie. Kiedy popełniłem błąd?*

Wrócił myślami do tego dnia przed dwudziestu laty. Wtedy nie był jeszcze mistrzem – gildią kierował stary Arseniusz Żelazna Dłoń. To było... Tak, to było gdzieś między straganami przy Mese, gdy kilkuletni obdartus wyciągnął z mieszkania Atanazego złoto z mozołem odebrane od szczególnie nieuczciwego dłużnika. Meklidos szybko zorientował się, że został okradziony, i nim szczeniak zniknął między straganami, trzymał go już za kark gotów wymierzyć razy. Jednak zamiast złoić mu skórę i odebrać monety, zrobił coś zupełnie – jak to wtedy oceniał – irracjonalnego. Zabrał dzieciaka do siebie. Chłopak był sierotą, jednym z dzieci ulicy, ale nad wyraz sprytnym i utalentowanym. Atanazy potrafił docenić

jego zdolności: wielu doświadczonych członków gildii wykazywało się mniejszą finezją, gdy przyszło im opróżnić sakiewki. *Ten diament, gdy go wyszlifować, może zalsnić światłem, które przyćmi wszystko, co do tej pory widzieliśmy* – myślał wtedy Meklidos.

Dzieciak nie miał nic własnego, nawet imienia. To on nazwał go Kalikstem. Nowe imię odzwierciedlało ówczesny stan rzeczy: *kallistos*, czyli „najpiękniejszy”. Szczeniak po obmyciu i odzianiu w czyste szaty ujął starego obliczem gładkim i miłym niczym dziecię Apolla, miał też słodki głos, dźwięczny jak granie niebiańskich harf. Niestety, Atanazy w swym braku ojcowskiego doświadczenia nie wziął pod uwagę, że chłopięce piękno to przywilej niemal każdego zdrowego kilkulatka i kiedyś przemija. Z czasem Kalikst pokazał swą prawdziwą, zgoła odmienną twarz. Jego awanturnicza natura i skłonność do bitek sprawiły, że do młodego złodzieja szybko przylgnął przydomek Belzebub. Zaś gdy dorósł, diabelskie imię zaznaczyło się na jego twarzy czujnym spojrzeniem, z lekka kpiącą miną i starannie wyciętą bródką.

Bez względu na wszystko chłopak był dla Meklidosa jak syn. Jedyne, kochany, szycowany na następcę.

Tak myślał, ale to były inne czasy. Arseniusz umarł, on zaś przejął obowiązki wielkiego mistrza. Z początku życie w gildii i poza nią biegło spokojnie, wręcz sielsko. Atanazy, miast dozwalać Kalikstowi na całodzienne szwendanie się po rynku, posłał chłopaka na nauki do *grammatistesasa*, pierwszego nauczyciela, który wpajał znajomość liter, czytania, pisanie i liczenia. Podstawową wiedzę, niewystarczającą dla urzędnika czy wojskowego strategosa, ale dla złodzieja – równą studiom u największych filozofów. Meklidos dbał też, by wraz z nauką alfabetu i matematyki młodzian rozwijał inne zdolności: fechtunek, strzelanie z łuku i kuszy, jazdę konną, a także – a właściwie przede wszystkim – umiejętność posługiwania się narzędziami mistrzów złodziejstwa: wytrychami, haczykami, piłkami, wiertelkami... Dzień, w którym Kalikst zdał swój pierwszy egzamin uczniowski, oznaczał przyjęcie go do gildii i wtajemniczenie w niedostępne dotąd tajemnice.

W tamtych latach gildia rozkwitała. Były pieniądze, były wpływy, mistrzowie okazywali sobie wzajemny szacunek. Później jednak organizacja nadmiernie urosła, jęły się w niej ścierać sprzeczne interesy. Nowi ludzie. Nowe układy. Spiski, morderstwa. Jako mistrz Atanazy widział naoczas w Kalikście najlepsze ostrze swojego arsenału.

Ale jako ojciec, nawet przybrany... Cóż, z czasem nabierał przekonania, że w tej wojnie nie będzie zwycięzców. Eutymiusz, który nagle wyrósł na potężną siłę w gildii, nie grał czysto, co i Meklidosa zmuszało do niehonorowych poczynań. Kilka skrytych morderstw, jakie miały miejsce w bliskim otoczeniu Atanazego, pozwoliło mistrzowi podjąć właściwą – jak wtedy mniemał – decyzję co do losów Kaliksta.

*Niech chłopak pozostanie z dala od tego* – myślał wtedy. – *Nie będę go wyróżniał, nie będę go wtajemniczał. Niech doskonalili swój fach, jak chce, niech podróżuje, zdobywa wiedzę, korzysta ze swojej młodości. A rozgrywki starych mistrzów... Niech trzyma się z dala od tego,*



*dopóki na szczycie nie zostanie tylko jeden mistrz. Zostanę ja – wówczas Kalikst z czasem przejmie moje obowiązki i zaszczyty. Zostanie Eutymiusz – wtedy Kaliksta ominą czystki dokonywane wśród moich ludzi, chociaż, prawdę mówiąc, jeżeli Eutymiusz okaże daleką przenikliwość, to utraci także i jego.*

Tak myślał wtedy, jednak z czasem sprawy obrały zły obrót. Coraz ostrzejsza walka wewnątrz gildii sprawiła, że miał już mniej czasu dla Kaliksta. Chłopak łąził po mieście z nowymi przyjaciółmi, z czasem wyprowadził się z domu Atanazego i żył na własny rachunek. Ich wzajemne spotkania były coraz rzadsze i krótsze, choć mistrz wciąż wierzył, że wszystko, co dobre, jeszcze przed nimi.

Ale teraz... Kalikst wykradł tajne plany. Tak, to mógł zrobić tylko on. Bo któżby inny tak dobrze wiedział, gdzie mieści się tajna skrytka mistrza i jak obejść jej zabezpieczenia? *Gdzie popełniłem błąd?* – dumał Atanazy. – *Za bardzo go izolowałem od wydarzeń w gildii? Nie pozwoliłem mu samemu decydować i czynić swe wybory? Nawet złe wybory, ale przecież stąd płynie doświadczenie życiowe. Błędy człowiecze większą dają naukę niż grammatistes w szkole, niż mistrzowie fechtunku i wytrycha. To mu odebrałem, czy to jest właśnie ten mój błąd?* Ale jaka z tego płynęła nauka, jak to pogodzić z wiedzą o nikczemnościach wewnątrz organizacji? Tego mistrz nie wiedział i nie mógł wiedzieć. Czy Kalikst wtajemniczony w skryte plany wobec niego zachowałby należytą cierpliwość i powściągliwość? Patrząc na ostatnie wydarzenia, można było powątpiewać. Chłopak był porywczy, niecierpliwy, skłonny do nieprzemyślanych działań.

– Gdzie on teraz jest? – zapytał, z góry znając odpowiedź.

Tryfon zbliżył się do Meklidosa. Wiedział, co czuje Atanazy, i najchętniej oszczędziłby mu frasunku. Z wahaniem powiedział:

– Nie wiemy, gdzie dokładnie jest. Ale wobec powyższego, zważywszy na poczynione nabytki oraz kilkudniową nieobecność, co potwierdzają także jego kompani, należy wysnuć wniosek, że w tej chwili jest już w Kapadocji, w monastyrze Czarnego Mnicha. Wydaje się, że nie ma już żadnych wątpliwości. On chce ukraść Ikonę Upadłego Anioła.

*Po co?* – myślał Atanazy. Wiedział, że będzie mu trudno ją sprzedać. A może to sprawa Eutymiusza? Przekabacił chłopaka na swoją stronę? Tego mistrz też nie wykluczał, choć byłaby to porażka jego życia. Kalikst w rękach jego oponenta... Narzędzie, dzięki któremu Eutymiusz mógłby ośmieszyć Meklidosa w oczach gildii. Do członków rady poszedłby wyraźny sygnał: *Jak Atanazy może stać dalej na czele gildii, skoro nie potrafi nawet upilnować tajnych i drogocennych planów wyprawy? Owej szaleńczej wyprawy do monastynu Czarnego Mnicha, która tylko hańbę i wstyd ściągnie na nas miast chwały i złota.* To byłoby bardzo w stylu Eutymiusza. Nie ma co, wybrał doskonały moment. Akurat tuż przed decydującym spotkaniem rady, kiedy miało zapaść ostateczne rozstrzygnięcie dotyczące losów wyprawy do Kapadocji. Akurat wtedy, gdy każdy z mistrzów chciał wnikliwie zapoznać się z planem.

– A Zoe? Co z Zoe?

– Zoe też nie ma, chociaż... – pospiesznie wyjaśniał Tryfon. – To dziwna sprawa. Nie wyjechała tego dnia co Kalikst. Widziano ją jeszcze dwa dni później, gdy całe miasto huczało od plotek, pomówień i podejrzeń. Dopiero po ostatniej radzie gildii znikła na dobre z Konstantynopola.

Atanazy odwrócił się do Szachisty i ściągnąwszy gniewnie brwi, zapytał:

– A nasi szpiedzy, których posłałeś do Kapadocji? Czy są jakieś wieści?

Doradca pokręcił głową.

– Nie ma. Nie ma żadnych wieści. Przepadli.

– Jak to przepadli? Wysyłamy naszych najlepszych szpiegów, którzy zęby zjedli już na takich misjach i nieraz dowiedli swojej lojalności, a teraz sobie po prostu, ot tak, przepadli? Nie może to być!

– Prawda. To bardzo niepokojący stan rzeczy. Mimo to wciąż wierzę, że Maksymus i Konstancy powrócą do nas, niosąc dobre wieści. Chociaż skądinąd doszły mnie jeszcze insze nowiny. Swoich własnych szpiegów do Kapadocji posłał też Metody.

– Metody? Ten plugawy karzeł? Czyli Eutymiusz działa na własną rękę! Co on knuje?

Tryfon sprostował:

– Mistrzu, wedle moich informacji to była samodzielna inicjatywa Metodego. Wysłał swoich szpiegów w ślad za naszymi bez wiedzy Eutymiusza.

– Szpiegów czy skrytobójców?

Szachista rozłożył bezradnie ręce.

– Myślę, że odpowiedź na to pytanie – podjął Meklidos – jest rozwiązaniem zagadki, gdzie podziiali się Maksymus i Konstancy.

– Szpiedzy Metodego czy skrytobójcy też nie wrócili – pokręcił głową Tryfon. – Wieści, jakie do mnie doszły, dowodzą, że ta sytuacja jest także zaskoczeniem dla karła i jego pana.

Mistrz, uspokajając oddech, wpatrywał się w manewry galer na zatoce. Wreszcie po dłuższej chwili rozkazał:

– Przyrowadź mi tu Nicetasa Wielką Pięść.

\* \* \*

Następnego dnia z Chalcedonu, osady położonej na przeciwległym brzegu Bosforu, wyruszał w kierunku południowo-wschodnim niewielki oddział jeźdźców. Na czele, odziany w lekką kolczugę, z długim mieczem dwuręcznym zarzuconym na plecy, jechał szeroki w barach dryblas o gębie spuchniętej od licznych bijatyk, a może pijatyk – bez znaczenia. Łysy łeb okrywał hełm segmentowy ozdobiony na czubku papuzim piórkim. Osilek rozglądał się obojętnym wzrokiem po okolicy, szukając choć jednego, ostatniego pretekstu, który kazałby mu zawrócić do Konstantynopola.

Tuż za dryblasem podążało dwóch innych jeźdźców. Ryzawi bracia w kolczugach i

kapalinach ciasno osadzonych na głowy. Łeb młodszego z dwójki, a przy tym chudszego i wyższego, pokrywały zmierzwione kudły, które sterzczały spod przyciasnego hełmu niczym zeschnięte osty. Starszy był przy nim kurdupel. Powagi dodawał sobie marsową miną oraz wygoloną czaszką z wytatuowanym gryfem, którego co chwilę odsłaniał, niby to chcąc tylko zetrzeć pot spod kapalinu. Łysa pała nader pasowała do jego wzrostu, kręcone rude loczki jak u brata dawałyby efekt zbyt komiczny. Obydwaj ściskali w garściach perskie maczugi – okrągłe, wykonane z kutych taśm żelaznych.

Oddział zamykał milczący osobnik okryty od stóp po głowę saraceńskim białym strojem. Jego czoło skrywał zawój wzmocniony od góry stalowymi obręczami. Przy boku trzymał łuk, przy pasie przywieszoną miał krótką szablę seldzucką.

Jeźdźcy minęli wschodnią bramę Chalcedonu i wjechawszy na trakt anatolijski, pomknęli szparko ku Kapadocji.

– Te, Nicetas – mruknął niższy z braci, Waldemar Jałmużnik, zwany tak od swego stylu pracy. Łysy kurdupel, przybysz z dalekiej Żmudzi, miał prosty sposób na zdobycie fortuny: przyodziewał strój żebraka spod cerkwi i krążył ulicami Konstantynopola, bełkocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe prośby. Ślinił się przy tym i prychał. *Biedny, pokarany na umyśle głupek* – myślał niejeden, sięgając do sakiewki. *Naści, przygłupie, miedziaka. Kup se chleba i rybę na obiad* – prawił i ledwie kończył to zdanie, już żałował. Spod żebraczego kaptura wyzierała rozrehotana gęba, spod łacha wyskakiwała maczuga i po chwili naiwny ofiarodawca leżał na bruku zboczony krwią. Waldemar zaś dawał dyla, roztrącając obojętny tłum. W garści ściskał pełną sakiewkę. – Te, Nicetas – mruknął więc niższy z braci. – To przez tego twojego ziomka, zamiast dziwki chędożyć, będziemy teraz przez miesiąc wciągać w kinol kurz z traktu. Nie miał ten twój koleżka jakich lepszych zajęć, tylko jumać złoto mistrzowi i spadać w stepy?

– Zawrzyj japę, głąbie! – huknął Nicetas Wielka Pięść, który przewodził oddziałowi. – Belzebub jest dobry ziomek, nie zawiódł mnie nigdy. Ja dla niego łapę w ogień włożę i jeszcze będę wołał, że zimno. I dla mistrza Atanazego też zrobię wszystko, bo on dla mnie jak ociec. Więc kiedy Atanazy kazał: *Weź ludzi, jedź do Kapadocji i znajdź Kaliksta, zanim narobi sobie kłopotów*, tom cię wziął, przygłupie, cobyś zobaczył trochę świata poza Konstantynopolem i zaznał przy tym nieco rozrywki. Znaczy się solidy można trzaskać, nie tylko łupiąc duraków na jałmużnika.

Wtedy Waldemara wsparł jego brat, Wit Wodnik, zwany tak od niezwykle wytrzymałego łba. Wytrzymałego, jeżeli chodziło o zmagania w tawernie: *Dzban wina? Dwa dzbany? Trzy? Toż ja mogę to wypić jako wodę. Jak wodnik, co chłępta co dzień z jeziorka*. I choć ryże kłaczki stanowiły przyczynę powstania jeszcze kilku innych przydomków, to jednak na dobre przyjął się tylko Wodnik. Brzmiał dobrze, sam zaś Wit nie wyglądał na zmartwionego tym przezwiskiem.

– Ten twój kompan, Nicetas, to jakiś taki... no wiesz, ni rzyć, ni pyta. Jakoś tak jest

zawsze z boku w gildii. No prawda, trzyma z tobą, z tą swoją dupą, ale jakoś tak z kompanami nie jest chętny do wypitki. No, ja nie mówię tylko do wypitki, żeby nie było. Chodzi tak ogólnie...

– Stulże ryło jeden z drugim – zgasił Wita Wielka Pięść. – Belzebub jest dobry ziom i pierwszorzędny złodziej. Zna takie sztuczki, co dla was są czarną magią. Byś posłuchał jeden z drugim parę historii, jakie on wywinał, tobyś miał inną gadkę. Głaby! Kalikst takie numery wycina, że wy przed nim możecie tylko te swoje ryże, i ryże-tyse, łby giąć, taki on dobry! On jest chłopak zmyślny, nie taki jak wy, prostaki i durnie!

– Ha, ha! Znalazł się mędrzec! Nicetas Myśliciel, Co Zjadł Wszystkie Rozумы. He, he! Ale wypić, jak rzekłem, to jakoś ten twój koleżka nie lubi z nami.

– Jeżeli chodzi o wypitkę, to ze mną dryni. I to jest dla mnie wystarczający powód, żeby z nim trzymać. I teraz jechać po niego, kiedy jest w potrzebie.

– Eee, dajże spokój! Tylko ściągnął na nas kłopoty. Diabli nadali po bezdrożach się pałętać. I gdzie? Do Kapadocji! Toż to tydzień drogi, może więcej, a tam gdzie twojego kompana szukać?

– Zamilcz i jedź, jak ci kazali! – warknął osiłek. Jęczenie ryżych braci zaczynało już działać mu na nerwy, choć to był dopiero początek podróży.

Tylko Muhammad nie rzekł ani słowa. Zwali go Łowcą Demonów. Wzięło się to z jego milczącej natury i słów wypowiedzianych w obcym, nieznanym im języku Saracenów. *Daimon, daimon, diabolos* – tyle potrafił powiedzieć po grecku, znacząco ściskając przy tym swoją szablę.

– Ten twój kompan, Nicetas, to nie jest nasz ziomek, wiesz o tym – mruknął cicho Jałmużnik. – I ta jego dupa, Zoe, też potrafi do szaleństwa doprowadzić. Znaczy tym, że taka jakaś nazbyt wyszczekana suka, w ogóle nieprzystępna, no jakaś niechętna do uciech.

– He, he – zarechotał Wielka Pięść. – A co? Po ryju żeś oberwał, jak żeś za tyłek ją złapał? Pochędożyć chciałeś, a tu chlast-prast i po mordzie dostał! No co, nie? Nie było tak? To jest ostra dziewczyna, nie dla takiego fujary jak ty!

Waldemar zmieszał się. Coś tam musiało być na rzeczy, bo rudzielec ze Żmudzi szybko zmienił temat.

– Eee tam! Od razu po mordzie! A zresztą... No to powiedz, co on za czary złodziejskie wyczynia, ten Kalikst, kiedy taki zdolniacha.

– Jakie czary...?! Tylko posłuchaj! Raz było tak. Mieliśmy kiedyś taką robotę...

Zagadani nie spostrzegli, że w ślad za nimi posuwa się druga grupa. Pięciu ponurych drabów, którzy nie należeli do gildii. Nie byli wierni żadnym panom, nie wiązały ich żadne umowy i zobowiązania. Nie czuli żadnej przynależności, nie okazywali lojalności. Co nimi kierowało? Solidy. To jedyny bóg, który poruszał ich serca.

Pięciu drabów bez honoru i wierności wlekło się w ślad za złodziejami z Konstantynopola. Milczeli, w myślach przeliczając śmierć na złoto.

A Karzeł Metody, siedząc w tawernie nieopodal hipodromu, zacierał swe krótkie łapki, ciesząc się, że sprawy idą po jego myśli.

\* \* \*

– Filozof z ciebie nie będzie, to pewne, Kalikst. Ale myślenie jest dane nie tylko filozofom. Powinieneś kiedyś spróbować, doprawdy.

Rzucił jej najcięższe spojrzenie ze swojego arsenału. Miało znaczyć: *Daj sobie spokój, dziewczyno, nie chcę już o tym gadać.* Piekły go przypalone pięty i przez to jazda na koniu była katuszą, jakiej nigdy chyba jeszcze nie przeżył. Wykrzywił gniewnie usta.

Te zabiegi zdały się na nic. Zoe nie zamierzała przestać.

– Powiedz mi, co ty w ogóle zamierujesz? Jaki masz plan?

– Mam swoje zamysły – odparł niechętnie. Zoe potrafiła być naprawdę męcząca. Jak osa krążąca nad pokrojonym arbuzem. Ten jej denerwujący ton. Kpiący i przemądrzały. Po co ona tu w ogóle przyjechała?

Wciąż przeżywał gorycz porażki. Bo tak: dał się złapać na pętlę ze sznura jakimś dwóm zapyziałym rzeźmieszkom. Podeszli go jak cielę na pastwisku. Przypalili mu pięty, niemal wydarli torturami tajemnicę. Rozżarzone żelastwo... Trzeci raz już by tego nie zniósł. No i wtedy uwolniła go ona! Nie, to dobrze, że go uwolniła. Ale dziewczyna? I do tego Zoe?! Która powinna drynić wino w Konstantynopolu? Skąd się tu wzięła? Jak? A skoro ona, to zaraz przybieżą inni. Bo dlaczegóż by nie? Ona go znalazła, to znajdzie też gildia. I diabli wtedy porwali całą wyprawę!

– Masz swoje zamysły? – zapytała kpiąco. – Póki co toś na dobrej drodze, by osiągnąć jedno: na zawsze stracić miejsce w gildii. Uznają cię za zdrajcę, to bez cienia wątpliwości.

– Jak już to zdobędę... Oddam im to, niech im kością w gardle stanie. Zdobędę, przywiozę z powrotem do Konstantynopola, rzucę pod nogi Atanazemu i splunę.

– Atanazemu? Więc tu o to chodzi? Chcesz się odegrać na starym za to, że cię odstawił?

Rzucił jej mordercze spojrzenie: *Przymknij buzię, dziewczyno, bo doprowadzasz mnie do pasji!*

Może trochę miała racji. Chciał dogryźć Atanazemu. Ale to przy okazji. Bo wcale nie o to chodziło.

– A o co? – dopytywała Zoe. – O blit? O moniaki?

– Jaki blit! Nie robię tego dla moniaków! Zresztą tak do końca nie wiem, o co tyle szumu.

– Ikona Upadłego Anioła. Przecież po nią jedziesz.

– Tak, po nią, ale nie to mam na myśli. Nie wiem, ile jest warta. Nie wiem, jakie gry są rozgrywane za jej pomocą. Ale powiem ci jedno: gildia jest skończona. Atanazy z Eutymiuszem rozdierają ją na strzępy jak stare sukno, ciągnąc byle więcej dla siebie. I udają, że nie słyszą, jak się pruje. O taką gildię nie dbam, bo nie jej przyrzekałem.

– Ale przyrzekałeś. Przyrzekałeś wierność, a teraz ryjesz jak zdrajca.

Prychnął gniewnie. Co ta dziewczyna może wiedzieć! Jaki z niego zdrajca, skoro tamci też zdrajcy? Mistrzowie! Oni pierwsi zdradzili, zamieniając gildię w swoje własne posiadłości. Piękne słówka, *theatron*, ale co pod tą dekoracją? Ludzka małość, ot i tyle. Wychodzą z mistrzów drobne złodziejaski z targu, jakimi byli na samym początku.

– Jeżeli nie gildii, to chociaż Atanazemu winien jesteś lojalność. Winien jesteś mu szacunek syna do ojca.

*Co ty możesz o tym wiedzieć?! – Kalikst wbijał w Zoe złe spojrzenie. – Nie żyjesz moim życiem. Nie wiesz, jak to jest. Nie wiesz, co to znaczy przez lata czekać w ufności na coś, co się nigdy nie mogło zdarzyć. Nie chciał już dłużej o tym myśleć.*

– Dość o tym – warknął. – Mów lepiej, jak mnie tu znalazłaś. Skąd wiedziałaś?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie. Zdmuchnęła znad oczu niesforny kosmyk.

– Widzisz, po tym jak wykradłeś plany Atanazemu, w gildii huczało jak w gnieździe os.

– Wiedzą, że to ja?

– Wtedy nie wiedzieli, ale postawiłabym pełną garść solidów, że już doszli prawdy. Nazajutrz po tym, jak obrobiłeś mistrza, w gildii wybuchła awantura. Mało się nie skończyło na noże. Bo tak: Atanazy oczywiście oskarżył Eutymiusza, że to jego sprawka i że zamierza kraść na własną rękę. Eutymiusz był z kolei przekonany, że to wymyślona przez Atanazego intryga, żeby go oczernić i poniżyć w oczach gildii. Mało brakowało, a bruk Konstantynopola spłynąłby krwią najznamienitszych złodziei stolicy. Na szczęście posłuchali mądrzejszych. Dali się przekonać, by swój spór oddać w ręce pozostałych członków rady.

– Eee, przecież oni też we frakcjach! Albo za jednym, albo za drugim, wierne pieski.

– Mylisz się, Kalikst. To znaczy trochę może i pieski, ale nie do końca tak. Gdyby gildia miała w swych szeregach tylko mąciwodów i podżegaczy, toby niewiele zdziałała. Mistrzowie są od rządzenia, ale sami wiele by nie narządzili, gdyby nie mądre głowy.

– Teolept Mędrzec! – domyślił się Belzebub.

– Tak, Teolept i inni. Kiedy zaczęło wrzeć, zarządzili tymczasowe rządy rady.

– Co? Atanazy został odsunięty od władzy nad gildią?

– Tylko czasowo.

– To przecież bunt.

– Bunt, który ty sam spowodowałeś. Ale nie pękaj, to nie był bunt tak naprawdę, mistrzowie dobrowolnie oddali swoje uprawnienia, co nie znaczy, że przestali knuć. No ale w sumie jakoś zaczęło iść ku lepszemu. Atanazy z Eutymiuszem mieli czekać na to, co Teolept i reszta wymyślą.

– No i co wymyślili?

– Na razie nic. Ale nie licz na cuda. Wiedzą sporo. Bardzo rozpytywali o wszystkich ludzi z gildii. Kto się sposobił do podróży, kto kupował uzbrojenie, konia...

– Nie chcesz mi powiedzieć, że doszli, co ja kupowałem. Przecież nie u Nicefora.

– Masz na myśli, że broń u tego Syryjczyka i konia u Żyda?

Kalikst zaklął.

– Skąd wiesz?

– Oni też to wiedzą. No przecież mówię ci, zrobili wielkie rozpytywanie każdego o wszystko. Nagle się okazało, że w Konstantynopolu więcej chyba jest szpiegów na usługach gildii niż złodziei.

– Czyli wiedzą.

– Nie mają jeszcze pewności. Takich jak ty mają kilku na liście. No i nie ma pewności, że to ktoś z gildii. A może przypadkowa kradzież jakiegoś obwiesia z rynku? Albo nie tak przypadkowe zlecenie ze strony któregoś z rodów, który gra tu jakąś swoją własną muzykę? Konstantynopol to duże miasto, intrygantów jest wielu i różne mogą mieć cele.

– A ty? Skąd wiedziałas?

– Ja? – Zoe zaśmiała się perliście. – No, nie pytaj. Przecież gadałeś o tym w kółko. A to o nowej robocie Atanazego. A to o jakiejś wyprawie tajemniczej. Że cię nie będzie kilka dni, może dłużej. Nie pamiętasz?

Belzebub przytaknął. No tak, wygadał się głupio, jak szczeniak. Ale skąd mógł przypuszczać, że Zoe ruszy w ślad za nim?

– No i co? Przejrzałaś me plany, wsiadłaś na konia i pojechałaś za mną? Nie mając nawet tak do końca pewności, że to o to chodzi. Że jadę do Kapadocji zdobyć fant, na który ostrzy sobie zęby cała gildia.

– Hmm. No właściwie... Tak.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. Zoe zawsze go zaskakiwała, ale teraz przeszła już samą siebie. Wciąż targały nim sprzeczne uczucia: z jednej strony uratowała mu życie i gdyby nie ona, to... Raczej nie wyszedłby z tego cało. No i zawsze lepiej jechać w kompanii, a szczególnie z... – tutaj musiał stoczyć krótką wewnętrzną walkę, by przyznać to przed samym sobą – ...szczególnie z Zoe. Naprawdę bardzo lubił to dziewczę. No ale z drugiej strony nie chciał nikogo w to wciągać. Był zdrajcą, tak? Więc chciał, żeby to odium spoczęło tylko na nim i na nikim więcej.

Pozostała jeszcze jedna kwestia do wyjaśnienia.

– A ci dwaj? Te zbóje-ścierwojady? Mustafa i ten drugi. Skąd...?

Zoe tylko czekała na to pytanie.

– Skąd wiedziałam, że trzymają cię w swoim obozowisku? Nie wiedziałam. Natknęłam się na nich, jadąc twoim tropem. Najpierw minęłam rozstaje ze spalonym cyprysem. Później jechałam jeszcze jakiś czas w tym samym kierunku, kiedy dostrzegłam ich przed sobą. Nie widzieli mnie. Patrzą: dziwni jacyś. Raz jadą szybciej, raz wolniej, czają się. Pomyślałam, że to podejrzane i pewnikiem coś knują. Że kogoś śledzą.

– Mnie.

– Tak, ale ja jeszcze o tym nie wiedziałam. Więc zaczęłam śledzić ich, bacząc, by do nich nie podjechać za blisko. Nie wyglądali na przyjemnych. Zwłaszcza ten Turek... Już z daleka

wyczułam w nim coś złego. No a później... Nagle przystanęli i nałożyli na końskie kopyta worki, żeby ciszej biegły. Wreszcie zobaczyłam z daleka, jak cię łapią na linę. Głupio dałeś się podejść, to ci trzeba przyznać.

*Wiem* – pomyślał. Spotkanie z kupcami, spalenie demona, słońce, wypite wspólnie wino – to wszystko uspiło jego czujność. I co z tego, że tamci znali okolicę? Co z tego, iż wiedzieli, że na tamtym odcinku droga zakręca między skałami i niemal zawraca w to samo miejsce? To się nie powinno zdarzyć...

Po chwili skonstatował ze smutkiem: *Moim żywiołem są miejskie zaułki. Dachy domów, mury, ulice, place, porty, pokłady galer... Moim żywiołem jest Konstantynopol, ale poza miastem, na polach, między łąkami, polami i wzgórzami, można mnie upolować jak leniwą muchę w kałuży rozlanego wina.*

– I musiałaś czekać, aż mi przypalą stopy żywym ogniem? Nie mogłaś od razu tam na drodze posłać im paru strzał?

Zoe uśmiechnęła się tajemniczo.

– Mogłam, ale wiesz... Ciekawiło mnie, *co* będzie dalej. Dlaczego ci dwaj polowali na jakiegoś wędrowca, który ani złotem nie śmierdział, ani nawet konia dobrego nie miał. Pomyślałam: *Popatrzę, o co tu idzie.*

Belzebub posłał jej złowrogie spojrzenie: *Dziewczyno, ty sobie lepiej uważaj!*

– Mogłaś chociaż się pospieszyć, jak mnie przypalali... – stwierdził zrezygnowany. Pulsujący ból przypalanej skóry nie przemijał. Gorzej – wyraźnie narastał. Promieniował z pięt na całe nogi i uderzał do głowy. Nie pozwalał myśleć.

– Oj, pomyślałam, że ci to dobrze zrobi. Taka mała kara za to nagłe zniknięcie z miasta.

*Żarty sobie stroi, to widać. Żarty nie na miejscu i nie na czasie.* – Kalikst rzucił Zoe wściekłe spojrzenie, a w jej ciemnych oczach zalśniły wesole ogniki. Na twarzy Belzebuba wykwitł z trudem powstrzymywany uśmiech. Nie miał już siły się na nią złościć. Nigdy tak do końca nie wiedział, kiedy żartuje, a kiedy mówi prawdę.

*Chociaż nie musiała tak długo zwlekać z odsieczą* – pomyślał z trudem, gdy nogę załapała mu kolejna fala pulsującego bólu. Mimo ziołowych okładów wciąż piekła.

– Dobrze, Zoe. Teraz wytłumacz mi jedno. Po co? Po co za mną jedziesz?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i nic nie powiedziała.

– No... – zachęcał ją. – Mówże!

Zoe nic. Bawiła ją niepewność Kaliksta.

– Bo przecież nie po to, by opowiedzieć mi, co słychać w Konstantynopolu.

– Może po to, by uratować twój tyłek z głupiej awantury, w którą się wplątałeś już na początku swojej wielkiej wyprawy.

– Dobrze, niech ci będzie – warknął. – Jechałaś za mną po to, by opowiedzieć, co w Konstantynopolu i uratować mój tyłek. Dzięki. Zadanie wykonane, możesz wracać. Ty jedziesz tam... – wskazał za siebie – ...a ja do przodu. Ty wracasz, ja jadę dalej.



Nawet nie mrugnęła okiem. Znacząco ścisnęła cugle i cmoknęła na wierzchowca.

Belzebub uderzył konia przypalonymi piętami. Zabolało, zabolało przeokrutnie, stłumił jednak okrzyk, gotów w tej chwili na każde poświęcenie. Pomknął do przodu, zostawiając za sobą skłębioną chmurę kurzu. Chwilę gnał galopem, zmuszając zwierzę do pełnego wysiłku. Po kilkuset krokach zwolnił i popatrzył w tył.

Zoe nie goniła go. Przyspieszyła z lekka, unosząc się w siodle, ale oszczędzała wierzchowca. Tylko lekki kłus.

*To na nic – pomyślał Kalikst. – Mógłbym jej uciec, ale na jak długo? Koń w końcu padnie ze zmęczenia, a ona będzie ciągnąć za mną, aż mnie znów dojdzie.*

Zwolnił i pozwolił, by dziewczyna go dogoniła.

– Dobrze, zacznijmy jeszcze raz. Konstantynopol – tak, już wiem, co jest. Tyłek – w porządku, uratowany. Ale co jeszcze?

– Nie domyślasz się?

*Święty Boże – westchnął w duchu – dlaczego ona zawsze musi w ten sposób? Czego miał się domyślać? Po co ta dziewczyna jedzie za nim taki kawał i pcha nos w nie swoje sprawy? Na co liczy? Złoto? Chwała? Zaszczyty? Przygody? Tych ostatnich nie zabraknie, ale co do reszty – marzenie ściętej głowy! A może jej chodzi jeszcze o coś innego?*

– Daj spokój! Nie mam ochoty na twoje gry – powiedział ostrym tonem. – Nie domyślam się.

– Jesteś bystry jak ściek z kloaki. Dobrze, niech ci będzie. Jadę za tobą, bo chcę mieć udział w zyskach. Pół na pół.

Wstrzymał konia.

– Jakich zyskach?! Przecież mówiłem. Nie dla blitu to robię. To znaczy, jak będzie okazja, to owszem, na boku zgarnę kilka solidów. Ale nie dbam o to! A jeżeli chodzi o tę ikonę... Nie, nie chcę jej. Oddam ją gildii. Rzucę im pod nogi i powiem, jak bardzo gardzę ich intrygami, prywatą i małostkowością. Wyklną mnie? A cóż mi tam! Poradzę sobie i na pewno będzie to lepszy interes, niż dalej robić za parobka. Jakieś drobne kradziejstwa niczym pęta z targu! Czekać, aż się mistrz zlituje i da jakąś lepszą robotę. To już nie muszę czekać. Mam tę lepszą robotę, o, właśnie to. Mistrz nie musiał dawać, sam sobie wziąłem. Tak, rzucę im pod nogi i to będzie mój zysk. Jeżeli ją zdobędę. Bo bardziej pewne jest to, że jedyne, co dostanę, to krew, hańba i poniewierka. Może nawet śmierć. Czy to są te zyski, które chcesz ze mną dzielić, dziewczyno? O to właśnie ci chodzi?

– Tak – powiedziała dobitnie. – Tak, Kalikst.

## ROZDZIAŁ 11

Andronik Dukas ponurym spojrzeniem pożegnał mury rodowej posiadłości znikające za wzgórzem. Czekał go dzień drogi w upale. Podróż do celu, do którego niezbyt spieszo. Jednak taka była wola jego brata Michała, a przysłemu *basileusowi* się nie odmawia.

Spojrzał koso na Symeona. Milczący sługa starszego z Dukasów miał przybliżyć mu naturę rzeczy, jednak w jego słowach nie można było znaleźć sensu. To, co opowiadał, przypominało raczej jakieś bajania pijaków z tawerny, morskie opowieści przywożone przez galerników z dzikich krain. Jak to wszystko miało pomóc w planach usunięcia uzurpatora?

– Symeonie, więc powiadasz, że chodzi tu o magię?

Złe Oko rzucił mu niechętnie spojrzenie i wzruszył ramionami. *Pozwala sobie na zbyt wiele* – przemknęło przez myśl Andronikowi.

– Barbarzyńca z Kalabrii, który rezyduje na dworze Diogenesa. To on jest winny temu, że uzurpator nie boi się śmierci. Bo skąd, myślisz, panie, mają swą przyczynę te wszystkie niepowodzenia? Nasi najlepsi skrytobójcy. Artyści śmierci, mistrzowie pugałów. A jednak żaden z nich nie podszedł nawet na krok...

Andronik czekał dłuższą chwilę, aż Symeon dokończy swą myśl, ten jednak uznał temat za wyczerpany.

– To już słyszałem, ale... – zaczął Dukas, uznał jednak: *A zresztą. Szkoda słów po próżnicy. Jeszcze dzisiaj wszystko będzie wyjaśnione.*

– Stąd też wywodzi się twoje niepowodzenie, panie – dorzucił niespodziewanie Złe Oko.

– Wtedy, siedem lat temu. Na wojnie z Turkami. Gdyby Diogenes nie opanował buntu na tyłach, dziś wszystko wyglądałoby zgoła inaczej. A jak opanował? Wiedział. On wiedział... – Skrytobójca zamilkł i patrzył tylko, jak Andronik zagryza wargi.

Tak, on nie lubił wracać wspomnieniami do tych wydarzeń. Zawiódł wtedy i poniósł klęskę, choć zwycięstwo było tak blisko. To on był winien, nawet gdy wywodzić zły los z knowań Italosa. Przegrana Diogenesa w bitwie z Seldżukami na dobre pogrzebałaby jego sławę generała. To był przełomowy moment poprzedzony licznymi niepowodzeniami wojennymi. Gdyby wtedy, w Armenii, uzurpator oddał pola sułtanowi Alp Arslanowi, straciłby poparcie armii, miłość cesarzowej i dalsze prawo, by zasiadać na tronie. Ale to on, Andronik, był winien, że przemyślny plan się nie powiódł.

A teraz... Teraz musiał w goryczy spożywać owoce swojej przegranej. Gdyby dziś, ot tak, po prostu, wjechał na koniu za mury Konstantynopola, pojmałyby go strażę i wtrąciły do lochu. Dożywotnie wygnanie z miasta, z dworu, od matki. Od matki, tak... To była i jej wina, choć częściowo także zasługa. Bo właśnie Andronik powinien ponieść śmierć za zdradę. Stryj Jan był tylko kozłem ofiarnym.

– Twój brat, panie, dobrze wie, jak temu zaradzić – Symeon jakby czytał w jego myślach.  
– Gdy uzurpator opuści Konstantynopol, jego atuty przestaną mieć rację bytu. Nie udało się tyle razy, ale przecie nie może tak być! Magię Italosa trzeba pokonać! Po pierwsze, trzeba wywabić Diogenesa za mury miasta, tam gdzie jego magia nie jest tak silna. Tak, wiem, co chcesz powiedzieć! Że już kilka razy próbowaliśmy odesłać Diogenesa na tamten świat, gdy tylko oddalił się na odległość wzroku od Konstantynopola. W Bułgarii, na Sycylii... Wtedy jednak nie mieliśmy tej mądrości, co teraz. Posyłaliśmy tych ludzi, by samotnie dokonali dzieła, przekonani, że to wystarczy. Jednak posyłaliśmy ich na pewną śmierć, nie zapewniając im nijakiej pomocy. Więc to jest jedno. A po wtóre, trzeba zasiać niepokój, wojnę i niepewność, tak żeby uzurpator nie wiedział, skąd nadejdzie śmiertelny cios. Po trzecie, musimy zebrać przeciw niemu te siły, które dotąd pozostawały niewykorzystane. Italscy kupcy, możne rody rojące o tronie, a jak będzie trzeba, to i Bułgarzy ze swoimi nadziejami na utworzenie państwa. Do tego heretyckie sekty, których siła zachwieje poparciem patriarchy dla Diogenesa. Gdy te wszystkie siły uderzą naraz, uzurpator już się nie podniesie. Nawet jeżeli przeżyje. Jednak lepiej, by nie przeżył. Toteż najważniejsze jest... Ostateczne rozwiązanie. Jeden cios zadany w serce. Tyle że do tego trzeba nam sił, które zrównoważą magię Italosa. Ona, niestety, przewyższa talenta najlepszych mistrzów puginału. Wyżej stoi niżli kunszt artystów śmierci, jednak teraz wiemy, jak temu zaradzić. Człowiek, do którego jedziemy, choć na pierwsze spojrzenie odpychający, co więcej, powiem szczerze – budzący niepokój niczym sam *diabolos* – zada mu ten cios. Śmiertelny. Silniejszy niżli to, co może uczynić Italos.

Andronik uderzył konia kolanami. Wierzchowiec przyspieszył, wzbijając kurz na trakcie.

– Nie zwlekajmy zatem, Symeonie. Skoro on ma nam pomóc... Musimy dojechać tam przed zmrokiem.

\* \* \*

Kruk usiadł na twarzy trupa. Dziobnął w jeden oczodół, później w drugi, jednak obydwą były już do cna wygryzione. Ptak zaskrzeczał gniewnie, po czym jął drążyć naznaczony zakrzepłą krwią policzek w nadziei, że ostał się choć ostatni smakowity kąsek. Język.

Trzy mocne uderzenia rozerwały rozmiękłą już skórę umarlaka. Ptaszysko z radosnym trzepotaniem chwyciło w dziób upragniony ochłap.

Ucztę przerwał kamień ciśnięty ręką Zoe. Kruk niechętnie poderwał się do lotu, zatoczył niewielkie koło i osiadł na stercie kamieni kilka kroków dalej.

– To nic nie da – ocenił Kalikst. – Pójdziemy trzy kroki i od razu wróci.

– To Maksymus! – wykrzyknęła z przejęciem Zoe.

– Wiem.

– I Konstantyn!

– Wiem.

– Szpiedzy wysłani przez Atanazego! Mieli tylko polipie, co i jak, i wrócić do Konstantynopola. *Gamo!* Mieli straszną śmierć!

Co do tego nie było wątpliwości. Ciało Maksymusa i Konstantyna mimo działalności ścierwojadów, słońca i bezlitosnego czasu wciąż nosiły ślady cierpienia. Ból odcisnął się na ich twarzach niczym na gipsowych maskach. Czy to Czarny Mnich? Czy to on stoi za tą śmiercią? Kalikst zadrżał. Ktokolwiek to był, okazał nieludzkie, diabelskie wręcz okrucieństwo. Nabici na pale szpiedzy Atanazego stanowili upiorną ozdobę kamiennej bramy prowadzącej do majaczącego w oddali monasteru.

Portal złożony z dwóch tufowych słupów, z lekka tylko wyrzeźbionych ludzką ręką, wieńczył osadzony na kamiennej belce rząd czaszek, zbielejących i skruszałych od słońca. Dwa kroki przed bramą tkwiły wbite w ziemię pale z nabitymi nieszczęśnikami. Ich gnijące ciała pokrywały plamy zakrzepłej krwi i zaschniętego kału, podarte szaty zwisały w smętnych strzępach. Upiorną dekorację uzupełniały stopy czaszek usypane u podstawy każdego pala.

Zoe nie chciała na to patrzeć. Odeszła od skraju wąwozu i wbiła wzrok w las kamiennych grzybów. Białe, wyniosłe skały sterczące ponad zielono-żółtymi łąkami Kapadocji rozciągały się niemal po sam horyzont, aż do następnej linii wzgórz. Oddzielał je niewielki pas pustyni pokryty spieczoną ziemią i kępkami zeschniętych traw. Jeszcze dalej, na zboczach, skały miały już inny kształt i kolor. Żółtawe zacieki przypominające stopiony wosk. Albo kaptury mnichów...

– A tamtych znasz? – usłyszała głos Kaliksta.

– Nie znam! – krzyknęła Zoe, choć nawet kątem oka nie zerknęła już w stronę klasztoru.

– Nikogo nie znam! Wiejmy stąd. To niedobre miejsce. Czuję to.

– Nie wiem, co tu zaszło, ale ludzie Atanazego wykazali się głupotą. Gdyby nas tam poniosło, też byśmy tak skończyli. Tak jak Maksymus Bazyliszek i Długi Konstantyn. I tak jak ci dwaj tam dalej.

Ciekawość zwyciężyła obrzydzenie. Dziewczyna spojrzała w tył. Jacy dwaj?

Belzebub stał kilka kroków dalej skryty za biało-żółtą skałą w kształcie kowalskiego młota. Z bezpiecznej wysokości obserwował coś, co znajdowało się w dalszej części wąwozu. Podeszła do niego. Zza skalnego wyłomu wychynęły dwa kolejne pale. I dwa kolejne trupy. Trochę świeższe, ale tak samo zmasakrowane. Bez oczu, zakrwawione, wykrzywione bólem.

– *Gamooo...* – wystękała tylko.

– To też są złodzieje z Konstantynopola – dobijał ją Kalikst. – Nie z gildii. Ale widziałem ich parę razy na mieście. Chyba, tak myślę, bo już nie idzie ich rozpoznać. Kruki zrobiły

swoje. Tego łysego to na pewno. Tego z brodą to nie wiem. Chyba też. Łysy bywał często w porcie, w tawernach go widywałem. Taka tam szumowina do wynajęcia za garść *nummi*, chamajda od brudnej roboty.

Zoe nie chciała dłużej na to patrzeć. Belzebub zaśmiał się w duchu. Odczuwał teraz mściwą satysfakcję. Dziewczyna była zawsze taka przemądrzała! Jeszcze wczoraj rozłożyła kilkoma strzałami z łuku dwóch dziarmagów, którzy smażyli mu pięty rozgrzanym do białości memeluckim bułatem. Jeszcze wczoraj krew i wyciekający z dziur po grotach mózg Turka nie robiły na niej wrażenia. A teraz miękkła. *Może to ci da do myślenia, słonko, że powinnaś zostać w mieście i odpuścić sobie wyprawy do Kapadocji* – pomyślał złośliwie Kalikst.

– Odstąp od tego, proszę! – krzyknęła. – Widzisz, że to nie przelewki. Skończysz tak jak oni.

*Skończysz? A nie: my skończymy?* – Belzebub uznał jej słowa za pierwszy wyłom w niewzruszonym dotąd murze.

– Daj spokój – ciągnął. – Słabi byli. No ja nie wiem, jak się dali tak podejść. Ale dla mnie to jest jasne. Ktoś wystawił ich na kołkach dla postrachu. Żeby każdy przypadkowy albo nieprzypadkowy podróżny na ten widok zwątpił. I powiedział sobie: *Odstąp od tego*, jak ty.

Nagle Zoe ścisnęła go za ramię. Z całej siły.

– Kal! Chodu stąd!

– No przecież ci tłumaczę, kobieto! Owszem, to jest makabryczne trochę i bardzo nieprzyjemne. No niedobrze mi się robi, jak patrzę na tych biedaków. Ale powtarzam ci, że...

Dziewczyna nie dała mu dokończyć.

– Zobacz tam!

Powędrował wzrokiem w ślad za jej palcem. W dole wąwozu zamajaczyły jakieś sylwetki. Kalikst aż przetaił oczy. Mnisi. Procesja milczących braciszków w postrzępionych habitach. Wyszli... Właśnie, skąd? Wskoczyli jakby spod ziemi. Gdzieś tam, pomiędzy skałami, musiało być ukryte tajne przejście. Dziwne. Nie pamiętał, by miał je na swoim planie.

Mnisi. Sadzili do przodu wielkimi krokami. Belzebub dopiero po chwili uświadomił sobie, w czym rzecz. Braciszki podążali w ich kierunku. Najpierw między skałkami, po dnie wąwozu, później po łagodnym stoku, kierując się na szczyt wzniesienia, z którego razem z Zoe obserwował całą okolicę.

Odruchowo sięgnął po łuk, a sajdak zsunął z pleców na biodro. Wydobył strzałę i nałożył ją na cięciwę. Czekał. Nie wyglądało na to, by mnisi mieli złe zamiary. No bo zresztą cóż mogą knuć tacy tam eremicy w podartych habitach? No co oni mogli...? Jednak coś – może nutka strachu w głosie Zoe, może coś w wyglądzie sunącej w ich stronę gromady – wzbudzało w nim trudno wytłumaczalny niepokój.

Gdy zakonnicy doszli do połowy zbocza, wiedział już, co to było. Nagle jego serce

przebił lodowaty puginał lęku. Krew uderzyła mu do głowy, przed oczami zatańczyły czerwone płatki. Stracił oddech.

Zoe też to czuła.

– *Gamo!* Widzisz to? – wyszeptała zduszonym głosem.

*Widzę* – chciał odpowiedzieć Kalikst, ale z jego gardła wydobył się tylko zdławiony skrzek.

– *Widzę* – wychrypiał po dłuższej chwili z wysiłkiem.

Trupy. Spod kapturów mnisich habitów wyzierały trupie twarze, gnijące, bezokie, naznaczone zakrzepłą krwią i zielenią rozkładu. Bezokie, ale było w nich życie. Nie, nie życie – jakaś upiorna, diabelska potęga, jakaś kpina z Boskiego stworzenia, jakaś moc, która dodawała im siły, a która nie pochodziła z tego, doczesnego świata. Z początku pomyślał, że to tylko upiorne maski. Ale nie – poczerniałe twarze ruszały się wykrzywione nienawiścią. Spod rękawów mnichów wystawały umarlackie dłonie, kości powleczone strzępami porozdzieranej skóry. Byli jeszcze daleko, ale Kalikst już teraz czuł odór rozkładu wyprzedzający ich na kilkadziesiąt kroków.

Już teraz czuł dławiący strach. Zniknął za to ból przysmażonych pięt.

– Zoe, wiejemy stąd!

Na sztywniejących z przerażenia nogach rzucili się do panicznej ucieczki. Byle dalej stąd! Tylko wskoczyć na koński grzbiet i uciekać! Przebiegli przez górski grzbiet i po jego drugiej stronie zjechali na stopach w dół, potrącając się i przewracając.

Na dnie wąwozu czekały wierzchowce. Wskoczyli na nie i pognali byle dalej od monastyru.

Spojrzał w tył: na szczycie wzniesienia zamajaczyły posępne postaci w poszarpanych habitach. Ich trupi odór jeszcze długo gonił za uciekinierami.

\* \* \*

Przystanęli dopiero wtedy, gdy masyw wzgórz, pośród których ukryty był monastyr Czarnego Mnicha, zmalął w oddali, zlewając się z łagodną linią horyzontu. Płaskowyż poprzecinany jarami, ścieżynkami wydeptanymi w skarłatych trawach, zarzucony skalnymi odłamkami teraz przeszedł metamorfozę. Wjechali na szaroczarne zbocze pełne rzeźbionych przez wodę, słońce i wiatr kamiennych stożków o zadziwiająco regularnych rysach.

Zeskoczył z konia. Ze szczytu wzgórza mieli dobry punkt widokowy na rozciągniętą niżej równinę. Potoczył wzrokiem po okolicy. Po lewej stronie niemal na wyciągnięcie dłoni ciągnęły się łagodne linie skał porytych długimi bruzdami, tak białych, jakby olbrzym posypał okolicę morską solą nabieraną garściami z worków wielkich jak góry. Pośrodku solne zleby miały swój kres, niepostrzeżenie przechodząc w płaskowyż, którym uciekali przed mnichami. Dalej na prawo pustynię ożywiały strzeliste zielone drzewka, pomiędzy których wyrastały kamienne grzyby. Toporne, niezgrabne, samym swym istnieniem kpiły z Boskich

praw. W oddali, skryty za rzadkimi chmurami, dumnie wznosił się wulkan Argeus, starożytny, umarły już bóg tej krainy. Kapadocji.

Wrócił spojrzeniem na płaskowyż i łańcuch wzgórz Czarnego Mnicha. Nie dostrzegł najmniejszych oznak ruchu. Nic. Cisza. Spokój.

Me *gonią nas* – stwierdził z ulgą. To było absurdalne: w końcu on i Zoe mieli konie, a tamci... Tamci to tylko gnijące trupy niezdolne do szybkiego marszu. Pogoń zajęłaby im wieki, ale mimo to... Nie mógł się wyzbyć niespokojnych myśli. Że nagle spomiędzy tych czarnych stożków wybiegnie grupa cuchnących śmiercią umarłaków w habitach. Że dopadną ich, wyciosają pale i nadzieję.

Zatrzęsły nim dreszcze i choć słońce, osadzone na środku nieboskłonu, grzało niemiłosiernie, poczuł chłód.

– Tutaj zostaniemy do nocy. A później się zobaczy.

– Odstąp od tego, Kalikst. Mówię ci. Powiedz, ale nie łzyj. Ty też to czułeś?! Ten paniczny strach?

Nie chciał tego, ale musiał jej przyznać rację.

– Tak... Było coś... Jakby coś mnie ucapiło za serce. I za gardło. I dusiło. Dusiło strachem.

– Ja też to miałam. Duszny strach. Prawdę powiadają. To siedlisko złych duchów. Demonów z samego dna piekła. To nie był mój strach. Wiesz przecież, że nie pękam tak łatwo. Ale też miałam takie uczucie... Taki ucisk w piersi.

Nie odpowiedział. Może to była dobra sposobność, żeby odprawić dziewczynę? Sam nie zamierzał odstąpić. Ten strach... Czuł, że uczucie przerażenia, jakie zesłali na nich zakonnicy-umarłacy, to wbrew pozorom oznaka słabości tych sług Czarnego Mnicha. Strach, jakim paraliżowali ofiary, był jedyną ich bronią. Poza tym nie mieli nic. Bo co? Wystarczy jeden cios perskiego toporka, który Kalikst zabrał Mustafie w zamian za swój rozhartowany, powyginany bułat, i po mnichu! Drze się habit, łamią suche kości, odpadają resztki zgniłego mięsa. Tak to tłumaczył w myślach, bo nie potrafił sobie wyobrazić, jak umarłacy mogliby mu przeszkodzić w zdobyciu monasteru. Przecież nie mieli nawet broni!

Gdyby więc zdusić w sobie ten strach... Gdyby przyjść tam na powrót, wiedząc, że trwoga i panika to najgorsze, co się może zdarzyć. Gdyby... Nie! Nagle zwątpił. A skąd pale z nadzianymi na nie ludźmi? Przecież Maksymus i Konstantyn nie wskoczyli na nie sami ze strachu tylko.

Opadł zrezygnowany, uciekając przed słońcem w cień rzucany przez jeden z czarnych stożków. Musiał być jakiś klucz do tej zagadki. Jak wejść do monasteru niepostrzeżenie? Sięgnął po mapę wykradzioną Atanazemu. *Jest niekompletna* – przypomniał sobie słowa mistrza. Oznaczenia wszystkich dróg i pułapek miały się znaleźć na kolejnym planie. Tym, który obiecał tajemniczy zleceniodawca, gdy gildia weźmie robotę. To by tłumaczyło niespodziewany atak mnichów z miejsca, gdzie powinna znajdować się jeno lita skała i nic

więcej.

Odłożył mapę i spojrzął na Zoe. *Muszę ją chronić* – myślał. – *Dobra jest dziunia, nawet jak robi sobie żarciki i bawi się w tajemnice.* Była uparta, niekiedy nadmiernie gadatliwa, czasami kapryśna, innym razem po prostu złośliwa... Ale miała w sobie też to coś, co nie pozwalało Kalikstowi żywić do niej urazy. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej uśmiechniętą buzię, w jej ciemne oczy z diablikami, a już wszelka złość odchodziła i myślał tylko o tym, że żywi do niej niezwykłą sympatię. Że ją... Nie, tego nie chciał przyznać przed samym sobą.

Jedno było pewne. Musiał iść do monasteru Czarnego Mnicha sam. Dziewczyna niech zostanie tutaj, czekając na niego. W końcu to jego ryzyko. On to wszystko wymyślił, on ukraść plany Atanazemu, a teraz gotów był podjąć wyzwanie. Zoe nie ma z tym nic wspólnego. Trzeba ją chronić.

Podniósł na powrót mapę i zaczął wnikliwie jej się przyglądać. Do monasteru prowadziła główna droga pełznąca niby wąż dnem wąwozu. To tam, gdzie stała upiorna brama z nadzianymi na pale, i tam, skąd wybiegli umarlacy. Były też trzy inne wejścia. Jedno prowadziło na tyły monasteru przez kolejny, mniejszy wąwóz otoczony rumowiskami skał. Drugie wiodło po grzbiecie jednego ze wzgórz i dochodziło po kamiennym mostku na środkowe poziomy budowli. Trzecie... Tu na mapie zabrakło szczegółów. Korytarz, który wił się głęboko pod ziemią, przechodząc przez coś, co wyglądało jak idąca w dół jaskinia. Opuszczona kopalnia? Podziemne miasto? Brakowało opisu. Tylko dwa niewielkie krzyżyki. Obok nich gwiazdka złożona z ośmiu prostych kresek. To nic nie mówiło. Dokładny opis miał trafić do gildii, gdyby złodzieje wzięli tę robotę.

*Może Zoe ma rację? Z tego wszystkiego nic już dobrego nie będzie. Tylko dalsze kłopoty. Strach. Niepewność. Hańba zamiast chwały. Może nawet śmierć. Śmierć w niestawie i zapomnieniu.* – Kalikst miał co do tego coraz większą pewność. Ale wiedział też, że nie może się już wycofać.

Nie może odstąpić.

\* \* \*

Milczeli. Zoe nie rzekła ani słówka, odkąd zjechali ze wzgórza pokrytego skalnymi stożkami. Ciszę wypełniało jedynie stąpanie końskich kopyt i niezmiennie granie cykad. Kalikst nie próbował jej przekonywać. On miał swoją rację, ona swoją. Jeżeli chciała, mogła zawrócić wierzchowca i odjechać do Konstantynopola. Tak byłoby lepiej, ale na cud nie ma co liczyć. Dziewczyna nie zawróci.

– To musi być gdzieś tu – mruknął, patrząc na mapę. Dotarli do trzech zrosniętych ze sobą skał, które tworzyły naturalną rzeźbę podrywającego się do lotu ptaszyska. Dwa postrzępione kamienie po bokach – to skrzydła. Głaz pośrodku – głowa, dziób i szyja.

Przystanęli. Kalikst zeskoczył z grzbietu konia i rozpoczął wspinaczkę po zboczu. Gdzieś między tymi trzema skałami winno być skryte wejście.



– Jest! – krzyknął podekscytowany. – Jest dziura.

Zoe wzruszyła ramionami. Zbiegł do niej.

– Wszystko się zgadza. Jest podziemne wejście. Jaskinia. Tędy przejdę na tył monastynu, a później...

– Głupi jesteś, Kalikst – przerwała mu dziewczyna. Czy to, co zaśniło w jej oczach, to były łzy?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zebrał ekwipunek i ruszył w stronę kamiennego ptaszyska.

– Czekaj na mnie, Zoe – rzucił na odchodne zamiast pożegnania. – Tak jak się umówiliśmy.

– Ja się nie umawiałam.

– Niech ci będzie. Tak jak ja się umawiałem z tobą. Jeżeli nie wrócę przed nocą, zabieraj konia i wróc między stożki. Tam jest bezpiecznie. Jak nastanie świt, przyjedź tu z powrotem.

Ześlizgnął się w głąb jaskini po idącej pod kątem płaskiej skale. Choć na zewnątrz powietrze aż falowało z gorąca, wkrótce ogarnął go chłód. Po kilkunastu krokach skośna szczelina doszła do wewnętrznego korytarza. Stał prosto i popatrzył na boki. Między dwiema kamiennymi ścianami biegł wąski przesmyk, szeroki na krok. Z góry dochodziły rozproszone smugi światła.

Spojrzał jeszcze raz na mapę. Wszystko gra! Ruszył szczeliną we wskazanym na planie kierunku.

Korytarz kilkakrotnie zakręcał. Chwilami rozszerzał się tak, że wjechałyby tam dwa wozy ustawione obok, niekiedy jednak zwężał się tak bardzo, że Kalikst musiał zdjąć z pleców łuk, sajdak i odczepić perski toporek, a następnie przerzucać rzeczy pojedynczo. Sam też się ledwo prześlizgnął. Później było jeszcze gorzej. Przesmyk między skałami opadał w dół, ciemność gęstniała.

Ogarnął go mrok. Szedł po omacku, rozmyślając, czy nie popełnił jednak błędu, nie zabierając pochodni. Pochodnia dawała światło, to oczywiste. Ale z drugiej strony – w wąskich przesmykach i niskich korytarzach – była dosyć nieporęczna i tylko utrudniała marsz. A do tego ściągała niepotrzebną uwagę. Płoszyła nietoperze i dawała znak mieszkańcom tych podziemi: *Oto nadciąga istota słaba, świetlna, która w ciemnościach jest nieporadna niczym dziecko*. Belzebub polegał więc na swoich instynktach wyrobionych przez lata złodziejskiego fachu. Nieraz musiał działać na wyczucie w całkowitej ciemności. Otwierać zamki i bić się na śmierć i życie.

Szedł więc po omacku, łowiąc uchem nieliczne dźwięki. Odgłos własnych kroków, krople wody spływające po ścianach, pojawiający się niekiedy cichy szum wiatru zapędzonego w skalne kominy.

*Dopóki korytarz idzie prosto, bez rozgałęzień, dam sobie radę* – pomyślał.

Pomyślał w złej chwili.

Doszedł do rozwidlenia.

*To musi być jeden z tych krzyżyków na mapie* – uznał, obmacując ściany. Tunel rozwidlał się na trzy odnogi odchodzące od siebie niemal pod kątem prostym. Wszystkie były równie szerokie. Każda z dróg mogła być tą właściwą.

Postanowił zbadać korytarze, wchodząc po kilka kroków w każdy z nich. Sklepienie w tym po lewej zaczęło szybko opadać w dół. Kalikst pełzł na kolanach, aż uderzył głową w sklepienie tunelu. Dalej nie było co iść, trzeba by się czołgać. Zawrócił do skrzyżowania.

Jeżeli wierzyć mapie, to na logikę właściwą odnogą była ta na wprost. Według planu droga biegła w tej części bez zakrętu, czyli na rozwidleniu należało utrzymać dotychczasowy kierunek marszu.

*Jeżeli wierzyć mapie, ale mapa jest niepełna* – pomyślał.

Ruszył jednak środkowym korytarzem. Po kilkudziesięciu krokach chciał już zawrócić, by zajrzeć jeszcze do odnogi po prawej stronie. Nagle zdało mu się, że nieprzenikniona czerń w głębi korytarza poszarzała.

*Światło? Czyżby to już?* – Nadzieja rosla gotowa wybuchnąć przedwczesną radością. – *Nie, przecież na mapie były jeszcze dwa rozgałęzienia. Krzyżyk, a jeszcze wcześniej gwiazdka. To musi być coś większego. Rozgałęzienie ośmiu tuneli? Ale skąd ta jasność?*

Nie roztrząsając tego dłużej, parł do przodu. Po kolejnych kilkudziesięciu krokach nie miał już wątpliwości: w oddali korytarz rozjaśniało światło. Poczul na twarzy lekki powiew. Poczul przyływ euforii. To dobra droga!

Pięćdziesiąt kroków dalej jego uniesienie ustąpiło rezygnacji. Stał u wylotu korytarza. Przed nim rozciągała się sala wykuta – nie wiadomo – ludzką, Boską czy szatańską ręką, pod ujściem tunelu biegnąca w dół na jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt stóp. Z góry, przez wyrąbane w sklepieniu otwory, padało rozproszone światło zalewające skały poniżej łagodną poświatą.

Wyglądało na to, że korytarz, którym tu dotarł, znajdował się w połowie drogi między dnem a sklepieniem sali. Żelazne pierścienie pokryte rudym nalotem, pozostałości zetlatych lin i kamienna podmurówka mówiły wszystko o tym miejscu – niegdyś tędy musiał przebiegać mostek, zapewne wiodący do dalszej części tunelu, z drugiej strony przepaści. Kalikst pochylił się nad jej krawędzią. Od dna groty oddzielała go gładka ściana bez najmniejszych punktów zaczepienia. Powyżej – tak samo. Tylko lita skała, wygładzona i pozbawiona pęknięć.

Chwycił za umieszczony w skale pierścień w nadziei, że ta pozostałość konstrukcji kładki pozwoli mu zejść po linie w dół. Niestety, żelastwo z cichym chrzęstem wysunęło się z kamienia, sypiąc okruchami na dno rozpadliny. Musiał szukać innej drogi.

Odtoczył od pasa toporek zabrany Mustafie. *A jednak był w tym jakiś sens* – pomyślał. – *Mój bułat dobry był do bitki na ulicy albo cichej roboty skrytobójcy. Ale tutaj...*

Żeleźce toporka rozdzielało się na trzy mniejsze części. Przedłużeniem styliska był

prosty, stożkowaty kolec, którym z taką lubością dźgał go Turek. Zaś przedłużeniem niezbyt szerokiego ostrza – zagięty do dołu pazur, idealny do wspinaczki.

Albo drażenia w skale. Kalikst opadł na kolana i wbił stalowy szpon w podłóżę. Korytarz wypełnił głuchy stukot idący w głąb stłumionym echem. Toporek wszedł w miękką skałę jak w krede. Jeszcze kilkanaście uderzeń. Pazur odłupywał wielkie okruchy wulkanicznego kamienia, wzbijając w powietrze chmurę drobnego pyłu.

Belzebub oczyścił wgłębienie i sięgnął do pasa po nóż. Przyłożył czubek ostrza pod kątem do dna wyrąbanej dziury i zaczął uderzać bokiem toporka. Tym razem nie poszło tak łatwo. Nóż był zbyt sprężysty. Gdyby miał ze sobą prosty i wąski pugiinał skrytobójcy, ale cóż robić... Powoli wbijał ostrze, za każdym machnięciem czekana posuwając je w głąb o grubość włosa.

Wreszcie nóż wszedł po jelec. Belzebub zdjął z pleców linę i zawiązał jej koniec na rękojeści.

*Mam nadzieję, że to wytrzyma – pomyślał. – Przynajmniej do połowy drogi w dół, stamtąd może się już nie zabiję.*

Zasypał wgłębienie odłamkami i ubił mocno nogą.

Rzucił koniec liny w przepaść. Nie zwlekając, zaczął opuszczać się w dół.

## ROZDZIAŁ 12

W połowie drogi przystanął. Na dole, tam gdzie zwisał swobodny koniec liny, dostrzegł jakiś ciemny kształt. Opuścił się jeszcze kilka stóp i zadrżał z odrazy i strachu.

Na dnie skalnej rozpadliny stało pokryte dziwacznymi wypustkami stworzenie. Wysokie na dwu chłopa, szerokie jak kilkusetletni cyprys. Wielki, spłaszczony łeb, długie łapska i krótkie nogi o wielkich stopach. I te wypustki. Kalikst nie wiedział, co to było, widział tylko, że wyrastały wszędzie. Na ramionach, grzbiecie, nawet na pysku, przysłaniając oczy. Sterczały nawet z wierzchów szerokich jak koła młyńskie przednich łap, czy może dłoni. Stwór wyglądał odrażająco.

Bestia uniosła łeb i zaryczała. Jej gulgot rozniósł się echem po całej sali. Wyczuła zdobycz.

*Widzi mnie – pomyślał Belzebub. – Ale gdzie to ma oczy?*

Spojrzał w górę. Do korytarza, z którego zjechał, miał jakieś czterdzieści stóp. Wracać? Będzie ciężko. I co wtedy? Szukać innej drogi? Spojrzał w dół. Stwór chodził w kółko, niespokojnie, zadzierając do góry łeb. Machał łapskami, a w idącym gdzieś z trzewi gulgocie coraz bardziej narastała nutka zniecierpliwienia. Nie, trzeba iść dalej.

Nie myśląc już nad tym dłużej, Belzebub zaplątał lewą nogę w linę. Jej górną część przeciągnął pod pasem i zaczepił o przytroczony do boku toporek. Zawisł na niej jak pająk na nitce swej przędzy.

Sięgnął po łuk. Przesunął sajdak na bok i wydobyl pierwszą strzałę...

Pomknęła prosto w łeb stwora. Wbiła się do połowy.

Bestia zawyla wściekle, z wyraźnym bólem. Machnęła łapą i odłamała koniec drzewca.

Kalikst nie czekał, co będzie dalej. Wydobyl kolejną strzałę, a za nią następną i następną. Szył równo, mierząc w pokryty wypustkami czerep.

Wszystkie doszły celu. W łeb potwora. W łapska, które próbowały strząsnąć wbite drzewce, w grzbiet. Jednak nie czyniły stworowi najmniejszej szkody – wył nie z bólu, lecz z wściekłości. Spod ułamanych końców strzał nie poszła nawet kropla krwi.

Nagle bestia zaprzestała wycia. Chwilę stała bez ruchu, zadzierając do góry głowę. Basowo pomrukując, chwyciła za koniec liny i pociągnęła. Raz, drugi. Trzeci. Coraz mocniej.

– *Gamo!* – wrzasnął Belzebub. Wbity w skałę korytarza nóż ze zgrzytem i chrzęstem

wyrwał się ze szczeliny.

Kalikst poleciał prosto na łeb bestii. Odbił się od pokrytej wypustkami czaszki, ześlizgnął po pokrytym śluzem cielsku w dół i uderzył w twarde dno sali. Łuk poleciał gdzieś w bok, zagrzechotały rozsypane strzały.

Stwór stał chwilę bez ruchu zamroczony uderzeniem. Belzebub wykorzystał ten moment, by wyplątać się z liny. Skoczył na nogi i wyszarpnął zza pasa toporek.

Bestia zagulgotała z radością. Wypustki na jej ciele zeszywniały, urosły, sterczały teraz jak kolce jeża.

Drżący z obrzydzenia Kalikst dopiero teraz spostrzegł, co wyrastało ze skóry stwora.

Fallusy. Dziesiątki, setki fallusów zeszywniałych, nabiegłych krwią, pokrytych lśniącem śluzem. Sterczały bezwstydnie na baczność, jedne krótsze, drugie dłuższe. Te na twarzy – czy też w miejscu, gdzie powinna znajdować się twarz, pysk, morda, ryj, nie wiadomo, jak to zwać – zakończone były gałkami ocznymi. Z ciekawością, lubieżnością i głodem wbijały wzrok w ofiarę.

Belzebub mocniej ścisnął rękojeść toporka. Teraz pożałował jednak, że nie ma przy sobie dłuższej klingi. Ostrze szerokie na dłoń niewiele mogło teraz zdziałać. Ale nie miał wyboru.

Zaatakował pierwszy. Skoczył w przód, tnąc z całej siły toporkiem. Broń przeleciała między nabrzmiałymi kutasami, nie czyniąc im szkody. Potwór zagulgotał rechotliwie i wznosił łapsko, by zadać cios.

Kalikst w ostatniej chwili uchylił się przed uderzeniem. Przemknął pod opadającym ramieniem, muskając czubki ohydnych wypustek.

*Jest powolny jak wół* – pomyślał, walcząc z falą mdłości. Startł z twarzy śluz bestii i odwrócił toporek. Teraz zaatakował szponem. Wziął szeroki zamach i z całej siły wbił ostry koniec głęboko między nabrzmiałe fallusy.

Ohydny stwór zawył, aż poszło echo i zatrzęsły się skały.

Trysnęła krew, zalewając Belzebubowi ramię po łokieć. Brudnoczerwona i gorąca.

Wygiął usta w obrzydzeniu: jucha wionęła smrodem gnijącego trupa. Obezwładniający, duszący smród, który wywraca wnętrzności.

Potwór, rycząc wściekle, skoczył w tył. Ból obudził w nim skrywane dotąd pokłady dzikiej agresji: z woła zamienił się w szarżującego nosorożca. Dwoma wielkimi susami podbiegł do intruza i trzasnął go wielkim łapskiem prosto między oczy.

Najpierw Kalikst poczuł tylko smagnięcie fallusów – obrzydliwe, lecz niegroźne, a później wielką kulę bólu. Uderzenie zmiotło go z nóg i posłało kilka kroków w tył, prosto na kamienną ścianę. Nim zdążył krzyknąć, grzmotnął głową w kamień.

Najchętniej by już tam został. Leżał, zapadając w gęstniejący mrok, pozwalając, by strużki krwi ze złamanego nosa, z rozbitego łuku brwiowego, wreszcie z wybitego zęba łączyły się w jeden strumyk uciekającego zeń życia. Mógłby tam znaleźć swoją śmierć, swój spokój, swój wieczny odpoczynek.

Na chwilę jego dusza odleciała z tego przeklętego miejsca. Znow był w porcie w Konstantynopolu. On, Zoe, Nicetas. Strzelali z procy do targanej falami starej beczki. Było tak jasno! Tak słonecznie. Szum morskiej wody. Śmiech Zoe i gniewne mruczenie Nicetasa. Skrzeczenie mew, odległe hałasy miasta, nawoływanie kupców i stukot młotków pracujących robotników. Ciepło. Tak ciepło! Tak jak ciepła jest krew...

Smród sapiącego potwora otrzeźwił go. Bestia stała nad nim gotowa do ataku, niepewna, czy jej ofiara jeszcze oddycha. Belzebub przetarł oczy z krwi i rzucił po sali nerwowe spojrzenia.

*Me mam szans! – pomyślał przerażony. – To cuchnące bydlę jest zbyt silne, zbyt wielkie. Nie dam rady go pobić! Nawet miecz by nie poradził, nawet dziesięciu łuczników.*

Miał tylko toporek.

Łuk, strzały i reszta ekwipunku leżały porzucane gdzieś na dnie jaskini.

Fallusowe łapsko podniosło się do góry, by zabić.

Nie czekał, aż opadnie. Przetoczył się w bok, zerwał na nogi i zaczął uciekać. Biegł wzdłuż ściany w panice, nie myśląc o niczym. Krew zalewała mu oczy.

Upadł, trąc kolaniem po kamieniu. Krew zmieszała się z łzami bólu.

Za nim łoskot biegnącego potwora. Fala smrodu.

Wstał i biegł dalej. Dalej! Byle dalej od bestii!

Nagle omal nie uderzył twarzą w skalną ścianę. Tutaj grota miała swój kres! Gdzie teraz?!

Ruszył w bok, ale chwila zwłoki wystarczyła ścigającemu go stworowi. Kalikst poczuł na plecach uderzenie wypustek i poleciał w przód jak piłka trafiona kijem Krótkiej Nogi na hipodromie w Konstantynopolu.

Szorując po skalnej podłodze jaskini, już nie czuł bólu. Na kilka tchnień całkowicie stracił przytomność.

Gdy ją odzyskał, zobaczył dwie rzeczy. Sterczące fallusy na nożyskach potwora. I niewielką szczelinę w skale, nad samym podłożem. Była tuż, na wyciągnięcie ręki.

Nie zwlekając, wczołgał się do niej. Z trudem przecisnął głowę, jednak w środku było już więcej miejsca. Niewielka jama, wysoka na dwie stopy.

Potwór sapnął wściekle i zaczął walić pięścią w wylot szczeliny. Łup! Łup! Łup! Aż dudniło. Belzebub z przerażeniem obserwował, jak skała sypie się, odsłaniając wejście.

Odruchowo przylgnął do ściany. Sięgnął ręką w tył, gdy nagle... Poczuł lekki ciąg powietrza. Zaczął obmacywać skałę. Nie było wątpliwości. Tunel!

Niepewnie, człapiąc na czworakach, sunął w głąb ciemnej czeluści. Łoskot wściekłego potwora cichł, a gdy zanikł na dobre, Kalikst opadł z ulgą na kamienie. Przytulając twarz do zimnej skały, zapadł w sen.

\* \* \*

Andronik skrzywił się z niechęcią. Kapadocja to żyzna i urodzajna kraina, pokryta łąkami, polami, przynosząca owoce, jednak teraz, w tym miejscu, można było w to zwątpić. Od pół dnia nie spotkali żywego ducha, ni człeka, ni zwierzęcia, towarzyszyła im jeno monotonna muzyka cykad. Utrzymane ludzką ręką pola ustąpiły miejsca zeschniętym ugorom, pustyniom z rzadka tylko przetykanym zielenią. Odkąd wjechali między kamieniste, nagrzone w słońcu wzgórza, było jeszcze gorzej. Tylko skały o dziwacznych kształtach, krążące nad nimi ścierwojady i ten nieznośny, trupi zapach.

*Skąd on idzie, u diabła?*

Odpowiedź na to pytanie uzyskał, gdy wyjechali zza zakrętu wąwozu. Nadziane na pal zwłoki żyły nowym życiem. Drażone przez robactwo członki drgały w szaleńczym tańcu, głowy szarpane przez nienasycone kruki kiwały się miarowo w rytm muzyki granej gdzieś tam w innym, piekielnym świecie, w którym błędziły już dusze tych nieszczęśników. Z gnijących twarzy nie schodziły coraz szersze uśmiechy.

– Jeżeli ten śmietnik, ta trupiarnia, ma być bramą, to pan na tych włościach nie ma zbyt dobrego smaku – mruknął z obrzydzeniem Andronik. Wspomniał zdobną, porfirową bramę wiodącą do rezydencji Dukasów. Płaskorzeźby, kolorowe mozaiki, pięknie kute kraty... To jeszcze pogłębiło jego niechęć do tego miejsca cuchnącego śmiercią i rozkładem.

Symeon rzucił obojętnym tonem:

– Nie prezentuje się zbyt okazale... W istocie przypomina śmietnisko, a nie wjazd na posiadłość, ale... Spełnia swoją rolę. Odstrasza nieproszonych gości. Bo gość nie w porę gorszy niżli Scyta. A tu niewielu gości jest w porę. My na szczęście jesteśmy oczekiwani. Nie zwlekajmy zatem.

Złe Oko popędził konia i wjechał w bramę. Płosząc kruki, z obojętnym wyrazem twarzy minął pale z trupami, jednak uwadze Andronika nie uszedł fakt, że na tę krótką chwilę szpieg wstrzymał oddech. Nic dziwnego – odór zwłok był nie do zniesienia. Wręcz wywracał wnętrzości.

Gorzej, że po przejechaniu bramy to nieprzyjemne wrażenie pogłębiło się. Kolejne dwa trupy nadziane na drągi już nie zdziwiły Andronika. Tłumiąc skurcze żołądka, zaczął z niepokojem myśleć, kim jest ich gospodarz. Ów niecodzienny sojusznik Michała.

To pytanie wręcz w nim krzyczało, gdy ujrzał w oddali milczące postaci mnichów. Nie widział ich twarzy skrytych pod głębokimi kapturami. Stali z boku, z rękami schowanymi w rękawy habitów, bez ruchu, jakby ledwie spostrzegli przybycie jeźdźców. Było w nich coś, co przyprawiało młodszego Dukasa o dreszcze.

Jednak widok monasteru zaparł mu dech. Tego się tu nie spodziewał. Wyżłobionego w skale eremu wybitego bezładnie prostymi narzędziami, gdzie żyją zarośnięci pustelnicy – o tak, czegoś takiego właśnie oczekiwał. Ale nie tak pięknej i misternej budowli, istnego dzieła sztuki, rzeźbionego – powiedziałbyś – przez największych mistrzów dłuta kierowanych niebiańskim natchnieniem. Siedem kondygnacji, setki kunsztownie kręconych schodów,

galeryjki, korytarze, balustrady... Wszystko wykute w białej skale, która w blasku słońca jaśniała niczym najcenniejszy kruszec. Nawet cesarskie pałace w Konstantynopolu, choć bez wątplenia bardziej wystawne, bardziej zdobne złotem, większe i dumniejsze, nie miały w sobie tej iskry boskości.

– Piękny jest, czyż nie? – posłyszał cichy głos. Jego brzmienie na powrót zmroziło go, przywracając uczucie niepokoju. Spojrzał w tył.

Czarny Mnich. Wysoka postać odziana w habit o barwie nocnego nieba. Jego twarz... Nie, Andronik nie mógł dojrzeć jego twarzy, choć tamten nie skrywał jej kapturem. Tylko cień ciemniejszy niż najczarniejsza noc, cień, w którym nie ma ni odrobiny światła. Mroczna otchłań bez dna, wciągająca, odbierająca siły. Zimna.

– Tak, jest... wspaniały – wyszeptał zduszonym głosem Dukas. Spojrzał kątem oka na Symeona. Szpieg również stracił rezon. Poblądł na twarzy i toczył wzrokiem po skałach.

– Tyś jest Andronik, brat *basileusa* Michała – stwierdził tym samym zimnym głosem Czarny Mnich i obaj przybysze poczuli, że nagle to miejsce w sercu gorącej Kapadocji owionął chłód. Chłód grobowej krypty.

– Tak – wychrypiął z wysiłkiem młodszy z Dukasów. – Przybywam, żeby...

– Wiem, po co przybywasz, panie. Wiem. To dobrze, że twój brat, Michał, wreszcie się zdecydował. Potrzeba mi tylko kilka dni... I wszystko będzie gotowe.

Mnich ruszył galeryjką w głąb monasteru.

Andronik patrzył za nim ze zdziwieniem. Jak to możliwe, że tamten nie potrzebował żadnych wyjaśnień?

– Pójdźcie za mną – usłyszał zdumiony Dukas. – Już braciszkanie zajmą się waszymi końmi.

\* \* \*

Świadomość powracała powoli. Najpierw tylko ból. Tylko ból.

Tylko ból.

Ból.

Zaschnięta krew. Sztywne ramię, zwichnięta noga, pulsująca gula na twarzy.

Ból narastał razem z powracającą świadomością.

Próbował otworzyć oczy, ale zaschnięta skorupa krwi, kurzu i łez na dobre sklepiła mu powieki. Chciał potrząść je dłonią, jednak rwanie w łokciu na powrót rzuciło go w tył. Padł na kamień, ciężko dysząc.

Zasnął.

W tym czasie osiem dni drogi od monasteru wybuchła bitwa. Chazarowie starli się z Seldżukami. Turcy wyrznęli pięć setek swoich przeciwników, wywołując w ich szeregach panikę. To pozwoliło im zdobyć nowe tereny wokół Morza Kaspijskiego.

Długo by wymieniać, co jeszcze miało miejsce w tym czasie. Mijały godziny, ludzie



umierali, rodzili się, zdobywali i tracili fortuny. Upadali władcy, inni zaś zdobywali władzę. Jednak dla Kaliksta Belzebuba wtedy czas nie istniał. Był tylko sen w ciemnym tunelu gdzieś w samym środku góry w Kapadocji.

A później przebudzenie. Już bez bólu. Nie, nie bez bólu. Ból tak łatwo nie odstąpi. Ale teraz już nie obezwładniał. Nie upokarzał. Nie rzucał na ziemię.

Kalikst z wysiłkiem dźwignął się i usiadł. Zdrapał z powiek skorupę, która nie pozwalała mu patrzeć, jednak dalej nic nie widział. Ciemność.

Ciemność. Głód i pragnienie.

Zaczął odruchowo przeszukiwać kamienną podłogę wokół siebie. Znalazł perski toporek odebrany wieki temu Turkowi Mustafie. I nic więcej. Łuk, strzały, lina, reszta ekwipunku – wszystko to pogubił, walcząc z fallusową bestią.

Przewyciężając szum w głowie, próbował zebrać myśli.

Szum. Szum. Szum. Szum. Szum.

Szum był zbyt wielki, nie pozwalał pomyśleć o tym, co dalej.

Opadł na skalną podłogę i leżał, czekając, aż nieznośny hałas w głowie ustał. Przytroczył toporek do pasa. Wreszcie podniósł się na czworaki i powoli pełzł tam, gdzie powinno być jakieś wyjście. Byle dalej od potwora.

Pełzł tak, nie wiedział, jak długo, wreszcie ciemność korytarza rozświetliły wąskie smugi światła. Sunął dalej w tym kierunku, aż sklepienie się wzniosło.

Schody.

Powstrzymując syk bólu, stapał po stopniach do góry. Nierówno wyciosane w kamieniu schody szły spiralnie, ostrymi zakrętami. Dalej jednak już złagodniały, zaś wokół robiło się coraz jaśniej.

Tak dotarł do następnej sali. Niewielkie pomieszczenie i trzy korytarze.

Przystanął.

To mógł być ten drugi krzyżyk na mapie. Rozgałęzienie dróg. Jeżeli przyjąć, że gwiazdka nie oznaczała nic innego, jak tylko cuchnącego potwora z kutasami zamiast sierści.

*Prosta robota – myślał wcześniej. – Idę dalej. Przemknę przez korytarze, pochwycę ikonę i w nogi. Łatwizna.*

Teraz zaśmiał się bezgłośnie. To nie było takie proste i wyglądało na to, że Zoe miała rację. To szaleństwo. Trzeba było odpuścić. Zapomnieć o tym wszystkim, wrócić do Konstantynopola, pochłać wina w tawernie, a później rozcinać sakiewki italskim kupcom. Tyle że teraz nie miał jak stąd uciec. Tą drogą, którą przyszedł? Tam tylko fallusowa bestia. No i bez liny nie wdrapałby się na skalną półkę sześćdziesiąt stóp w górę. Musiał iść dalej, już nie było wyboru.

Trzeba zbadać korytarze.

Cicho jak cień zajrzał do pierwszego z nich. Tunel szedł prosto przez kolejne salki i rozpadliny, jednak w końcu Kalikst zrezygnował z tej drogi. Prowadziła zbyt daleko od

miejsca, gdzie winno być wejście do monasteru. Wrócił do rozwidlenia i wybrał następną odnogę. Ta z kolei szybko miała swój kres nad ciemną i wąską studnią wiodącą gdzieś w głąb ziemi. To też nie wyglądało na właściwy szlak. Zawrócił i ruszył ostatnim tunelem.

Korytarz rozwidniał się coraz bardziej, z czasem poszedł ostro w górę i Belzebub pokonał ten odcinek na czworakach. Pełznął, ślizgając się na wyszlifowanym kamieniu.

Nagle dotarł do końca tunelu. Zalało go rażące w oczy światło. Aż przystanął.

Był w środku monasteru. To tu.

Serce zabiło mu mocniej. W oddali posłyszał szuranie czyichś stóp. Odgłos narastał, jakby ktoś zbliżał się szybkim krokiem właśnie do niego.

Skoczył w tył, by znaleźć kryjówkę. Stracił równowagę i zjechał w dół po wyszlifanej podłodze pochyłego korytarza. Nawet nie próbował się utrzymać.

*Trzeba zaczekać do nocy* – postanowił, wstając obolały. Sięgnął po plan monasteru. Mimo wszystkich perypetii mapa wciąż jeszcze była na swoim miejscu. – *A więc jak teraz iść...?*

Teraz już droga wyglądała na względnie prostą. Na górę, przemknąć tamtym korytarzem na ostatnią kondygnację, czyli dwa piętra wyżej, i jest. Komnata oznaczona kwadracikiem. Ikona Satanaela. To tam.

Znów naszły go wątpliwości. Spodziewał się cichego, spokojnego miejsca, opustoszałej pustelni, gdzie tylko wiatr, kurz i kilku rozmodlonych eremitów. Ale teraz... Teraz już nie był pewien niczego. Ohydna bestia z wypustkami, pokrętne labirynty, wszechobecne odgłosy nerwowych kroków... no i te trupy nadziane na pale przed bramą. I za bramą. Co jeszcze? *Zoe miała rację* – po raz kolejny powtarzał w myślach. Ale przecież nie mógł się do tego przyznać. No bo jak? Nawet jakby ominął tego potwora albo jakby przemknął cicho, nie zważając na nic, na kroki w oddali, na krzyki, na zdziwione spojrzenia, to co?

Przemknąłby do frontowego wejścia, przeszedł obok tych trupów na drągach i nie oglądając się za siebie, uciekł z tego miejsca. Ale co później? *Zoe, jestem skończonym głupolem. Narobiłem zamieszania w Konstantynopolu. Okradłem Atanazego i wpędziłem go w kłopoty. Tłukłem się tu cały tydzień, niemal oddając życie opryszkom grasującym przy trakcie. Ty się tłukłaś za mną cały tydzień, żeby mnie wyciągnąć z opresji, ale to wszystko na próżno! Przestraszyły mnie kroki w korytarzu monasteru, więc uciekłem.*

To było niedorzeczne. To nie mogło mieć miejsca.

*Nie! Muszę tam iść!* – postanowił. – *I zdobyć to, po co przyszedłem!*

Gdy nastąpiła noc, poczłapał pochyłą sztolnią. Na górze panowała cisza. I ciemności z lekka tylko rozjaśniane przez bladą poświatę księżycy.

Przysiadł w załomie skalnym, nasłuchując odgłosów nocy. Nic. Niczym niezmacona cisza. Przemknął więc – wedle mapy, którą teraz miał w głowie – na wyższe piętro. Doszedłszy do końca schodów, przysiadł, nasłuchując.

*Można iść dalej!* – Przebiegł na palcach kunsztownie zdobioną galeryjką do następnego

przejścia i wpełzł po wybitych w skale stopniach na górę.

To było tu. Gdzieś tu. Któreś z tych pomieszczeń. Policzył: pierwsze, trzecie, czwarte. Jest! Piąte wejście, niewielkie, wąskie, że ledwo człowiek się przecisnie.

Przecisnął się. Ruszył w głąb sali. I zamarł.

Pomieszczenie nagle rozjaśnił blask pochodni. W ich świetle zamajaczyły cienie mnichów odzianych w ciemne, wyszargane habity. Wyszli jak spod ziemi, przeniknęli ze ścian, po prostu nagle się pojawili, choć Kalikst mógłby przysiąc, że jeszcze dwa oddechy wcześniej nie było tu nawet jego własnego cienia.

*Czy to sen? – pomyślał przerażony. – Czy ja wciąż leżę w tunelach pod górą, obity przez bestię z wypustkami, i śnię?*

Krąg milczących postaci powoli, acz nieubłaganie zacieśniał się.

Gdy zarzucili mu sieć na głowę, poczuł tylko tępe uderzenie w potylicę. Nim zapadł w mrok, wiedział już, że to nie sen.

\* \* \*

– To święty prawdziwy, co pokonał ogniem demona! To nasz obrońca, którego zesłał święty Teodor! A teraz, dzięki swym czynom za wiarę, on sam, ów dzielny rycerz, dołączył do grona świętych, błogosławionych i świętych za życia!

– Święty... Eeee... Święty Kalikst? – zapytał z niedowierzaniem Nicetas, patrząc na bezwłosego starca, mnicha w nieco poszarpanych szatach. Brata Bazylego.

– No przecie prawię. Święty Kalikst to był, co wezwał aniołów do pomocy i spalił demona żywym ogniem. Czujecie? Jeszcze teraz odór spalenizny kręci w nosie. Czuć tu piekielną siarkę!

– Aniołowie palą ogniem? – burknął Waldemar Jałmużnik. – A tom ja zawsze myślał, że ogień to z piekła pochodzi, a anioły to... No tego, niebiańskim powietrzem chłodnym i światłem cudownym biją wroga. Czy czym innym.

Brat Bazyli obruszył się. Łypnął wściekle na Jałmużnika i wycharczał:

– Błuźnierco! Ogień może mieć piekielną i Boską naturę. Piekielna jest wtedy, gdy pożogę podczas wojny siejesz, gdy podpalasz domostwa i puszczasz z dymem miasta. Zaś Boski... Boski jest wtedy, gdy dajesz nim świadectwo oddania Najwyższemu. Gdy stoisz po stronie Boga Jedynego, Stwórcy świata i człowieka, głosząc jego chwałę i przepędzając szatany z piekła rodem. Gdy na Sądzie Bożym musisz przejść bosymi stopy przez rozgrzane do czerwoności lemiesz lub w nagiej dłoni ścisnąć białą od żaru sztabę i przy tym ani jęknąć od cierpienia, jeno recytować psalmy.

Waldemara to nie przekonało.

– Nicetas! Mogę mu przydzwonić w pacynę maczugą? Nie trawię takich brudnych, zaplutyh klechów bełkoczących bajędy! Jak pierdyknę w ten stary, łysy łeb...

– Daj spokój, Jałmużnik! Ty też jesteś łysy...

– Ale, u diabła, nie ze starości i głupoty. Ja, proszę ja ciebie, głowę gołą jak każdy dzielny wojownik przed walką. A ten tutaj...

– Te, braciak! A ja to co? Nie wojownik? – nagle dorzucił swoje Wit Wodnik. – Znaczy, że co? Że jak się nie gołę, to jestem gorszy od ciebie? Jednym słowem, znowu chcesz oberwać?

To powiedziawszy, uniósł groźnie maczugę i ruszył w stronę Waldemara.

– Spokój, durnie! – mitygował ich Nicetas. – Zawsze z wami jest problem. Dwóch rudych przygłupów!

Nim zdążyli zaprotestować, schwycił braci za szyje – jednego lewą ręką, drugiego prawą – i stuknął ich głowami, że tryknęli się jak koziołki. Uderzenie było mocarne. Obaj opadli w kurz traktu, beładnie wymachując rękami. Mełli pod nosem dziwne przekleństwa w swej północnej mowie, pełzając w piachu niczym przydeptane robaki.

– Przyjdzie czas... Że jeszcze, ty klocu rozrośnięty, ty pieńku tępy, odpowiesz za te nasze upokorzenie. Że jeszcze poznasz smak krwi zadanej ręką Żmudzina.

Wielka Pięść puścił te pogrożki mimo uszu.

– Mów, mnichu! – zakomenderował. – Jak to było naprawdę? Mów mi o Kalikście.

Brat Bazyli tylko na to czekał.

– Święty Kalikst z pomocą świętego Teodora...

– Święty Kalikst! – zarechotał Jałmużnik. – No jaki on tam święty?! Przeca to dziarmaga z Konstantynopola...

Nie dokończył. Nicetas rąbnął go przez łeb. Żmudzin padł bez czucia na ziemię.

– Mów, mnichu!

– Święty Kalikst z pomocą świętego Teodora, który dał mu natchnienie i pokazał drogę, którą trzeba iść, pokonał groźnego demona, który położył trupem dobre kilka setek Bogu ducha winnych podróżnych. Zakonników, kolonów, kupców... Później przez długie dni sprzątałyśmy zwłoki po nich. Demon, który osiadł w tym tam spalonym cyprysie, siał przerażenie i grozę wśród okolicznej ludności i przejezdnych, kpiąc sobie z Boga i praw Bożych. Zabił nawet biskupa, świętego Eustracjusza Garidasa, zaświec Panie Boże nad jego umęczoną duszą, który przybył tu z Ancyry odprawiać egzorcyzmy. A była to straszliwa bestia z najgłębszych otchłani piekła! Facjatę miała czarną niczym smoła. Oczy jak dwa wielkie rubiny gorejące płomieniami. Rogi długie jak ramię mężczyzny, ostre niczym puginały. Broda skudłana, a oddech cuchnący siarką i ekskrementami. Kły miał niczym ostro ciosane skały, długie na palec. Głos jego był jako ryk ruszającej do boju armii. Słowem, był to demon, którego nie mogła pokonać żadna ludzka siła! Dopiero święty Kalikst, bohater zesłany przez Pana, zdobył się na podstęp i zabił diabła ogniem. Od tego czasu w okolicy panuje spokój i cisza, a lud Anatolii ma teraz dwóch świętych, którym oddaje cześć. Patrona naszego monasteru Teodora i naszego zbawcę Kaliksta.

Tym słowom w milczeniu przytaknęło pięciu braciszków wraz z Bazyliem kręcących się

przy trakcie. Nicetas popatrzył po okolicy. Rzeczywiście, nieopodal gościńca straszyl czarny kikut spalonego cyprysa. Wokół niego wyrósł niewielki cmentarzyk. Świeże kopczyki ziemi i krzyże wycięte z tego, co pozostało z drzewa. Wielka Pięść nie potrafił zbyt dobrze liczyć, jednak miał pewność, że grobów było o wiele więcej niż dziesięć. Więcej, niż był w stanie wychylić kubków wina w tawernie.

*Gdyby każdy krzyż znaczył jedną kolejkę – tłumaczył sobie w myślach – to ja bym tyle naraz nie wypił. To nawet może być więcej niż kolejka moja, Kaliksta i Zoe razem wzięta. Przeklęty demon! I Kalikst go pokonał? Niezły jest, ziomek!*

– Dobrze, mnichu. A co później z nim było? Gdzie podział się Kalikst?

– Odjechał na wschód, traktem na Kapadocję. Wyobrażam sobie, że na świecie są setki takich demonów, które obsiadły drzewa przy trakcie. W Kapadocji, Frygii, Pizydii, Armenii. Wiele ma do roboty święty Kalikst! Każde miejsce musi oczyścić świętym ogniem, tocząc walkę z siłami z piekła rodem!

– Była z nim dziewczka?

– Dziewka? – obruszył się Bazyli, marszcząc czoło. – Przecie to święty, toteż dziewczek grzesznych unika, chyba że w celach nawrócenia. To mąż, który ma w sercu Boga i naszą świętą religię. Nie przebywa z wszetecznicami.

– Klecho! Zamknij ryło. To znaczy nie to mam na myśli, czy chędożył gdzieś przy okazji kurwy. Tylko czy ktoś towarzyszył mu w podróży?

– Święty Kalikst podróżował z Bogiem. Najwyższy był jego towarzyszem, doradcą i kompanem.

– Znaczący się był sam?

– Najwyższy był mu towarzyszem...

– A dziewczki jakowejs nie widziałeś w podróży? Odzianej jak mąż. Drobnej, ale w stroju wojownika. Jak Saracen, pewnie w czarnym zawoju na twarzy albo jakoś tak.

– Nikogo takiego nie widziałem. Dziewki w stroju mężów? Mężowie w sukniach kobiet? Nie, takich tu nie było.

Nicetas skinął głową na Muhammada. Ten potwierdził gestem gotowość do dalszej podróży. Gorzej poszło ze Żmudzinami. Ryży bracia dalej tarzali się w kurzu, bełkocząc jakieś bezładne obelgi. Wielka Pięść sprzedał im po kopie w zadek. Dopiero wtedy wskoczyli na siodła.

– Jedziemy, pierdoły! Kalikst dał chodu do Kapadocji. Już jesteśmy blisko!

W tym samym czasie kilka setek kroków dalej na prawo, idąc przez jałową ziemię w kierunku cyprysa, pięciu plugawych najemników Metodego odciągało na bok trupy Wahida i Mustafy. A właściwie to, co z nich zostało. Słońce, ptactwo i robaki zrobiły swoje – ze zbójów pozostały jedynie szkielety obciążone zasuszoną skórą i resztkami zgniłego mięsa.

– Ładnie dostał w arbuza! – zarechotał jeden z drabów, który, sądząc po władczej minie i dumnej postawie, przewodził gromadzie najemnych zbirów. Wyszarpnął z czerepu strzałę, by

obejrzeć ostrze, złamał ją z wysiłkiem i prychnął: – Dam se łapę uciąć, że to robota któregoś rzemieślnika z Konstantynopola. Dobry grot, twarde drzewce, takie robią tylko u nas...

Najemnicy skorzystali z obozowiska Wahida i Mustafy. Zasiedli przy ogniu, dobyli zapasy i wodę z juków i zaczęli posiłek. Jedli w milczeniu, mlaskając i bekając. Wreszcie któryś mruknął:

– Suszone mięso, stary chleb... Co za podłe żarcie! Jak człek nawykł do wygod miasta, to szlajanie się po takich dziurach to jak pokuta za niepopelnione grzechy. Wina by pochłał! Koźłęciny zjadł młodej, pieczonej na ruszcie, i dzban wina do tego. Taka uczta człowiekowi w głowie.

– Przytrzaśnij mordzicho, przygłupie! – warknął herszt. – Żryj, co masz, a jak dobrze zrobisz swoją robotę, to będziesz mógł przez cały miesiąc nic, tylko kozy ruchać, a koźleta wcinać.

– Te! Ale tak prawdę mówiąc, to przecie można by tym klechom piwniczkę rozdzwiczyć. I spizarenkę rozpiździć! Dobrać się do tych mięsów, do tych win, do tych bochnów wielkich jak koła młyńskie. Nawet by se jakiego arbuza zjadł czy inne grono winne niczym jakiś piękniś ze dworu...

– Głupis! Spójrz na tego klechę! Chudy jak szczapa. Myślisz, że on tam jada mięsiwa i bochny? Że dryni wina z beki? To jakiś zafajdany ciura, tak jak cała reszta tych niedojdów.

Gdy skończyli, zajęli się *chudym jak szczapa klechą*. Bratem Bazylim pochwyconym chwilę po tym, jak Nicetas Wielka Pięść wraz z kompanami zniknął za najbliższym wzgórzem.

Zakonnik nie zniósł długo przypiekania nad ogniem i wyśpiewał wszystko, a nawet więcej.

Jakiś kwadrans później od grupy najemnych rębajłów Metodego oddzielił się samotny jeździec podążający w stronę Konstantynopola.

## ROZDZIAŁ 13

Obudziło go ciche zgrzytanie i przebłyski światła. Metal ocierał o metal, a promienie – czyżby słońca? – przenikały przez powieki i łaskotały oczy jak źdźbło trawy. Czuł odór stęchlizny pomieszanej z wonią palonego tłuszczu i jakiś metaliczny posmak. Krew, tak, krew zaschnięta na wargach, zlizywana z ust, ożywająca na języku.

Z wysiłkiem otworzył oczy. Spod półprzymkniętych, zaropiałych powiek starał się wyłowić jakieś strzępy otaczającego go świata. Na nic. Mlecznożółte ogniki, ale co poza nimi? Zacisnął na powrót powieki i powoli oddychał.

A ręce? A nogi? A ciało? Poruszył lekko palcami dłoni. Czuł je, więc były na swoim miejscu. Napiął mięśnie rąk, potem nóg. Poluzował. Wszystko miał całe.

– A więc przebudziłeś się...

Ten głos był jak cios maczugą. Kalikst dopiero teraz uzmysłowił sobie, że gdzieś w nim czai się jeszcze jedno odczucie. Ból. Ból w tyle głowy. Tam, gdzie dostał od mnichów w poszarpanych habitach.

Przypomniawszy sobie wszystko: monaster, podziemne przejście, oślizgłego potwora z fallusami na całym ciele. I braciszków o twarzach trupów.

– Cny Kalikst Belzebub! – zabrzmiał ponownie zimny głos z oddali. Zniekształcony jak słowa wypowiedane z wnętrza beczki. – Z samego Konstantynopola. Proszę... Nie do wiary...

*Skąd on wie? Kto zacz? Jak to możliwe?* – pytania bez odpowiedzi roily się w skołatanej głowie.

Nagle wokół siebie dostrzegł kraty. Półokrągłą klatkę z grubych żelaznych prętów, zawieszoną na pordzewiałym łańcuchu. Wyżej zaś – nierówno ciosane kamienne sklepienie i migoczące na nim blaski pochodni porozmieszczanych na ścianach gigantycznej sali.

Rzucił okiem w dół. Od dna pieczary dzieliło go jakieś pięć dziesiątek stóp. Otchłań kończyła się gęstym polem kamiennych stożków stojących równo niczym wojsko w spiczasto zakończonych szyszakach. Nieruchome skalne postaci spowite w mrok.

– Nie ma stąd drogi wyjścia. Zostaniesz tutaj, w tej klatce, panie Kalikst. Belzebub.

Wreszcie spostrzegł, kto do niego mówił – czarno odziany mnich z twarzą skrytą pod kapturem habitu. Stał na skalnym języku wysuniętym ze ściany pieczary i patrzył w kierunku więźnia. Chyba patrzył, tak – na pewno patrzył, choć Kalikst bardziej to czuł, niż widział.

Przewyciężając ból, przetarł oczy i skupił wzrok tam, gdzie winna znajdować się twarz zakonnika – pod kapturem.

Zobaczył... Nic nie zobaczył. Tylko czerń. Zimna, bezksiężycowa noc, czeluść bez dna, nieprzenikniony mrok, który przyprawił go o dreszcze. Zadrżał i mimowolnie zamknął oczy.

Poczuł nowy zapach. Trupi smród, duszący i obezwładniający, który przyćmił wszystko inne. Żołądek eksplodował pulsującym bólem.

– Belzebub. Belzebub. Beeel-ze-bub... – powtarzał z namaszczeniem tamten, jakby smakował wykwinną potrawę podaną w złotej misie. – Podoba mi się twoje imię. Baal Zebul. Władca Much. Czarci Książę. Baal Zebul. Czyż to nie brzmi pięknie?

*Skąd on wie? Kim jest? Czego chce?* – znów pomyślał Kalikst.

– Dowiesz się w swoim czasie, mój drogi książę – obiecał mnich z chrapliwym, złym śmiechem. – Mój książę Baal Zebul. Musisz mi wybaczyć, że tak przywołuję twoje imię, ale doprawdy nie mogę nasycić się brzmieniem tych słów. Bo różni tu do mnie przybywali. Bazyliszek, Długi, jak ci dwaj nieboracy ostatnio. Albo Nicejczyk, Blizna czy Kaprawiec, jak wcześniej. Po prostu zwyczajne pospólstwo. Ale Belzebub... To piękne i szlachetne imię.

Łańcuch skrzypiał złowieszczo. Klatka bujała się lekko, choć Kalikst leżał bez ruchu.

– I kto wie, może jest w nim, w tym twoim imieniu, pewne proctwo... Baal. Baa-aal. Piękne! Zebul.

– A ty? A ty kim jesteś? – wystękał z wysiłkiem Kalikst.

Zakonnik wybuchnął dudniącym śmiechem.

– Skromnym mnichem, wiernym sługą Pana w Niebiosach. Bez imienia. Teraz już bez imienia, bo nawet imię swoje poświęciłem Jemu. Inni mówią o mnie Czarny Mnich. Możesz tak mnie zwać, gdy będziesz błagał o litość.

Jego głos brzmiał jak pomruk odległej burzy. Mrok wyzierający spod kaptura odbierał Kalikstowi resztkę nadziei, że rozmawia z człowiekiem, może nawet złym człowiekiem, zawsze jednak nie bestią.

*Litość? Będę błagał o litość?* – Dopiero teraz dotarło do niego znaczenie tych słów. – *Co się stanie? Czego ten... ten Czarny Mnich ode mnie chce? Mojej śmierci? Bólu? Rozpaczy?*

– Jaki los ci pisany, usłyszysz w swoim czasie – rzekł na to ponury zakonnik. Czytał w myślach? A może w zbolałym spojrzeniu pełnym niepewności... – Każdemu jest pisane co innego, każdy ma swoje przeznaczenie, ale wiedza o tym, co zapisano, to tajemnica, która nie może być dana maluczkiemu.

Czarny Mnich odwrócił się i niespiesznym krokiem przeszedł na przeciwległy brzeg skalnego języka. Belzebub dopiero teraz zauważył: nad rozpadliną wisiała identyczna klatka jak jego. Pordzewiały łańcuch przytwierdzony do sklepienia. Grube pręty z pokrytego rudym nalotem żelaza. I coś? Ktoś? W środku. Może nic – tego nie wiedział. Do wysokości sześciu stóp, czyli do połowy metalowej konstrukcji, wewnątrz osłaniał parawan z czarnej materii.

*Kim on jest, ten drugi? Albo kim ona...* – Kalikst zadrżał. Nie chciał dopuścić tej



najstraszniejszej myśli.

*Tam nie ma nic. Po prostu jest pusto* – próbował przekonać sam siebie.

Mnich zarechotał, wypełniając jaskinię ponurym echem. Wiedział, to oczywiste, on wiedział, kto tam jest. Wiedział, co chce z nim zrobić. Wiedział też, że Kalikst boi się o... Ale mroczny zakonnik nie zamierzał nic mówić na ten temat.

Miał tego rzekł inne słowa:

– Kalikst Belzebub, złodziej z Konstantynopola... W twoim imieniu, przydomku, kryje się pewna magia... Zastanawia mnie, skąd właśnie Belzebub. No bo, jak rzekłem, te wszystkie opryszki noszą jakże trywialne imiona! Te różne Blizny i Kaprawce. W pijackiej burdzie dostanie nożem w policzek – i już jest Blizna. Złapie chorobę zamorską od cudzoziemskiej kurtyzany – i już jest Kaprawcem. Wyrośnięty – no to Olbrzym, lubi dużo żreć – to Barani Udziec. Ale Belzebub? Skąd to imię?

Przerwał na chwilę. Nie, nie po to, by usłyszeć odpowiedź. Raczej by utwierdzić się w swoim przekonaniu:

– Wiem, nie jesteś skory do pogawędek. Zresztą to jeno dygresja, a jest w tym wszystkim inny aspekt, znacznie ciekawszy. Chodzi o to, panie z pięknym przydomkiem, że twoje imię – jak mi się zdaje – opisuje twoje losy i twoje zdolności. No weźmy to – nikt inny nie dotarł tu aż tak daleko. Muszę powiedzieć, jestem pełen podziwu. Ci nieudacznicy, których – jak miemam – widziałeś przed bramą, nie potrafili wykazać się takim pomysłem, sprytem i zręcznością. Tamci szli, zauważ, pozornie najprostszą drogą, jednak mieli w sobie zbyt wiele buty i lekceważenia. Byli nazbyt pewni siebie. A tyś obrał najtrudniejszą drogę. Ech tam, drogę! Toż przecie nie jest żadna droga, jeno szczeliny i dziury w ścianach, wąskie przesmyki wyrzeźbione przez deszcz i wiatr.

Głos mnicha szedł echem po jaskini, objając się po ścianach. Dudniący rezonans potęgował ból w tyle głowy Kaliksta. Przed oczami zatańczyły mu czerwone płatki. Opuścił powieki i opadł bez sił na dno klatki, uspokajając łoskot narastający pod czaszką.

Ponury zakonnik ruszył na koniec kamiennego języka, gdzie znajdowała się okrągła platforma. Na niej stał szeroki katafalk wykonany z kamienia jakże innego niż okoliczne skały. Z porfiru, różowego marmuru cesarzy.

– I co więcej, udało ci się – przemówił znowu mnich. – Udało ci się nawet niezgorzej poturbować mojego strażnika.

Kalikst zadrzał z ohydy na wspomnienie oślizgłego potwora.

– To takie jedno niezbyt udane dzieło. Zlepiłem go z kilku ciał, z których uleciał już duch. No a te fallusy... Czy wiesz, że jest ich dokładnie sześćset sześćdziesiąt sześć? Niektórzy doszukują się w tej liczbie jakiegoś diabelskiego znaczenia, ale – zapewne nie uwierzysz – to był jeno przypadek. Tylu nieproszonych gości odwiedziło mnie w ostatnim czasie, dostarczając mi budulca do moich działań. Jaka była w nich żywotność, chęć życia! Najlepszy dowód, że już po przeniesieniu ich członków do ciała mojego golema one wciąż

chętnie stawały na baczność. Jak mówię, to jedno z moich niezbyt udanych dzieł, dlatego wypędziłem go do podziemi, by tam żył i pilnował drogi do monasteru. Jednak dobrze, że go nie zabiłeś. Byłbym wielce niepokieszony. Wielce niepokieszony...

Zakonnik w czarnym habicie przesunął dłonią nad katafalkiem i zamarł, patrząc w zamyśleniu na wzory pokrywające kamień.

– Dwóch... Nie, trzech zbłąkanych wędrowców, którzy okazali tyle samo sprytu co ty i wybrali tamtą drogę, skończyło bardzo źle. Mój strażnik rozszarpał ich na strzępy, startł na miazgę... No, tylko się mogę domyślać, co im tam jeszcze robił. Ale to chyba miłsza śmierć, niż stanąć na kołku przed bramą. Cokolwiek by ten mój strażnik wyczyniał.

Mnich zamilkł, kiwając głową. Belzebub podczołgał się do prętów klatki. Usiadł z wysiłkiem.

– To wszystko mówi mi, że twoja obecność tutaj nie jest przypadkowa. Już sam fakt, że znałeś tamtą drogę, zdradza, że wiedziałeś, którędy iść. Ale iść po co? Oto zasadnicze pytanie... Przyjdzie czas, że zdradzisz mi, po co i z czyjego nadania. Ja zresztą i tak wiem. Ja wiem wszystko... – Zakonnik nagle obrócił się w tył, odrywając wzrok od katafalku.

Kalikst poczuł paraliżujący chłód. Zobaczył czerwone płatki przed oczami i ból dźgnął go w tył głowy.

Znów był szum pod czaszką i zgrzyt łańcucha. Metal tarł o metal, trupi smród dusił...

Belzebub zapadł w ciemność bez czucia.

\* \* \*

Szuranie. I chlupot wody.

Kiedy się ocknął, Czarnego Mnicha już nie było. Tylko braciszkanie, jego trupi pomocnicy, chodzili po zakamarkach podziemnej sali. Dwóch, trąc katafalk wiechciami wysuszonej trawy, szorowało go do połysku. Trzeci pomagał im, lejąc na porfirowy blok wodę z cebra. Jeszcze inni kręcili się u nasady skalnego języka. Kalikst, wciąż walcząc z paraliżującym bólem, podpełzł na brzeg klatki.

Wcześniej tego nie widział – w miejscu, gdzie skalny most odchodził od ścian pieczary, znajdował się niewielki placyk. Tam też dostrzegł żelazną konstrukcję osadzoną w kamiennych fundamentach. Z niej wychodziły łańcuchy poprowadzone do sklepienia jaskini, do zębatach kół utrzymujących klatkę w powietrzu. Mnisi w milczeniu oliwili wielkie tryby i korbę, maszynię, która pozwalała opuszczać i podnosić to niewielkie więzienie.

Spojrzał dalej, na układ pordzewiałych kół i ogniwi. I na drugą klatkę, taką samą jak jego, tylko osłoniętą czarnym parawanem.

Próbował przebić wzrokiem zasłonę przerażony myślą, której nie miał siły odpędzić: *Zoe! Zoe, Zoe, Zoe! Ty nikczemny bydlaku, czego od niej chcesz? Jak ją złapałeś? Po co?*

Czyżby dziewczyna poszła za nim tą samą podziemną drogą? To byłoby do niej podobne. Skoro wyruszyła z Konstantynopola, skoro tropiła go przez kilka dni w drodze do Kapadocji,

nie mogła przecież teraz odpuścić. Oto cała Zoe. I teraz ma za swoje!

*Ale to moja wina – wyrzucał sobie z goryczą. – Trzeba było odstąpić od tego szaleńczego planu, tak jak radziła. Co teraz nas czeka? Jaki los nam zaplanował Czarny Mnich?*

Nawet nie chciał o tym myśleć. Nie, nie chodziło już o niego samego. O nią!

A mogło być zupełnie inaczej. Gildia... Te wszystkie intrygi. Frakcje. Atanazy i Eutymiusz. Walka o wpływy. To wszystko nic. To wszystko nie było nic warte. Tak naprawdę liczyła się tylko ona. Wciąż się liczy, ale teraz już chyba za późno. A mogli razem... Ech, im dłużej to rozpamiętywał, tym większy czuł ból w duszy.

Wbił wzrok w zasłonę na klatce. Nic. Łańcuch bujał się lekko, jakby całą konstrukcją poruszał wiatr. Zgrzyt ogniw. Metal o metal. Jednak pod czarną płachtą nie dostrzegł najmniejszego ruchu.

*Może jej tam nie ma? Może tam nikogo nie ma? Ale wtedy po co ta zasłona? Wtedy w ogóle po co ta klatka zawieszona nad przepaścią? Więzi powietrze? Nie, tam ktoś musi być.*

Z drugiej strony, jeżeli to Zoe, to i tak na razie byli w lepszej sytuacji niż szpiedzy wysłani przez Atanazego. Maksymus Bazyliszek i Długi Konstantyn. Tamci od razu poszli na pal, więc od nich – od Kaliksta i dziewczyny – ten ponury szatan w mnisim habicie czegoś musi chcieć.

*Ja wiem wszystko – przypomniały mu się słowa Czarnego Mnicha. – Zdradzisz mi, z czyjego nadania.*

To nie miało sensu. Skoro wie, to czego potrzebuje więcej? Poddania się? Rozpaczy? Wyznania winy? Błagań o litość? Jaki mroczny plan kiełkował w głowie ponurego zakonnika?

– Ej... – chciał zawołać, ale tylko zaniósł się suchym kaszlem. Splunął i spróbował jeszcze raz. – Ej, wy tam! *Koproskilo!* Do was mówię, zasrani piekielni braciszkuwie!

Nic. Żadnej reakcji. Tamci w spokoju, wręcz w transie, robili swoje. Czyścili porfirowy katafalk. Oliwili tryby machinerii. Kręcili się po jaskini, wymieniając spalone pochodnie na nowe.

– Ej, wy tam! Gdzie jest wasz pan!?! Czego on ode mnie chce? Mówcie, przeklęte czarne kaptury!

Jakby go nie słyszeli. Jakby go tu w ogóle nie było. Jakby nie trząsał klatką, ciskając przekleństwa i groźby.

Wreszcie zaprzestał tych próżnych działań. Skupił wzrok na drugiej wiszącej celi i zawołał:

– Zoe! Jesteś tam?! Zoe, słyszysz mnie?

Dostrzegł coś jakby ruch czarnej zasłony. Może to był ten wiatr nie wiatr, a może to ona? Wpatrywał się uporczywie w płachtę.

– Zoe! Zoe, słyszysz mnie? Powiedz coś! To ja, Kalikst! Daj jakiś znak!

Nie dała. Najwyraźniej w sąsiedniej klatce nikogo jednak nie było.

Opadł na podłogę swojego więzienia. Właściwie powinien się cieszyć: w końcu Zoe jest wolna, ale już prawie uwierzył, że razem są w łapach tego szaleńca, i zamiast radości czuł się samotny i zrezygowany. Na domiar złego złodziejski instynkt nie podpowiadał mu, jak można stąd uciec. Najdziwniejsze, że w klatce nie było żadnych drzwiczek ani otworu w dnie. Więc jak go tu wsadzili? Zaczął obmacywać poszczególne pręty i popychać je w górę, w dół, na boki. Nic, ani drgnęły. Były dokładnie dopasowane albo też trzymała je na miejscu...

Magia.

\* \* \*

Roussel de Bailleul był przesadnie uprzejmy. Dworską etykietę traktował z namaszczeniem, jednak wkładał w to tyle nadmiernej gorliwości, że wszyscy, którzy znali tego normńskiego najemnika, dostrzegali w jego zachowaniu drwinę, a nie szacunek. Rycerz o zaciętym obliczu zgodnie ze zwyczajem padł na twarz przed cesarskim tronem, jednak w jego oczach lśniły kpiące ogniki. Ten człowiek, nawet leżąc na posadzce sali tronowej, demonstrował swoją butę i pogardę.

Roman IV Diogenes machnął ze zniecierpliwieniem dłonią. Wołał rozmawiać z de Bailleulem na osobności, jednak na to nie pozwalała celebra ani zasady polityki.

Najemnik wstał z podłogi, by postąpić kilka kroków naprzód. Wbił w cesarza buńczuczne spojrzenie i zamarł w oczekiwaniu na słowa władcy.

*Powinienem go obić albo nawet skrócić o głowę – pomyślał Roman. – Nie potrzeba mi jednak szemrania wśród Normanów. I tak są bliscy buntu, a gdybym go zabił, porzuciliby jakiegokolwiek zobowiązania wobec imperium. Zapomnieli, psie pomioty, co to lojalność.*

Zresztą to nie była kwestia lojalności, ale pieniędzy, których *basileus* wciąż nie wypłacił najemnikom za poprzednie kampanie. W tej chwili najbardziej żałował, że część solidów została jednak przekazana, za co Normanowie korzystali z życia, kupując sobie w Konstantynopolu domostwa, miłość płatnych dziewczek, wino i wyborne jado. I zbrojąc się dzięki mistrzom płatnerstwa i kupcom ze stolicy. Tak, jest tylko jedna rzecz gorsza niż niespłacony wierzyciel – wierzyciel częściowo spłacony.

Druga część zobowiązań wciąż pozostawała po stronie cesarstwa. Wojna z Seldżukami przed siedmiu laty, następujące po niej konflikty zbrojne na Sycylii, w Bułgarii, a także liczne, choć mniej znaczące, podjazdy ze strony Pieczyngów i plemion Rusów, wciąż wymagały zaangażowania najemników. Roman Diogenes sponiewiał – już sama obecność de Bailleula uzmysławiała mu jego słabość. Słabość imperium. Dochody szły na utrzymanie fasady, jednak na solidne zaplecze brakowało już żywego złota. Były tylko chęci, obietnice i... długi.

Cesarz znajdował w tym jednak pocieszenie – bunty stłumione rękami Normanów w Bułgarii i Armenii sprawiły, że teraz te ziemie znów dostarczały wojennych kontyngentów. Teraz, dzięki nim oraz wsparciu odbudowanej piechoty temowej, *basileus* Diogenes mógł

przesunąć ciężar działań wojennych na własne siły. A zachodnich najemników odesłać do domu. Raz na zawsze, kończąc z błędami poprzednich władców.

Wciąż jednak pozostawała kwestia długów.

– Rousselu de Bailleul... Chciałbym, żebyś mi wyświadczył pewną drobną przysługę.

Rycerz skłonił się i spojrzał z zaciekawieniem w stronę tronu.

*Spodziewa się, że sypnę teraz złotem i obiecuję mu jeszcze więcej* – przemknęło przez myśl cesarzowi. – *Trudno, będzie rozczarowany.*

– Chcę, żebyś zdobył dla mnie Antiochię, Rousselu. Antiochię, która jest teraz w rękach naszych odwiecznych wrogów, Turków seldżuckich.

Najemnik ani mrugnął.

– Antiochia... – ciągnął z rozmarzeniem władca. – Złote miasto, od wieków należące do cesarstwa, przeszło sto lat temu ponownie odbite przez Nicefora Fokasa z rąk Saracenów... Jej utrata siedem lat temu to cena zwycięstwa pod Manzikert. Ale tak musiało być! Aby utrzymać dziki żywioł z dala od stolicy, należało umocnić twierdze na pograniczu i tam trwać. Lata spokoju pokazały, że to poświęcenie było słuszne.

Cesarz zamilkł na chwilę – w duszy czuł coś innego. Zdobycie Antiochii przez Seldżuków uznawał zawsze za swoją porażkę. Ale o tym nie mówił nikomu.

– Jak zapewne wiesz – kontynuował – dziś na pograniczu jest wielce niespokojnie. Sułtan Malik Szach, od lat wraz ze swymi dzikimi wojownikami pustoszący Syrię, teraz ruszył na Palestynę, wypierając dotychczasowych zarządców tej ziemi – Fatymidów. Jako że Fatymidzi są naszymi stronnikami i wiernymi sojusznikami, zaś do chrześcijan mieli stosunek przyjazny, winniśmy zrobić z tym porządek. Tym bardziej że Seldżuk kpi sobie z wiary Chrystusowej i nie zna litości dla jej wiernych wyznawców. Malik Szach zniszczył te ziemie, zaś jego niepowstrzymana żądza krwi i złota nie pozwala poprzestać mu tylko na tym. Nie tylko złupi Grób Pański, jeżeli jeszcze tego nie zrobił, ale także zamierza iść na Konstantynopol. Twierdz w Armenii nie przejdzie, jednak będzie łupił pogranicze, wprowadzając niepokój, siejąc zniszczenie i łzy. Jako cesarz imperium nie mogę do tego dopuścić. Dlatego chcę, żebyś wraz ze swoimi ludźmi zdobył dla mnie Antiochię.

De Bailleul w milczeniu skłonił się, skrywając przed oczami władcy zdziwione i zniecierpliwione ściągnięcie brwi.

*Wojna to moje powołanie i rzemiosło* – myślał. – *Jak jednak zamierzasz, cesarzu, rozwiązać kwestię niespłaconych dotąd należności? Nie jestem twym poddanym, nie muszę więc słuchać twych rozkazów. Za to chętnie posłucham twego złota.*

Basileus obrócił na niego srogie oblicze. Wbił wzrok w szare oczy Normana, jednak rycerz ani drgnął. Jego twarz była niczym skała – surowo ciosana, bez najmniejszego gestu. Czekał, hardo znosząc spojrzenie cesarza, w końcu jednak, przez należyty szacunek, znów opuścił głowę.

Władca mówił dalej:

– Autokrator nawet największego mocarstwa byłby głupcem, gdyby w takiej chwili lekce sobie ważył wpływ pieniądza na lojalność. I wpływ braku tegoż na brak oddania. Wiedz zatem, że jako stary żołnierz i generał wiem coś o szczególnych właściwościach złota, gdy chodzi o morale wojska. Dlatego też moja propozycja – a wierzę, że jej nie odrzucisz – brzmi następująco: dotychczasowe należności zostaną wyrównane. Już wydałem dyspozycję moim logotetom, by przygotowali dla ciebie, jak również dla twych ludzi, należną kwotę w złocie wraz ze stosowną rekompensatą za zaległy czas. Myślę, że tym samym nasze wzajemne zobowiązania możemy uznać za niebyłe. I tym samym zaczynamy od podstaw. Zaczynamy nową erę w dziejach. Antiochia! Zdobędziesz dla mnie Antiochię – twój nowy cel i nagrodę zarazem. To bogate miasto, więc wszystko, co w nim znajdziesz, będzie twoje. Do pomocy dam ci niezbędne wsparcie – bądź co bądź jest to twierdza otoczona murami. Jednak moje oddziały nie będą uczestniczyły w podziale zdobyczy. Ile będzie wsparcia z naszej strony, o tym jeszcze zadecydują taktycy, jednak możesz być pewien, że otrzymasz niezbędne siły. Potem dam ci trzy dni od zdobycia Antiochii. Przez ten czas korzystaj do woli, a później rządy nad miastem obejmę ja, *basileus Rhomaiôn*, najpierw przez moją gwardię wareską, a później osobiście. Myślę, że to więcej niż uczciwa propozycja, rzadko się bowiem zdarza, by władca oddawał w całości łupy swoim najemnikom.

Cesarz spojrział pytająco na rycerza. Roussel de Bailleul wciągnął ze świstem powietrze do płuc i potoczył wzrokiem po zebranych w sali.

– Zaiste to wspaniała propozycja, za którą z całego serca dziękuję, cesarzu. Antiochia to zasobne miasto, zaiste słynne ze swych złotych wież i bogactw zgromadzonych przez seldżuckich najeźdźców. Jednak zezwól, panie, że wyrażę swoje wątpliwości.

– Mów, Rousselu.

– Otóż moi rycerze, tłumiąc bunty w Bułgarii i walcząc z Pieczyngami, zostali zdziesiątkowani. Brak mi sił, by podjąć tak poważną wyprawę. Jak sam rzekłeś, panie, jest to warownia, twierdza, której nie zdobędzie garstka nawet najmężniejszych żołnierzy.

– Toteż powiadam: otrzymasz wsparcie. Oddziały Armeńczyków oraz doborowe siły cesarstwa. Oraz naszą cudowną broń, przed którą najeźdźcy ze stepów zawsze odczuwali przemożny strach. Ogień grecki. Na to nie ma mocnych.

– Dziękuję, panie. Ale pragnąłbym mieć osobisty wpływ na to, kto stoi przy moim boku.

Roman IV skrzywił się.

– Czyżbyś nie ufał moim najlepszym żołnierzom? Czyżbyś powątpiewał w ich odwagę, siłę i wyszkolenie? Czyżbyś wątpił, że nasza broń zalewająca przeciwników ogniem płomieni i ogniem paniki, nasza broń, przed którą w strachu uchodzą nawet najdzielniejsi z armii Saracenów... – wyrzucił *basileus* na jednym wydechu i urwał, by zaczerpnąć powietrza. – Czyżbyś chciał powiedzieć, że ten geniusz myśli greckiego inżyniera, Kalinnikosa, nie jest dla ciebie i twych rycerzy należywym wsparciem w walce z dzikusami, którzy mają jeno łuki i skórzane zbroje?

Najemnik zmilczał. Ponuro łypiąc na boki, unikał wzroku cesarza.

– Dobrze – rzekł ten po chwili milczenia. – A zatem najważniejszą kwestię już rozstrzygnęliśmy.

W tej chwili do sali cicho wślizgnął się jeden z logotetów. Sunąc wzdłuż ściany, dotarł do półkolistego postumentu, na którym stał cesarski tron. Padł na twarz.

Diogenes niecierpliwym gestem kazał mu powstać. Urzędnik poderwał się w górę, jednak nie miał śmiałości, by wnieść głowę powyżej ramion. Wreszcie podszedł do boku tronu i szeptem przekazał wiadomość.

Cesarz pokiwał głową. Spojrzał surowo na de Bailleula i rzekł:

– I oto już czeka na ciebie i twych ludzi obiecane złoto. Wszelkie należności, jakie jest ci winne cesarstwo. Jednak, mając na względzie ogrom zadań, jakie się przed tobą znalazły, zarządzam, by pieniądź pozostał w depozycie aż do waszego powrotu z Antiochii. To ustrzeże was przed pokusami, przed zbytnią rozrzutnością, która oznaczałaby dla was utratę gotowości i ducha bojowego. Złoto pozostanie tu, w Konstantynopolu. Roussel podniósł hardo głowę i wykrzyknął:

– Jakże to tak?! Nie godzi się, nie taka była umowa! Te pieniądze są mi należne! Mi i moim ludziom! Czy tak postępuje władca imperium, które sięga najdalszych ziem na wschodzie i zachodzie?!

*Basileus* spurpurowiał. Powstał z tronu i dał znak gwardzistom. Trzech strażników doskoczyło do Normana. Na jego szyi zatrzymały się ostrza mieczy.

Roman IV długo patrzył na de Bailleula, zaś po jego obliczu sunęły burzowe chmury. Wreszcie trzasnęły ostre pioruny słów:

– Zapominasz, barbarzyńco, kto tu jest panem! Ja jestem panem! Ja, *basileus Rhomaiôn*, a tyś mi winien posłuszeństwo, najemniku. Za jego brak, za taką obrazę, winienesz oddać życie, jednak wiem, żeś ze znamienitego rodu... No i wciąż jesteś mi potrzebny, a ja jestem potrzebny tobie. Bo czemuż nie wracasz do Italii, czy skąd tam przywiodły cię wiatry i żądza złota? Czyż nie dlatego, że Konstantynopol jest ostatnim miejscem, w którym nikt nie patrzy na przeszłość twoją i twoich ludzi? Czy nie jest tak, że wracając do zachodnich królestw, musiałbyś oddać głowę katu jeszcze szybciej, niż ja bym cię wydał na śmierć? Chcesz – wracaj! Złota nie dostaniesz, nie dla ciebie skarby Antiochii. Co cię czeka w twojej ojczyźnie? Jeżeli masz jeszcze ojczyznę! Sycylię mieczem i krwią przywróciłem na łono cesarstwa. Boemund z Tarentu również był butny jak ty i za to spotkała go należyta kara. Jego śmierć nie będzie opiewana przez minstreli, bo nikt by nie chciał takiej śmierci. A jak zechcę, kto wie, może sięgnę i po Królestwo Italii należne cesarstwu jak żona mężowi. Przyszłoby mi to z łatwością. Germański król Henryk IV co prawda ukorzył się w Canossie przed rzymskim biskupem, jednak powiadają, że nie porzucił swoich rojeń o inwestyturze i cesarskiej koronie. Mówią, że chce powołać antypapieża czy antybiskupa rzymskiego, jak go tam zwać. Nie stawałby on w obronie Italii, widząc potęgę cesarstwa, o nie! Zatem czy może powrócisz,

drogi Rousselu, do swej pierwotnej ojczyzny daleko na północy, skąd przyszedł wasz wojowniczy i nieokrzesany naród? Tam jednak o złocie Syrii nie marzy nawet najznamienitszy król, a co dopiero zwykły najemnik?

Zapadła cisza. Cesarz chwilę jeszcze ciskał z oczu gromy na Normana, wreszcie opadł na tron. Pstryknięciem palców odesłał gwardię pałacową na miejsce pod ścianą sali. De Bailleul otarł twarz, poprawił pas i podniósł się. Nie przekroczył jednak granicy wyznaczonej przez protokół – głowa pozostawała poniżej ramion.

– A zresztą... – rzekł dobrotliwie Roman Diogenes. – Niech tam będzie! Chcecie przepuścić złoto w tawernach na wino i insze uciechy – to nie moja rzecz. W końcu czeka was bój, więc zabawa jest wam należna, byle nie za dużo. Zatem rozkażę wydać logotetom... Hmm... Niech będzie szósta część waszego złota, jednak ten pieniądz musicie także przeznaczyć na ekwipunek wojenny. Myśl o Antiochii, Rousselu! Nie o tym złocie tutaj. Zaiste poeci i podróżnicy dużo mówią o tym bogatym mieście, skarby tam takie, że rychło zapomnisz o tych solidach, które będą na ciebie czekać w stolicy. A nawet więcej – z łaski cesarza obsypany złotem cudownego miasta w Syrii nie będziesz chciał tu nawet wrócić, w pogardzie machając ręką na to, co po zdobyciu miasta wyda ci się jeno jałmużną. Obiecuję ci więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Doceń to i bądź mi wierny.

Władca wykonał szeroki gest ręką, dając znak, że audiencja skończona. Po chwili pozostał sam, jeno w towarzystwie Italosa.

– Czy nie sądzisz, panie, że to było całkiem zbędne? – zapytał filozof. – Upokarzając de Bailleula, zaczynasz czynić sobie w nim wroga. Zechciej wysłuchać mej rady, cesarzu. Barbarzyńcy łatwiej niż *Romaioi* unoszą się dumą. Pustą dumą – ot, jak sam raczyłeś zauważyć, łacinnicy mają ten zwyczaj, że opiewają czyny rycerzy w pieśniach, wierszach, eposach. Jakby Bóg specjalnie dla nich cofnął piąte przykazanie. Wojnę oni uważają za zajęcie miłe Stwórcy, warte najwyższej ceny, godne szacunku i podziwu. Nie znają tedy pokory, a są butni w przekonaniu, że miecz w dłoni czyni ich apostołami wiary, honoru i wszelkich wartości, które stoją u podstaw chrześcijańskiej cywilizacji... Wobec powyższego upokarzanie rycerza, choćby i najemnika, to szukanie sobie wroga. Będzie teraz nasz Roussel mełł w złości myśli i słowa nienawiści do twojego majestatu i nie trzeba zbyt wiele, by obrócił się przeciwko tobie.

*Basileus* odpędził niedbałym gestem osę krążącą nad złotą paterą z owocami. Sięgnął po dorodną brzoskwinie i zatopił w niej usta. Przełknąwszy kęs, z niechęcią odrzucił resztkę do misy.

– Tak, tak. Znam Normanów i wiem równie dobrze, że dla nich najwięcej znaczy jeno blichtr i chwała. Za Roussela de Bailleul nie dałbym złamanego *nummi*. Gdyby nadarzyła się okazja, gdyby tylko dojrzał w tym jakieś doraźne korzyści, ten najemnik zdradziłby mnie chociażby z Seldżukami. Wiem też jednak, że chciwość jest w nim większa niż duma. Bo jak sam zauważyłeś, Italosie, jest to duma pusta, pozbawiona głębi.



– Niemniej... Złe czasy nastały i sojuszników, jeśli trzeba, należy szukać także wśród barbarzyńców. Nie jest to zbyt roztropne, by ich do siebie zrażać.

– Prawdę mówisz, mędrze, jednak tutaj mamy co innego. Roussel de Bailleul nie zdobędzie dla mnie Antiochii. Przekonany, że takie jest jego zadanie, nie dostrzeże swej prawdziwej powinności. On ma słać Seldżuków na pograniczu, przetrzebić dzicz ze stepów pustoszącą piękną Syrię i umrzeć. Umrzeć bohaterską śmiercią, żeby mogli go później opiewać w swych pieśniach minstrele. Jak dzielnego rycerza, bohatera, obrońcę chrześcijaństwa.

Italos zarechotał. Rzecz niepodobna do niego, ale jednak! Mierzwiąc brodę, rzekł:

– Zmyślny plan, panie. Ale skąd pewność, że to się powiedzie?

– Rzecz jasna, tego nie zaplanujemy w każdym szczególe. Chodzi jednak o to, żeby najemników posłać w bój bez szans. Uda im się przebić i zdobyć miasto – to dobrze, cesarstwo na tym tylko zyska. Wtedy dam im to, co obiecałem, niech mają swoje złoto Antiochii. Dostaną też następne zadanie – zdobycie Laodycei czy twierdzy Ma'arrat. Jeżeli padną pod Antiochią, to też dobrze. Oczyszczą przedpole, a my usuniemy intrygantów wołających: *Złota, złota, więcej złota!*

– Czyli jednak... Chcesz tak zrobić, panie?

– Tak. I to jeszcze nie koniec. Damy mu do pomocy doborowe oddziały...

Filozof ściągnął brwi ze zdziwienia.

– Myślałem, że to było jeno tak na zachętę...

– Owszem, na zachętę. Dostanie doborowe oddziały złożone z opryszków czekających w kazamatach na wyrok sądu. Z morderców, złodziei, uciekinierów z armii, fałszywych proroków, z całej ludzkiej szumowiny, która zatruwa życie Konstantynopola. Pozbędziemy się jej raz na zawsze, a przynajmniej na kilka lat. Damy broje, broń, błogosławieństwo patriarchy i niech ten pomiot rusza w drogę zdobywać Antiochię na chwałę cesarstwa. Zdołają przeżyć, to spłacą swój dług, a ich zbrodnie zostaną zapomniane. Ale jestem pewien, że będzie to ich ostatni bój. Fatymidzi nie posyłałoby posła, gdyby tę wojnę można było wygrać garstką obwiesiów.

Po chwili zastanowienia cesarz dodał:

– Na tym jednak nie koniec. Chcę, żeby na czele naszych wojsk stanął Aleksy Komnen.

– Aleksy Komnen? Mogę się domyślać, panie, twoich intencji, ale...

– Komnen roi o wielkich podbojach. Słyszałeś, co niedawno mówił, Italosie? Roi o cesarstwie jak za Justyniana. Dajmy mu tę szansę! Niech walczy i zdobywa! Niech ma wreszcie okazję porzucić dworskie sale na rzecz owianego kurzem pola boju. Niech słodkie owoce zamieni na gorzki smak krwi. Misę z jadem i nóż do odkrawania jagnięciny na tarczę i miecz, ku chwale imperium!

– Aleksy to niebezpieczny przeciwnik...

– Niebezpieczny. Dobry wódz, ma poparcie rodów, zręczny mówca. I marzy mu się tron.

Ja to wiem! Nie potrzebuję twoich wizji, by ocenić, że Komnen tak samo pożąda cesarskiej korony jak Michał Dukas. Może nawet jeszcze bardziej. Chodzi o to, żeby usunąć go z Konstantynopola. Usunąć na zawsze.

– A bunt? Pomyślałeś, panie, że zbrodniarze pod dowództwem Komnena, wraz z najemnikami upokorzonego de Bailleula, obrócą się przeciwko tobie? To duża pokusa, a porzuconych na pastwę seldżuckiego żywiołu może zjednoczyć wspólna nienawiść przeciwko tobie.

Cesarz zszedł z tronu i ruszył ku drzwiom. W przelocie rzucił jeszcze:

– Tuż za nimi będzie postępować cała armia cesarstwa. Waregowie, Bułgarzy, Rusowie, Armeńczycy i koloni w odwodzie. I ciężkozbrojna jazda *klibanophoroi*, moi najlepsi woje. A na ich czele ja. Buntownicy nie przejdą linii pogranicza. Antiochia albo śmierć.

## ROZDZIAŁ 14

Później mnisi odeszli, gasząc wszystkie pochodnie. Zapadły ciemności.

Leżał w nieprzeniknionej czerni tak długo, aż zatracił rachubę czasu. Minęło ćwierć dnia? Pół? Cały dzień? Tego nie wiedział. Starał się zasnąć, uciec na chwilę w inny wymiar, żeby w tym drugim świecie znaleźć chociaż kilka chwil ukojenia. Żeby ujść przed czarną beznadzieją. Leżał nieruchomo, osłaniając głowę rękami, w letargu, ale bez snu.

Szumiało mu w głowie. Nie mógł tego znieść.

– Heej! – krzyknął, ale słowa zaraz uwięzły w gardle. Głos stłumiła otaczająca go wata, jak bele ciemnego materiału ułożone jedna na drugiej, ciasno wokół prętów.

– Heej, jest tam kto...?! – ponowił próbę, ale wtedy nagle doszedł do głosu zmysł zagłuszany dotąd przez wzrok i słuch. Poczul czyjąś obecność, blisko, tuż obok prętów klatki.

Cofnął się do środka swojego żelaznego więzienia ogarnięty narastającą paniką.

Czuł obecność czegoś czy kogoś na wyciągnięcie ręki. Jakby ciemność wypełniająca jaskinię zgęstniała do konsystencji smoły, jakby z tej smoły wychynął wąż oplatający pręty klatki, jakby w cichości szykował się, by zadać cios zębami-puginałami pełnymi jadu.

– Odejdź... Odejdź... – szeptał Kalikst, zaciskając palce. – Odejdź.

Skoczył w przód i precyzyjnie ramiona między prętami klatki, zamierzył się pięścią w ciemność. Rozluźnił palce i rozczapierzywszy je, pochwycił skrytego w mroku przeciwnika.

Pochwycił powietrze. Nic.

Zrezygnowany opadł na kolana.

Nagle zakłuło go w oczy światło. Kolejna mara? Znow miraż w ciemności?

Nie, blask narastał. Przy wejściu do jaskini zalśnił płomień. Ogień pochodni.

A potem następne. Było ich coraz więcej, nagle skalną rozpadlinę wypełnił nierówny blask i chybottliwe cienie.

Czarny Mnich. Kilka kroków za nim w równym szeregu szło sześciu, nie, ośmiu czy dziesięciu braciszków. Każdy niósł płonąca żagiew. Pochód sunął w milczeniu w stronę porfirowego katafalku.

Mnich wstrzymał procesję i dał znak swoim pomocnikom. Ci natychmiast rozbiegli się po skalnych ścieżkach poprowadzonych tuż przy ścianach sali. Zaczęli zapalać pochodnie.

– Mój zacny panie Belzebubie, mija już tydzień, odkąd przyjąłeś mą gościnea, i najwyższy

czas, by naszą znajomość nieco pogłębić.

*Tydzień? Jak? Kiedy? Niemożliwe? Przecież... – łomotało się w głowie Kaliksta.*

Osowiały patrzył na dziwną procesję, zastanawiając się, co tym razem szykuje osobnik w czerni.

Zakonnik nie dał mu długo czekać. Postąpił kilka kroków w stronę drugiej klatki i przemówił:

– Zapewne zachodzisz w głowę, co w niej jest. Zapewne swój czas tutaj spędzałeś, snując domysły, co skryte jest pod zasłoną.

*Tak, owszem, tak było. I co z tego? Przeklęty, szalony dręczycielu w habicie, co z tego?!*

– Powiem ci. Powiem ci i zaraz pokażę. Jest tam ktoś tobie bardzo bliski. Ktoś bardzo ci znany. Ktoś, kto cię rozumie jak nikt inny...

*Zoe! Więc jednak...*

Czarny Mnich tylko się zaśmiał nieprzyjemnym, chrapliwym rechotem. Uniósł dłoń i skinął na pomocników. Płachta poszła w dół.

Kalikst dopadł prętów klatki. Zobaczył... Nie, to nie była Zoe.

Nie od razu zrozumiał. Nie od razu poznał tę postać w czarnym stroju saraceńskiego rozbójnika. Prawda docierała do niego powoli jak pugiła niespiesznie wbijany prosto w serce.

Zobaczył siebie.

Ten sam strój. Te same rysy twarzy. Te same włosy. Ten sam strach w oczach, który paraliżował jego serce. Zresztą nie tylko wygląd... Po prostu poczuł to. Poczuł, że ta stłamszona postać w drugiej klatce to był on.

*Jak to możliwe? I o co chodzi? Jak to ja? Przecież jestem tutaj. Skoro jestem tutaj, to nie mogę być tam. Nie miałem brata bliźniaka, więc to nie jest mój brat bliźniak. Więc kto? Co? O co? O co chodzi?*

Posępny braciszek znów wypełnił jaskinię swoim chrapliwym śmiechem.

Dwóch innych doskoczyło do kołowrotu. Zakręcili nim. Długie ramię z drewna okutego żelazem, przypominające żuraw studni, ruszyło z cichym westchnieniem w bok, przesuując się nad skalny pomost. Później uruchomili kolejny kołowrót, mniejszy, wypełniając pieczarę jękiem przesuwanego łańcuchów. Po chwili klatka z drugim Kalikstem, zgrzytając, opadła tuż obok kamiennego katafalku.

– Tak, to jesteś ty. Ty i nie ty zarazem. Twoje ciało, twoje spojrzenie przerażonych oczu. Twój głos, o czym jeszcze się przekonasz. Kalikst Belzebub, kropka w kropkę.

Mnich podszedł do krat i w milczeniu patrzył na swego więźnia. Nie odrywając odeń wzroku, rzekł:

– Bogomili. Paulicjanie. Ci wszyscy zatraceni manichejczycy... Myślą, że posiadli *gnosis*, że została im objawiona prawda o świecie, o dziele stworzenia, o Bogu najwyższym i naturze człowieka. Ich słowa są jak zatruty cieriń, nie tylko ranią, lecz także sączą jad do krwi.

Kalikst puścił te rozważania mimo uszu. Początkowo, w pierwszym odruchu, próbował złapać sens tego, co mówi zakonnik. Jednak roztrząsanie Bożych planów wobec człowieka pozostawiał filozofom i świętym mężom. I tak dość już się nasłuchał w Konstantynopolu rozmaitych głosicieli prawd objawionych czy nawet nieobjawionych, ale właśnie odkrytych przez natchnionych heretyków i namaszczonych szarlatanów. Ich słowa były rozrywką dla gawiedzi chętnie chłonącej opowieści o cudach. Z takim samym zaangażowaniem lud reagował na głosy kapłanów ciskających gromy na apostazje i wypaczenia.

Kazania Czarnego Mnicha nie mogły Belzebuba niczym zaskoczyć. Co innego jego dzieło...

Ten sam strój. Te same rysy twarzy. Te same włosy... Patrzył uważnie na swojego sobowtóra, próbując odgadnąć jego myśli. *Czy jest mną? – zastanawiał się. – Czy więc myśli o tym samym co ja? Czy czuje to co ja?*

Na te pytania nie było odpowiedzi. Na twarzy swojego odpowiednika dostrzegł krwawe zadrapanie. Sięgnął dłonią do policzka. Tak, identyczne – to jedna z tych ran odniesionych podczas walki z potworem w podziemiach. Ale co w duszy tamtego? Co było w jego myślach, w jego sercu?

Usiłował ściągnąć wzrokiem spojrzenie sobowtóra. Na nic. Tamten odwracał oczy, kryjąc się ze swoim strachem.

Strach! To czuł, ale co jeszcze?

– Bądź przeklęty! – krzyknął Kalikst, przerywając monolog mnicha. – Bądź przeklęty, demonie, dręczycielu w mnisim habicie!

*Może tak uda mi się ściągnąć uwagę mojego odpowiednika? Bliźniaka? Zwierciadlanego odbicia?*

Okrzyk przebrzmiał, nie wywołując żadnej reakcji. Mnich dalej perorował. Sobowtór w milczeniu, ze ściągniętą lekkiem twarzą patrzył na podłogę klatki.

– Bóg Ojciec kazał Satanaelowi obdarzyć człowieka mocą, jaką ów posiada. Mocą Demiurga. Jednak by ją osiąść, istota ludzka musi wykonać pewien wysiłek duchowy. Ta moc może być ukryta w każdym, jednak nie każdy dostąpi prawa jej wykorzystania. Satanael stworzył na polecenie Ojca istotę nie tylko z iskrą Boskości, ale z wielkim ogniem Boskości. Jak więc rozpalić ten ogień w człowieku? To mogą jedynie uduchowieni *pneumatikos*, reszta pozostanie w niewiedzy i potępieniu. Ja, tworząc ciebie niczym Demiurg, już posiadam część owej mocy, ale to jeno początek tego, co może jeszcze mi być dane.

Belzebub nie słuchał zakonnika. Zamiast tego krzyknął:

– Kalikst! Jesteś mną? Kim jesteś?

Tamten zakręcił się niespokojnie, rzucając na boki spłoszone spojrzenia. Słyszał! Ale nie wiedział, skąd dochodzi głos. Nie widział pierwszej klatki? Spoglądał zdziwiony na braciszków, na Czarnego Mnicha, na ściany jaskini, jednak nie napotkał wzrokiem współwzięnia.

– Tu jestem! W klatce zawieszony nad przepaścią! Słyszysz mnie?! Jestem tutaj!

Ignorując wołanie Kaliksta, mnich ciągnął dalej:

– To się jednak nie spodobało wyrodnemu, drugiemu synowi Boga Ojca. Zwany przez manichejczyków Logosem, przez innych zwany *Christos*, zazdrosny o władzę, jaką posiadał Satanael, przyszedł, niosąc kłamstwa, mając spokojny lud, podając się za jego króla. *Christos* jest przebiegły: głosi posłuszeństwo swojemu Ojcu, jednak przynosi prawa, które przeczą temu, co dał Satanael. Zazdrosny o Jego władzę, zazdrosny o Boskość, która tkwi w każdej istocie człowieka. Jednak nadchodzi oto dzień, w którym *Christos* zostanie strącony za swe grzechy do królestwa Baal Zebula, Beliala i Lucyfera, których Satanael wyznaczył na strażników piekieł, gdzie cierpią grzesznicy. I ty też będziesz miał w tym swój udział, mój drogi Kalikście.

Skinął na braciszków. Gi podeszli do klatki sobowtóra i jęli manipulować u jej podstawy. Nagle górna część żelaznego więzienia odsunęła się w górę jak wieko szkatułki. Wywlekli zubożnianego więźnia i pociągnęli go w stronę katafalku. Przywiązali linami za ramiona do różowego kamienia.

– Złodziej Kalikst Belzebub. Zręczne dłonie, twoje narzędzie pracy. Nimi wykradasz sakiewki bogatym mieszczanom. Nimi z maestrią manipulujesz wytrychami, na przykład po to, by skraść przedmiot należący do zamorskiego kupca, który zawinął swym statkiem do portu nad Złotym Rogiem. Nimi szyjesz z łuku, przeganiając drobne demony z drzew i łąk. Bez nich nie poradziłbyś sobie.

Mówiąc: *wykradasz sakiewki*, mnich wyciągnął rękę do jednego ze swoich pomocników. Ten podał mu duży katowski topór. Gdy padły słowa: *do portu nad Złotym Rogiem*, demoniczny zakonnik podszedł do porfirowego katafalku.

Skończywszy przemowę, wziął zamach i dwoma pewnymi ciosami odrąbał sobowtórowi Kaliksta dłonie tuż ponad nadgarstkami.

Okaleczony więzień zawył rozdzierająco i runął w tył, waląc głową o kamień. Z ran buchnęła krew, która w świetle pochodni miała kolor smoły. Zaraz doskoczyło dwóch braciszków. Gorejącymi pochodniami jęli przypalać nieszczęśnikowi rany. Krzyk narastał, rozbijając się o sklepienie groty. Z góry sypnęło pyłem i skalnymi drobinami.

– Mogę tworzyć. Mogę dawać i mogę odbierać. Jestem Demiurgiem z Boskim ogniem, więc co teraz stworzyłem, odbiorę.

Belzebub odruchowo złapał się za przedramiona. Chciał krzyżeć, jednak fala strachu i obrzydzenia odebrała mu dech. Patrzył, jak Czarny Mnich sięga po odrąbane dłonie i ujmując je za kciuki, unosi w górę.

– Oto i marność ludzka. Oto siła i moc Demiurga, który może tworzyć i może niszczyć. Odbierać swoje dary jak ten dar zręcznych palców. Poznaj, co to marność.

Kalikst opanował mdłości i wycedził:

– Jesteś opętany, mnichu! Opętał cię demon i wiedz, że gdybym miał przy sobie swój łuk,

swoje ostrza, swoje strzałki, jakkolwiek ze swoich broni, zadałbym ci ból o wiele bardziej okrutny i przyniósł śmierć, bo na nic więcej nie zasłużyłeś.

Zakonnik spojrział na niego z rozpromienioną twarzą. Co znaczyło – mroczny cień pod jego kapturem poruszył się i przybrał jeszcze ciemniejszą barwę.

– Wyśmienicie! Jestem zachwycony! – rechotał chrapliwie. – Jesteś istny Belzebub, mój drogi panie. Po raz kolejny przekonujesz mnie, że moje domysły co do twojej osoby są słuszne. Tak, masz talent! Masz dar, Kalikście!

Sobowtór szamotał się przypalany pochodniami, po czym opadł bez sił na katafalk. Braciszkiwie ściągnęli go z powrotem do klatki. Opuścili pręty i na powrót zakryli je płachtą.

Ozwało się skrzywienie kołowrotów. Klatka powędrowała na swoje miejsce nad przepaścią.

Mnich dał znak i ruszył w stronę wyjścia. Trupi zakonnicy za nim, gasząc przy tym pochodnie.

Wkrótce zapadł mrok. Zostali sami. Kalikst Belzebub i jego bliźniak.

\* \* \*

– I wiedz, drogi panie, że zostałem okradziony.

– Okradziony?

– Tak! – Rodrigo Luigi, genueński kupiec, uniósł się złością, aż rozchlapał wino z pucharu. Długimi, zdobnymi w pierścienie palcami przypominającymi odnóża pająka jął strząsać krople trunku z wykończonego jedwabiem kubraka. Gestem zniecierpliwienia odprawił nadbiegającego sługę.

– Otóż – ciągnął – wyobraź sobie, drogi mój panie, że w stolicy waszego imperium, w Konstantynopolu, w całkiem niewyjaśnionych jak dotąd okolicznościach został mi skradziony niezwykle ważki dokument. Oraz pierścień. Pergamin, rozumiesz, to glejt przyznany przez seldżuckiego sułtana. Stało w nim, że ja, Rodrigo Luigi, jestem przyjacielem Seldżuków i mogę swobodnie podróżować między wszystkimi portami Lewantu a Zachodem. Jak wiesz, panie, na śródziemnych morzach od lat grasują tureccy piraci. Oficjalnie nie usłyszysz o nich słowa, żeby mieli działać w imieniu czy za pozwoleniem swojego sułtana. Jednak tak właśnie jest – te niesubordynowane bandy, podróżujące na kryptach skradzionych uczciwym kupcom, stanowią w istocie jeszcze jedną siłę w armii Seldżuków. Atakują Genuńczyków, Wenecjan, atakują Fatymidów, wszelkich innych Bogu ducha winnych ludzi interesu, którym przyszło na myśl – weźmy – odbyć podróż z Trypolisu do Miletu czy z Aleksandrii do Bari. Łupią towary, rzezają mieszkcy i mordują załogę, uchodząc z imieniem Allaha w siną dal.

Michał Dukas z wysiłkiem oderwał wzrok od perskiego czekana o długim, zdobionym żelaznymi okuciami stylisku. Broń zawieszona u pasa rosłego Turka zdawała się pulsować wewnętrzną magią, jakby ornament na żeleźcu żył i nieustannie zmieniał swój kształt.

*To złudzenie, nie może być przecie...* – pomyślał z niepokojem Michał, po czym by

przykryć swe zmieszanie, rzekł:

– Powiadasz więc, panie, że działają na zlecenie sułtana? Że stanowią cichą siłę w jego armii?

– Nie powiadam, że na zlecenie, ale przy jego pozwoleniu. Z punktu widzenia sułtana jest to różnica niezwykle istotna. Nikt nie jest bowiem w stanie oskarżyć go o wspieranie rozbójnictwa czy czyny zbrojne podejmowane przeciwko sojusznikom. O ile jeszcze można powiedzieć, że takowych Malik Szach posiada. Jednak z punktu widzenia nas, kupców, to żadna różnica, bo piraci i korsarze łupią nas równo, nie patrząc na politykę i wszelkie inne układy. Weź, zacny panie, takiego Tzachasa. Ten śmiały rozbójnik już dziś trzyma we władzy całe Morze Egejskie, ba, nawet nic sobie nie robiąc z cesarskiej władzy, sprawuje swe rządy w Smyrnie, jakby to miasto do niego należało. Powiadam ci, on, jak go nikt nie powstrzyma, pójdzie jeszcze dalej, śmiało łupiąc a choćby i Konstantynopol...

– A glejt? – przypomniał Dukas, gdy kupiec zamyślił się wpatrzony w resztki wina na dnie kielicha.

– Glejt spisany ręką samego sułtana Malik Szacha? Glejt, jak powiadam, został mi skradziony. Wraz z pierścieniem, który sułtan dał mi dla podkreślenia wagi dokumentu. To było wielce rzadkie precjozum, które wcześniej nosił na swym palcu ojciec Malik Szacha, Alp Arslan, a przedtem i jego ojciec. Rzecz cenna i rodowa.

– I powiadasz, panie, że ten cenny pierścień przekazywany z ojca na syna w rodzie seldżuckich sułtanów trafił był do twych rąk? – zapytał, nie kryjąc powątpiewania, Michał i w myślach dodał: *Pewnikiem tania błyskotka od przekupnia z Damaszku, bo cóżby innego? Takich pierścieni rodowych możesz mieć na pęczki w każdym mieście portowym. Ot, chociażby tu, w Selucji, nie mówiąc już o Konstantynopolu.*

– A i owszem, powiadam! – Rodrigo Luigi spojrział bystro na Dukasa, jakby posłyszał jego myśli. – Pierścień z glejtem ukryte były na mym statku. O, tym tam, widać maszty, jak się dobrze wychylisz z tarasu. W tajemnym schowku, tylko ja o nim wiedziałem. Cieśla, który wykonał go dla mnie na specjalne zamówienie, jest już tam, w tym lepszym świecie. Trochę mu pornogłem się tam dostać, nie kryję tego. A jednak podczas mego ostatniego pobytu w Konstantynopolu szkatułka zawierająca glejt i pierścień zniknęła. Co więcej, złoto i wszelkie inne dobra zabieram ze sobą na łód, ile razy przybiję do portu, trzymając je pod dobrą ochroną. To jednak nie zmyliło złodzieja – musiał wiedzieć. Skąd? Jakim cudem?

Michał nie miał gotowej odpowiedzi na to pytanie. Chciał zresztą mówić z genuęńczykiem o czym innym. O sprawach polityki, o rzeczach wagi imperialnej, jak to sobie w myślach określał, zaś kupiec zadawał mu pytania w gruncie rzeczy całkowicie nieistotne. Jednak musiał pozyskać go dla swej sprawy, więc rzekł:

– Uzurpator Diogenes dobry jest może, gdy ma pod sobą oddziały wojów na polu walki, ale władanie cesarstwem... To już zupełnie inna sprawa. Nasz ród, ród Dukasów, wie, jak rządzić państwem. Wie, jak zapewnić, by kupcy na morzu czuli się bezpiecznie, wie, jak



karać złodziejasków i bandytów grabiących uczciwych ludzi z ich własności. Gildia złodziei, rozumiesz? Diogenes dopuścił, by pod jego bokiem kwitła tajna organizacja bandytów, zorganizowana niczym wojsko albo jakaś sekta. Robią, co chcą – kradną, rabują, mordują. Są wszędzie, mają wpływy, posiadłości, bogactwa. Diogenes nie potrafi temu zapobiec. Nie potrafi sprawować władzy. Ja mogę ci, panie, jedno zapewnić: gdy zasiądę na tronie w Konstantynopolu, w pierwszej kolejności zabiorę się za złodziejasków, opryszków i całą tę ich organizację, gildię, bandę, jak zwal.

– Ale skąd wiedział? Ten złodziej. Skrytka była tak przemyślnie zbudowana...

– Może byłeś szpiegowany, panie. Powiadam, uzurpator zupełnie nie pilnuje miasta i państwa przed złodziejstwem i bandytami. Możesz się jednak przyczynić do tego, by zmienić obecny stan rzeczy. By przywrócić na tron ród prawowitych władców. Ja mogę ci jedno zagwarantować: złodziei wydam na tortury, szpiegów powbijam na pal, a państwo zbuduję od nowa. To będzie Czwarte Cesarstwo!

– Czwarte? Dlaczego czwarte?

– Pierwsze narodziło się za Konstantyna, który zbudował Nowy Rzym, Konstantynopol, na miejscu dawnego miasta Greków *Bysantion*, a trwało aż do czasów dynastii Justyniana, gdy ziemie naszego imperium sięgały po krańce cywilizowanego świata. Konstantynopol był wtedy jego stolicą, a na ulicach miasta mogłeś usłyszeć wszystkie siedemdziesiąt dwa języki, jakimi władali ludzie. Drugie było za Herakliusza, który barbarzyńską łacinę zastąpił na zawsze mową grecką, a także za jego następców, którzy dbali o to, by imperium Justyniana utrzymać w potęgze, na ile to możliwe. A nie mieli łatwego zadania. Wrogowie, posługując się zdradą, przekupstwem i herezją, odebrali najdalsze terytoria, jednak cesarstwo jako takie zachowało swą wewnętrzną siłę. No a trzecie – to już lata, gdy do panowania Bóg wyznaczył dynastię Dukasów w osobie mojego ojca Konstantyna. Niestety, podstępny uzurpator pozbawił ród ciągłości władzy, ukraść insygnia *basileusa*, a teraz ciągnie imperium ku upadkowi. Herezje, złodziejstwo, bandytyzm, a na traktach demony wypruwające wnętrzności ze statecznych kupców. Zatem moje zapewnienie masz. Jako cesarz zrobię z tym porządek.

– Wiesz, czego oczekuję w zamian? – Luigi jął obracać jeden z pierścieni zdobiących jego palce. Jakby chciał podkreślić: *Musisz się bardzo starać, panie, bym więcej nie stracił ani jednego z nich. Bym nie stracił nic, handlując między Lewantem a Zachodem.*

Michał Dukas zachichotał nerwowo. Nie był pewien, co znaczył gest Italczyka – w gruncie rzeczy odruchowy i całkowicie bez znaczenia, ale wyobraźnia podpowiadała co innego.

– Wy, Genuieńczycy i Wenecjanie, najlepiej znacie się na handlu. *Romaioi*, pomyślałby kto, to naród urodzonych kupców, jednak w istocie, muszę z żalem to przyznać, wyście prześcignęli nas w tym fachu. Głupotą z mojej strony byłoby nie doceniać tych talentów. Wiem, że wasze zdolności mogą przysłużyć się cesarstwu, zatem owszem... Przywileje. Tak.

– W Konstantynopolu. I w trzydziestu miastach portowych, gdzie sięga władza imperium.

Z całkowitym zwolnieniem od ceł – rzeczowo rzucił Rodrigo.

– Będzie, jak mówisz.

Tu rozmowa zesłała już na temat, który bardziej interesował Dukasa. Genuńczyk był tym człowiekiem, którego musiał dla siebie pozyskać. Italczyk miał niepośledni zmysł do handlu i – co ważniejsze – jego wpływy wykraczały dalece poza kupiecką domenę. Kontrolował nie tylko sprawy związane z obrotem towarami między Lewantem a Zachodem, nie tylko czerpał z tego zyski po drodze, w Konstantynopolu. Bardziej istotna była jego potęga militarna. Luigi dysponował całkiem sporą armią najemników, którzy chronili transporty w drodze przez morza, a także – a może przede wszystkim – stanowili element przetargowy w sporach, gdzie słowo i dyplomacja nie miały już znaczenia. Potrafił szybko uderzyć, z zaskoczenia, zanim przeciwnik zdąży się otrząsnąć. W ten sposób trzymał w szachu piratów, szajki bandytów, nawet wojów pomniejszych watażków na obrzeżach cesarstwa. Z tej ochrony korzystała nie tylko Genua, ale także ludzie interesu z innych miast Italii. Wenecja i Piza uznały nieformalny prymat Luigiego na ziemiach i morzach od Hiszpanii aż do Syrii. *Król Konstantynopola* – tak o nim mówili, uważając go za władcę drugiego po cesarzu. Tym bardziej że kupiec rozgrywał swoją partię z rozsądkiem taktyka kierującego armią zdobywców. Za swój prymat, co niezwykle, nie oczekiwał żadnych trybutów, wiedząc lepiej niż ktokolwiek inny, że nie ma lepszej drogi, by zrazić do siebie kupców, jak odbierać im część z trudem wypracowanego zarobku. Zadowalał się więc samym tylko zakulisowym rządzeniem. Tym, że to właśnie on mógł zadecydować, z kim zostanie zawarty kontrakt, a czyj towar szczególnie w składach i magazynach, chyba że właściciel w porę zgodzi się go sprzedać poniżej kosztów. Tym, że stanowił zbrojną siłę, cichą i uśpioną. Uśpioną do czasu, aż potrzebne będzie szybkie rozstrzygnięcie.

Ta chwila właśnie nadeszła, jak wierzył Michał Dukas. Nadszedł czas na szybkie rozstrzygnięcie, które pozwoli pozbyć się uzurpatora. Gdy tylko Diogenes opuści stolicę, do akcji wejdą najemnicy Luigiego oraz jego polityczni stronnicy z Wenecji i Pizy. Niezauważalna siła, która zapewni powrót na tron prawowitej dynastii.

Italczyk perorował:

– No i jeszcze jedno! Prawo osiedlania się w Konstantynopolu. To oburzające, że obecny cesarz majątnych, szanowanych, uczciwych kupców trzyma na odległość, w Galacie. To potwarz dla nas, a dla miasta wielka strata. Gdy kupcy z Genui, z Wenecji, z Pizy będą mogli budować domy w mieście, to Konstantynopol tylko na tym zyska. Czyżby Roman Diogenes bał się nas? Jakbyśmy nie byli ludźmi, lecz dzikimi stworami, rogatymi stworzeniami plującymi ogniem! No powiedzże, drogi mój panie, czy ja wyglądam jak jakoweś monstrum? Czy ja gryzę i kopię? Mam dziewięć łbów, co odrastają, gdy je uciąć, jak hydra lernejska?

– Nie, panie. I zgadzam się z tobą całkowicie. Zakaz wprowadzony przez uzurpatora jest całkiem niezrozumiały i pozbawiony sensu.

– A zatem... – Rodrigo Luigi sięgnął do stolika, gdzie trzymał rozmaite zwoje –

...zechciej, panie, podpisać ten dokument.

– Dokument? Jakiego rodzaju? – zbystrzał nagle Michał.

– Rodzaj umowy wstępnej. Zapewnienie, że dasz mi przywileje, gdy pomogę ci usunąć z tronu Romana Diogenesa, udostępniając ci moją flotę, najemników i polityczne poparcie. Wiem, wiem, wiem! Takie umowy w zasadzie nic nie znaczą. Możesz równie dobrze wysłać przeciwko mnie swoją najlepszą gwardię, gdy tylko odzyskasz kontrolę nad imperium. Możesz się nie liczyć z tym, co tu ustalamy, i kazać mnie zamordować. Dokument oddam w pieczę moim synom w Italii. W razie zerwania umowy będą w moim imieniu wołać o sprawiedliwość. Mając za stronników – tu już popuszczam wodze fantazji – potomków Diogenesa czy patriarchów waszego Kościoła, którzy mogliby odmówić ci swojego wsparcia duchowego. Nie przyznając się do tego, oczywiście, pełnym głosem, w cichości ducha i w cichości swoich bazylik podtrzymując jednak niechęć do władcy, który posiadał tron przy pomocy kłamstw.

Michał ściągnął gniewnie brwi. Zdecydowanie nie docenił Italczyka, choć przecież powinien być gotów na wszystko.

– Chcesz powiedzieć, panie, że nie ufasz przyszłemu cesarzowi? Zamierzasz nazwać go kłamcą? Sugerujesz, że opracowałem jakieś taktyki, które mają sprawić, że utracisz swoją pozycję i majątek?

– To taki kupiecki nawyk, którego mimo szczerych chęci nie udaje mi się wyzbyć. Nie wyciągałbym z tego dalekich wniosków. Po prostu ten dokument pozwoli mi zawsze zachować pamięć o tym, komu jestem winien lojalność.

Dukas długo milczał. Wreszcie z nieskrywanym ociąganiem sięgnął po zwój.

## ROZDZIAŁ 15

To był odruch, którego Metody nijak nie potrafił kontrolować. Nawet gdy nie szedł kraść, w jego głowie rysowała się szczegółowa mapa. Mapa sakiewek, woreczków z solidami, pierścieni noszonych na palcach, pierścieni skrywanych, zazwyczaj nieudolnie, gdzieś pod tuniką – razem z innymi dobrami, których można obywatel nie chciał wystawiać na widok miejskich opryszków. Mapa solidów zaszytych w skrajach szat, wreszcie mapa wszelakich towarów wyłożonych na kramach, straganach, nanizanych przez przekupniów na sznury, wystawionych w przenośnych witrynkach, ukrytych w szkatułach. Mapa zaskakiwała swą precyzją: były na niej zaznaczone nawet rzeczy tak mało wartościowe jak ryby świeżo złowione w Morzu Marmara, jak dzbany z winem przywiezionym z Rodos lub Krety, jak bochny chleba wypiekanego o świcie z egipskiej mąki.

Teraz też przed oczami Karła rysował się ten plan: wszystko na wysokości jego wzroku, cztery stopy od ziemi, jednak w tej chwili nie był to obraz, którego pożądał. Szczególnie nie w tej chwili.

Człowiek, który wyszedł z rezydencji mistrza Atanazego, zręcznie przemykał między tłumami wypełniającymi ulice Konstantynopola. Spojrzyłbyś i rzekł: *Jeszcze jeden mieszkaniec miasta spieszący do swych obowiązków, kluczący między straganami, wozakami, miejskimi strażami.* Jego biała szata, tunika obszyta na brzegach stębnowaniem w kolorze owocu granatu, nijak nie wyróżniała go z ciżby. Metody musiał zdrowo przebierać nogami: człek, którego miał śledzić, coraz ginął wśród gawiedzi.

Więc karzeł z wysiłkiem startł sprzed oczu mapę oczekujących go łupów, zastępując ją szkicem szlaków, jakimi musiał iść tamten. Rezydencja Atanazego – otoczony ogrodem, nieco zapuszczony budynek z białego kamienia – mieściła się za murem Konstantyna, nieopodal Bramy Świętej Teodozji i blisko brzegów Złotego Rogu. Stamtąd tajemniczy nieznajomy ruszył w stronę Fanarionu, a więc w kierunku przeciwnym do centrum i zupełnie innym niż ten, z którego przybył. Nie doszedł jednak tam, dokąd pozornie zmierzał – w pół drogi odbił na zachód, ku alei Mese. Później nie zbacał już z drogi, jednak tłumy sunące aleją pozwalały mu skryć się tak, że niewprawne oko rychło straciłoby trop.

To oczywiście nie dotyczyło Metodego. Karzeł miał wprawę w szpiegowaniu, choć jego wzrost nie pod każdym względem był dlań atutem. Był nim wtedy, gdy należało szybko się

ukryć – jemu wystarczył wóz, ledwie czterostopowy mur, kram z rybami lub krzew. Mógł też wmieszać się w gromadę uliczników, bosonogich dzieci spędzających całe dni na ulicach miasta. Ale jak nie zmieszasz oliwy z wodą, tak i on nie na długo potrafił roztopić się w tłumie – bo jego wzrost, przy twarzy, na której znać blisko czterdzieści lat życia w cieniu murów Konstantynopola, wyróżniał go spośród gawiedzi, w sposób niezamierzony czyniąc dziwowiskiem. Śledzony mógł rychło zwrócić uwagę na fakt, że krok w krok postępuje za nim osobnik nikczemnej postury, o gębie naznaczonej krzywym, wręcz bezkształtnym nosem – widowym znakiem niejednego mordobicia, o uważnych, świdrujących oczkach. Toteż w innych przypadkach, gdy szło o rzeczy mniejszej wagi, Metody wysługiwał się siatką własnych pomocników, drobnych opryszków spoza gildii, wiernych tylko pieniądzwowi. Wyśledzić kupca, z kim rozmawia w porcie i jakie towary zamierza przetransportować do swojego magazynu – niech idzie Manuel Zdechlec, moczymorda z portowej tawerny, który nigdy nie tracił nadziei, że biorąc zlecenia karła, przybliży się do dnia, w którym przyjmą go do gildii. Obserwować przez dwa dni ruch wokół domostwa jubilera Daniela oczekującego na dostawę drogocennych kamieni? Niech pilnują go Szczepan Czarne Zęby i Maurycjusz Syryjczyk, dwa obwiesie spędzające całe dni pod hipodromem, gdzie zawsze dzieje się coś ciekawego. Ci nie mieli żadnych ambicji, ale chętnie nadstawiali łapska, by zarobić parę *nummi*.

Teraz jednak sprawa była nieco bardziej delikatna. Szpiegowanie, kto i kiedy wchodził do rezydencji Atanazego lub wychodził z niej, nie mogło być powierzone pierwszemu z brzegu hultajowi z portu. Tu już rozgrywała się polityka na wyższym poziomie, nie chodziło o doraźny zarobek, lecz o sprawy wagi wręcz imperialnej.

Metody szedł więc za posłańcem w białej tunice, wkładając w to pełnię swoich sił. Zwalczył pokusę eksplorowania mapy łupów, teraz jednak musiał zadbać o to, żeby tamten go nie wypatrzył. I żeby nie zniknął w tłumie.

Człowiek od Atanazego najwyraźniej musiał dostrzec karła. Lub był nadzwyczajnie przezorny. Tam, gdzie Mese rozdzielała się na dwie odnogi, z których jedna biegła ku Złotej Bramie, zaś druga – w stronę Forum Konstantyna i dalej do dzielnicy *Chalkopratea*, posłaniec wbiegł w najgęstszy tłum i roztrącając przechodniów, zboczył z alei w jedną z ulic prowadzących w stronę akweduktu. To nie miało sensu – w ten sposób zawracał tam, skąd przyszedł, czyniąc wielkie koło po centrum miasta. Jednak Metodego te sztuczki nie zwiodły. Zaprzestał śledzenia – szeroką ulicę gdzieniegdzie tylko ocieniały pojedyncze drzewa i ruch był tu nieco mniejszy. Nie szło szpiegować, gdy widać człowieka jak małża na blasze.

Karzeł ruszył inną drogą: wiedział, że nieznamy przy akwedukcie musi skrócić w lewo albo w prawo. Metody szybko ocenił sytuację – człek w białej tunice musiałby mieć naprawdę wiele do ukrycia, jeżeli zamierzał dalej kluczyć. *W lewo* – zdecydował pokurcz i dziarsko pomaszerował w stronę Forum Teodozjusza. W połowie drogi, na szczycie szerokich schodów z marmuru, przystanął i schował się w cieniu niewielkiego łuku triumfalnego.

Dobrze odgadł. Człowiek, który góra dwa kwadransy temu opuścił dom mistrza Atanazego, teraz pojawił się na dole schodów. Dyskretnie zerkając za siebie, szedł do góry.

Wtedy Metody wrócił do najbliższego skrzyżowania. Tutaj już trudno było przewidzieć dalszą trasę posłańca w białej tunice, więc karzeł przystanął w tłumie gapiów słuchających starca odzianego w poszarpany, pokryty żółtym kurzem habit.

– Zmieszał Satanael ziemię z wodą i ulepił ciało Adama – kazał mnich, najwyraźniej jeden z bogomiłów. – Jednak odrobina wody spłynęła do prawej stopy, wyciekła krętym strumykiem na ziemię, tworząc kształt węża. Satanael zebrał w jedno tchnienie, które w sobie miał, i tchnął je do wnętrza ciała, które był ulepił. Ale to ciało puste było, tchnienie Satanaela przebiegło przez pustkę aż do stopy i uszło tym samym otworem, którą wcześniej wyciekły krople wody: przez duży palec. Tam tchnienie Satanaela wtopiło się w wodę zmieszana z drobinami ziemi i śliny Satanaela. I tak narodził się wąż, który natychmiast odpęzł. Tak narodziła się istota rozumna i zła zarazem...

Metody słuchał tego jednym uchem. Konstantynopol pełen był wyznawców bułgarskiej herezji, także apostazji, które brały swe korzenie we wszystkich zakątkach chrześcijańskiego świata. Mówcy w brudnych habitach mieli swoje własne, coraz to insze wizje Genesis, co dla karła znaczyło jedno łajno. Gdy człowiek w białej tunice, obszytej na brzegach stębnowaniem w kolorze owocu granatu, minął tłum słuchający mówcy, Metody cichcem ruszył jego śladem.

– Spojrzał tedy Satanael, jak słaba jest jego moc, i poprosił Dobrego Ojca, Prawdziwego Boga, by przysłał swoje tchnienie, a był to podstęp, powiedział bowiem: *Człowiek będzie naszym wspólnym dziełem i on zajmie miejsce upadłych aniołów strąconych do Piekieł*. Dobry Bóg tchnął życie w to, co ulepił Satanael...

Wkrótce natchnione słowa apostaty połknął zgiełk miasta.

Niedawny gość Atanazego widać uznał, że nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo. Nie oglądając się za siebie, nie klucząc, szedł do celu swej wędrówki.

Kilkaset kroków dalej karzeł przystanął. Tamten minął tylną bramę cesarskiego pałacu. Pozdrowił strażników i po chwili zniknął za wewnętrznym murem.

Pokurcz splunął i odwrócił się na pięcie.

\* \* \*

Mistrz Atanazy wziął szeroki zamach i zadał cios. Kiścień z cichym buczeniem przeciął powietrze, uniósł się jak wskazówka zegara śmierci do pozycji wskazującej dwunastą i spadł na głowę Tryfona.

Szachista nawet nie jęknął. Poleciał trzy kroki w bok i z łomotem runął na kamienną podłogę komnaty. Atanazy niespiesznie podszedł, po czym oparł stopę na jego barku. Zdjął z głowy hełm i rzekł:

– Słabo. Bardzo słabo, Tryfonie.

Zatrząśł kiścieniem, odstąpił krok w tył.

– Gdyby ta broń zamiast rzemienia miała łańcuch, a zamiast kuli z drewna stal nabijaną kolcami... Łeb bym ci rozłupał jak przejrzaty arbuz. Wstawaj!

Doradca oparł się o posadzkę drżącymi z wysiłku ramionami, wstał i zaraz padł. Leżąc, zdarł z głowy hełm owiązany dla lepszej ochrony tureckim turbanem, a potem powolnymi ruchami ściągnął kolczy czepiec. Dyszał spazmatycznie.

Atanazy skrzywił się.

– Twoja mądrość i skłonność do filozofowania nie ochronią cię w bitkach z rozbójnikami, a jak sam ostatnio doświadczyłeś, nawet tu, a może zwłaszcza tu, w Konstantynopolu, nie możesz od nich uciec. Musisz więcej ćwiczyć.

Tryfon wreszcie doszedł do siebie. Chwycił dzban i przystawił go do ust. Pił długo. Resztę wody wylał na czoło.

– Nuże, Szachisto! Mamy pewne kwestie do obgadania, więc doprowadź się do porządku. Będę czekał na cię na balkonie.

Dwa kwadransy później popijali chłodne wino, patrząc na rzędy masztów w porcie.

Mistrz z troską przyglądał się Tryfonowi. Jego pomocnik wyglądał już nieco żwawiej, jednak najwyraźniej nie odzyskał jeszcze pełni formy. Z prawej strony nad uchem widniała niewielka świeża blizna podeszła krwią.

Szachista upił łyk i bezwiednie sięgnął do rany. Syknął z bólu.

Udając, że tego nie widzi, Atanazy przeszedł do ważniejszych spraw niż łeb swojego doradcy.

– Nasz człowiek z pałacu potwierdził wszystkie wcześniejsze doniesienia i domysły – powiedział. – *Basileus* najpewniej przystąpi do fatymidzkiej wojny z Seldżukami. Wzięty w kleszcze Turek nijak się nie obroni, a cesarstwo odzyska Antiochię i weźmie Syrię. Po jej zdobyciu wyparcie Seldżuków z Palestyny, jeżeli jeszcze tam się ostaną, będzie igraszką. Połączone siły cesarstwa i Fatymidów zgniotą barbarzyńców, a niedobitki wypędzą na wschód. Nasz szpieg twierdzi też, że pod wpływem wahań cesarza poseł Al-Idrisi przedstawił ostateczną propozycję kalifa Al-Mustansira. Po wojnie – nowy podział ziem. Syria w całości należeć będzie do cesarstwa. Co więcej, Fatymidzi obiecali specjalne względy dla dzielnicy patriarchalnej w Jerozolimie. Mur zostanie odbudowany i ustanowiona oddzielna jurysdykcja, zaś *basileus* zyska zwierzchnictwo nad tym fragmentem miasta, by chronić Grób Pański.

– Cesarz Diogenes nie był skory do podbojów – wystękał wreszcie Tryfon. – Jak dotąd jego strategia polegała jeno na obronie istniejących terytoriów. Bułgarii, Sycylii... Ale Syria? Tam gore, że aż rzeki się gotują. Widać cesarz ma w tym jakieś większe interesy. Bo przecież nie jest głupcem, którego zwiodą miraż wielkiego imperium. Zgaduję, że pogłoski o wysłaniu de Baileula również znajdują potwierdzenie?

– Dobrze zgadujesz. I tak jak żeś przewidywał, Roman chce w tym ogniu upiec więcej niż jedną pieczeń. Pierwsze – zyska nowe terytoria. Drugie – zyska sojuszników w Fatymidach.

Trzecie – pozbędzie się wierzycieli, niewygodnych i coraz bardziej bezczelnych najemników normańskich.

Twarz Szachisty rozjaśnił uśmiech. Pochwała mistrza była jak chłodny kompres na jego ranę.

– To mimo wszystko ryzykowne posunięcie ze strony *basileusa*. Zdobyć łatwo. Ale utrzymać? Sprawować rządy? Zapewnić spokojny byt chłopom, handel kupcom, robotę rzemieślnikom, kiedy kasa pusta? Teraz Seldzucy oddadzą pola, ale co będzie za lat dziesięć? Dwadzieścia?

– To już, mój drogi Tryfonie, nie jest nasze zmartwienie. My tymczasem mamy inszy problem: wraz z najemnikami *basileus* zamierza, jak to ujął nasz szpieg na dworze, wystawić doborowy kontyngent. Doborowy... Ha, ha... Złożony po prostu z więźniów gnijących w kazamatach Konstantynopola, Nicei, Cezarei... Mordercy, oszuści, rozbójnicy... No i, nie ukrywajmy – złodzieje. Także z naszej gildii. Roman Diogenes zamierza utworzyć z nich oddział samobójców, którzy śmiercią będą mieli okazję zmyć swą winę.

– Nasi ludzie... – zatroskał się doradca. – Policzymy zatem. Był ostatnio pojman Mustafa Turek i Jan Spalona Broda. Wcześniej...

– Wcześniej i później w sumie do lochów trafiło piętnastu naszych ludzi. Wiem dokładnie których. Nie wszyscy, zdaje mi się, zasługują na troskę, bo mają co nieco na sumieniu. Taki na przykład Dymitr Świątoszek. To człowiek całkowicie nielojalny wobec gildii, zrobił kilka niegodziwych rzeczy, ale za to powinna spotkać go kara nałożona przez gildię, a nie przez cesarza. Czy pozostawienie go własnemu losowi, oddanie na pożarcie tureckim rzeźnikom, byłoby taką karą? Tego nie sposób teraz ocenić, może to będzie karą zbyt łagodną, toteż póki co niech będzie na jego. Trzeba wykupić tak jego, jak i innych. Myślę, że Sergiusz Metafrastes nam w tym pomoże. On już wie, gdzie brzęknąć złotem. Wykupić, a jak się nie da – wyzwolić innym sposobem.

Tryfon Szachista mimowolnie sięgnął do rany obok skroni.

Syknął z bólu i powiedział:

– Wykupić. Czyli trzeba będzie zwołać radę i przekonać mistrzów do wyasygnowania odpowiedniej kwoty. Ale czy w tych okolicznościach... Skoro teraz sytuacja wygląda tak, jak wygląda... To znaczy...

– Przestań dukać jak jakiś wiejski głupek, Tryfonie. Chcesz zapytać: skoro dzięki bezsensownym wyczynom Kaliksta i podłym intrygom Eutymiusza gildia nie ma teraz przywódcy, to czy rada zechce uznać zasadność tych wydatków? Myślę, że inni mistrzowie też mają dobro gildii na sercu. Nawet ten Eutymiusz, choć nie ustaje w knowaniach, też ma sporo racji. Ten pomysł z Czarnym Mnichem... Może to nie było zbyt szczęśliwe. Zwłaszcza teraz, w przededniu wojny... W każdym razie mniemam, że rada gildii nie będzie miała nic przeciwko wykupieniu naszych ziomeków.

Atanazy podszedł do balustrady balkonu i gestykulując z wyraźną złością, mówił dalej:



– Zresztą dość już tego! Ta sytuacja do niczego dobrego nie prowadzi! Rządy rady może są odpowiednie w gildii kupców czy cechu płatnerzy, gdzie ustala się podział wpływów sprawiedliwy dla wszystkich. Ale złodzieje muszą mieć jednego przywódcę. Wielkiego mistrza, którym jestem od lat! I będę dalej, bo Teolept Mędrzec i reszta zacnych mężów z rady to ludzie o świątłych umysłach, dobrych sercach, ale całkowicie pozbawieni ducha wojownika i przywódcy. To zawieszenie, w jakim znalazła się gildia, prowadzi do jej zguby. Zatem zamierzam nie tylko podnieść kwestię naszych ziomków, którym grozi wcielenie do wojska, ale także zażądać przywrócenia mnie do pełni władzy!

Szachista milczał chwilę zdziwiony gwałtownymi słowami Atanazego. W końcu rzekł:

– Zaraz wydam polecenia posłańcom. Niech zawiadomią mistrzów.

– Jak najszybciej. Jak najszybciej, Tryfonie.

\* \* \*

– On się zwie Sergiusz Metafrastes. To jakiś mało ważny logoteta na dworze. Nikt z tej kliki zauszników *basileusa*. Ani chybi to lepiej: informacje ma, ale nie jest panisko. Łatwo mu zniknąć w tłumie dworaków. I jeszcze łatwiej podsłuchać, co tam można głupki plotą przy winie.

Eutymiusz milczał. Skinął głową. *Spiesz się, Metody!* – pomyślał.

W komnacie obok na mistrza czekała Saba. Nie, to nie było jej prawdziwe imię. Saba nie Saba była Nubijką, a jej skóra ciemna jak mahoń, jej czarne włosy wyprostowane wbrew naturze, opadające do ramion, jej krągłe kształty mogły stanowić nieskończone natchnienie dla poety. Jej kuliste, jędrne piersi o rozmiarach arbuzów były niczym rogi byka. Tak je sobie przynajmniej porównał Eutymiusz, bo powalały na łoża i kazały oddać pola bez sprzeciwu. Tak więc mistrz z trudem mógł się skupić na tym, co prawił karzeł: miast szpiega z dworu *basileusa* widział wilgotną różową otchłań, w którą już by się zagłębiał, gdyby nie te przyziemne, mało istotne w tej chwili intrygi.

Nubijka miała na imię... Jakoś tam Mosumba, Misumba, Masomba, Musamba, nigdy nie mógł zapamiętać, dlatego nazwał ją Sabą. Dla wygody. Jej barbarzyńskie imię było nie tylko trudne do zapamiętania, ale także jakieś takie zbyt pospolite... Jak służąca! Tymczasem Eutymiusz lubił sobie wyobrażać w chwilach uniesienia, że jego czarna niewolnica to w rzeczy samej dzika królowa z Czarnego Łądu, która przybyła do Konstantynopola specjalnie po to, by go osiąść i ujeździć.

Teraz jednak musiał się skupić i wysłuchać kurdupła. Ten zaś zaczął:

– Mój plan jest taki... Wiem już o nim wszystko. No, prawie wszystko, bo jeszcze nie wiem tego, kim on tam tak naprawdę jest i co on tam może. Ale nic to! No więc mój plan jest taki, coby... Aha, no bo chodzi o to, że nie wiem, kim on jest, ale wiem, że przychodzi, klucząc w całkowitej tajemnicy drogą, która wiedzie...

Eutymiusz przerwał tę beładną paplaninę. Saba czekała.

– Karle! Bełkoczesz bez odrobiny sensu, a ja mam tu ważne bitwy do stoczenia. Dzisiaj, proszę ja ciebie, zdobywam Troję... albo nie, Kartaginę! Zatem...

Metody wszedł mu w słowo:

– Tak, rozumie się, będę się streszczał. Powiem raz-dwa, o co chodzi. No więc rzecz w tym, że...

Mistrz sapnął gniewnie.

– Nie powiesz raz-dwa, tylko będziesz czekał, karle! Zły żeś moment obrał ku temu, by mnie tu nachodzić i nudzić jakimiś kompletnie nieznaczącymi sprawami. A niech tam! Może i znaczącymi, ale moment jest zły. Nieee... Nie mogę się skupić, zresztą co ja będę mówił?! Eutymiusz wziął zamach nogą. Chciał kopnąć pokurcza w zadek, ten jednak chyżo umknął.

– Mistrzu? – spytał z wyrzutem.

– Idźże, karle, wypij w tawernie kubek wina za moje zdrowie! – Eutymiusz rzucił mu monetę: dwadzieścia *nummi*. – I wróćże, jak już skończysz. Wtedy wysłucham twoich rewelacji.

Gdy Metody odszedł, mistrz pospieszył w objęcia Saby.

Nubijka uśmiechnęła się. Lekkim gestem zrzuciła z siebie tiulową szatkę, odkrywając przed swym panem wszystkie swe skarby. Przede wszystkim dwie jędrne kule, między którymi Eutymiusz zatonął z cichym jękiem poddania. Uczynił to natychmiast, bez chwili zwłoki, choć sztuka miłości wymagała, by najpierw pieścił stojące na baczność sutki. By gładził kształtny brzuch i miętosił jędrne pośladki. Całował włosy, gryzł kark i szeptał do ucha: *Moja mała kariola, moja mała kurew*. Mistrz już nie potrafił się oprzeć. Wodził językiem między piersiami Saby, jednocześnie dobywając swojego mieczyka. Gdy Nubijka musnęła stojący na baczność oręż opuszkami palców, nie miał siły dłużej zwlekać. Wbił się między nogi niewolnicy i zakończył dzieło kilkunastoma potężnymi uderzeniami. Saba jęczała spazmatycznie, szarpiąc pościel, jak tonący na morzu młóci fale.

Wreszcie rozległ się przeciągły ryk rozkoszy i Eutymiusz opadł z powrotem między piersi niewolnicy.

– Możesz odejść – wymamrotał po chwili.

Bez słowa narzuciła swój tiul, na to naciągnęła płaszczyk i cicho wymknęła się bocznym wyjściem.

Mistrz powstał z łoża. Wdział wzorzystą dalmatykę, ciemnozieloną, przetykaną złotą i srebrną nicią, po czym ruszył do sąsiedniej komnaty. Przywołał karła, który nie potrzebował dużo czasu, by osuszyć kubek wina (a nawet dwa, gdyż pierwszy wychylił jednym haustem, splukując kurz z gardła).

– No dobrze, Metody – powiedział Eutymiusz. – Co tam dla mnie masz?

Karzeł, któremu trunek przejaśnił umysł, już się nie plątał. Wyrażał swe myśli w krótkich, trzaskających jak bicz zdaniach.

Gdy skończył, Eutymiusz odparł:

– Nie.

– Nie? Jakże to?

– Nie, Metody. To zbyt... – mistrz zawahał się, szukając odpowiedniego słowa. – To idzie zbyt daleko. Odsunięcie Atanazego od panowania nad gildią to nasz główny cel, jednak nie możemy przy tym pakować go w aż takie kłopoty.

*Masz ci los! – pomyślał karzeł. – A ten znowu zmiękł. Zawsze ma tak po miłosnych igraszkach ze swoją niewolnicą. Niby nie dziwne, ale żeby tak mięknąć nie tylko na przyrodzeniu, lecz i na rozumie...*

Bo przed uciechami Eutymiusz kopał go w zadek i rzucał grubymi słowami. Przed mówił z sensem, czując ducha bojowego, jednak po – inny człowiek. Nachodziły go wyrzuty sumienia, zaczynał rozdzielać włos na czworo, kierując swe myśli na manowce. *Diabła tam! – zaklął w duchu Metody. – Trza mi było dziś odpuścić i przyjść nazajutrz. Wtedy już by doszedł do formy. Już by skończył z tym mędrkowaniem.*

Mistrz zaś gryzł się z myślami. W ostatnich dniach dużo poświęcił na to, by pogrzyźć Atanazego, jednak łatwość, z jaką mu to przychodziło, budziła w nim... Nie, to nie było współczucie. Raczej żal, że wielki mistrz jest tak naiwny. A przecież nie zawsze tak było. Kiedy się poznali, ponad trzydzieści lat temu, gildia złodziei nie istniała nawet jako mglista idea, wówczas nikt nawet nie przypuszczał, że bezładną zbieraninę miejskich oprychów można połączyć w sprawny organizm, który stanowić będzie jedno. Kiedy się spotkali, Eutymiusz był drobnym złodziejaszkiem z dzielnicy portowej. Drobnym, ale z aspiracjami. Atanazy – także, tyle że jego aspiracje z czasem zaczęły przybierać cielesne kształty.

Pierwsze spotkanie... Hmm, Eutymiusz nie miał pewności, kiedy to było dokładnie. Bez wątplenia Konstantynopol za... zaraz, zaraz... Konstantyna IX Monomacha! Roku Pańskiego bodajże 1051. Wtedy to cesarstwo przeżywało niepokoje powodowane przez najazdy Pieczyngów na Trację, Macedonię i Bułgarię. W stolicy gromadziły się kontyngenty najemników, Waregów i Normanów, oddziały zaciężnych Armeńczyków, a nawet jazda *klibanophoroi*. Część wojsk ruszyła pieszo, idąc na Bułgarię, część zaś posłano na galerach do wybrzeży Grecji, skąd miały opanować tereny Macedonii. Tradycyjnie takie wielkie operacje stanowiły okazję dla złodziei. Eutymiusz od kilku dni tropił dobrze wyposażony okręt wodzów. Był doskonale strzeżony, ale zawsze musi przyjść taka chwila, gdy któryś ze strażników na pokładzie po zbyt wielu dzbanach wina będzie karmił ryby wczorajszym obiadem. I tak też się stało. Feralny strażnik miał służbę akurat tego dnia, gdy na wielką, pomalowaną na niebiesko dromonę załadowano dobra, które miały towarzyszyć oficerom podczas długich dni wojennej wyprawy. A więc jadło i napitki, a więc najcenniejsza broń i zbroje oraz solidy na pierwsze wypłaty dla najemników i na wszelkie nieprzewidziane sytuacje. Eutymiusz wyczuł chwilę idealnie – gdy strażnik wychylił się za burtę, by wyrzucić kolejną porcję żółci, on właśnie biegł cicho po pokładzie, przemykając na rufę, gdzie majaczyła osłonięta baldachimem dobudówka dla wyższych szarż. Niewiele było tam

miejsca, jednak wystarczyło przestrzeni na koje i cenny ładunek. Eutymiusz nie marnował czasu. Już trzymał cenne, wysadzone drogimi kamieniami miecze paradne zamknięte w hebanowych pokrowcach, ale szukał jeszcze wzrokiem czegoś bardziej wartościowego. Wtedy z mroku wychynął Atanazy, dzierżąc w zaciśniętej garści miezek pełen solidów.

– Dawaj te miecze, *koproskilo!* – huknął groźnie.

– To ty dawaj złoto! – odparował Eutymiusz i już chwilę później obaj zwarli się w uścisku, napierając na siebie jak dwa rozjuszony byki. Ciszę nocy mąciły regularne, głucho uderzenia, zgrzytnął nóż dobywany z pochwy. Wreszcie zabrzączały złote monety z sakwy rozprutej w szale walki. Dźwięczny deszcz otrzeźwił dogorywającego strażnika i zaalarmował pozostałych. Eutymiusz i Atanazy, cisnąwszy precz łupy, rzucili się do ucieczki, działając już w pełnej zgodzie. Pierwszy nadbiegający żołdak, ten chory, otrzymał podwójny, doskonale wymierzony cios: w podbródek i w brzuch. Poleciał w tył i już nie sprawiał problemu. Z następnym nie poszło tak łatwo. Ale dobyli noży i drugi strażnik padł na pokład, tamując rękami krew buchającą z dwóch ciętych ran.

Nim nadbiegli kolejni, Eutymiusz i Atanazy wyskoczyli za burtę. Szaleńczo młócili fale rękami, uchodząc przed deszczem sypiących się z nieba strzał. Na szczęście było zbyt ciemno, a morze zbyt wzburzone, toteż łucznicy bili całkiem na oślep.

Gdy obaj nieszczęśni złodzieje wypełzli na brzeg trzysta stóp dalej, nie mieli ani łupów, ani swoich noży, zebrali za to parę draśnięć od opadających z nieba grotów. Cud, że żadna ze strzał nie doszła celu. Szli w milczeniu mokrzy, zmęczeni i wściekli. Z rosnącym przeświadczeniem, że są skazani na siebie.

Od pierwszego spotkania do stworzenia gildii była jeszcze długa droga. Musiało minąć kilka lat, podczas których Atanazy okazał się charyzmatycznym, naturalnym przywódcą, pełnym pomysłów, odważnym. Eutymiusz uznał jego prymat, zdając sobie sprawę, że jedyna rzecz, w jakiej może się z nim równać, to fechtunek. Tu nawet rzecz należy: to raczej Atanazy mógł równać się z Eutymiuszem w sztuce walki na miecze.

Tyle lat... I tyle zaszło zmian. Przez trzy dekady wielki mistrz zatracił swe instynkty dzikiego zwierzęcia. Ze sprytnego lisa przeistoczył się w psa. Szlachetnej odmiany, godnego, ale psa. I coraz częściej podejmował błędne decyzje.

Ot, chociażby ta historia z Czarnym Mnichem! To jasne, że gildii potrzebny był rozkwit, ale naiwna wiara Atanazego, że wyprawa do Kapadocji rozwiąże wszystkie ich problemy, kazała srodze się zadumać nad stanem jego umysłu. Czarny Mnich... Kim był Czarny Mnich? Tego tak naprawdę nie wiedział nikt, a do Konstantynopola dochodziły na ten temat jeno same bujdy. Eutymiusz długi czas puszczał je mimo uszu jak wszystkie pijackie opowieści o seldżuckich piratach grasujących po Morzu Marmara, o jednoroźcach, o złocie perskiego sułtana... Później jednak posłyszał parę bardziej wiarygodnych relacji, zaś szpiedzy donieśli mu, że w rzeczy samej – jest pewien monastyr na odludziu, w tej części Kapadocji, gdzie hula jeno wiatr, zawodząc między kamiennymi rzeźbami skał. W tym eremie – donosili szpiedzy –

żyją braciszkanie, nikt nie wie, z jakiego Kościoła czy herezji. Choć ich wielu, nie orzą i nie sieją, nie zbierają płodów natury, nie bywają we wsiach, nie handlują. Z czego żyją, nie wiadomo, za to nocami... Diabelski chichot i zawroźnienie słycać, błyski świateł piekielnych widać, a czuć świrodzący w nosie smród śmierci. Krążyły bajdy o złocie, jakie gromadzą braciszkanie, patrosząc sakwy podróżnych, którzy dopełnili żywota, błędząc między skalnymi labiryntami Kapadocji. Z czasem jednak w tych opowieściach zaczął dominować jeden artefakt: Ikona Upadłego Anioła. O tym obrazie powiadali: kto go tylko tknie, czarna śmierć na niego spada. Śmierć, która odbiera życie w straszliwych męczarniach, rwącym bólu i jęku rozpacz. Ciało zamienia się w gnijącą galaretę duszącą smrodem. Tak mówiono, choć w to akurat tak bardzo Eutymiusz nie wierzył. Wiedział jednak, że nie jest to zwykły obraz. Nie jest to zwykły zakonnik i zwykły monastyr.

Ale jakakolwiek tajemnicę skrywał Czarny Mnich, pomysł Atanazego był głupi. Nie opierał się na chłodnej logice, a na nieprzemyślanym zrywaniu nadziei. Eutymiusz wiedział, że w wyprawach do Kapadocji zginęło już zbyt wielu awanturników. Pozostały po nich tylko pieśni i płacz kobiet, bo nikt nigdy nie znalazł ciał. Pojechali i przepadli. Zresztą wyglądało na to, że nieostrożnych szpiegów Atanazego spotkał ten sam los. Obwiesiów posłanych w ślad za nimi przez Metodego – także.

Eutymiusz kiedyś szanował wielkiego mistrza gildii złodziei w Konstantynopolu, Atanazego Meklidosa. Teraz wiedział jedno: jeżeli gildia ma przetrwać, to z innym przywódcą.

– Dobrze, Metody. Rób, co masz robić.

– Ha! Ja go już tego... Normalnie mu zrobimy tak...

– Nie, karle. Zamilcz! – Eutymiusz sięgnął po niewielki pugnalik ze srebra i zręcznie obrócił go w dłoniach. Jednym zdecydowanym ruchem nadział na ostrze kawałek melona rozkrojonego na wygodne części. – Ja nie chcę nic wiedzieć. Nie było cię tutaj i ja o niczym nie wiem. Rozumiesz? Nic nie słycałem i nie chcę słycać!

– Się wie. Będzie git, Metody się wszystkim zajmie.

– Dobrze, dobrze. No to wynocha mi teraz.

– Się wie. Ale.. Tego... Jest jeszcze jedna sprawa.

– Czego, karyplu?

– Śmierdziząb wrócił!

Mistrz poczerwieniał ze złości.

– Jaki znowóż śmierdziząb, karle?!

– No Teodor Śmierdziząb! No przecież mówiłem. No ziomek nasz to jest.

– Metody! Albo się wysłowisz jasno i klarownie, o co chodzi, albo każę cię zaraz obić i wywlec poza miasto. Co za Teodor? Co za śmierdziząb?

– No przecie mówiłem! Atanazy, jak zobaczyłem raz, gadał z fajfusami z gildii. Z tymi tam dupowatymi nieudacznikami, Nicetasem i resztą. Fajfusy po rozkazie Atanazego wzięły

konie, przyozdobiły się w bitewne stroje i ruszyły w świat. Myślę se ja: *A niby co to ma być? Gdzie pomykają fajfusy, niedoruchane gamonie, co się stroją w papuzie piórka, a miecza nie potrafią nawet wyszarpnąć z za pasa, kiedy trza?* No to, jak patrzę, że jadą, zara wołam wiarę, moich chłopaków do specjalnych zadań, no nie z gildii, oczywiście. I mówię im: *Jechać mi tu za Nicetasem i jego ziomkami.*

– Karle, streszczaj się! Co mnie obchodzi, co ty powiedziałeś jakiemuś brudnemu łachmycie z portu? Widzę z tego, że znów wysyłasz jakichś swoich zbirów. Nawiasem mówiąc, bardzo mnie ciekawi, z czyjej kiesy ty im płacisz? Ale dobrze. Pojechali i co z tego?

– Dużo się wyjaśniło. Myślałem, że to jakaś specjalna, tajna misja. No i tak trochę jest, ale chodzi o to, że oni szukają Kaliksta.

– Kogo?

– No Kaliksta. Belzebuba. Tego tam chłopaka, co go Atanazy chował. To on wykradł ten plan.

– Co?!

– No, Kalikst Belzebub ten plan wykradł, przecie mówię. Się okazało, że to od niego cała ta heca.

– Kalikst Belzebub, ten gnojek od Atanazego? To on wykradł tajny plan mistrza dotyczący wielkiej wyprawy do monasteru Czarnego Mnicha i wydobywania stamtąd Ikony Upadłego Anioła? To o to było całe to zamieszanie? To dopiero teraz mi mówisz?!

– Eeee! No jakoś tak nie było okazji. Ale teraz wszystko jest jasne. Sprawa wygląda tak: młody wykradł pergaminy Atanazemu i czmychnął do Kapadocji. A że zrobił to na lewo, to mistrz posłał za nim chłopaków, coby mu spuścili manto. No i wtedy ja posłałem swoich, którzy mi donieśli, że tamci szukają Kaliksta. Nie wiem po co, ale na pewno wiadomo, że go szukają.

Zniecierpliwiony Eutymiusz machnął dłonią.

– Dobrze, już dobrze. Nie wiem, po co to wszystko, ale sądzę, że masz jakiś swój plan, Metody. I że rychło zakończysz tę farsę.

– A i owszem. Zakończę. Zakończę jak najbardziej.

## ROZDZIAŁ 16

Gdy zobaczył go ponownie, sobowtór miał już obie dłonie na swoim miejscu. Wyglądał tak, jakby wszystko, co działo się przedtem, było tylko chybotliwym mirażem.

– Uspokaja cię to? – zagadnął Czarny Mnich. – Ten widok przykrywa twą rozpaloną strachem i przerażeniem duszę chłodną, wilgotną płachtą jedwabiu, dając ukojenie i odpoczynek. W twym umyśle kiełkuje teraz myśl: *To, co widziałem, było jeno złudzeniem, złym snem.*

Kalikst zamknął oczy. Monotonny głos zakonnika brzęczał mu pod czaszką niczym chmara rozleniwionych upałem much. Nie chciał tego słyszeć. Nie chciał o tym myśleć, ale słowa mnicha wdzierały się w jego serce niczym szpikulec skrytobójcy.

Rozwarł powieki i rzucił ukradkowe spojrzenie na drugą klatkę. Nie było wątpliwości – Kalikst-bliźniak wyglądał na całkiem zdrowego, rzekłbyś nawet – szczęśliwego. Przynajmniej biorąc pod uwagę okoliczności.

– Oto, co może Bóg. Dawać i odbierać. Nie, nie chcę bluźnić, że jestem Jedynym Bogiem, Ojcem, który dał ludzkości Demiurga. Jestem tylko skromnym mnichem, ale teraz dla ciebie i dla niego również w rzeczy samej jestem Bogiem. Panem, Władcą, Demiurgiem. Dawać i odbierać. To moja moc, którą jeszcze w pełni poznasz. Bo tobie też chcę coś odebrać. Jeszcze nie wiesz co. Dowiesz się.

Jaskinię rozświetlało kilkadziesiąt pochodni pozawieszanych na ścianach. Nie licząc sobowtóra, poza mnichem i Kalikstem nie było tu nikogo – upiorni braciszkanie, zapalwszy ogień, wycofali się w głąb korytarzy.

– Mówią, że Satanael, Demiurg, stworzył świat wbrew woli Boga Ojca. Że na przekór Ojcu zmieszał cząstkę światła i ciemności i w siedem dni stworzył to wszystko, co nas otacza. Bluźnię straszliwie! Gdyby Demiurg uczynił świat przeciwko Bogu, to by przeczyło Boskiej wszechmocy i wszechwiedzy. Przeczyłoby Jego mądrości. I są to wszystko straszliwe bluźnierstwa, a powtarzających je dosięgnie kara Satanaela, Baal-Zebuba, Beliala, Lucyfera i wszystkich innych sług Bożych, którzy mają karać grzeszników i gnębić ich na wieki za występki i niegodziwości. Mówią, że materia jest zła, a dobry jest tylko duch. Że Demiurg stwarzający świat jest zły. Jednak patrz! Oto właśnie oznaka cudu Bożego: materia, która odradza się na nowo. Materia, którą Demiurg stworzył z niczego. Tak jak ja tworzę teraz

nowe istnienia. Tak jak przywracam twojemu drugiemu ja poprzednią postać. Tak jak tworzę inne stworzenia, które jeszcze ujrzysz w pełnej krasie. To jest piękno materii. To jest wielkość Boga Ojca, który nakazał Satanaelowi połączenie światła i ciemności. Tak jak teraz Satanael nakazuje mi, wiernemu słudze, łączyć to, co rozdzielone, a rozdzielać to, co połączone.

Czarny Mnich podszedł do kołowrotu. Uniósł dłoń, by chwycić rękojeść, jednak zawahał się. Płynnym gestem wznosił ramię na wysokość głowy i skinął palcami na klatkę Kalikstasobowtóra.

Z zakamarków jaskini cicho wysunęli się dwaj braciszkwowie. W milczeniu chwycili kołowrót i z wyraźnym wysiłkiem zaczęli nim obracać. Tryby cicho skrzypiały, tworząc z pobrzękiwaniem łańcuchów monotonną muzykę.

Gdy klatka spoczęła na środku kamiennego języka, mnisi otworzyli ją i wywlekli jeńca, prowadząc go w stronę katafalku. Więzień nie stawiał oporu, był całkowicie bezwolny, zobojętniały na wszystko. Szedł na sztywnych nogach, nie, nie szedł – co Belzebub dostrzegł dopiero po chwili – tamci ciągnęli go jak słomianą kukłę na kamienny podest. I tam zostawili, nawet nie przywiązując.

Wciągnąwszy pustą klatkę do góry, zakonnicy wycofali się w mrok.

Czarny Mnich stanął naprzeciw katafalku. Złożył ręce jak do modlitwy, kryjąc dłonie pod szerokimi rękawami, i znieruchomiał. Stał tak w milczeniu lekko pochylony, błędząc modlitwą po najdalszych zakątkach niebios, a może piekieł – tego Kalikst nie wiedział.

Nagle jego bezwolny sobowtór ożył. Szarpnął się w tył. Wciągnął nogi na kamienny blat i powoli pełził do tyłu. Rozszerzone z przerażenia oczy lśniły niczym wypolerowane złote solidy. Z szeroko otwartych, ale niemych ust pociekła strużka śliny.

– Yhh – stęknął więzień. – Yhhh, co...? Co to...? Nie...!

Kalikst przysunął się bliżej prętów klatki. Teraz i on widział, co tak przeraziło jego bliźniaka. Z wejścia do jaskini wychynęły dwa czarne kształty. Stąpały cicho, nieme niczym cienie. Były zbyt daleko, by czuć ich zapach, jednak otaczał je niewidoczny obłok jakiejś mocy – powietrze wokół postaci drgało i falowało jak na pustyni pod żarem słońca.

Ta moc dopadła i Kaliksta. Nagle ścisnął go za gardło strach – dławiący, wyrzucający powietrze z płuc. Belzebub stracił dech i poczerwieniał na twarzy, odruchowo cofał się w tył, zupełnie jak jego drugie ja na porfirowym blacie.

Opanował jednak przerażenie i z bijącym sercem znów podpełził do krat. Spojrzał.

Zobaczył dwa psy wielkie jak woły. Nie, nie psy – psy przecież nie mają trzech węzowych szyj długich na dwa kroki i wijących się w nieustannym tańcu. Były one grube jak udo mężczyzny, wręcz za grube dla płaskich, pozbawionych uszu łbów. Między wąsko osadzonymi, wyłupiastymi oczami tkwiły spłaszczone, rzekłbyś – ludzkie – nosy, pod nimi zaś szerokie szczęki uzbrojone w rzędy ostrych niczym kindżały żółtawych kłów. Przednie łapy demonów – szerokie i mocarne – były nieco dłuższe niż tylne, ale i tak zdawało się, że szyje jak pytony powinny zachwiać równowagą stworzeń i ściągnąć je w dół. A jednak nie –



pokryte czarną sierścią stworzy kroczyły godnie i spokojnie, jak kroczyć może tylko śmierć.

Mnich stał nieporuszony tak długo, aż bestie minęły go, nie odwracając nawet łbów, jakby był skałą albo drzewem. Gdy przeszły mimo, opuścił ręce, lekko podniósł głowę i znów zamarł wpatrzony w katafalk.

Sobowtór Kaliksta porzygał się ze strachu. Zgięty na kamieniu wyrzucił z żołądka wodnisty śluz lekko zabarwiony na różowo krwią. Nie było tego wiele – mnich rzadko pamiętał o karmieniu swoich więźniów. Spleśniały, stary chleb raz na dwa dni. *Jecie to, co i ja, powstrzymując się na chwałę Boża od rozpusty i zepsucia.*

Jeden z demonów przyspieszył. Skoczył lekko, zadziwiająco lekko jak na swoje rozmiary i kształty. Przypadł tuż do podstawy katafalku. Nie wydał najcichszego głosu, nawet łapy nie klapnęły o skalne podłoże ani pazury nie zachrzęściły na kamieniach. Po prostu przemknął w powietrzu, miękko lądując przed skalnym podwyższeniem.

Więzień pomknął w tył na czworakach niczym małpka. Zeskoczył z katafalku i skrył się tuż za nim. Nie miał gdzie uciekać – trzy kroki dalej ziała bezkresem ciemna czeluść przepaści.

Wtedy ożywił się drugi demon. Trzema susami wskoczył na katafalk. Jeden z węzowych łbów odchylił do tyłu, dwa pozostałe skłoniły się nad nieszczęśnikiem i pochwyciły go zębami za kubrak. Jeden zgrabny ruch i po chwili sobowtór wisiał w powietrzu, machając bezradnie ramionami.

Nim spadł, demon zeskoczył z porfirowego blatu i przysiadł na końcu skalnego języka.

Kalikst-bliźniak grzmotnął o katafalk ciężko jak polec mięsa w rzeźni. Jęknął płaczliwie. Wił się niczym robak, któremu złośliwy dzieciak przydeptał koniec odwłoka. W końcu opanował ból i podjął kolejną próbę desperackiej ucieczki.

Demon za jego plecami nie pozwolił na to. Jeden z węzowych łbów wyskoczył w przód i wbił sztyletowate zębiska pod kolanem więźnia. Zacisnął szczękę i płynnym ruchem wyrwał kawał żywego mięsa.

Sobowtór wrzasnął rozzierająco i opadł na plecy prosto w rosnącą kałużę krwi. Jej metaliczny zapach, jej ciemna barwa, strach i rozpaczliwe wycie ofiary ożywiły pozostałe łby. Demony doskoczyły do katafalku, opierając na nim przednie łapy. Węzowe szyje runęły w przód złaknione mięsa.

Drugi łeb oderwał umęczonemu jeńcowi dłoń. Przemęł ją na języku i wyczuwając kości, wypluł na bok. Rzucił się po następny kawałek. Wbił kły poniżej łokcia ofiary.

Pozostałe paszcze zaatakowały nogi i plecy. Rwały wielkie kawały mięsa, szarpiąc je szczękami mocarnymi jak kowalskie narzędzia. Trafiając na kości, wypluwały kęsy i sięgały po więcej, po miękkie i krwiste. Siekły kłami, a wyłupiaste oczy bestii lśniły jak latarnie morskie nad brzegiem Złotego Rogu.

Zadziwiające, ale sobowtór wciąż żył i zachowywał przytomność. Każde ugryzienie demonów wyrzucało z jego piersi nowy wrzask bólu i przerażenia. Krew ciekła ze wszystkich

ran, zalewając kamienny blat, bryzgając na czarną sierść potworów. Kalikst-bliźniak był nieustannie aż do zachrypnięcia gardła, był cienko i basowo na przemian. Jego głos uderzył o skalne ściany jaskini potęgowany i wzmacniany jak bicie w bęben. Wrzask niósł się po najdalszych korytarzach monasteru nawet wówczas, gdy potwory rozszarpały swej ofierze wszystkie kończyny. W takiej chwili każdy człowiek już by zamilkł. Zemdlałby z bólu albo umarł wycieńczony wpływem krwi, zduszony strachem. Ale sobowtór wciąż był.

Przestał, gdy płaski węzowy łeb odgryzł mu pół twarzy. Wtedy ryk bólu przeszedł w bulgotliwy charkot, a później dało się już tylko słyszeć, jak demony z ohydnymlaskaniem odrywają z ciała ofiary uszy, resztki nosa, jak szarpiać krtań.

Tego jednak Belzebub nie chciał oglądać, choć wcześniej był świadkiem niejednej jatki w zaułkach Konstantynopola. Choć widział obrąbywane ręce, obrąbywane głowy, ziomek, którzy do ostatniej chwili trwali przy nadziei, że przytrzymując rękami wyływające z brzucha jelita, ocalą życie. Jednak teraz, patrząc, jak demony rozrywają na strzępy jego i nie jego zarazem, jak rozszarpują bliźniaka przy milczącej aprobacie mnicha, spadł w duszny mrok, nurzając się twarzą we własnych wymiocinach.

Nie widział już, jak demony dzielą między siebie pokrwawiony kadłubek, strzęp ludzki pozostały z sobowtóra. Jak wrywają mu serce, jak objadają z mięsa czaszkę, jak chlapią mózgiem. Jak wleką trzewia, przeciągając je między sobą niczym linę...

\* \* \*

Powrócił do tego świata, ale wciąż ogarniała go ciemność. Stał z twarzy resztki rzygowin. Poznawał na nowo świat wokół siebie: twarda podłoga klatki, zimne pręty krat. I nic poza tym – przestrzeń jak ucięta nożem, zamknięta w skorupce od jajka.

Zaczął nasłuchiwać. Gdzie demony? Gdzie Czarny Mnich? No i... sobowtór, a raczej to, co z niego pozostało...

Cisza. Z mroku nie dochodził najśłabszy nawet głos. Klasnął dwa razy. *A może to już inne miejsce, może moja klatka tkwi gdzie indziej, z dala od krwawego katafalku, z dala od ołtarza okrutnej kaźni?* – pomyślał.

Odpowiedziało mu znajome echo. To musiała być ta sama jaskinia. Żadnej nadziei.

– Hejże...! – krzyknął w dal. Może to był tylko sen, miraż jak na pustyni, iluzja stworzona przez nikczemnego apostatę w czarnym habicie?

Znów ozwało się echo, ale nic ponadto. Nasłuchiwał chwilę: może chociaż cichy jęk, westchnienie, sapanie przez sen?

Nic. Cisza. Mrok.

Zwinął się w kłębek i próbował zasnąć, jednak wspomnienie bliźniaka rozszarpywanego przez bestie przyprowadziło go o nerwowe bicie serca. Słyszał jego krzyk dławiony przez bulgoczącą krew.

W końcu jednak zapadł w nierówny sen.

\* \* \*

I znów obudził się, lecz wciąż otaczał go mrok. Demony, Czarny Mnich, sobowtór – nie chciał o nich myśleć ani ich pamiętać.

Jego dusza powędrowała gdzie indziej. Odgrzebał w pamięci Konstantynopol, a w nim Zoe. Tę ostatnią noc, gdy pili we trójkę z Nicetasem w portowej tawernie „U Epifaniusza”. A później „Pod Czarnym Krabem”. I gdzie tam jeszcze... W „Bezgłowym Scycie”. I jeszcze gdzieś, teraz nie mógł sobie przypomnieć.

Czy wtedy się kochali, czy tylko zlegli nieprzytomni od wina? Czy kochali się wcześniej? Ona była naga, piękna jak bogini Afrodyta, osłonięta jeno lekkim prześcieradłem. A on w ubraniu, w butach, zamroczony winem. I nie wiedział, czy się kochali. Nie wiedział. Nie pamiętał.

Wtedy było dobrze: wieczorne pijaństwo, a rano smażone jaja, grube pajdy chleba, piwo. I Zoe do towarzystwa. Teraz nie miał nic: dziewczyna pewnie w kazamatach, a o takiej uczcie nawet nie miał co marzyć. Spleśniałe resztki, jakie wrzucali mu za kraty mnisi-truposze, przyprawiały go jeno o ból żołądka. Ledwie się zmuszał, by je wepchnąć do ust, głód jednak zwyciężał.

*Zoe! – krzyczał w myślach. – Zoe! Gdzie jesteś?! Przecież nie mógł cię pochwyć. Byłaś daleko, po drugiej stronie wzgórz. Daleko od podziemnych korytarzy, daleko od wąwozu z nadzianymi na pale trupami naszych ziomków.*

A może wróciła? Uparta Zoe! Może wróciła, by go szukać? By czekać w pobliżu? Może została przy wejściu, tam gdzie on wniknął w podziemny labirynt korytarzy?

Czy mnich ją złapał? Zabił?

Nie chciał nawet o tym myśleć.

*Gdzie jesteś, Zoe?*

\* \* \*

– Przecież jestem złodziejem – szepnął do siebie. – Potrafię otwierać to, co niedostępne dla innych. Potrafię odzyskać swoją wolność.

Dopelźł do brzegów klatki. Sięgnął między kraty, badając dłonią podstawę swojego więzienia – nic, tylko pokryta cienkim nalotem rdzy obręcz z żelaza. Pamiętał jednak, że wyciągając sobowtóra, truposze manipulowały gdzieś u podstawy klatki. Nie pod nią, lecz z brzegu.

Jak ślepiec szukał zamka, macając dłońmi. *Jest!* – niemal wykrzyknął. Choć i tak tkwił w gęstej jak smoła ciemności, odruchowo zamknął oczy i badał mechanizm opuszkami palców. Zamek nie przypominał niczego, co znał z drzwi, kufrów, szafek i skrytek kupców przybywających do Konstantynopola. Obok dziurki od klucza, okrągłej i pozbawionej bocznych wypustek, odkrył układ niewielkich trybów połączonych łańcuchem. Najwyraźniej

poruszały one sprężyną po drugiej stronie klatki. Próbował wyobrazić sobie w myślach zasadę działania całej maszyny, jednak nigdzie nie napotkał takiego układu zębatach kół, łańcuchów i zapadek.

Idąc na robotę w mieście, Kalikst zawsze nosił ze sobą przyborek ze złodziejskimi narzędziami. Wytrychy, wytryszki, haczyki, piłki, niewielki młoteczek i maleńkie, ale bardzo wytrzymałe dłutko. Do tego oczywiście strzałki do rzucania, puginał i dwa noże o szerokich ostrzach. Oraz lina z hakiem, drobniejsze linki i starannie nawoskowane nici. Niekiedy także łuk i strzały. To pozwalało mu podczas nocnych wypadów wspiąć się na każdy mur, cicho wykończyć każdego przeciwnika, wreszcie sforsować każdy zamek.

Wyruszając do klasztoru Czarnego Mnicha, miał przy sobie cały komplet, jednak później, walcząc z bestią w podziemiach, szarpiąc się z trupimi braciszkami, potracił wszystkie akcesoria. To, czego nie zgubił, zabrali mu mnisi, wtrącając go do klatki.

Z jednym wyjątkiem. W nogawce spodni, w szwie obrębiającym, trzymał zwój wytrzymałego drutu z nieznanego mu stopu, który przez jednych zwany był stopem z Kitaju, przez innych stopem saraceńskim, a tak naprawdę nikt nie znał jego składu i pochodzenia. Może tylko kilku mistrzów płatnerstwa i kowalstwa, którzy na zamówienie gildii dostarczali gotowy produkt. Cienka nić metalu służyła do jednego: dzięki stalowym pierścieniom na końcach była doskonałym narzędziem mordy – po zaciśnięciu jej na szyi przeciwnika z równą łatwością przecinała skórę, chrząstki, a nawet kości. Złodzieje z gildii nosili ją owiniętą wokół pasa, szczepioną metalową sprzączką skonstruowaną tak, że dało się ją odpiąć jednym wyuczonym ruchem.

Ale nie Kalikst! On do likwidowania przeciwników preferował inne narzędzia. Więc pierwsze, co zrobił ze swoją pętlą, to usunął z niej pierścienie. Później doszył w spodniach wąski pokrowiec, akuratywny, by tam zmieścić złożony na dwoje drut. Nie po to, by skrytobójczo pozbawiać życia. Raczej jako zabezpieczenie na wszelki wypadek. Taki jak teraz.

Wyciągnął pętlę spod szwu i dłuższą chwilę obracał ją w dłoni. Co z tym zrobić? Złożył metalową nić na pół i przygiął końcówkę palcami. Wsunął koniec tak powstałego narzędzia w otwór zamka.

Długo badał mechanizm, delikatnie trącając zapadki. Szybko wyczuł, w czym rzecz: ze swoim standardowym zestawem wytrychów otworzyłby to w kilka minut. Wystarczyłby średni sztywny haczyk, ten z lekko spłaszczoną końcówką. Ale co można zrobić, dysponując zamiast tego giętkim drucikiem? Mocnym, bo mocnym, ale zbyt wiotkim, by odryglować zapadkę.

Wyjął pętlę z otworu i zaczął energicznie zginać i rozginać dwie części drutu. Trwało to bardzo długo, bo kitajski czy saraceński stop wykazywał się niewielką kruchością. Był giętki jak jedwabna nić. W końcu jednak rozgrzany od tarcia pękł.

Teraz Kalikst poskręcał druciki. Na ich końcach uformował niewielkie pętelki, zaś część

poniżej zwinął spiralnie, tak by wzmocnić powstały w ten sposób trzonek. Teraz miał dwa niby-wytrychy, nieco zbyt giętkie do poważnej roboty, ale musiał spróbować.

Wsunął równocześnie końce narzędzi w otwór zamka. Wykonując nimi delikatne ruchy, używając dwóch pętelek naraz, zdołał poruszyć jeden z rygielków. Poruszyć, jednak nie odciągnąć. Oczko na końcu improwizowanego wytrycha było zbyt małe.

Po co najmniej dwóch kwadransach takiej pracy zdołał przekręcić główną blokadę w zamku. Klatka była otwarta: by odchylić jej dwie części, należało jeno szarpnąć niewielką dźwignię.

Nie spieszył się z tym. Jego więzienie wisiało nad przepaścią, zbyt daleko od skalnego języka. Szarpnięcie dźwigni spowodowałoby, że podłoga otworzy się, wyrzucając więźnia w czarną czeluść bez dna.

*Ile kroków od klatki jest do skalnego języka? A u góry? – zastanawiał się Kalikst. – Klatka wisi na łańcuchu prowadzącym do góry, do ramienia. Ono pochyla się to w dół, to w górę, gdy nim obracają mnisi. Ale jak ta machina jest osadzona w ścianach jaskini? I czy można tamtędy przejść nad przepaścią?*

Zawisł na klatce, opierając stopy o jej brzeg, i szarpnął dźwignię. Odskoczyła z cichym skrzypnięciem. Poczul tylko, jak podłoga klatki opada w ciemność, by zaraz szarpnąć sprężynami wokół zawiasów. Żelazne więzienie zadrżało. Kalikst pochwycił kraty, przylegając do nich z całych sił. Drgania metalowej konstrukcji nie ustawały, jakby w kpinie przeciwko prawom Boskim. Jakby jakaś wielka, niewidzialna dłoń trzymająca łańcuch nad klatką za wszelką cenę chciała strącić Belzebuba na dno przepaści. Gdy wreszcie podłoga zamarała bez ruchu przytrzymana w ryzach przez stalowe warkocze sprężyn, więzienie zakręciło się wokół własnej osi. Kilkadziesiąt obrotów w lewą stronę aż do granic wytrzymałości łańcucha, a później w prawą – i tak na przemian. A w środku Kalikst – zabawka w rękach olbrzyma skrytego w czerni.

Gdy piruety ustały, Belzebub ostrożnie zjechał po kratkach w dół, aż na skraj klatki. Jednym ruchem przerzucił ciało na zewnątrz i od razu pochwycił pręty z drugiej strony. Piął się do góry, chociaż konstrukcja znów zadrgała w piruetach. Po chwili Kalikst był już na jej czubku i mozolnie wspinał się po łańcuchu.

Wreszcie dotarł do końca wysięgnika. Wisząc w całkowitych ciemnościach nad bezdenną czeluścią, niczym ślepiec macał nasączone smołą drewno, zimny metal okuć, żelazne warkocze zlepione starą oliwą, brudem i rdzą. Próbował wyobrazić sobie, jak działa ta szatańska konstrukcja. Dokąd idą łańcuchy, gdzie prowadzą belki i wsporniki, jak stąd uciec?

Wreszcie podjął decyzję. Wybrał łańcuch wiodący w bok, solidnie naprężony i najmniej pokryty rdzą. A to znaczyło, że jego ogniwa były w użyciu i stanowiły jakiś ważny element maszynierii.

Ruszył. Powoli zdobywał kolejne ogniwa, ściskając je tak mocno, że aż wrzynały się w palce. To źle – wiedział o tym. Zwisając na łańcuchu czy linie należało palce trzymać

swobodnie. Pewnie, ale lekko niczym małpa. W tej chwili nie potrafił jednak inaczej. Strach potęgowany przez smolistą czern dokoła nie dopuszczał rozsądku. I ten trupi smród!

Na efekty nie czekał długo. Ból zaciśniętych mięśni wprawił jego ramiona w nerwowe drgania. Dłonie zwilgotniały mu, a serce przyspieszało swe bicie. Złuszczona rdza, smugi oliwy na ogniwach i w dodatku jego własny pot – to wszystko powodowało, że tracił przyczepność, łańcuch ślizgał mu się w rękach. Raz czy drugi nadwerężona dłoń zjechała w dół. Nogi coraz słabiej obejmowały stalowy warkocz. W końcu spadł.

Nim zdążył krzyknąć z przerażenia, uderzył plecami w kamień. Nawet nie poczuł bólu – krew buzowała w żyłach jak wezbrana rzeka podczas powodzi. Leżał na twardym podłożu, gładkim i wyszlizganym. Wyciągnął ramię, muskając palcami ogniwa. Były tuż nad nim.

*Me spadłem w przepaść! Żyję!* – pomyślał. Wiedział już, że dotarł do ściany, w którą wnikała diabelska maszyna.

Szedł na czworakach za podmuchem powietrza, aż niewielka dziura w skale rozszerzyła się na tyle, że mógł wstać. Ruszył dalej zgarbiony, szorując ramionami o łańcuch.

Stalowy warkocz kończył się nagle zaplątany w wielkiej przekładni. Kalikst próbował zmierzyć ją ramionami, jednak machina miała rozmiary niewielkiego domu. Odszedł na bok, macając po ścianach.

Ciemności zdawały się tu jeszcze bardziej gęstnieć, jednak wyraźnie czuł rzeński powiew. Dochodził gdzieś z góry. A samo pomieszczenie – co pospiesznie zmierzył – miało jakieś dwadzieścia kroków średnicy i zostało wykute w tej miękkiej wulkanicznej skale. Skoro jest pomieszczenie, musiało gdzieś być wyjście. Bo raczej nie tam u góry, skąd czuł napływające powietrze.

Wreszcie stopa Kaliksta natrafiła na prowadzące w dół schodki. Na ich końcu znajdowały się niewielkie drzwi z grubych desek. Pchnął je.

Piekielna czern ustąpiła szarości przypominającej świt po bezksiężycowej nocy. Czekał długą chwilę, aż wzrok przyzwyczaił się do światła łaskoczącego oczy nawet przy opuszczonych powiekach. Gdy wreszcie migotanie ustało, popatrzył wokół siebie.

Stał u wylotu kolejnego korytarza, tym razem zdecydowanie większego. Niemrawe jasne smugi dochodziły tylko z jednej strony, więc ruszył w tym kierunku. Byle dalej od tych ciemności!

Po kilkuset krokach dotarł do rozwidlenia, nad którym wybito w suficie niewielki świetlik.

Niebo! Belzebub zobaczył strzęp nieba! Musiał być świt albo zachmurzony wieczór. Upajał się tym widokiem tak długo, aż wspomnienie dusznej jaskini opanowanej nieprzeniknionym mrokiem ustąpiło pod naporem myśli: *Co dalej?*

*Uciekać! To jasne.*

*Ale najpierw... Najpierw muszę zobaczyć, kim on jest. Albo czym. On. Sobowtór. Drugi Kalikst Belzebub. Bliźniak. Nie mogę go tu zostawić, bo to tak, jakbym zostawił tu częśćkę*

siebie.

*Nie! Uciekaj!* – ostrzegało go coś w głowie. – *Daj sobie spokój z sobowtórem! To utuda stworzona przez Czarnego Mnicha po to jeno, by się mógł nad tobą pastwić. Szalony mag, apostata, po to tylko ulepił tego golema, by po wielekroć cieszyć się twoim strachem! Więc uciekaj! Zostaw to za sobą!*

– Muszę wiedzieć – mruknął, ucinając niespokojne myśli. – Muszę zobaczyć, kim on jest. Szedł tam, gdzie wedle jego obliczeń winno być wejście do podziemnej jaskini.

Jakiś czas wędrował w półmroku wsłuchany jeno w odgłos własnych kroków. Wreszcie zatrzymał się przy półokrągłym wgłębieniu wykutym w skale. Zamykała je wielka brama z poczerniałych, masywnych desek obitych żelaznymi sztabami. Gruba warstwa rdzy, kurz i pajęczyny – wyglądało na to, że tych wrót dawno nikt nie otwierał.

Pośrodku bramy znajdowały się drzwi. Musiano ich często używać, bo klamka była wyslizzana, a zawiasy powlekała warstewka oliwy.

Kalikst nacisnął klamkę i szarpnął drzwi.

*Oto i katownia* – pomyślał z odrazą. – *Wciąż czuć smród strachu i śmierci.*

Stalowe więzienie tkwiło na swoim miejscu zawieszona nad przepaścią. Czarna płachta na kratkach nie pozwalała zajrzeć do środka. Kalikst jednak czuł: *On tam jest! Jest pod tą szmatą.* Czuł wyraźnie, że jego sobowtór się porusza, przysiągłby, że słyszy oddech więźnia.

Złapał za kołowrót. Łańcuchy jęknęły, gdzieś tam zgrzytnął jakiś mechanizm, żuraw jednak ani drgnął. Belzebub napał na wyslizganą rączkę korby i pchnął ją jeszcze raz, wkładając w to całe swoje siły.

Jaskinię wypełnił chrzęst przesuwanych z oporem trybów i wysięgników. Żuraw z klatką przesunął się leniwie nad skalny język i znieruchomiał. Kalikst podskoczył do drugiego kołowrotu i po chwili klatka z metalicznym grzechotem opadła na kamienny pomost.

Złapał pochodnię i podszedł bliżej. Poświecił.

Jednym ruchem zdał płachtę zasłaniającą kraty.

– Wiedziałem! – postyszał kpiący głos.

Odskoczył w tył.

– Wiedziałem, że wrócisz! Każdy by wrócił. Większość. Z ciekawości. Albo współczucia. Ciekawość to rzecz cenna. Żądza poznania przybliżyła nas do Boskości, do chwili, gdy stopimy się z Bogiem, stając się Nim, Jednością...

W klatce nie było sobowtóra. Siedział w niej za to ponury apostata w habicie o barwie nocy. Kalikst aż otworzył usta ze zdziwienia. Przez głowę przemknęły mu setki szybkich myśli, bezładnych i postrzępionych.

– Ale ciekawość źle użyta prowadzi do zguby. Ciekawość, która ogarnia człeka w najmniej odpowiednim momencie, jest jeno utrapieniem. A współczucie? To już całkiem zbędny odruch, przynajmniej w tych okolicznościach. Jak widzisz, dla ciebie okazał się zgubny. Nie pomogłeś ani jemu, ani sobie.

Czarny Mnich wykonał szybki gest ramieniem. Górna część klatki runęła z łomotem w tył, wzbijając tuman kurzu.

Belzebub nie czekał na to, co będzie dalej. Odwrócił się i popędził biegiem, skąd przyszedł.

Nim dotarł do wyjścia z jaskini, drogę zastąpili mu mnisi. Dwudziestu czy trzydziestu – otoczyli go zwartą gromadą i obalili na kamienną podłogę. Próbował się oswobodzić i przemknąć między ich nogami, jednak tamci przycisnęli go do ziemi i nie puszczali.

– Nie mogłem tak po prostu pozwolić ci uciec! – usłyszał Kalikst. – Teraz dopiero najciekawsza część przedstawienia.



## ROZDZIAŁ 17

Wysmukłe słupy skalne zwieńczone kapeluszowatymi pokrywami jak okiem sięgnąć rozciągały się aż po horyzont.

– Kapadocja – powiedział Nicetas Wielka Pięść.

Waldemar Jałmużnik uczynił znak krzyża.

– Powiadają, że to kraina demonów. Że te skały to zastygła ślina diabłów wylatujących z bram piekieł.

– Gadanie! Noc idzie, więc trzeba obóz rozbić. Z diabłami czy bez. Chyba że chcesz se łeb obić o te głazy. No to droga wolna, jedźże!

– Ech, gdzieżby...

– No właśnie. O! Tam pojedziemy. – Nicetas wskazał skupisko czarnych skał tworzących niewielkie półkole. Uderzył konia piętami i mijając kamienne rzeźby, ruszył we wskazanym kierunku. Jego kompani po chwili wahania podążyli za nim.

– Wit! Weź no zobacz, co jest tam dalej i czy spokojnie. Muhammad zostaje, a ja z Waldemarem nawieziemy jakiegoś drewna na opał.

Z tym był jednak problem. Suche trawy, jakieś karłowate krzewy – tym Pan na niebiosach obdarował Kapadocję nader hojnie. Ale taki materiał gore w kilka chwil, ani się obejrzysz. Wielka Pięść i Jałmużnik pojechali więc nieco dalej, gdzie wśród słupowatych skał kusiły zielenią niewysokie drzewka. Niestety, jak się okazało, były zbyt młode, więc porzucili je i dopiero po kwadransie dotarli do miejsca, gdzie wśród rudych traw zalegało kilka grubszych, suchych pieńków. Powiązali je linami i zatachali do obozowiska.

Akurat wrócił Wit.

– I co? Co tam jest? – zapytał Nicetas.

– Nic. To znaczy to samo. Dziwaczne kamienie. Suche trawy. Długo, długo nic innego. Droga, a później dolina. Za doliną pagórek...

– Dobra, dobra, styka – przerwał mu Wielka Pięść.

– A mnie nijak nie styka – mruknął Waldemar, ukradkiem patrząc na boki. – Ktoś za nami jechał, łeb dałbym se za to uciąć. Cały dzień tak czułem. Jakby ktoś siedział nam na karku i tylko patrzył, jak za dupę złapać.

Nicetas podzielał wrażenie kompana, ale nie dał nic po sobie poznać.

– Doskonale, zatem my se klapniemy w kimę, a ty weźmiesz pierwszą wartę.

– Wartę? A odkąd to wystawiamy jakieś warty?

Wielka Pięść nie należał do myślicieli, ale nawet jego powaliło głuptactwo Jałmużnika.

– Jechał za tobą ktoś, tak? Świdrował ci dziurę w tyłku, tak? Żeś się spocił jak mysz z tego wszystkiego, tak? To teraz będziesz stał na warcie, czekając, aż coś się wydarzy albo i nie. Po tobie będzie twój brat, później Muhammad, a na końcu ja.

Wkrótce między kamiennymi grzybami rozbłysnął niewielki płomień. Bacząc na znikomą ilość drewna, Nicetas nie pozwolił na rozpalenie większego ogniska. Był to ledwie żar, z rzadka wybuchający wąskimi jęzorami.

Dobyli z juków jadło – płaty nieco łykowatej i podsuszanej koźleciny oraz bukłak wina zarekwirowany jakimś drobnemu kupcowi, który jechał traktem bez ochrony. Pojedli, popili i walnęli się spać, okrywając płaszczami.

– Zimno, nie? – westchnął Waldemar, ale odpowiedziało mu tylko miarowe chrapanie kompanów. Zasnęli, ledwie położyli głowy na trawie. Nie dziwota – kto długo w podróży, ten potrafi wykorzystać każdą chwilę na odpoczynek.

Jałmużnik potoczył wzrokiem dookoła. Wyobraźnia podsuwała mu coraz bardziej przerażające obrazy. Oto tam, gdzie ta skała, stoi w mroku porośnięty czarną szczecina demon przypominający wielką małpę ze świńskim ryjem i kłami wilka. A tam, z drugiej strony, wije się między kamieniami człowiek-wąż o skórze pokrytej łuskami, z zębami wypełnionymi jadem, o hakowato zakończonym ogonie ostrym niczym kindżał saracena. Każdy z nich miał za pomocników małe, sięgające do pasa chochliki o skórze czarnej niczym węgiel i długich ramionach uzbrojonych w łuki, z pełnymi kołczanami zatrutych strzał. Dalej zaś...

Co było dalej, Waldemar już sobie nie wyobraził, bo zasnął niczym niemowlę. Spał snem sprawiedliwego, a koszmary mącące jego umysł na jawie tym razem nie nadeszły.

Obudził go tęgi kopniak wymierzony prosto w zadek.

– Ty kurwi pomioście! To tak żeś warty pilnował? Żeśmy się wszyscy pospali przez ciebie, bo żeś nie obudził swego brata. A on Muhammada, a ten mnie! No a jakby tak ktoś rzeczywiście chciał nas poszlachtować?... No to od Jałmużnika dostałby nas na złotej tacy!

Nicetas przyłożył mu jeszcze kilka kopów, ale widząc zdezorientowany wyraz twarzy Waldemara, dał spokój. Prawda była taka, że w sumie nic się nie stało i choć Wielka Pięść w naturalny sposób przyjął na siebie rolę wodza, to nie był przecież żołnierzem, a sam przecie warcholstwo miał we krwi.

– Zaspałem? – wymamrotał Jałmużnik, niepewnie patrząc na boki. Wschodzące słońce rysowało na pokrytych rosą trawach długie cienie rzucane przez skalne grzyby. Było jeszcze chłodno, ale czyste niebo bez jednej chmury zapowiadało kolejny upalny dzień. Zanim podróżni zdążą się zebrać i wyruszyć w dalszą drogę, drobne kropelki poznikają jak skradzione klejnoty. – Mamy coś jeszcze do żarcia? Zostało coś z koziołka?

– Nie ma koziołka i nie mamy nic do żarcia. Ruszaj więc dupę. Jadziem! Przed nami Kapadocja.

Wyglądało więc na to, że nie spędzą tu zbyt wiele czasu. Jednak Waldemar nie palił się jakoś do dalszej drogi, zresztą jego brat był podobnego zdania. Nicetas tego nie zauważał.

– Pojedziemy kawałek głównym traktem na Cezareę, to będzie jakaś godzina drogi. Później, jak mistrz Atanazy kazał, skręcimy na prawo, na południe. Tam Kaliksta wywiato i tam mamy go szukać.

– Z dala od traktów, z dala od ludzi... A co będziemy żreć? Na głodniaka mamy jechać?

Nicetas musiał w duchu przyznać, że nie ma dobrego pomysłu, jak rozwiązać ten problem. Nie nawykli do dalekich podróży, a ich żywiołem był Konstantynopol, gdzie nigdy nie brakło jedła i napitku, gdzie co krok to inna karczma. Tu zaś mogli jeno liczyć na kurz z drogi i rozpalone słońce nad głowami.

– Coś się znajdzie. Coś upolujemy...

– He, he – zarechotał teatralnie Wit Wodnik. – Węża albo mysz, na pewno...

– Zbierać dupska i jedziemy! – uciął dyskusję Wielka Pięść, pokazując jako argument zaciśnięty kułak rozmiarów dojrzałego melona.

Z ociąganiem spakowali rzeczy do juków i wsiedli na koń.

– Dalej!

Nicetas uderzył konia piętami i pomknął lekkim galopem między skalne grzyby.

– Widzieliście to? Gdzie mu tak spieszo?

Chcąc nie chcąc, musieli ruszyć w ślad za kompanem i dostosować do niego tempo jazdy. Na szczęście po kilkuminutowym galopie traktem osiłek zwolnił. Teraz jego koń biegł klusem.

– Te, Nicetas! Dokąd tak gnasz? – zagadnął Wit.

– Gdybym nie przycisnął, tobyście jeszcze tam w obozie...

Nie dokończył. Bełt kuszy uderzył go w ramię i zwałił z konia. Chwilę później zza skał wyleciały następne pociski, tnąc powietrze w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej znajdowała się pierś i twarz jeźdźca.

Wit też dostał, miał jednak więcej szczęścia. Jego koń, spłoszony, stanął bokiem do atakujących. Bełt utkwiał w tarczy zawieszanej przy pasie Wodnika. Drugi przekrzywił mu kapalin na głowie, jednak nie przebił metalu.

Wielka Pięść nie baczył na ból rozsadzający ramię. Pochwycił konia za uzdę i wskoczył na jego grzbiet. Sposobem podpatrzonym u graczy w *tyzkanion* przyłgnął do boku zwierzęcia. Tarczą osłaniał się z drugiej strony.

Na nic to się jednak nie zdało. Kolejne trzy bełty posłane zza skał trafiły konia w szyję, brzuch i zad. Ten chrapnął krótko, plując krwawą pianą, i padł na ziemię. Nicetas w porę się odchylił. Dzięki temu wierzchowiec go nie przygniół, ale jeździec nie zdążył wyciągnąć nogi ze strzemienia. Zawył z bólu, gdy martwe ciało zwierzęcia strzaskało mu kolano.

Reszta zdołała uciec za najbliższe skały. Koń Wita również dostał, ale żył. Jednak bełt, który utkwiał w zadzie, powodował u zwierzęcia taki ból, że w każdej chwili gotowe było ponieść.

Przystanęli między skalnymi grzybami. Waldemar Jałmużnik dobył swej maczugi i osłaniając się tarczą, ruszył w stronę napastników.

A ci dobrze wybrali miejsce na zasadzkę. Był to odcinek, w którym trakt biegł przez pokrytą zeschniętym zielskiem łąkę, pustynię raczej z rzadka pokrytą żółkłymi trawami. Na prawo ciągnęła się szara, gładka ściana skał, zaś jedyne schronienie zapewniały nieliczne kamienne grzyby po lewej stronie. Napastnicy stali za łukiem tworzącym naturalną bramę.

Na środku traktu został tylko Nicetas przygnieciony przez zabitego konia. Wielka Pięść, powstrzymując wycie bólu, osłaniał się tarczą wciąż trzymaną w prawej dłoni. Oswobodził drugą nogę i ułożył ją na ziemi wzdłuż grzbietu wierzchowca. Ciało nieszczęsnego zwierzęcia było teraz jego jedyną osłoną.

– Kurwie syny! – syknął Waldemar. – Patrza! Dalej nie ma jak podejść, bo tu zaraz skały się kończą. A tam na górę to nie ma bata, też nie wejdziem, bo za wysoko. A pośrodku tylko sucha ziemia.

– Trzeba... z tyłu – rzekł milczący dotąd Muhammad.

– Z tyłu? Jak? Tam też nie ma osłony.

Saracen próbował coś tłumaczyć w swojej mowie, w końcu dał za wygraną. Skinął dłonią: *Chodźcie za mną*. Jałmużnik pokręcił głową z dezaprobatą, ale ruszył w ślad za Muhammadem. Wit Wodnik szedł na końcu.

Cofnęli się tam, gdzie stały konie, i jeszcze dalej, odchodząc poza zasięg kusz. Wtedy Saracen przypadł ku ziemi i ruszył biegiem przed siebie, odchodząc od traktu. Jak na razie to miało sens – wciąż osłaniały ich grzybowate skały. Jednak im dalej szli, tym bardziej kamienie rzedły, aż wreszcie wypadli na pusty płat spierzchniętej ziemi.

Z tyłu dobiegł ich krótki kwik Nicetasa. Najwyraźniej napastnicy nie przerwali ostrzału.

– Dalej! Za mną! – zakomenderował Muhammad i skręcając w prawo, pobiegł pędem przez trawy równoległe do traktu. Żmudzini gnali tuż za nim, nie zachowując już pozorów i nie kryjąc się. Zresztą nie mieli po co – tak czy siak, napastnicy mieli ich jak na dłoni.

Co było do przewidzenia, kusznicy dostrzegli ich manewr i zaczęły szyc ze swojej broni. Na próżno! Trzej złodzieje odbiegli już zbyt daleko – bełty spadały gdzieś w pół drogi. Dwa doleciały bliżej, uderzając w tarczę i kolczugę Wita. Jednak bez impetu, jak lotki ciśnięte ręką dziecka.

Po kilkudziesięciu kolejnych krokach zrównali się z kamienną bramą. Tu mieli już większą swobodę działania: napastnicy stracili ich z oczu. Muhammad wyszarpnął z pochwy szablę i ruszył, by ostatecznie zakończyć manewr oskrzydlenia.

Napastnicy nie dali się zaskoczyć. Wiedzieli, że złodzieje, których wytrwale śledzili od samego Konstantynopola, są już poza zasięgiem ich kusz. Przyszedł czas na otwartą walkę.

Gdy Saracen dopadł skalnej bramy, plugawi najemnicy Metodego (bo oni to przecie byli) już czekali z obnażonymi ostrzami. Uderzyli we czterech na Muhammada, licząc, że załkują go, nim dobiegną Żmudzini.

Płonne nadzieje! Ten jednym pewnym cięciem zdjął pierwszemu ze zbójów łeb z karku, niemal bez wysiłku przecinając kolczy czepiec i kości napastnika. To na dwa oddechy wstrzymało trzech pozostałych – wystarczająco długo, by dobiegli Wit i Waldemar ze wzniesionymi do ataku maczugami.

Po pierwszym przest్రachu, jaki spowodowała nagła śmierć ich kompana, najemnicy odzyskali rezon. Rozsunęli się na boki i osłaniając twarze i piersi dużymi, okutymi dębowymi tarczami, natarli na złodziei, usiłując sfłoczyć ich w zbitej gromadzie. Na chwilę przyniosło to skutek: Żmudzini mieli zbyt mało miejsca, by swobodnie atakować – biorąc zamach, mogli sobie nawzajem porozwalać łby.

Najwyższy z drabów, uzbrojony w długą na dziesięć stóp włócznię, wziął sobie za cel Saracena. Z rykiem skoczył w przód, mierząc ostrzem w gardło Muhammada, ten jednak w ostatniej chwili sparował cios.

Zaraz przyszedł mu z pomocą Wodnik. Żmudzin skoczył w bok, by mieć więcej swobody i potężnie zamachnął się maczugą. Rąbnął draba z mieczem. Poleciały iskry, jednak Wit nie przerywał morderczej serii uderzeń. Kryjąc twarz za niewielką okrągłą tarczą, rozpoczął jedyny taniec, w jakim czuł się pewnie: cios, krycie, zamach i znów uderzenie. Tamten zaczął się cofać.

Muhammad odzyskał równowagę i pewność siebie. Znów ruszył na dryblasę z włócznią. Widać było jednak, że najemnik nie pierwszy raz trzymał tę broń w swoich łapskach. Odrzuciwszy tarczę, która w bezpośrednim zwarciu jeno mu wadziła, stanął na szeroko rozwartych nogach i zaczął wywijać drzewcem. Tym trzymał Saracena na dystans, raz po razie próbując sięgnąć go szerokim grotem w kształcie niewielkiego miecza.

Tymczasem Jałmużnik zmagął się z trzecim bandziorem, zbrojnym w pokaźnych rozmiarów czekan. Już od pierwszych uderzeń ryży Żmudzin jął żałować, że pojechał na tę wyprawę z bronią o tak słabej sile rażenia. Owszem – perskie maczugi z kutych taśm żelaznych stanowiły doskonały argument w ulicznej bijatyce w Konstantynopolu, gdzie strategia walki opierała się na starej zasadzie: *Walnij przez łeb, bierz łup i dupę w troki*. Wszelako tutaj, na odkrytym terenie, wobec wrogów zbrojnych we włócznie i masywne czekany, żelazna pała z kulą na końcu była jeno zabawką.

Waldemar szybko jednak spostrzegł, że najemnik potrzebuje o jeden oddech więcej na to, by wziąć zamach i zadać cios. Skorzystał z tego: nim ostrze czekana wzniosło się do kolejnego razu, Jałmużnik wyprowadził szybkie uderzenie w prawe kolano zbira. Tamten ryknął z bólu. Ręka ze śmiercionośnym orężem opadła w tył. Żmudzin poprawił, bezlitośnie waląc w to samo miejsce. Najemnik runął na plecy, tłukąc łbem o wyschniętą ziemię.

Waldemar skoczył na niego pewien swego triumfu. Jednak bandzior z zaskakującą werwą

przetoczył się w bok i wyprowadził niski cios czekanem prosto w goleń Waldemara. Żmudzin zawył z bólu. Osłona chroniąca jego nogę pękła, rozcinając mu skórę do mięsa. Poczł ciepłą krew spływającą do buta.

W tej samej chwili włócznik ciął przez głowę Muhammada. Ostrze zgrzytnęło na metalowej obręczy osłaniającej zawój i zeszło niżej, tnąc do krwi skroń i policzek. Saracen mimowolnie jęknął z bólu, lewe oko zalała mu ciepła czerwień.

– Stać! – zabrzmiał nagle tubalny głos.

Muhammad otarł rękawem krew, jednocześnie zadał na oślepie cios tam, gdzie spodziewał się znaleźć najemnego zbira od Metodego. Oczywiście nie trafił, ale na chwilę powstrzymał go przed dalszą szarżą. Wyprowadził cios szabłą i kolejny, z narastającą furią młóćąc powietrze, jakby smak krwi startej z policzka wyzwolił w nim ukryte zapasy sił. Włócznik zaczął wolno oddawać pola, cofając się krok po kroku coraz bliżej kamiennej bramy.

– Staaać! Koniec mordobicia!

Wit Wodnik odpierał właśnie serię ataków miecznika. Tu walka była najbardziej wyrównana. Od dobrych kilku pacierzy tylko wymieniali ciosy bez najmniejszej rany.

Nagle jednak na grdyce Żmudzina spoczęło ostrze długiej włóczni. Wypuścił maczugę z dłoni i spojrzał w górę: nie, to nie był ten łachmyta siekący powietrze nad głową Muhammada. Zresztą tamten również stał sztywno, rozbrojony, a na jego szyi opierał się sztych na długim drzewcu. Bardziej wysmukłym, ozdobionym błękitno-złotą chorągiewką. Wodnik potoczył wzrokiem dokoła. Saracen, bandzior z mieczem, Waldemar oraz jego przeciwnik z czekanem w łapie – wszystkim przerwano walkę w taki sam sposób.

– Dosyć już tego, łajzy! Koniec rozróby!

Patrzyli zdezorientowanym wzrokiem, jakby nie dowierzając temu, co widzą. Otaczało ich kilkudziesięciu jeźdźców odzianych w łuskowe zbroje i segmentowe hełmy z długimi kolczymi czepcami. Cały strój, jak i uzbrojenie kawalerzystów, utrzymany był w złoto-błękitnej barwie. Te same kolory zdobiły kolczugi i naczółki ochraniające konie.

Ciężkozbrojna jazda cesarska – *klibanophoroi*. Elitarna kawaleria wzorowana na jeździe sasanidzkiej, od wieków będąca chlubą imperium. Jej obecność tutaj, na kapadockim trakcie, nie była rzeczą zwyczajną. I nie wróżyła nic dobrego.

– Zabrać im broń! – zagrzmiął ten sam tubalny głos co wcześniej, najpewniej dowódcy oddziału. – Rozbroić i ustawić w dwuszeregu!

– Dwóch jest rannych! – zameldował jeden z kawalerzystów. – Nie, trzech nawet. Ten jeden w twarz, ale lekko, może iść.

– Dobra, brać ich tu wszystkich. Ranny nie ranny. Oni jeszcze nie poznali prawdziwego smaku krwi. Migiem!

*Klibanophoroi* odebrali walczącym miecze, czekany, maczugi, włócznie i co tam jeszcze mieli, po czym nie zważając na jęki tych, co ucierpieli w walce, przegonili ich pod skalną ścianę.

Zza kamiennej bramy nadjechało trzech kolejnych kawalerzystów, prowadząc konie złodziei. Przez siodło jednego z wierzchowców przewieszane było zalane krwią ciało.

– A to ścierwo po co tu wiesziesz? – szczechnął dowódca. – Trup nam się do niczego nie przyda.

– Nicetas... – wyszeptał zboląłym głosem Waldemar. Poczłł dziwną suchość w gardle. – Zabili go...

Jednak gwardzista rozwiął jego obawy.

– Trup to jeszcze nie jest. Żywie. Trupem to jego koń jest, co tam leży. Ten ma tylko kolano zgruchotane. No i zemdłał, bo go bełtami poszpikowali. Ale dycha.

– Obaczym, jak dłuęo... Powiązać ich, na koń wsadzić i jedziemy.

– Gdzie jedziemy? Czego chceta od nas, eunuchy? – ryknął buńczucznie Wit Wodnik.

Gwardzista zdzielił go rękawicą w twarz.

– Czego chcemy? Bić się będziecie z Seldżukami! Do Cezarei was wieziem, a tam dostąpicie zaszczytu. Wstąpicie do karnej kompanii cesarskiej. Razem z innymi mętami z całego imperium. Mordercami, złodziejami, gwałcicielami, bandytami. Bić się będziecie na chwałę cesarza. Idziecie na wojnę, łachmyty!

\* \* \*

Rodrigo Luigi z ukontentowaniem zatrzasnął księgę rachunkową. Odłóżył pióro, zakrył buteleczkę z inkaustem i w zamyśleniu opadł na szerokie oparcie fotela. Sprawy szły dobrze. Co prawda jego pieniąż, na który liczył w tych okolicznościach, wciąż pozostawał w rękach dłużników, jednako byli to sprawdzeni partnerzy, którzy nieraz już brali złoto i zawsze oddawali z odpowiednim procentem. Na początek Pireus... Tam Luigi spodziewał się otrzymać osiemset solidów: trzysta od Dionizego Kaliasa, kupca drewnem, trzysta od Teofana z Eubei, armatora, oraz dwieście od Klaudiusza Sycylijszyka, którego fach trudno wskazać – po prostu człek interesu obracający pieniążem wszędzie tam, gdzie się tylko dało.

Genuńczyk był więc dobrej myśli – tylko raz miał miejsce fakt, że Sycylijszyk zwlekał ze zwrotem dłuęu. Za to Dionizy z Teofanem nie zawodzili nigdy.

Luigi wstał z fotela i ruszywszy na pokład galery, jął w myślach wydawać należne mu monety. Gdy dodać dwa tysiące solidów oszczędności plus złoto ulokowane w bankach w Genui, po przeliczeniu wyjdzie tego – w bizantyjskiej walucie – trzy i pół tysiąca. To pozwoli wyprowadzić na morze trzy kolejne galery i dozbroić ludzi. W sumie powstanie dzięki temu niemała flota, zdolna przejąć kontrolę nad portami nad Złotym Rogiem. A gdy już cesarz Diogenes zostanie obalony, a na tronie osiądą Dukasowie, rozpocznie się nowa era. Era kupieckiej potęęi Genui.

Kupiec stanął przed drzwiami rufowej nadbudówki i pogrążony w myślach zapatrzył się w srebrzystą toń morza. Na horyzoncie majaczyły niewyraźne kształty Milos. Ich morska karawana – galera Luigiego oraz ochraniające ją dwie dromony, płynęła w stronę tej wyspy,

obierając kurs na wygodny przesmyk obok Kimolos. Nie była to najkrótsza droga z Selucji do Pireusu, jednakowoż miała swą niewątpliwą zaletę: tędy biegł zapomniany, rzadko uczęszczany szlak z dala od wojen i morskich rozbójników. Poza statkami z Krety płynącymi na kontynent i łodziami miejscowych rybaków nie uświadczyłbyś tu ni jednego żagla.

*Ci Dukasowie...* – myślał dalej Luigi. – *Są nic niewarci, choć ich użyteczność w interesach nie podlega dyspacie. Miękczy i ulegli, łasi na władzę i chętni do ustępstw. A to – zdaniem kupca – dobrze rokowało na przyszłość...* Gdy tylko Michał Dukas nada obiecane przywileje, cesarstwo do reszty straci swój prymat na morzach – *Graeci* stali się narodem zbyt leniwym i osiadłym, narodem chłopów, drobnych rzemieślników i mnichów-sekciarzy żyjących z tego, co wyżebrzą. Taki naród nie potrzebuje praw, które dane właściwej nacji – Genuńczykom – staną się podwaliną bogactwa i chwały chrześcijan.

– Okręć! Okręć z lewej burty! – wrzasnął nagle któryś z majtków, trwożnie spoglądając w stronę Milos.

– Okręć! Z prawej! – odpowiedział mu głos z pierwszej dromony.

Kupiec dopadł burty i przysłaniając twarz przed słońcem, patrzył. Od wyspy parła na nich szybka dromona, bliska już na odległość strzału z łuku. Pruła wodę w absolutnej – pomyślałbyś – ciszy. Jednostajny plusk równo idących wiosł, rozmieszczonych po obu stronach w dwóch rzędach po piętnaście, zlewał się w jedno z szumem fal i lekkim zawrotem wiatru na sinoniebieskich, trójkątnych żaglach. Kadłub dromony, taran na jej dziobie, nawet stroje załogi również były tej barwy – zszarzałego błękitu, jak morska woda. Luigi zadrżał z niepokoju: taki kolor stosowała zazwyczaj na swych okrętach straż ścigająca morskich rozbójników. Jednakowoż nie dostrzegł nigdzie cesarskiej bandery, nie dostrzegł żadnych oznaczeń, które podpowiadałyby, kto zacz. A z tego należało wnosić, że rozpędzona dromona z taranem skierowanym w bok galery Rodriga to...

– Piraci... – wyszeptał kupiec, odskakując od burty. Zesztywniały jak kukła obrócił się w tył, rzucając puste spojrzenie na drugi okręt. Ten również maskowały szaroniebieskie barwy ochronne, więc nic dziwnego, że obie jednostki tak długo pozostawały niezauważone.

Na dromonie eskortującej statek Luigiiego już gotowali się do odparcia ataku. Łucznicy biegli na pozycje, a sternicy jęli manewrować tak, by ustawić jednostkę dziobem do piratów.

Genuńczyk z wysiłkiem przełknął ślinę, przesunął wyschniętym językiem po podniebieniu i wyskrzecztał:

– Wciągnąć banderę Malik Szacha! A chyżo!

Słowa kupca zabrzmiały jak charkot suchotnika, jednak jego osobisty strażnik, ogolony na łysy Turek, wielki drab o szkaradnej gębie pociętej bliznami, zrozumiał, w czym rzecz.

– Bandera Malik Szacha! – zakrzyknął i rychło skoczyli dwaj majtkowie, rozwijając zielono-białą, obszytą na srebrno płachtę materiału o kształcie trapezu. Zaraz zaczepili ją do linki przy maszcie i jęli wciągać. Po trzech oddechach bandera zatrzepotała na wietrze, szeleszcząc długimi wąsami z jedwabiu.



Z dromony płynącej na przedzie wyprysnął w powietrze rój strzał. Groty zadudniły po pokładzie pirackiego okrętu z prawej strony, nikomu nie czyniąc krzywdy. Napastnicy nie mogli pozostawić tego bez odpowiedzi: w stronę Italczyków pomknął grad ostro zakończonych pocisków i, niestety, tym razem ofiary były. Dwóch galerników zawyło, chwytając się za ramiona.

– Nie strzelać! Nie strzelać tam z przodu! Nie strzelać z tyłu! – padł rozkaz z nadpływającej dromony.

Piraci dostrzegli banderę seldżuckiego sułtana. W ostatniej chwili dziób zbrojny w taran, wielki jak pięść olbrzyma, obrócił się lekko, okręt zmienił kurs.

– Lewa burta złożyć deski! – wrzasnął Turek, przejmując dowodzenie nad jednostką. Galernicy posłusznie opuścili wiosła, kierując je w tył, tak że płasko przyległy do kadłuba statku. Luigi z aprobatą pokiwał głową swemu pomocnikowi. Przyjął bukłak wina od jednego z gwardzistów i pociągnął tęgi łyk.

Gdy tylko galernicy opuścili wiosła, do burty dobił okręt piratów. Zabrzęczały haki bosaków, stęknęły zarzucane liny, załomotały stopy zbrojnych. Dzika zgraja skoczyła na pokład z rykiem triumfu i nienawistnymi błyskami w oczach. *Seldżucy!* – przeleciało przez myśl Luigiemu. Poczuł ulgę zaraz zduszoną przez niepokój. Piraci w ciągu dwóch oddechów zajęli całą galery, wymachując obnażonymi mieczami. Odebrali łuki i ostrza załodze i usiedli na pokładzie jak wygłodniałe ptaszyska wypatrujące uczyty.

Italska dromona, dotąd osłaniająca rufę galery kupca, zmieniła kurs i niespiesznie, zachowując dystans, oskrzydliła okręt piratów. Strzały osadzone na cięciwach łuków lśniły w słońcu gotowe, by zadać śmierć.

Spomiędzy napastników wyszedł naprzód postawny mężczyzna odziany w błękitną tunikę wyszywaną złotym wzorem. Na niej pysznił się drogimi klejnotami pas, do którego przywieszony był kindżał o rękojeści i pochwie pokrytych masą perłową. Szarawarów, w jakie odziany był herszt piratów, nie powstydziliby się nawet sam sułtan: ciemnozielony jedwab zdobiły srebrne przeszycia ułożone w kwietne wzory i perły wielkie jak groch. Spod białego zawoju na jego głowie wypływały czarne kosmyki niczym krucze pióra i lśniąca, zmierzwiona broda o barwie węgla. Ogorzałą twarz, wysmaganą wiatrami mórza, zniekształconą zmarszczkami i bliznami, ożywiały zaskakująco młode oczy kpiąco spoglądające na Luigię. Nie licząc ozdobnego kindżału, człek ten posiadał jeszcze jeden oręż: długą szablę noszoną na plecach. Teraz jednak zbój dzierżył ją w prawicy. Słońce skrzyło się w ostrej jak brzytwa głowni.

– Zawiesiłeś banderę sułtana Malik Szacha – rzekł czystą greką herszt piratów. – Znaczy jesteś przyjaciel.

*To Tzachas! To on być musi – myślał gorączkowo kupiec. – Oto słynny wódz piratów łupiący morskie karawany na całym Morzu Egejskim...! A skąd on tu między Milos a Kimolos? Ale mam banderę! Mam banderę Malik Szacha!*

– A jużci, panie – rzekł, z trudem panując nad łamiącym się głosem. – Z sułtanem Malik Szachem łączą mnie wielce zażyłe i głębokie stosunki... Jestem Rodrigo Luigi, kupiec z Genui. Utrzymuję regularne kontakty między sułtanatem a Italią, Konstantynopolem, Rusią i Egiptem... Rzecz jasna, są to kontakty natury handlowej, do polityki się nie mieszam, co zostało docenione przez ze wszech miar czcigodnego Malik Szacha. A tyś, panie...

– Tzachas. Zwą mnie Tzachas, dodając do tego różne przydomki. Tzachas Postrach Mórz. Tzachas Trwoga Wyspiarzy. Tzachas Rzeźnik Kupców. Tzachas Kolekcjoner Dziewic. No, czego mi tam nie wymyślili! Połowa to, rzecz jasna, kompletna bzdura.

– Szacowny Tzachas! Wiedziałem od pierwszego spojrzenia. Od razu poznałem, panie, w twym wzroku odwagę i hardość, które mogą znamionować jednego tylko człeka.

Pirat puścił pochlebstwa mimo uszu i podszedł do nadbudówki na rufie. Zbliżył się do otwartych na oścież podwójnych drzwi i zajrzał w dół.

– Ładnyś sobie, kupcze, statek sprawił. Nie widziałem jeszcze, by na galerze stawiano takie rezydencje. Toż to jak pałac prawdziwy! – rzekł z kpiną.

Luigi nie wiedział, czy te słowa należy brać za dobrą monetę, jednak nie zastanawiając się, wyjaśnił:

– Tę galerę zbudowano dla mnie na me osobiste zamówienie i polecenie. Długi czas spędzam na morzach, często idąc przez sztormy, chłód i niepogodę albo przeciwnie: przez skwar południowego słońca, toteż nakazałem ustawić dobudówkę dla osłony. Większą niż zazwyczaj...

– Zaiste zmysłny z ciebie człek. Może i ja winieniem zlecić cieślom taką robotę, niechby i mi postawili rezydencję na mej dromonie...

Tzachas chwilę krążył po pokładzie, po czym zapytał:

– A co masz w ładowni, kupcze?

– W ładowni... Egh – zakrztusił się Rodrigo. Pirat wciąż dotykał niewygodnych tematów. Herszt morskich rozbójników wyczuł strach w głosie Italczyka.

– Tak, w ładowni. Pytam, bo chcę wiedzieć, czy winienem cię złupić, czy też nie warto... – wyjaśnił z kpiącym błyskiem w oku.

Genuńczyk poczerwieniał, szybko się jednak opanował i rzekł z udawaną obojętnością:

– Zboże wiozę, najlepszy gatunek z Egiptu, zakupione od armeńskiego dostawcy w porcie w Selucji. Mam ci ja tego całą ładownię, w Pireusie czeka już na towar umówiony kupiec. Czy chcesz się, panie, również zająć obrotem pszenicą? – Luigi pozwolił sobie na małą uszczypliwość. – To byłby widok paradny! Tzachas, najślynniejszy pirat Morza Egejskiego, targający do spichlerza worki pełne zboża.

Wtem umilkł, nagle zdając sobie sprawę, że się jednak zagalopował. Rzucił niepewnie spojrzenie na zbója, ten jednak twarz miał pogodną, a oczy spokojne.

– Nie, drogi panie kupcze, twoje zboże mnie nie interesuje. Za to ciekawi mnie coś innego.

– Tak, panie?

– Czy masz jakowąś certyfikację, że bandera Malik Szacha, którą w pośpiechu wciągnąłeś na maszt, widząc nadpływające nasze okręty, została tobie właśnie przyznana przez naszego władcę? A może jest to bardzo podobny do sułtańskiej bandery zwykły kawałek materii utkany w warsztacie rzemieślnika z Konstantynopola czy Tesaloniki?

Wagę swego pytania Tzachas podkreślił wymownym gestem: uniósł swą szablę i postawił na baczność przy twarzy.

Italczyk bladł i czerwieniał na przemian. Ogarnęła go fala gorąca, w gardle zaschło, a oczy zaszyły mgłą. Ledwie ruszając skołowaciałym językiem, wymamrotał:

– Tak! Mam... Mam dokument spisany ręką samego Malik Szacha, niech mu Bóg zawsze wypełnia wiatrem żagle i usuwa kurz z drogi, oraz jego pierścień rodowy należący niegdyś do sułtana Alp Arslana. I zapewniam cię, panie, że jest to porporzec utkany przez sułtańskich rzemieślników, a nie partaczy z Konstantynopola.

– Pierścień samego Alp Arslana? To musi być wyjątkowy klejnot! Pokażże go więc, zacny kupcze! Rad bym takie precjozum na własne oczy zobaczyć!

Rodrigo Luigi zmartwiał. Krew naszła mu do głowy gwałtownym uderzeniem. Odruchowo cofnął się o krok, chwytając za drewnianą balustradę. Oczy kupca przesłoniła mleczna mgła, w której zamajaczyły jakieś niewyraźne kształty. Zamrugął gwałtownie. Zobaczył port w Genui i swoje cztery galery, z których robotnicy portowi niczym mrówki wynosili skrzynie pełne towarów. Po chwili statki i port ustąpiły miejsca rezydencji – teraz widział swoje domostwo otoczone wysokim murem kryjącym ogród. W nim dokazywały dzieci, niesforna dwójka ośmiolatków, które teraz – w jego wizji – chlapały na swą nianię wodą z fontanny. Ujrzał twarz swej pani, donny Veroniki, jej czarne oczy głębokie jak alpejskie jezioro.

– Panie Rodrigo! – słowa pirata trzasnęły niczym bat, chlaszcząc go boleśnie. – Cóż z tobą? Nuże, pokażże klejnot i certyfikację!

Kupiec przetarł ręką oczy, strząsając spod powiek słodką wizję. Opamiętał się i wyskrzecztał:

– W rzeczy samej, pierścień i certyfikację mam, jeno zostały mi one skradzione w Konstantynopolu, mieście, w którym na każdego kupca przypada dziesięciu złodziei. Wyobraź sobie, panie, że opryszek wyciągnął owe cenne przedmioty ze starannie ukrytego schowka, którego umiejscowienia nie znał nikt poza mną. I pewnym cieślą, niech mu ziemia lekką będzie, a Bóg łaskawy. Jestem jednak pewien, że sułtan Malik Szach, gdy mu o tym opowiem...

Cięcie szabli przerwało potok lejący się z ust Genuńczyka. Na zbiele od słońca i morskiej wody deski pokładu padł sznur krwistych drobinek, po chwili czerwień z rozprutego gardła Luigiego bluznęła równą falą.

– Mham... Mhamm... – bulgotał Rodrigo, próbując powstrzymać życie uciekające przez

szeroką ranę pod brodą. – Phier... Phier...chr...

Tzachas zakończył cierpienia Italczyka, tnąc go szablą przez łeb. Ciało z ciężkim łoskotem rąbnięto o pokład.

Piraci jakby tylko na to czekali. Nim załoga kupieckiej galery zdążyła otrząsnąć się z osłupienia, morscy rozbójnicy rozpoczęli rzeź. Zaśpiewały klingi szabel chlastające uciekających w popłochu galerników. Kilku zbrojnych z osobistej obstawy Luigiego dobyło swych ostrzy, jednak nim zdolali je unieść, padli obok swego pana naszpikowani strzałami.

Tylko jeden wojownik nie ustąpił pola. Wysoki Turek ogolony na tyso wywijał swym lśniącym czekaniem, trzymając piratów na dystans. Strzały z łuku się go nie imaly. Odparłszy atak najbliższych rozbójników, dryblas natarł na Tzachasa.

Herszt nie bez trudu sparował szablą mocarne uderzenie, klinga zgrzytnęła o stylisko potężnej broni, aż iskry poszły.

– Tyś jednym z nas – wydyszał po seldzucku pirat. – Tyś poddanym sułtana jako i my! A służyłeś Italczykowi! Przyłącz się do nas i zaprzestań walki. Widzisz przecie, że twój pan nie dycha.

Potężny Turek pozostał głuchy na te słowa. Ryknął z wściekłością i wyprowadził kolejny cios. Tzachas zanurkował pod umięśnionym ramieniem napastnika, o włos unikając rozłupania czaszki. Lewą ręką wyrwał zza pasa kindżał i osłaniając głowę szablą, skoczył do piersi tamtego.

Tymczasem walka rozgorzała też na dromonach. Dwie jednostki z przodu zwarły się w abordażu. Powietrze wypełnił świst strzał, śpiew szabli i jęki rannych. Tu siły były wyrównane, waleczność i dzika żądza mordu piratów stawały naprzeciw wyszkoleniu i karności kupieckiej obstawy.

Drugi bojowy okręt Italczyków, dotąd dryfujący burta w burtę z dromoną Tzachasa, tyle że w pewnym oddaleniu, niespodziewanie obrał inny kurs. Przepłynął w przód i powoli jął zataczać koło. Po chwili uderzenia bębna wzmogły się, a wiosła zaczęły młócić fale. Taran dromony mierzył dokładnie w sam środek burty okrętu piratów.

\* \* \*

Jan Italos trząsł się ze śmiechu. Chichocząc półgębkiem, patrzył, jak dromona Italczyków wchodzi głęboko w burtę okrętu piratów, jak w tej samej chwili zbójce zarzucają bosaki na pokład atakującej jednostki, jak krępują ją linami i podpalają, szyjąc ognistymi strzałami. Okręt kupieckiej obstawy i niedawna flagowa dromona Tzachasa stanęły w płomieniach, ale Seldzucy przeskoczyli na galerę Luigiego.

– Jedna na tysiąc! Gdzie tam! Jedna na sto tysięcy – rechotał Italos, widząc, jak pożar ogarnia żagle szcepionych ze sobą dromon, a galera odpływa od pogorzelska, obierając kurs ku drugiej parze ogarniętych walką statków.

Filozof wybuchnął niczym nieskrępowanym śmiechem. Wizja rozmyła się, pozostał tylko

słodki zapach kadzidła i czerwony płomień świecy ulepionej z czarnego wosku na kształt demona.

– Jedna na tysiąc razy po sto tysięcy!!!

Italos dziarskim krokiem podszedł do okna, odciągnął kotary i rozwarł szeroko okiennice. Światło dnia niechętnie zaczęło rozpraszać zasnute kadzidlany dymem wewnątrz, skrząc się w wirujących drobinkach kurzu. Mędrzec poślinił palce i zdusił płomień świecy. Choć na zewnątrz świeciło słońce, rozgrzewając ulice miasta do białości, filozof zarzucił na plecy płaszcz, a głowę skrył pod kapturem. Wciąż chichocząc, zszedł na dół. Zatrzasnął drzwi swej wieży i ruszył w stronę pałacu cesarza.

– To była szansa jak jeden na tysiąc razy po sto tysięcy – tłumaczył kwadrans później władcy. – Muszę przyznać, że ta gra była obarczona największym stopniem ryzyka. To znaczy nie w tym sensie, że mogła spowodować jakąkolwiek wymierną szkodę. Chodzi mi raczej, że to nie miało prawa się udać. Łańcuch przyczynowo-skutkowy był zbyt długi, a jednak wszystkie ogniwa utrzymały się w należytych porządku.

Przerwał i spojrzał na cesarza, nie będąc pewien, czy on nadaża za tym gorączkowym wyznaniem. Roman Diogenes skinął głową: *Mów dalej.*

– Wiedzieliśmy z wizji... Hmm, który to był? To był srebrny ogień, ogień demona Nasu. W tej wizji widzieliśmy, jak Genuńczycy pod komendą Rodriga Luigiego spiskują przeciw tobie, panie, i doprowadzają do ustanowienia swojej własnej, sprzyjającej im władzy. Wtedy to wydawało się nieprawdopodobne i niejasne. Teraz jednak jest potwierdzenie tamtych obrazów – już wtedy ujrzałem skrawek przyszłości, w której przystąpisz do wojny w Syrii przeciwko Seldżukom, choć wizja tego nie pokazywała. Pokazywała za to, jak Italczycy z zaskakującą łatwością przejmują kontrolę nad portami Konstantynopola, po czym działając w porozumieniu ze spiskowcami na dworze, przejmują władzę nad stolicą.

– Spiskowcy na dworze? Powiedz mi coś więcej o tym. I kto umówił Italczyków?

– Tego nie wiem, panie. Jak powiadam: mam jeno szczątki obrazów, z których mogę składać częściowy tylko obraz przyszłości i terażniejszości. Wiem tyle, że bunt Genuńczyków był częścią spisku, który knuty jest teraz właśnie, a ma miejsce dlatego, że nadarzyła się niebywała okazja: wielka kampania zbrojna przeciwko Seldżukom.

– Kto? Kto to uknuł? Dlaczego to przede mną ukrywasz?

– Panie, tego nie sposób ustalić. Przynajmniej na razie. Bogu należy dziękować za to, że Italczyków mamy z głowy. Długo się nie podniosą, bo tylko Rodrigo Luigi miał poważanie, które pozwoliłoby przystąpić do wspólnego spisku zwaśnionym Genuńczykom i Wenecjanom. I pomyśleć, że wystarczyło tylko ułożyć jeden element tej układanki: znaleźć w mieście złodziejzka, który wykradnie kupcowi pierścień i list od Malik Szacha! Ale przecie to nie musiało doprowadzić do rozstrzygnięcia. Złodziej mógł zawieść, kupiec mógł obrać inną trasę podróży, pirat mógł łupić kogoś innego setki mil dalej, wreszcie mógł też nie wnikać tak bardzo w sprawy Luigiego i widząc proporzec sułtana, odplynąć w swoją stronę.

Mogła być po drodze setka innych przeszkód. A jednak się udało!

Jan Italos z ukontentowaniem mierzwił brodę. Oczy błyszczały mu jak u dzikiego zwierza, który dopadł właśnie długo tropioną ofiarę.

*Basileus* Diogenes zachował powściągliwość. Chodził po komnacie, obracając w myślach słowa mędrca.

– Czyli powiadasz, że bunt Italczyków w twojej wizji miał ścisły związek z tym, że imperium przystąpi do wojny przeciwko Seldżukom? Że mnie nie będzie w Konstantynopolu? Inaczej by się nie wydarzył?

– Tego nie wiem, ale tak nakazuje logika. Kupiec sposobiał się już do ataku, co wcześniej zdawało się całkowitym nieprawdopodobieństwem. Bo jak? Miałyby wystarczyć cztery galery Italczyków plus parę setek najemników z Sycylii, by obalić cesarza? A jednak taki obraz się pojawił. Teraz wiem dlaczego. To było szykowane pod twoją, panie, nieobecność.

Cesarz pokiwał z uznaniem głową.

– Chylę czoła przed twym umysłem, Italosi. Jednak chciałbym wiedzieć, kto za tym stoi. I jeszcze jedno: najpierw zdrada italskich kupców, później nocny skrytobójca. Oba te czyny związane są z udziałem w wojnie w Syrii. Jakie więc jeszcze niespodzianki szykują dla mnie zdrajcy? Kupców mamy z głowy, jednak wciąż nie wiemy, kto za tym stoi. Kto naśle zabójcę i co jeszcze knuje.

Italos zasępił się.

– Nie wiemy wszystkiego, panie. Ale będziemy wiedzieć, na pewno. Wcześniej czy później będziemy wiedzieć.

## ROZDZIAŁ 18

Znów siedział w klatce. Tym razem w tej, którą uprzednio zajmował jego sobowtór. W jaskini panowała ciemność, słyszał jednak jakieś głosy w oddali. Najpierw szuranie, później szepty. Gdy umilkły, pojawił się nowy dźwięk – skrzypienie sunące od wejścia do podziemnej sali w stronę kamiennego języka. Mimo że otaczała go nieprzenikniona i niezgłębiona czerń, Kalikst zamknął oczy, starając się lepiej poznać naturę tych odgłosów. To brzmiało tak, jakby ktoś ciągnął w mroku jakąś maszynę na drewnianych kółkach, z wysiłkiem i mozołem, więc musiała to być konstrukcja nadzwyczaj ciężka. Wyłowił też inny dźwięk – leniwe chlupotanie.

Skrzypienie ustało, wtedy posłyszał insze dźwięki – pociągłe zgrzyty, stukot i sapanie. I znów ten odgłos jakby z wielkiej flaszki wypełnionej oliwą!

I trupi smród. Ten sam zapach, nieznośny, mdlący, który męczył go już wcześniej. Tak silny, że nie ma chyba człeka, który byłby zdolny znieść go bez kotłowaniny w żołądku.

Wreszcie w jaskini zaległa cisza, a odór nieco zelżał lub tylko Kalikst do niego przywykł.

Myślał o Zoe. Znów zobaczył ją pod powiekami – nierealną, a jednocześnie bliższą niż kiedykolwiek.

– Kup mi tę broszkę, Kalikst – powiedziała, wskazując na stragan syryjskiego kupca. Pośród srebrnych, miedzianych i brązowych pierścieni, zawieszek, łańcuszków pyszniło się złote cacko misternie rzeźbione na kształt głowy węża. Oczy gada lśniły czerwienią niewielkich rubinów.

To było na początku lata, na targu nieopodal Forum Teodozjusza. Najpierw w nocy... Tak, wtedy Kalikst też nie był pewien, co się działo w nocy po tym, jak opuścili tawernę. Zoe na pewno też nie – rano przywitała zgięta nad wiadrem, rzucając pełne bólu przekleństwa. Dopiero poranne piwo uspokoiło sztormy w głowie i w żołądku i po południu ruszyli na miasto.

– Ukradnę ci ją – przechwalał się Kalikst, choć obok kupca stał zarośnięty jak małpa osiłek pilnujący straganu. – Tylko popatrz!

– Nie! Nie chcę, żebyś kradł, tylko kupił. Rozumiesz? Sięgasz do sakiewki, wyciągasz solida, dajesz kupcowi... Zresztą i tak byś nie dał rady. Widzisz tego zwalistego dryblasa? Ma cię na oku i tylko czeka, żebyś dał mu pretekst do przyłożenia ci tą pałą, co ją pieści w swych

łaskach. Więc, mój drogi, zatrzymaj się i po prostu kup.

– Ha! Nie dam rady? Prowokujesz mnie, dziewczyno! Robisz to świadomie i z rozmysłem, oczywiście po to, żebym nie kupił ci tej broszy, lecz stał się z tym zwierzęciem. Z tą kudłatą ludzką małpą. Więc dobrze, kupię ci ją. Właśnie dlatego, żeby zrobić ci na przekór.

– Jesteś babą, a nie złodziejem – powiedziała ze śmiechem Zoe, jednak broszę, na którą Kalikst wydał półtora solida, z wdzięcznością przyjęła.

Nagły hałas sprawił, że wspomnienie uleciało niczym suchy listek zdmuchnięty zimnym powiewem wichru. Belzebub otworzył oczy.

U wejścia do jaskini kłębiło się kilku trupich mnichów powolnymi ruchami odpalających pochodnie. Wkrótce dwóch z nich ruszyło wąskimi ścieżkami biegnącymi po bokach podziemnej sali, tuż nad przepaścią. Zapalali tam kolejne ognie, aż jasność ogarnęła całą jaskinię.

Zamrugnął oczami, z trudem przyzwyczajając wzrok do światła. Na końcu skalnego języka, tuż przy katafalku, wznosiła się skomplikowana konstrukcja z okazałym kotłem wyszczerbionym na brzegach i poczerniałym na bokach od sadzy. Pod nim leżały grube jak udo szczapy drewna i mniejsze drzazgi do podpałki tworzące regularny kopczyk. Trzy kroki dalej wznosiła się podobna przyzma, tyle że trzy razy większa. A w kotle...

W kotle tkwił nieruchomo sobowtór Kaliksta. Tępo wpatrzony przed siebie nie zwracał uwagi na to, że aż po ramiona zanurzony jest w oliwie. Jakby nie wiedział, do czego może służyć wielkie, osmalone naczynie z miedzi.

– Bądź przeklęty – wyszeptał ze zgrozą Belzebub.

Niczym na zawołanie u wejścia do jaskini stanął Czarny Mnich.

– A więc już wiesz, jakie cię czeka widowisko!

Zatrząsał się w bezgłośnym śmiechu, jakby targała nim febra. Chichot szaleńca wkrótce przeszedł w okropny, metaliczny rechot wypełniający brzęczącym echem całą grootę.

– Gotowanie w oliwie! Powolne, bez pośpiechu. Jak na dobrego kucharza przystało. Nie może być przecie tak, że się nasz ptaszek zbyt czy też zbyt szybko przypali.

Ohydny zakonnik ruszył niespiesznie w stronę kotła. W dłoni dzierżył pochodnię i znacząco unosił ją ponad głowę. Gdy stanął przed stołem, Kalikst odsunął się w głąb klatki. Nie chciał tego oglądać. Nie potrafił.

Coraz głośniejszy śmiech diabelskiego mnicha brzmiał jak tarcie metalem o kamień.

– Myślisz, że to, co widziałeś wcześniej, i to, czego nie chcesz oglądać teraz, to najgorsze twe doznania? Że widok obrąbywanych członków, rozszarpywanego ciała, wreszcie widok czerwieniącej się skóry twojego sobowtóra, rozpalanej olejem, to najgorsze, czegoś doświadczył w swym życiu?

Kalikst zamknął oczy. Zasłonił też dłońmi uszy, jednak głos okrutnego mnicha rozbrzmiewał pod czaszką, jakby ten sączył mu swe słowa wprost do głowy.



– Nie, mój drogi Belzebubie. To jest jeszcze nic. Najgorsze przed tobą. Patrz!

Nie chciał patrzeć, ale stanowczy głos był niczym mocarna łapa naginająca jego kark w stronę kotła, brutalnie rozchylająca mu powieki. Próbował z tym walczyć, miotając się po klatce. Jednak bezskutecznie. W końcu uległ. Patrzył.

Zakonnik z piekieł rzucił pochodnię na stos drew. Szczapy natychmiast ogarnęły żywy, żółty ogień – znać, że dla lepszego płomienia trupi słudzy polali stos oliwą. Gorące języki liznęły okopcone boki kotła.

*Przeklęty mnich! Przeklęte powieki! Nie chcę na to patrzeć! Nie chcę! Nie chcę!*

– Dobrze, nie patrz – rzekł nagle mroczny heretyk i niespodziewanie łapa, która przyduszała Kaliksta do prętów klatki, odpuściła. – Ale wiedz, że to nic nie da. Jak powiedziałem, rzeczy, których doświadczyłeś do tej pory, były niczym. Ale chowaj się, chowaj jak szczur, póki jeszcze możesz.

Belzebub odwrócił się, próbując sobie wmówić, że wszystko wokół jest tylko ułudą, jednak nie wytrzymał długo. W jaskini panowała nienaturalna cisza przerywana niekiedy głośniejszymi strzałami rozrywanych przez ogień szczap. Podpełził bliżej prętów i patrzył. Płomienie szalały, ale poza tym nie działo się nic.

W kotle już wrzało. Olej powoli wypuszczał pierwsze pęcherzyki powietrza, powierzchnia cieczy niespokojnie zbulgotała, jednak – co dziwne – sobowtór tkwił nieruchomo, jakby to wszystko w ogóle go nie dotyczyło. Ślizgał tępy wzrokiem po ścianach jaskini, poziewując przy tym ze znużeniem. Kalikstowi aż się zrobiło gorąco na ten widok – więzień-bliźniak albo nie był człowiekiem, albo szatańscy mnisi zaaplikowali mu jakieś zioła!

Pot zalał najpierw twarz, potem plecy Belzebuba. Ogarnęła go fala narastającego żaru – przez ten widok płonących żywo szczap i wrzącej oliwy czuł się tak, jakby to on tkwił w kotle. Przed oczami zawirowały mu kolorowe płatki. Opadł na plecy bez sił, czując narastające pragnienie. Było duszno. I coraz cieplej.

Nie, to nie brało się z samego oglądania. Kalikst syknął: paliło go już całe ciało. Żar coraz silniej szarpał skórę, ból przestał już być szczypaniem. Był prawdziwym bólem z ognia.

Czarny Mnich zaświszczał, dusząc się śmiechem.

– A więc już wiesz? Wiesz, o co chodzi tym razem?

Belzebub jeszcze nie wiedział. A może i wiedział, jednak nie chciał dopuścić do siebie tej myśli. To było zbyt nieprawdopodobne. Zbyt szatańskie, nienaturalne. Tak się dziać nie mogło! Takie rzeczy się nie zdarzają!

Jeszcze raz wbił wzrok w swego bliźniaka. Ten nic. Stał bez ruchu jak tyczka w polu, obojętny, pozbawiony emocji. Nie mógł przecież niczego nie czuć – pęcherzyki gotującego się oleju aż strzelały, a jaskinię wypełniło narastające skwierczenie.

Narastał też ból palący ciało Kaliksta. Wprost rozrywał jego członki, drąc skórę i mięśnie.

Już nie mógł powstrzymać wycia.

A Czarny Mnich tylko się śmiał.

– Wreszcie rozumiesz? Jego gotuję we wrzącej oliwie, ale ty za niego cierpisz. Zobacz! Patrz, jak stoi bez ruchu, jakby owiewała go chłodna morska bryza. Jakby stał na portowym nabrzeżu nad Morzem Marmara wpatrzony w kiwające się na wietrze żagle. On nie czuje nic, za to ty... Sam już wiesz! Osiągnąłeś już pierwszy stopień bólu, kiedy jeszcze możesz to znieść. Zaraz po nim przyjdzie drugi stopień, gdy nie potrafisz już powstrzymać okrzyku cierpienia. Zaręczam ci, że nie kończy się na dwóch stopniach, jest ich wiele. Ciekawi mnie tylko, jak daleko zdołasz dojść.

Kalikst złapał za pręty klatki, usiłując je wyszarpnąć i uciec byle dalej od tego koszmaru. Jednak żelazne drążki ani drgnęły. Drgało za to całe jego metalowe więzienie, coraz silniej szamocące się na łańcuchu.

Olej w kotle już wrzał. Powierzchnia cieczy bulgotała z głośnym skwierczeniem, przyskajac na boki rozpalonymi kroplami. Ogień objął wielki gar czułymi dłońmi, ściskając go i rozpalając do czerwoności.

A ten przeklęty bliźniak nic! Tylko sobie stał, jakby taplał się w wodach Złotego Rogu, o świetle chłodząc głowę po całonocnym picciu w tawernie.

– Zabiiiję cię!!! – ryknął Kalikst rozrywany przez ogniste kleszcze bólu. – Obie...! Obiecuję! Ci to!! Obie...

Szatański zakonnik ze śmiechu aż się kiwał, jakby wznosił modły do swego mrocznego władcy.

Belzebub runął na podłogę klatki i tłukł czołem o twardą powierzchnię. Nowa fala bólu. Bił mocniej niezdolny do niczego innego: tylko odlecieć w mrok, w nieprzytomność, w sen...

Na próżno. Aż ochrypl od wrzasku, ale ciemność nie nadeszła, a ból nie ustąpił. Cierpienie nie tylko darło jego skórę: ogarnęło już każdy skrawek jego ciała, tocząc zamiast krwi w żyłach rozpaloną lawę, gotując szpik, tłąc na węgiel kości.

Braciszkwowie, nie zważając na to, co się dzieje dookoła, przynosili kolejne szczapy i rzucali je pod kocioł. Ogień sięgał już ponad brzegi naczynia, muskając ramiona sobowtóra. Ten jednak nie czuł nic nawet wtedy, gdy spalona przez wrzącą oliwę skóra jęła się na nim łuszczyć jak na kawałku pieczonej papryki. Nie czuł, gdy z płonącej twarzy wypłynęły mu oczy. I tylko język sterczał jak spalony na węgiel kołek.

Kiedy gorąco obrało więźnia-bliźniaka do żywego mięsa, Kalikst opadł bez czucia.

Wreszcie wchłonęła go czarna otchłań, gdzie już nic nie czuł.

\* \* \*

Nie było ludzi na ulicach, na skwerach, w domostwach. Nic, pustka, tylko wiatr ponuro pędził po bruku kłęby szarego kurzu. Nie było ludzi, nie było psów, mew ani szcurów. Najmniejszych oznak życia. Niebo zasnuwane ołowianymi chmurami, ciemne i nieprzyjemne, zdawało się opadać jak sufit zrujnowanego pałacu. Mury budynków, kamienną kostkę ulicy,

bramy rezydencji – wszystko pokrywał ciemny nalot niczym choroba odbierająca twarzy kolory. Szczerniały nawet ogrody okalające domostwa. Drzewa gięły się ku ziemi: skarłate, zduszone, zeschnięte...

Popatrzył z niedowierzaniem. *Idzie burza* – tłumaczył sobie to, co widział. Nigdy jednak nadciągające nad Konstantynopol chmury nie przstraszyły tak jego mieszkańców. Ruszył wzdłuż ulicy, kierując się w stronę portu. Tam zawsze tętniło życie. Jeżeli nie na nabrzeżu, to w tawernach i lupanarach.

Port przywitał go potępieńczym zawrotem wiatru. Morze szalało targane niepokojem, czarne fale z wściekłością biły o nabrzeże. Na ich grzbietach po drygowały połamane deski, fragmenty beczek i skrzyń, strzępy szmat... Wkrótce dojrzał, skąd pochodziły – w oddali, na środku zatoki, sterczało z wody kłębowisko wraków. Las masztów tkwiących w falach jak ostrza w rannym ciele. Jednak nigdzie nie dojrzał żywego ducha. Nie było też ciał ani nic, co wskazywałoby, że w tym mieście, w tym porcie, kiedyś życie tętniło od świtu do nocy, nawet gdy nadciągał sztorm.

Cofnął się, przecierając oczy.

– Seldżuci...? Na miasto napadli Seldżuci, korzystając z nadciągającej burzy? Ale gdzie są wszyscy?

Pobiegł wzdłuż nabrzeża do najbliższej tawerny. Do „Bezgłowego Scyty”. Szarpnął drzwi: rozsypały mu się w rękach jak stare próchno.

– Co jest...?

Ściskając rękojeść tkwiącego za pasem puginału, wszedł do ogarniętego mrokiem wnętrza. Na stołach piętrzyły się misy – puste, jakby dla dekoracji – oraz dzbany, tak jak wszystko inne pokryte ciemnym nalotem. Sięgnął po najbliższą amforę, z nadzieją zaglądając do wnętrza. Pusta. Tylko drobiny piasku na dnie.

Cisnął naczynie w najgłębszy mrok w końcu izby. Odpowiedział mu rumor sypiących się naczyń i szcęk pękającej gliny. Wskoczył na zewnątrz.

„U Teofilakta” było tak samo: półmrok, stoły zavalone pustymi misami i wszechobecny czarny kurz. Do „Czarnego Kraba” nawet nie zaglądał – wystarczył mu widok wiszących na jednym zawiasie zbutwiałych drzwi.

– Domy! Ludzie muszą siedzieć w domach, skoro nie ma ich w tawernach – próbował się pocieszać. Jak oszalały biegł wzdłuż ulicy, otwierając wszystkie bramy.

Nie było ludzi. Ani w knajpach, ani w lupanarach. Ani w portowych magazynach, ani w domostwach.

Nagle dostrzegł coś niepokojącego. Wiatr ustał, ciemne niebo nad głową znieruchomiło, zapadła cisza. Powoli narastał nowy dźwięk: sypiących się kamieni. Z początku nie wiedział, w czym rzecz. Gdy jednak podszedł do najbliższego budynku, zrozumiał. Dom kruszył się jak wystawiony na słońce zamek z błota ulepiony przez dziecko na brzegu zatoki. Kamyczek po kamyczku, drobina po drobinie, wreszcie odpadały całe kawały muru.

Kalikst uciekał, szybko jednak spostrzegł, że nie ma ocalenia. Choć ucichło nawet morze, choć wiatr nawet nie jęknął, choć ziemia milczała spokojna jak nigdy, solidne domostwa sypały się rozkruszane przez niewidzialną siłę. Bez zbyteńnego hałasu: tylko ten dźwięk kamyczków, nieustający, złowróźbny.

Wtedy runął pierwszy budynek – wielki magazyn zboża stojący tuż przy nabrzeżu. Zawalił się z rumorem i skrzypieniem machin do przesypywania ziaren. Spichlerz otoczyła chmura pyłu.

Domy zapadały się na jego oczach. Grzechot kamieni narastał potęgowany przez huk upadających dachów, druzgotanych pięt i przez trzask drewnianych bali podtrzymujących konstrukcje budynków. Hałas narastał. Narastała ciemność. Kalikst pogрузzył się w niej.

\* \* \*

– Zaiste, mnichu, paradne przedstawienie – rzekł Andronik Dukas, szukając wzrokiem potwierdzenia u Symeona. Złe Oko tylko skrzywił się z obojętnością i wrócił do przerwanej pracy: wydłubywania końcem pugińału brudu zza paznokci. – Paradne i wielce zajmujące. Przyznam, że rzadko miałem okazję widywać coś takiego.

Czarny Mnich rzucił kpiąco:

– Rzadko? A gdzieżeś już widział, mój panie? Gdzieżeś coś takiego widział?

– No dobrze, niech tam! Takiego przedstawienia nigdzie nie widziałem – pochwalił Andronik. I unikając spojrzenia w cień kaptura zakonnik, mruknął: – Powiedz tylko, jaki jest cel tych zabaw, bo przecież nie dla rozrywki żeśmy tu przybyli. Nawet dla najlepszej.

Gospodarz monastynu nie odpowiedział. Kiwając głową, podszedł do kamiennego stołu, na którym spoczywał Kalikst: nagi, pokryty rudymi skrzepami krwi. Jeniec ciężko oddychał. Żył.

Tym razem wszystko działo się w okrągłym pomieszczeniu ulokowanym tuż nad podziemną jaskinią. Niewielki otwór w podłodze osłonięty kratą wychodził prosto na katafalk, na którym demony rozrywały ciało sobowtóra. Stąd widać było też kocioł i ognisko pod nim, teraz wygaszone, ale jeszcze się tłące.

Szatański zakonnik wysunął swoje ramię w stronę Kaliksta. Końcem rękawa musnął jego ciało, zatrzymując dłoń nad czołem. Chwilę stał tak bez ruchu, w cichości, wreszcie powiedział:

– Nie, mój zacny Androniku. Nie dbam, mówiąc szczerze, aż tak bardzo o rozrywki dla ciebie czy twojego towarzysza, choć jesteście moimi gośćmi. Cel moich działań jest zgoła inny i pozostaje w ścisłym związku z celem twojej podróży. Patrzaj!

Wskazał na Belzebuba.

– Co widzisz?

Dukas wzruszył ramionami.

– Plugawego złodziejaszka, który wkradł się na teren twojego klasztoru, by wykraść ci

domniemane skarby. Myślał pewnie o złocie, szlachetnych kamieniach, srebrnych dzbanach i czym tam jeszcze. Ukaraleś go przykładnie, to zasługuje na pochwałę.

Czarny Mnich wydał z siebie głos, jakby ktoś zgrzytał ostrzem topora po katowskim pieńku. Śmiech?

– Nie, nie, mój drogi panie. Mylisz się! A więc dobrze. Pozwól, że dokonam oficjalnej prezentacji. Androniku Dukasie, przedstawiam ci Kaliksta Belzebuba, najlepszego mordercę, jakiego widział ten świat, mistrza skrytobójców.

Zakonnik obrócił się w stronę stołu.

– Kalikście, pozwól, że przedstawię ci Andronikowi Dukasowi, twojemu panu z cesarskiego rodu. Dla swego pana zabijesz uzurpatora Diogenesa, zwanego Romanem IV.

Andronik znów poszukał pomocy u Symeona, jednak ten czuł się zwolniony z obowiązku wyjaśniania czegokolwiek. Od tego był Czarny Mnich. Złe Oko demonstracyjnie czyścił paznokcie, udając, że nie zauważa znaczącego spojrzenia Dukasa.

Ten zwrócił się więc do zakonnika.

– Nie rozumiem... – mruknął niepewnie.

Mnich nie odpowiedział. Stał zapatrzony gdzieś przed siebie, z rękami skrytymi pod rękawami habitu. Dopiero po dłuższej chwili obrócił się do Andronika i zapytał:

– Myślisz, że czemu służyły te tortury? Że chciałem go ukarać? Takich jak on nadziewam na pal, to wystarczająca kara. Zresztą widziałeś tych głupców w dolinie. Złodzieje, wszelakie szumowiny nie wiedzieć czemu ciągną tu z najdalszych krańców znanego nam świata i zazwyczaj kończą nadziani na zaostrzony drąg. Nie dbam o nich bardziej niż potrzeba. Nie są tego warci. Ale ten jeden... Kalikst Belzebub, złodziej z miasta Konstantynopol, doszedł dalej niż którykolwiek z nich wszystkich. I nie zaliczam na jego korzyść tylko tego, jak daleko zaszedł, ale także w jaki sposób. Nie rozwodząc się zbytnio na ten temat: ten chłopak ma talent. Nie tylko do złodziejstwa. To nieoszlifowany diament, który może przydać się do rzeczy bardziej pożytecznych. Dla mnie. A także dla ciebie oraz twojego brata, cesarza.

Musnął Kaliksta rękawem po twarzy i znów, jak poprzednio, zamarł z dłonią skrytą pod czarną materią nad jego czołem.

Dukas wzruszył ramionami. To żadne wyjaśnienie! Nie nadążał za tokiem rozumowania mnicha.

– Wytlumacz mi, jaki jest związek dręczenia tego złodziejzaka z naszymi planami? Owszem, rozumiem, ten wykazał się sprytem, doszedł daleko, ale pewien jestem, że jakbyś chciał, znalazłbym dziesięciu równie sprytnych jak on. A może sprytniejszych! Ale umiejętność wkradania się do monasterów na pustkowiu nie zbliża nas ani o krok do usunięcia uzurpatora. Wprost przeciwnie, tracimy cenny czas. Więc w czym rzecz? Po co te tortury?

– Rozbiłem jego duszę – odparł prosto zakonnik i zamilkł.

Cisza trwała tak długo, aż Andronik zapytał:

– Rozbiłeś, mnichu, jego duszę?

– Rozbiłem jego duszę, tak jak możesz rozbić gliniany dzban, który wcześniej nosił wino. Na tysiące drobnych okruszków. On już nigdy nie będzie tym samym głupim złodziejaskiem z Konstantynopola.

To wytłumaczenie nie przekonało jednak młodego Dukasa.

– Nie pojmuję... W czym rzecz? Czy na pewno wiesz, co robisz, mnichu?

– To moja powinność i moje dzieło. Czy wiem, co robię?! Chcąc okazać gościnność, uznaję słowa zwątpienia, które wypowiadasz, panie, nie za brak zaufania, lecz za skutek twej niewiedzy i porywczosci.

– Jak rozbijesz dzban, to wino się rozleje. Nie będzie ani dzbana, ani wina. Jaka więc jest korzyść z twoich zamysłów? Cóż to zatem znaczy, że rozbiłeś duszę tej szumowiny? Cóż nam z tego przyjdzie?

Starzec w habicie pokręcił głową.

– Pytania, pytania, pytania... Słowa.

Obrócił twarz do Andronika i tłumaczył:

– Rozbijam jego duszę, by ją utworzyć na nowo. Ze stłuczonego dzbana nie będzie już pożytku. Ale możesz zebrać okruszki, wybrać co ładniejsze, te, co najlepiej pasują, i skleić coś nowego. Coś o zupełnie nowym przeznaczeniu, bo przecież nie dzbana potrzebujemy. Dzbanów jest pod dostatkiem.

Nie było tego widać – wszak zakonnik skrywał kaptur – ale sądząc z ruchów, mnich słuchał oddechu Kaliksta. Po chwili znów musnął ciało swego jeńca końcem rękawa. Dłonią? Palcami?

– To ciało uczynię zdolne do bohaterskich czynów. Czynów, które później przez wieki będą opiewać minstrele, a ludzkość zapamięta po sam swój kres. Ciałem jednak kieruje dusza, a tę, rozbitą na kawałki, dopiero zbuduję na nowo.

– Co może powstać z okruszków rozbitego dzbana...? Nic, co jest przydatne – mrucał Dukas.

Ponury apostata znieruchomiał i rzucił przez ramię:

– Skorupą rozbitego dzbana możesz poderżnąć gardło. Naciąć żyły, by zostawić nieprzytomnego wroga na powolne umieranie. Możesz wylupić oczy. Wykastrować jak eunucha, by twój wróg nigdy nie spłodził potomstwa. Możesz naznaczyć czoło swego wroga piętnem niewolnika, jego kobiety znakiem kurtyzany. Wreszcie z okruszków możesz skleić mniejsze naczynie, dzbanuszek z trucizną skrywany w kieszeni. A mówimy przecież o duszy, nie o wypalanej glinie.

Pochylił się nad Belzebubem i powrócił do przerwanych badań.

– Jego ciało stanowi jedność – rzekł po dłuższej chwili. – Ale dusza już nie jest duszą, jednolitą istotą pozamaterialną, lecz zbiorem dziesiątek, może setek złych i dobrych jego stron. Zło i dobro, teraz wreszcie rozdzielone! Możemy odsiać to, co niepotrzebne, od tego,

co przyniesie nam zbawienie. Człowiek został stworzony przez Demiurga na podobieństwo Jego samego oraz Boga Ojca. Tkwi w nim więc boskość, jeno trzeba ją oddzielić od tego, co zasiała w człowieku słabość Logosa. Logos przybył na ziemię w ludzkiej postaci, by zwieść człowieka na manowce, przeciągnąć na swoją stronę przeciwko Stwórcy i Bogu Ojcu.

– A zatem? Co chcesz z nim dalej zrobić? Jak zamienisz w skrytobójcę, jakiego nie znał ten świat?

Czarny Mnich stanął przodem do Andronika. Chciałoby się rzec: *obrócił do niego twarz*, jednak tę część swojej osoby zakonnik niezmiennie skrywał pod czarnym kapturem, zupełnie jakby chciał ukryć potworne oszpecenie lub to, że nie ma twarzy, tylko mrok, cień śmierci.

– Rozbijałem duszę już niejednemu. Łączyłem na nowo, ale tak, że byś nie poznał. Ojcowie rodzin, dotąd ofiarnie wypruwający sobie żyły dla żony i dzieci, mordowali swoich bliskich, a na koniec siebie. Inni porzucali dom, by oddać się uciechom w lupanarach i tawernach. Matki z rozbitą duszą dusiły dopiero co narodzone dzieci, zaś ciężarne rozpruwały sobie brzuchy, by wyrwać z nich płody. Długo by tak mówić... Powiedz, drogi panie Dukas, co uznajesz za człowieczą słabość?

– Człowieczą słabość...?

– Tak, jaka rzecz w naturze człowieka jest według ciebie najbardziej szkodliwa?

Andronik zastanawiał się chwilę.

– Tchórzostwo.

– Tak, więc już mamy jedno. A tchórzostwu przeciwstawimy odwagę, kiedy trzeba – wręcz brawurę. Co jeszcze należy uznać za złe w duszy człowieczej?

Tym razem Dukas dłużej zbierał myśli.

– Nieposłuszeństwo... Nieposłuszeństwo wobec pana.

– Doskonale! Widzę, że się rozumiemy. A więc tchórzostwo i nieposłuszeństwo, które przeciwstawimy odwadze i oddaniu swemu panu. Jeszcze coś ci przychodzi do głowy? Co jest w człowieku złe i słabe?

Bratu przyszłego cesarza przychodziły na myśl różne rzeczy, jednak długo się wahał, co wybrać.

– Powiem ci zatem, co jeszcze. Litościwość, która jest największą oznaką słabości – podpowiedział zakonnik. – Niejeden przegrał, zbyt pobłażając swoim wrogom. Dalej: naiwna dobroć, która mydli oczy i nie pozwala nienawidzić wrogów, choćby stanęli przed jego obliczem i wykrzyczeli mu w twarz obelgi. Prawdomówność, która jest zbędna, o ile nie dotyczy prawdy, której wymaga pan. A także niepokój, jaki budzi widok ludzkiej krwi i obraz doczesnego przecież ciała rozszarpywanego na strzępy, rozrąbywanego ostrzami, gotowanego w oleju... A na koniec: pijaństwo i obżarstwo, które zniewalają ciało i osłabiają ducha. Skłonność do wina i sutych obiadów nie idzie w parze z dzielnością, nie prowadzi do zbawienia, którym jest zjednoczenie się ze Stwórcą.

Czarny Mnich wrócił do stołu. Oparł obie dłonie o czoło Kaliksta i rzekł:

– Dam mu więc odwagę i brawurę. Oddanie wobec pana. Bezwzględność. Nienawiść. Umiejętność omijania prawdy. Obojętność wobec krwi. I wstrzeźliwość w jadłach i napitkach.

Andronik Dukas czekał na dalszą część wyliczanki. Nie doczekał się jednak, więc zapytał tylko:

– To już wszystko? Tylko tyle wystarczy, by z jakiegoś miejskiego chłystka uczynić zabójcę, który przechytry demony Italosa, ominie strażę uzurpatora i zada mu ostateczny cios?

– Zostawię mu też siłę, zręczność, spryt, szybkość. Zabiorę tylko to, co przeszkadza w naszych planach. Zabiorę tylko słabość zasianą przez trujące słowa Logosa. A na koniec dam mu jeszcze coś. Coś, czego nie ma żaden człowiek ni żadna inna istota żyjąca na tym świecie.

– Doprawdy? – Andronik nie krył zwątpienia. – A cóż to?

Zakonnik zeszywniał, nie odrywając rąk od głowy jeńca. Nagle gdzieś z dołu, z okratowanej dziury w podłodze, do kamiennej komnaty wdarł się zimny powiew wiatru niosący ze sobą zapach zgnilizny i smród drążonych przez robactwo ciał.

– Panie mój, Satanaelu, Stwórco świata i wszelkiego bytu! – zagrział metalicznym głosem Czarny Mnich, wznosząc ramiona nad głowę. Cuchnący wiatr przygasił płomienie pochodni, tak że ledwie się teraz tliły. – Panie mój, wzywam cię, daj mi siłę, by scalić to, co zostało rozłączone. By jednym się stało to, co teraz rozbite, rozdzielone, rozszarpane!

Płomienie pochodni pogasły zduszone kolejnym tchnieniem z piekielnych otchłani. Tylko czerwonawy żar rozświetlał pomieszczenie, rzucając wokół mdłą poświatę.

Andronik, mrugając oczami, patrzył, jak zakonnik cofa się, mamrocząc niezrozumiałe zaklęcia. Wyprostowane ramiona opadły w dół, nad jeńca, zaciśnięte w niewidocznym uścisku. Ciało na stole nagle poderwało się niczym suchy listek targany przez wichurę. Czyżby podtrzymywał je niewidoczny sługa, demon trzęsący więźniem niczym lalką?

– Panie mój, daj mi odblask swej mocy! – wychrypiął Czarny Mnich, a potem już mruczał pod nosem słowa, których Dukas nijak nie mógł zrozumieć.

Kalikst, zawieszony kilka stóp nad ziemią, zaczął się obracać wokół własnej osi. Najpierw powoli, jakby przez sen, później z coraz większą gwałtownością, niby chory ogarnięty tańcem świętego Wita. Wierzgał i trząsał się bezładnie miotany jakąś wewnętrzną siłą.

Mnich szarpnął ramieniem. Jeniec poleciał jak bełt wystrzelony z kuszy prosto na kamienną ścianę komnaty. Nim się rozbił, gwałtowny gest czarnego zakonnika przywołał go z powrotem i posłał na przeciwległą ścianę. Jednak i tym razem złodziej uniknął śmierci, bo mnich zakręcił młynka ramionami i w tej samej chwili ciało więźnia zaczęło wirować w obłąkańczym tempie nad stołem, na którym wcześniej spoczywało.

– Panie mój, wzywam cię! Udziel mi części swej siły, by połączyć w jedno to, co rozbite i rozszczętkowane! Satanaelu, Stwórco świata, Boży Synu, władco ludzkości! Daj mu nową duszę złożoną z tego, co w nim było najlepsze!



Z ust i uszu Kaliksta powoli sączyły się strużki krwi. Wirował nad stołem, nabierając prędkości, a czerwień malowała wokół spirale, bryzgając coraz wyżej po ścianach i habitach diabelskich braciszków.

Andronik Dukas krztusił się od trupiego smrodu.

Pochodnie, którym też zabrakło świeżego powietrza, zaczęły kopcić, a potem nagle wszystkie zgasty.

\* \* \*

Kalikst uciekał. Biegł, nie szczędząc sił, byle dalej od tego miejsca. Minął korytarz z galeryjką i pognał po kręconych schodkach w dół.

Na zewnątrz panowała szarogranatowa noc, tylko gwiazdy mrugały w rytm grania cykad. W środku było jeszcze ciemniej, ledwie widział coś na wyciągnięcie ręki, jednak gnał dalej, intuicyjnie wynajdując właściwą drogę. Obijał się o ściany, ocierał o kolumny, padał, boleśnie szorując po kamieniu, ale zaraz wstawał i biegł dalej.

– Beeelzebub... Bub! Bub! Bub! – doszedł go jakiś gruby, basowy głos z oddali. Zadudnił w korytarzach, idąc gdzieś z głębi, z czarcich tuneli wiodących do piekła. To nie był Czarny Mnich ani nikt z jego gości, nikt też z Konstantynopola ani z dawnych lat. A jednak Kalikst miał wrażenie, że ponure huczenie jest mu w jakiś sposób bliskie.

– Bel! Bel! Bel! Belzebubieeee! – zawył nagle nowy głos, cienki i jękliwy jak potępiona dusza na czyścicowych bezdrożach. – Bel! Bel! Bel!

Piskliwy jazgot sprowadził na niego dziwne otępienie. Gwiazdy zagładające do monasteru przez kolumnady zawirowały i ściemniały.

Upadł, sunąc kolanem po podłodze. Ból orzeźwił go. Zostawił w tyle wabiące go głosy i dobiegł do kolejnych schodów. Skakał po kilka stopni w dół.

I znów kolumnada. Gnał nią, łapczywie chwytając świeże powietrze wypierające trupi zaduch monasteru.

– Bel! Bel! Bel! Bel! – tym razem jękliwy krzyk rozbrzmiał tuż przed nim, zdawał się dochodzić ze schodów. Z ostatnich stopni, jakie dzieliły go od wyjścia.

Kalikst przystanął. Dyszał ciężko i wyężając wzrok, próbował przebić ciemności.

– Belzebubieeee! Bel! Bel! – jazgotał potępieniec, a z tyłu wtórował mu bas z otchłani: – Bub! Bub! Bub! Beelzebub! Belzebub!

Nie zastanawiał się już dłużej. Skoczył w przód gotowy na spotkanie z hałaśliwą bestią.

– Zabijęęę! – wrzasnął, dodając sobie animuszu. Nie miał broni, więc uniósł gołe pięści gotów zasypać wroga gradem ciosów.

Wpadł w próżnię, sunąc w dół po wyslizganych schodach. Nie było tam nikogo, nic, tylko kręte stopnie prowadzące do wolności. Przeturlał się po nich jak kula wystrzelona z balisty i pokonawszy krótki, ciemny korytarzyk, wyskoczył na zewnątrz.

Ogarnęło go chłodne powietrze nocy. I ten zapach... Lekki wiatr niósł aromat ziół,

rozgrzanych za dnia kamieni, teraz gwałtownie oddających ciepło, wreszcie ziemi i uwięzionej w jej zakamarkach wody.

Nie mógł pozwolić sobie na dalszą stratę czasu! To był dopiero początek drogi. Rzucił szybkie spojrzenie w tył: monastyr białł na tle nocy jak kości morskiego potwora wyrzucone na brzeg.

– Belzeeeebub... Belzeeeebub... – tym razem słyszał tylko szepty.

– Precz! – wykrzyknął w ciemność, a to, że jego głos był teraz mocniejszy niż nawoływania prześladowców, napełniało Kaliksta nadzieją. – Precz, szatani!

Biegł dalej, już pewniej stawiając stopy. Migotliwe punkciki na niebie dawały więcej światła, gdzieś tam, między skałami, śmiały się wąskie usta znajomego szydery, księżycyca.

Mijając trupy na palach, wstrzymał dech, jednak smród gnijących zwłok był silniejszy – wdierał się przez nos do płuc. Owionęła go duszna fala, ledwie ustał na nogach. Żołądek zawirował, podszedł do gardła, jednak kilka kroków za bramą Kalikst oprzytomniał. Gnał, już nie patrząc w tył.

– Belzeeeebub... Belzeeeebub... – Wtem coś złapało go za nogę lekko i niepewnie, jednak nieszczęsny uciekinier aż zadrżał z obrzydzenia. Zobaczył toczoną przez robaki rękę trupa. Strząsnął ją i ruszył w stronę wyjścia z wąwozu.

Głosy i szepty umilkły. Nic już nie stańęło na jego drodze, nic nie łapało za kostkę. Mimo to nadal uciekał ile sił, aż wypadł spomiędzy skał na równinę. W oddali na tle wąskiego księżycyca majaczyła skała-ptak, przy której znalazł wejście do podziemi monastyru. Kiedy to było...? Dni? Tygodnie? Miesiące? Nie myślał o tym.

Musiał biec dalej.

Pędził po równinie, przeskakując wyschnięte kępy traw, mijając niewielkie sterty kamieni, wznosząc tumany białawego kurzu z pustynnej ziemi. Noc nie pozwalała wybrać lepszej drogi, nie bardzo więc wiedział, dokąd podąża. Ale dobrze wiedział po co!

Gdy skupisko skał otaczające wąwóz z monastylem zmałało w oddali, przystanął. Opał na kolana, a potem na twarz. Wciągał nosem ostry zapach suchych traw.

Znieruchomiał z rękami rozłożonymi na boki.

Wessał go mrok.

\* \* \*

Szedł z wysiłkiem po kolana zanurzony w szarym pyle. Drobne kamyczki zgrzytały pod nogami, wiatr przesypywał sterty śmieci, a zabagniona woda w zatoce cmokała ohydnie.

Konstantynopol, niezniszczalna stolica świata chrześcijan, teraz był zniszczony.

Parł przez puch wirującego kurzu ogarnięty grozą. Tak, widział niedawno to miasto. Widział je bezлюдne, widział, jak rozsypuje się w proch z cichym szemraniem odpadających od murów drobinek. Nie sądził, że ujrzy coś jeszcze gorszego...

Wtem sterty kamieni zaczęły drgać, jakby ziemia wrzała. W oddali narastał huk

przypominający kamienną lawinę. Od morza zawył wicher.

Kalikst kilkoma wielkimi krokami przeskoczył dygoczące kamienie, z trudem torując sobie drogę na niewielki placyk. Skoro gdzieś w głębinach rodziło się trzęsienie ziemi, lepiej było nie mieć niczego nad głową.

Gdy jednak popatrzył dookoła, przestał cokolwiek rozumieć. Rumowiska po zawałonych domach powoli wzrastały w górę. Domy podnosiły się z upadku. Kamień do kamienia, deska do deski, belka do belki. Wszystko, co dotąd rozdarte i obrócone w pył, teraz powoli odzyskiwało swoją dawną formę: domostwa, magazyny, kościoły, tawerny, wysmukłe kolumny, fora, łuki triumfalne, pomniki i fontanny. Wszystko rodziło się na nowo.

– To istny cud – wyszeptał Kalikst ogłuszony przez łoskot przetaczających się kamieni. – To cud albo złośliwa sztuczka diabła.

Konstantynopol rósł w oczach, podnosząc się z upadku.

Kalikst poszukał wzrokiem znajomych kątów. Tak, wiedział, gdzie jest. To niedaleko jego złodziejskiego rewiru! Port nad Złotym Rogiem, długi ciąg nadbrzeżnych murów, znajome wieże kościołów, sylwety klasztorów, a nawet minaret jedyne w mieście meczetu Mitaton. Wszystko było jak dawniej.

Lub byłoby, gdyby nie pustka – brak choćby jednego człowieka, choćby bezdomnego kundla przemykającego pod ścianą.

Nim jeszcze domy przybrały swój ostateczny kształt, Belzebub pobiegł na nabrzeże, gdzie zawsze wystawały miejskie wyrostki, szukając okazji do bitki. Nie dostrzegł nikogo. Ani złodziei, ani portowych robotników, ani marynarzy, kupców czy strażników miejskich. Tam, gdzie zawsze tłoczyła się największa ciżba, teraz cicho wył wiatr.

Odnalazł wzrokiem tawernę „U Teofilakta”. W jej drzwiach wychwycił jakiś ruch.

– Heej! Jest tam kto?

Pobiegł, przecinając plac zwykle wypełniony straganami przekupniów. Przed winiarnią przystanął, nasłuchując. Ze środka doszedł go szcęk naczyń. Nie zwlekając, szarpnął drzwi i wszedł do wnętrza.

– Kto tu!? – krzyknął i zamarł. Zobaczył siebie.

Sobowtór stał krok od drzwi, trzymając w ręku miecz. Jego koniec spoczął na piersi Kaliksta tuż obok serca.

– Co ty? Co jest?

– A więc spotkaliśmy się wreszcie, co...? – rzucił z przekąsem bliźniak. – Tutaj, w naszym mieście, Konstantynopolu, Królowej Miast. Tu się spotkaliśmy wreszcie, ale to nie jest nasz Konstantynopol.

– Kim jesteś? Dlaczego nigdy nic nie mówisz? Kim jest Czarny Mnich?

Drugi Kalikst zignorował te pytania. Beznamiętnym głosem ciągnął dalej:

– Nie ma tu ludzi. Nie ma zwierząt. I zauważyłeś, nie ma zapachów...? To miasto nie istnieje, a ty... – Sobowtór mocniej napał na rękojeść miecza. – Ty też nie istnieje.

– *Skata na fas* – zaklął Belzebub, z trudem tłumiąc narastającą złość. – Może jeszcze powiesz, że ty jesteś jedynym Kalikstem, a ja tylko twoim cieniem.

– Nie jesteś cieniem. Jesteś wytworem mojej głowy. Ale to się zaraz skończy.

– He, he, to prędzej ty znikniesz! Ty nie istniejesz. Ja jestem Kalikst Belzebub, złodziej z Konstantynopola.

– Ani chwili dłużej – rzekł sobowtór, wpychając ostrze głęboko w serce Kaliksta. – Teraz ja jestem tobą.

Belzebub padł, charcząc. Krew zalała mu płuca i nim zdążył wypowiedzieć ostatnie przekleństwo, znów zapadł w ciemność.

\* \* \*

– Mówiłem, że wróci – rzekł bez emocji Czarny Mnich. – Już nie o to chodzi, że nie miałby gdzie iść na tym pustkowiu bez konia. On nie chciał uciekać.

Andronik wzruszył ramionami.

– Obalił twoich pomocników i wybiegł stąd z dzikim wrzaskiem. Jakby walczył o życie. I chyba tak było... A jednak wrócił. Nie rozumiem.

Ponury apostata zarechotał, jakby ktoś tarł kamieniem o kamień.

– Wielu rzeczy nie jesteś w stanie pojąć, mój drogi panie. Dlatego to ty przybyłeś do mnie, prosząc o pomoc. I ja jej udzielam. Ale to jeszcze nie koniec. Teraz dopiero zobaczysz nowego Kaliksta. Skrytobójcę, jakiego świat dotąd nie widział. Ani ty, ani nawet ja.

Belzebub stał pośrodku sali, dysząc. Przez szpary w suficie sączyły się pierwsze promienie świtu. Po nocnej ucieczce pozostały tylko otarcia, rozkrwawiony nos i ten dziwny ból w piersi. Nie pamiętał, skąd pochodził. Monotonny szum nie pozwalał mu myśleć. Nie dawał mu przywołać wspomnień.

*Kim on był? Dlaczego chciał mnie zabić? Kto? Zabił mnie? Nie. Nie zabił. Kim on był? Kto? To byłem ja? Nie! Kim on był, kim on był?...* – W głowie miał szum, przed oczami ciemność.

A z ciemności wyłonił się pan...

Czarny Mnich stanął tuż przed Kalikstem, patrząc mu głęboko w oczy. Belzebub poczuł zimny sztylcik pieszczący jego serce. Niepokój, jednak nie było w tym strachu.

– To normalne zachowanie... On nie uciekał. Jakbyś go teraz, drogi panie, wywiózł spętanego, zasłaniając mu oczy, daleko, gdzieś do Charsianonu czy nawet Paflagonii, to też by wrócił. On już nie wie, co to wolność. Wolność znaczy dla niego posłuszeństwo wobec pana. Wybiegł, by narodzić się na nowo. Uciekał przed samym sobą. No i uciekł. A teraz jest tutaj. Nowy.

– Wygląda jak zawsze. Jak pętał z miasta. Niczego w nim nie dostrzegam.

– Zobaczysz. Jeszcze zobaczysz – zakończył rozmowę Czarny Mnich.

\* \* \*

Sergiusz Metafrastes, logoteta na dworze *basileusa* Romana IV Diogenesa, a zarazem szpieg na usługach wielkiego mistrza gildii złodziei Atanazego Meklidosa, plunął krwią. Z rany na szyi gwałtownie tryskała ciepła czerwień i jeszcze szybciej zaczęła uchodzić dusza.

Zakończył swe życie trzy kroki za bramą rezydencji Atanazego.

Metody wyrwał pugi nał z ciała i zadumał się. Może trza było dźgnąć pod serce? Wtedy i mniej krwi, i ręce czyste.

Tyle że wówczas karzeł musiałby zaatakować wprost, co znaczy – przejść co najmniej kilka kroków z nożem w garści, narażając się na to, że logoteta ucieknie za bramę, na ulicę. Dlatego też wołał niby ryś skoczyć z muru na plecy ofiary.

Nie myśląc o tym dłużej, odciągnął trupa na bok i pozostawił go w wysokiej trawie porastającej pobrzeża podmiejskiej ulicy. Zaniepokojony powrócił w poblizę bramy.

Nic, spokój. Nikt nic nie widział. I tylko kilka kropel krwi na ścieżce. Roztarł je butem i sypnął garścią ziemi. To nie powinno wzbudzić podejrzeń – rezydencja Atanazego, choć rozległa i niegdyś bogata, sprawiała wrażenie mocno zaniedbanej. Chaszcze, zieleń wżerająca się między kamienie, rozrośnięte krzewy...

Metody sprawdził jeszcze, czy strażnicy na pewno śpią. Poczęstował ich podwójną dawką mleka czarownic, więc powinni lulać do rana słodko jak dziecięta. *Może jednak lepiej ich zabić?* – po raz kolejny naszła go ta myśl. Później jednak postyszał głos rozsądku: *Po mleku będą ich tby boleć, jakby się spili. I wszyscy tak pomyślą. Ale zabić – to by wzbudziło podejrzenia. Przecież Atanazy nie zabiłby swojej ochrony.*

Uspokojony wrócił po ciało logotety. Zdarł z trupa płaszcz, okręcił nim pokrwawione gardło, by się nie utyłać juchą.

– Trza było dźgnąć go pod serce – mruknął do siebie i zacierając dłonie, zarzucił zwłoki na grzbiet. Nie bez wysiłku zatargał je do tylnych drzwi domostwa. O tej porze w posiadłości Atanazego nie było żadnej służby. Mistrz wołał samotność. Do towarzystwa wystarczał mu Tryfon Szachista i dwóch ludzi z ochrony. No i tyłuż niewolników, którzy całymi dniami biegali po mieście, wykonując zleczone prace. Tak jak i teraz. Atanazy zawsze baczył, żeby podczas wizyty Metafrastesa w rezydencji nie było zbędnych świadków.

Dźwigając trupa logotety, Metody wpakował się do wnętrza. Złożył ciało pod schodami i cichaczem przemknął na górę. Uchylił drzwi, nadstawił ucha. Z oddali słyszał rozmowę niespodziewających się niczego mistrza i jego doradcy.

– Czy Metafrastes już aby nie przybył? Zerknij no, Tryfonie.

– Nie, mistrzu. No przecież patrzyłem. Nie ma go w holu, a wie przecie, jak trafić.

– Dobrze, zatem czekaj tam na niego.

Karzeł cofnął się, zamykając drzwi. Słyszał kroki Szachisty, który minąwszy jego kryjówkę, ruszył korytarzem do wewnętrznych schodów.

Dłużej Metody już nie zwlekał. Skoczył w dół, dźwignął trupa i jął go targać na piętro.

Gdy dotarł do drzwi, przystanął na chwilę. Gdy miał pewność, że nikogo nie ma, wyszedł na korytarz. Żwawo przebierając nogami, zaciskając z wysiłku usta, przeniósł ciało do ostatniej komnaty po lewej stronie – do sypialni dla gości. Odwinął z szyi logotety płaszcz, pozwalając, by krew ściekła na dywan. Wyszarpnął zza pasa puginał i zadał jeszcze kilka ciosów, dźgając w pierś, brzuch i ramiona. Na koniec wbił nóż w serce i tak pozostawił.

Chyłkiem wymknął się do wyjścia.

Przyszła pora, by zadać ostateczny cios.

\* \* \*

Mistrz Atanazy oderwał wzrok od księgi, oprawionego w czerwoną skórę, drogiego wydania eposu „Digenes Akrites”. W holu posłyszał jakieś hałasy – najpierw pomyślał, że to wreszcie przybył szpieg z cesarskiego dworu. Ten jednak zwykł się pojawiać w cichości: kiwał głową na powitanie i prowadzony przez Tryfona bez słowa przechodził do gabinetu gospodarza. Tak więc nie mógł to być Metafrastes. Metaliczny szcęk, szamotanina, podniesione basowe głosy – sądząc po intonacji, stawiające pytania, na które natychmiast winna paść odpowiedź – i niepewne, pełne zdziwienia jąkanie Szachisty.

*Pewnie wdał się w awanturę z Ignacym Plasterkiem* – pomyślał Atanazy. Ignacy był jednym z chłopaków z gildii przydzielonych do stałej ochrony rezydencji mistrza. Jego przydomek brał się stąd, że *potnę na plasterki!* oznaczało u niego najwyższe wzburzenie. I choć brzmiało to komicznie, groźbę spełniał dosłownie i wcale nie rzadko. Ignacy lubował się w dręczeniu swych ofiar tudzież misternym kaleczeniu ich ciał. To stanowiło nieustanne zarzewie scysji między nim a Tryfonem.

Jednak chyba nie tym razem. Burkliwy, wściekły pomruk nie należał do Plasterka ani tym bardziej do Szachisty. Co więcej, głosów było kilka. Tworzyły narastający harmider, który kazał mistrzowi wstać z fotela i skierować się ku schodom.

Nim do nich doszedł, w drzwiach stanął Tryfon popychany przez grubego i rosnącego strażnika miejskiego. Ten ścisnął w wielkim jak bochen łapsku topór na przeszło czterostopowym stylisku i z haczykowatymi kolcami w górnej części ostrza.

Za nimi cisnęło się jeszcze trzech strażników.

– Precz do tyłu! – burknął dryblas, wypluwając słowa spod bujnej czarnej brody. – Kto tu gospodarz? Ty, dziadku?

Nim Atanazy zdążył wyrazić swe oburzenie, strażnik burknął:

– Musimy przeszukać domostwo. Chłopaki, a nuże! Komnatę po komnacie, kąp po kącie.

Strażnicy ochoczo ruszyli w kierunku najbliższych drzwi.

– Ależ! – oponował mistrz. – W tej chwili precz za drzwi! Z jakiej racji? Z czyjego rozkazu? Plasterek! Gdzie jest Plasterek! Ignacy! Mustafa! Gdzie oni!?

Brodacz, niezrażony tym wybuchem wściekłości, spokojnie zapytał:

– A tyś kto właściwie?

– Atanazy Meklidos – odparł z godnością gospodarz. – Szanowany obywatel miasta, wierny poddany *basileusa* Romana Diogenesa! Czego tu, najemne pacholki? Z jakiej racji?

– Miarkuj słowa, panie Meklidos! Otrzymaliśmy doniesienie.

– Jakie doniesienie? O czym mówisz, strażniku?

– Otrzymaliśmy doniesienie, że w tym domu popełniono zbrodnię. Obwoźny sprzedawca ryb mówi, że widział, jak w tym domu ciągniono ciało zabitego, szlachetnie urodzonego...

– Jaki sprzedawca ryb? Jaki sprzedawca? Tryfonie, wpuszczałeś tu jakiegoś domokrążcę z rybami?

Szachista tylko pokręcił bezradnie głową.

– Tu nie było żadnego sprzedawcy ryb! Musieliście pomylić posiadłości!

Brodacz wzruszył ramionami.

– Był czy nie był, sprawdzić musim. Nie utrudniaj tego, panie Meklidos, bo za to też można pójść do lochu.

– Jak to *też*? Cóż oznacza tu słowo *też*?

W tej chwili w głębi korytarza zakotłowało się. Wbiegł jeden ze strażników i zawołał:

– Jest! Jest trup. Musi z dworu ktoś, bo strojny i wymuskany. Ubity, bez przebaczenia.

Dowódca straży tylko pokiwał głową.

– Trzymajcie też starca, ja zobaczę.

Atanazy nawet nie próbował się bronić. Nie wierzył w to, co słyszał. Nie wierzył w to, co miało tu miejsce.

– Ja śnię... Tryfonie, obudź mnie, proszę...

Brodacz ruszył do komnaty z trupem. Po chwili wrócił gniewny, z zimnym błyskiem w oczach. W rękę dzierżył puginał.

– Twój? – zapytał Szachisty.

Tryfon zatrzęsł się. Ledwo wystękał:

– Nnnie...

Brodacz spojrzał na Atanazego.

– Twój?

Mistrz, wiedząc, w czym rzecz, zaprzeczył, choć rozpoznał swe ostrze. Zaczynało do niego docierać, że to nie sen. I że sprawy nie idą w dobrym kierunku.

– Wszystko jedno. I tak obu was zabierzem! A tamtego znasz?

Atanazy w milczeniu przemierzył korytarz i zajrzał do komnaty dla gości.

– Sergiusz Metafrastes... Na Boga, zaszlachtowany jak prosię...

– Czyli znasz go?

– To logoteta *basileusa*...

– Znasz go? I tyś go zabił?

– Na Boga, nie! Nie znam go! To znaczy znam, ale...

Dryblas uniósł znacząco swój topór.

– Dość tego! Brać ich obu!

Strażnicy żwawo podskoczyli do mistrza.

– Kto zabił, kogo i dlaczego, to już osądzi sędzia – ciągnął brodacz. – Ja mam tylko doprowadzić podejrzanych. Ale na mój nos to wasza sprawka.

– Hola! *Skddalon!* Jestem szanowanym obywatelem. Weteranem! Walczyłem...

Osilek z toporem nie dał mu dokończyć.

– To już sędziego robota słuchać tych skomleń. Nuże! Idziem!

Zbrojni powlekli Atanazego i Tryfona po schodach w stronę drzwi domostwa.

– Ale powiem ci jedno, panie Meklidos – rozgadał się brodacz. Zawsze to przyjemność brać za kark jednego z tych, którym przez większość życia musiał się kłaniać, dlatego miał teraz dobry humor. – Jest wojna, *basileus* idzie na Seldżuków w Syrii. Zanim doczekacie sądu, będziecie mieli obaj sposobność dowieść swej niewinności i męstwa w bitwie. He, he! W kompanii karnej! Więzienia teraz puste, wszystkich wcielają.

Pchnięty mocarną łapą strażnika mistrz poleciał w dół schodów, skacząc po stopniach jak piłka. Widząc to, Tryfon nie wahał się już.

– Zostawcie go! To ja zabiłem! Brodacz ściągnął gniewnie brwi.

– A tyś właściwie co za jeden?

– Tryfon. Tryfon Szachista. Zostawcie mistrza, to jest... pana Meklidosa. To ja zabiłem tego logotetę. Mnie weźcie!

Atanazy wstał z wysiłkiem, ocierając skrwawione czoło. Oszołomiony – nie wiadomo, uderzeniem czy niespodziewanymi słowami swojego sekretarza – wystękał:

– Tryfonie... Tryfonie, o czym ty mówisz? Ty zabiłeś?

– Kręcisz coś, bratku! – huknął strażnik. – Pewno chcesz ratować starego.

– Nic nie kręć! Ja zabiłem i jakby ktoś mnie pytał, to odpowiadam: zabiłbym jeszcze raz. Takiemu to tylko śmierć, podłemu, plugawemu zdrajcy!

– Tryfonie... O czym ty mówisz? Ja nie rozumiem – bełkotał mistrz, jednak już dobrze wiedział, w czym rzecz. Jego wierny doradca brał na siebie całą winę, kimkolwiek by był morderca. W pierwszym odruchu Atanazy chciał powstrzymać Szachistę, nie godząc się na takie poświęcenie. Zaraz jednak przyszła trzeźwa myśl: *Gady wezmą nas obu, jak im dowódca nakazał. Wtedy nijakiej korzyści z tego nie będzie. A tak pójdzie on, a ja będę mógł wyjaśnić sprawę i wydobyć go z więzienia.* – Jak mogłeś mi to zrobić, morderstwo pod moim dachem...? – wyrzekł zboliałym głosem.

– Mistrzu! Tak, ja zabiłem. Wybacz, ale tak musiało się stać. Gdy wyjawię ci, jak to było, zrozumiesz.

Dryblas zasępił się. Chętnie zgarnąłby oba ptaszki. Nie jemu sądzić, kto zabił. Ten sobie przypisuje czyn, ale zbrodni dokonać mogli razem. Na pewno działali w porozumieniu, bo jakżeby inaczej? Z drugiej strony jednak... Strażnik popatrzył na starego. Meklidos ocierał krew z rozbitego czoła, tocząc dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Nie wyglądał na



zniedołęźniałego starca, wprost przeciwnie – znać było w nim niemalże siłę młodzika, jednak brodacze nie miał wątpliwości, że ciągnięcie go po kazamatach i wcielenie do kompanii karnej szybko doda mu lat. Człłek ten wyglądał na szacownego, miał dostatnie domostwo, diabli wiedzą kogo ważnego znał, więc może i należały mu się pewne względy.

– To był mój kochanek, ale zdradził mnie! – wykrzyknął tymczasem Szachista. – Porzucił jak pusty dzban, choć wcześniej spijał z niego największe rozkosze. Nieraz mu przebaczyłem, mając na względzie miłość i dobro także jego, nie tylko moje. Odpuszczałem mu te drobne grzeszki, igraszki z chłopcami z dworu, ale tym razem miarka się przebrała! O taaak, zadźgałem go i nie zamierzam tego ukrywać.

Strażnik sapnął gniewnie i bacznie przyjrzał się Tryfonowi.

– Sodomita... – mruknął z odrazą. – Tak, wy jesteście do wszystkiego zdolni. Tak, na pewno go zabiłeś. Mogłeś to zrobić. Jednak jak było naprawdę, to winien ocenić sędzia... Kto zabił, a kto nie zabił...

– To ja zabiłem! Zabiłem go nożem, zadźgałem! – wrzeszczał teraz Szachista, znakomicie udając, jaki jest roztrzęsiony. A może był, choć z innej przyczyny? – To mój nóż! Zabiłem go, a co?! Opowiem, jak było! Szliśmy razem do łóża, kiedy...

– Dość! Zamilknij, sodomito! – Dryblas z toporem skrzywił się. Splunął i mruknął jeszcze: – Skoro przyznajesz się do zbrodni, mnie tam jedno. Dobra, zostawcie starego! Jeden zostanie pilnować ciała, a my zabieramy mordercę do lochu.

## ROZDZIAŁ 19

Kalikst Belzebub pocałował ostrze i chichocząc, przejechał po nim palcem. Choć ledwie je musnął, na opuszcze zalśniła kropla czerwieni.

– Ostrrrra – mruknał. – Mhhhhmmmm...

Wziął zamach i przeciął z wizgiem powietrze. I jeszcze raz. I jeszcze. Szabla doskonale leżała w dłoni, była idealnie wyważona, niezbyt ciężka, a przy tym zabójczo skuteczna. Polubił tę broń.

Wykonał jeszcze kilka sztychów, z lubością słuchając dźwięku, jaki wydawał metal tnący powietrze.

Rozpierała go moc. Jakaś siła, której wcześniej nie czuł... Choć nie – czuł ją gdzieś tam w głębi, jednak zawsze przygniecioną jakimś ciężarem. Spętana okowami leżała gdzieś w mrocznych zakamarkach jego duszy. Teraz uwolniona dawała mu poczucie, jakby sam Bóg tchnął w niego swą potęgę.

Opuścił ostrze i wyprostował się. Coś innego przykuło jego uwagę. Coś w przeciwległym końcu komnaty.

Zaczął się śmiać. Cichy chichot wnet przeszedł w potężny rechot, chrapliwy i urywany.

Zobaczył siebie. Siebie i nie siebie. Drugiego takiego jak on.

Tym razem sobowtór nie miał broni, a w jego oczach czaiło się przerażenie. Strach wybuchł niczym beczka z ogniem greckim, kiedy Kalikst zrobił dwa kroki do przodu, przytulając ostrze do policzka. To jeszcze bardziej rozbawiło Belzebuba. Musiał wziąć głębszy oddech i odczekać dwa pacierze, nim się uspokoił. Wtedy ruszył na spotkanie samego siebie.

– Co? Co chcesz zrobić? – wybełkotał przerażony bliźniak, człapiąc w kąt komnaty. Na tyle, ile mógł – jego prawą stopę krępowały łańcuchy przykute do ściany.

– Ha! A więc jednak potrafisz nawinać. Języka ci nie odcięli.

Tamten też był zdziwiony.

– Ej, ale ja zawsze mówiłem. Ty miałeś gębę zawartą na kłódkę. Wołałem cię...

Kalikst prychnął.

– Co ty?! Co ty mi tu wciskasz, bracie? Tyś siedział jak ta kukła, ani razu nie nawinałeś i jeszcze mi tu bajasz teraz, że wołałeś...

Sobowtór zamilkł, lękliwie spoglądając na ostrze szabli.

– Co teraz? Co zrobisz?

– Jak to co? Chcę cię uwolnić! Spójrz na mą twarz! Jesteśmy tak podobni! Jak... Jak bliźniaki, chociaż nigdy żadnego nie miałem. Mój zaginiony brat bliźniak!

Śmiał się z tego jak z dobrego żartu opowiadanego w karczmie przy dzbanie wina. Gdy przestał, podszedł do swojego sobowtóra i spokojnym głosem rzekł:

– Odetnę ci te łańcuchy, bracie. Będziesz wolny.

Lęk w oczach tamtego stopniał, choć nie do końca. Patrzył z niepokojem, niewiele rozumiejąc z tego, gdzie jest i co się dzieje. Jednak widząc przyjazne iskierki w oczach swojego – jak on to mówił *brata*, opanował strach.

Belzebub podszedł na odległość kroku i trącił końcem buta łańcuchy.

– Też nieraz poznałem smak niewoli. Nieraz kajdany obcierały mi skórę do krwi, do żywego mięsa. Wiem, co to ból. Wiem, co to zwątpienie. Ale dla ciebie to już koniec katuszy.

To powiedziawszy, wziął zamach szabłą i sieknął drugiego Kaliksta tuż pod kolanem. Uderzenie było silne: bliźniak zatoczył się w tył. Bez połowy nogi, ale i bez łańcucha.

– Zwróciłem ci wolność! Możesz wracać do domu! Bóg z tobą, braciszku.

Sobowtór wył jak potępiona dusza z samego dna piekieł. Z rany sikała mu krew – bezskutecznie próbował ją powstrzymać, przytrzymując ranę dłońmi. Czerwień tryskała na kamienną podłogę komnaty, ściekając w niewielkie jezioro. Bliźniak taplał się w nim, rozmazując krew na szarej powierzchni skały.

– No cóż to? – Belzebub zmarszczył czoło. – Czemuż nie dajesz dyla? Chodu, ziomek, przeca dałem ci wolność!

Odczekał chwilę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, stwierdził drwiąco:

– Aha...

Zawiesił głos, unosząc szabłę.

– A jużci! Jak możesz uciekać, kiedy jedna noga dłuższa, a druga krótsza? Trudno utrzymać równowagę! Nic nie bój! Już naprawiam ten błąd!

Kalikst uniósł swoją broń i tym razem kilkoma słabszymi, ale precyzyjnymi cięciami pod kolano odrąbał sobowtórowi drugą nogę. Teraz obydwie miały jednaką długość.

Bliźniak nawet już nie pisnął. Zemdlał z bólu i upływu krwi. Widząc to, Belzebub zafrasował się.

– Niedobrze, mój bratku. Skaleczenie, krew sika – takich ranek nie należy lekceważyć...

Z tymi słowami podbiegł do ściany komnaty, skąd wyrwał płonąca pochodnię. Przysmażył nią rany sobowtóra – raz, drugi, trzeci, aż krew przestała cieknąć, a drugi Kalikst się ocknął.

– Co mi zrobiłeś? Odciąłeś! – wrzeszczał. – Odciąłeś mi nogi!

– Owszem, tak. Masz rację. Tak się też stało. Niekiedy trzeba coś poświęcić, żeby odzyskać wolność. Ale teraz możesz już uciekać. Chodu! Mówię ci, ziomek! Dawaj! W nogi!

Zaśmiał się ze swojego żartu, powtarzając mściwie:

– W nogi, ziomek. W nogi...

– Kim...? Kim jesteś? – wyjęczał z bólem tamten. – Dlaczego mnie torturujesz? Dlaaaczegoo... Mnie! Okaleczyłeś?! Nogi odciąłeś!

Ostatnie słowa wykrzyczał, zalewając się łzami. Wył jak szlachtowane koźle.

Belzebub zareagował błyskawicznie.

– Czyli co? Mówisz, z takimi krótkimi nóżkami wyglądasz jakoś tak... nieforemnie. Trzaby cię jeszcze skrócić. To może tak?!

Zakręcił się wokół własnej osi jakby w tańcu i unosząc szablę, zadał kolejne cięcie. Tym razem w lewą rękę, równiutko między łokciem a ramieniem.

Oszalały z cierpienia sobowtór już chyba nawet tego nie zauważył. Bezgłośnie ruszał ustami jak ryba wyrzucona na brzeg morza. Tępym wzrokiem toczył dookoła, patrząc, jak wraz z krwią ucieka z niego życie. Nie, tego nawet nie wiedział. Patrzył tępym wzrokiem, jak wycieka z niego czerwona ciecz niczym podłe wino z rozprutego bukłaka.

Nagły przebłysk świadomości podpowiedział mu, że śmierć czai się blisko. Jest tuż, w sąsiedniej komnacie, krąży już niewidzialna nad głową.

– Zostaw! Zostaw mnie, demonie! Kim ty jesteś?! Jaka piekielna siła powołała cię do życia, czyniąc na moje podobieństwo?

Opierając się na prawej ręce, jedynej zdrowej kończynie, Kalikst-bliźniak pełził byle dalej od swego oprawcy. Nieporadnie przerzucał ciężar ciała, znacząc podłogę długimi smugami krwistej barwy.

– Dobrze kombinujesz! Dobrze się starasz – pochwalił go Belzebub. – Toż mówię, uciekaj ile sił w nogach. Ojoj! No, powiedzmy, w rękach. W jednej ręce! Tak czy inaczej, chodu, ja cię będę osłaniał.

Uniósł szablę. Łypał złowrogo okiem, lustrując najbliższe otoczenie. Marszczył czoło, sapał, znacząco powarkiwał. Wszystko jasne: baczył, żeby kalece nie stała się większa krzywda.

– Pilnuję cię, krótki! Napierają na nas, ale damy radę! Ty uciekasz, ja cię osłaniam moim ostrzem.

Wywinął kilka razy szablą, żeby nikt nie miał wątpliwości: tu stanęła do walki mocna drużyna, Kalikst Duży i Kalikst Mały.

Później jednak przyszło mu na myśl co innego.

– Ty, kikut! A jakby tak... Wiesz, co mam na myśli?

Sobowtór musiał zrozumieć, bo ze zdwojoną energią zaczął pełznąć w stronę wyjścia. Odpychał się zdrowym ramieniem, podpierając okaleczone ciało o broczące mętnym winem – nie, krwią! – kikuty.

Wystarczyło jednak, że Belzebub odrąbał mu ostatnią zdrową kończynę, a padł bez słowa zemdlony.

– Słaby jesteś, kadłubek. Myślałem, że stać cię na więcej. Ale nie bój! Nie pozwolę ci tak nędznie umrzeć!

Znów pochwycił pochodnię, by przypalić rany. Powstrzymał krwotok i zadowolony otarł ostrze o twarz bliźniaka.

Andronik obserwował to skryty w cieniu niewielkiej galeryjki pod sklepieniem jaskini. Z niezadowolaniem kręcił głową.

– Zaiste, panie. Raczysz nas nie lada widowiskiem. Raz za razem, na brak igrzysk nie możemy narzekać. Jednak powiedz, czy te popisy stanowią wystarczającą gwarancję, że nasz dzielny złodziejaszek z Konstantynopola jest już tym najważniejszym ogniwem naszego planu? Prawdę mówiąc, gdybym się nie brzydził mazaniem we krwi, też ręka by mi nie zdrząła przed zadaniem takich cięć. To podstawowa szkoła każdego żołnierza...

Czarny Mnich nie od razu odpowiedział. Złożył ramiona, kryjąc je pod szerokimi połami habitu, i dopiero gdy Dukas zaczął kręcić się nieswojo, odpowiedział:

– Tak i nie. Dla mnie to już wystarczające świadectwo. Nie to, żeby mnie oczarowały popisy naszego Kaliksta, bo na tej podstawie nie snuję żadnych wniosków. Ja to po prostu wiem. Wiem, że jest gotów. Wiem, bo znam jego duszę, a poznałem ją przez ostatnie dni na wskroś, zapewniam cię. Wiem, co mu dałem, a co odebrałem. Ale rozumiem, że ty nie masz aż tak daleko idącego przekonania. Więc by cię uspokoić: to nie wszystko. Poddamy go jeszcze innej próbie. Ale to później. Teraz patrzaj!

Kalikst właśnie odrzucił pochodnię i pochwycił kadłubka za włosy.

– Śpi chyba, bo oczy ma zamknięte – mruknął po chwili, przyjrzawszy się twarzy sobowtóra.

Wziął szeroki zamach i trzema silnymi cięciami oddzielił jego głowę od reszty ciała.

\* \* \*

Andronik z trudem krył rozczarowanie. Człowiek, który wedle słów i zamiarów Czarnego Mnicha miał pozbawić życia uzurpatora Diogenesa, wyglądał jak zwykły obwieś. Kmiot z plebsu, miejska łajza niewarta ani złamanego *folii*. Niech będzie – potrafi wywijać szablą, a jego bezmyślne okrucieństwo wobec swojego bliźniaka czy sobowtóra, czy kto to tam był, pozwalało na chwil kilka zażyć pewnej rozrywki. Jednak Cezarea, a także w dawnych czasach Konstantynopol potrafiły dostarczyć bardziej uciesznych zabaw, toteż przedstawienie zorganizowane przez zakonnika szybko znudziło Dukasa. W końcu cóż to za atrakcja, że brat bratu odcina członki i na końcu łeb?

On, Andronik, spodziewał się kogoś czy czegoś... bardziej morderczego. Takiego, które rozszarpie uzurpatora na strzępy, unikając cesarskiej straży i jego tajemnych pomocników z piekieł. Bo ilu już było tych nieudaczników wabionych sowitym zarobkiem? Przedstawiali się jako mistrzowie fachu skrytobójców, a kończyli...

Czarny Mnich musiał wyczuć coś w spojrzeniu Dukasa. Stanowczym gestem nakazał, by

za nim iść.

– Pierwej miałem inny zamysł – powiedział, gdy zeszli z galeryjki na środek sali. – Hodowałem dla twego pana najstraszliwsze bydło, jakie widział ten świat. Demona, jakiego nigdy tu jeszcze nie było. Tu, na tym świecie. Okrutnego, pozbawionego strachu, krzty jakiegokolwiek wahania. Po prostu idzie do przodu i niszczy wszystko tak długo, aż dopnie swego lub jego zniszczą. No i ma do tego pewną szczególną cechę... którą też chcę przekazać naszemu Kalikstowi...

Brat przysłego cesarza wzruszył ramionami. Klecha tylko bajdurzył, a on nie mógł przecież wrócić z niczym do Michała.

Nagle poczuł na karku mokre dotknięcie. Owionął go smród gnijących ryb. Zadrzał z obrzydzenia. Odwrócił się, odruchowo sięgając do rękojeści miecza. Nic, nikogo. Nic nie było.

– Co to...? – zapytał jednak.

Wtedy znowu coś ohydno liźnęło go w kark i wionęło zgniłym oddechem. Andronik aż się zakrztusił. Żołądek podszedł mu do gardła, w oczach zaślniły pochodnie. Splunął i odzyskawszy siły, skoczył w bok, wyszarpując miecz.

– Co to jest, mnichu?! Cóż za igraszki sobie tu urządzasz?

Zakonnik tylko zadrzał w cichym śmiechu.

Przed twarzą Dukasa zmaterializował się pysk. Pysk szczyrzył poźółkłe, ociekające śliną kły i dyszał, wydechając z gardzieli oddech śmierdzący śniętą rybą. Morda bestii, pozbawiona ślepi i nosa, miała wielkość arbuza. Ohydny łeb tkwił na długiej szyi, z której u samej nasady wyrastała druga, cienka i zakończona łebkiem wielkości pięści. Z niego spoglądały na Andronika bystre, można rzec – ludzkie oczy. Płaskie nozdrza ruszały się w rytm szybkiego oddechu. Tylko ust główka nie miała, pewnie w imię sprawiedliwości, skoro większy łeb bestii niemal w całości był jedną wielką paszczą.

Obydwie szyje, a wraz z nimi łby, wyrastały z niezgrabnego, jakby toporem ciosanego ciała o ludzkich kształtach i rozmiarach. Ramiona zakończone długimi, rozcapierzonymi paluchami zwisały bezwładnie. Łopatowate pazury oblepiały resztki gnijącego mięsa, krwi i błota. Cała ta istota pokryta była czerwoną skórą, kostropatą i jakby poparzoną. Z pękniętych bąbli sączyła się żółtawa ropa.

Dukas krzyknął z odrazą i potknąwszy się o własne nogi, runął w tył. Potwór wychynął z nicości jak miraż, senna mara, jednak jego ciepły, smrodliwy oddech nie mógł być ułudą.

Na Symeonie bestia też zrobiła wrażenie. Szpieg skamieniał z ustami rozwartymi ze zdziwienia. Złe Oko niejedno w życiu widział, a żaden smród na tym świecie nie przeszkadzał mu nigdy w spokojnej kontemplacji spyży. Nie teraz jednak: w ustach czuł suchość i patrzył przerażony na czerwonego, cuchnącego demona przed sobą.

Tylko Kalikst nie zwracał na nic uwagi. Stał z boku, bez emocji przyglądając się, jak zakonnicy-truposze wynoszą z sali szczątki jego sobowtóra.

– I jak? – przerwał ciszę Czarny Mnich. – To jest mój morderca doskonały. Zwie się Purrhos od koloru skóry, choć prawdę mówiąc, bardziej określa go rybi smród czy te guzy na ciele, ale niech tam... Niech będzie Purrhos. Nie ma w nim ludzkiej duszy, jego lwie pazury rozedrą wszystko, co żywe, kły rozszarpią skórę, mięso, drewno, a nawet metal. No i jeszcze jedno, jego bratem jest noc okrywająca go skrzydłem mroku, tak że człek prędzej go poczuje, niż zobaczy, he, he... To miał być właśnie sługa przygotowany dla twojego brata, Androniku. Takiego zabójcy nic nie powstrzyma. Demon Satanaela stworzony przeze mnie dzięki mocy, jaką obdarzył mnie Pan nasz.

Zdrętwiały ze strachu Dukas cofnął się, pełznąc do ściany komnaty. Tam niepewnie wstał przytulony do kamienia.

– To naprawdę wybitnie uzdolniona bestia! – mówił dalej zakonnik. – Potrafi zadawać śmierć na bez mała sto sposobów, nie potrzebuje snu, a jedyne, czego mu trza, to jadło. Lubuje się w płodach wrywanych z brzuchów ciężarnych matek. Dla tego przysmaku może zrobić wszystko, on daje mu też moc i siłę, która pozwala kryć się poza zasięgiem widzialności. Jednak na tym pustkowiu trudno o ciężarne. Dałem mu w ostatnich dniach dwie brzuchate wieśniaczki. Zjadł, co miał zjeść, jednak na tym koniec. Teraz jest więc na diecie, co znaczy, że żywi się człeczymi wątrobami wypruwanymi z żywego ciała. Tylko to może jeść. Płody i żywe jeszcze wątroby. Niczym innym się nie zadowoli, więc za kawałkiem swojego przysmaku będzie szedł chociażby do Kitaju.

Gęba demona oblizwała wargi, a mały łebek zakręcił się i wbił wzrok w Andronika. Z czerwonych oczu bestii wyzierał głód.

– To jednak, co miało być dla niego źródłem siły, jest też przekleństwem. Taaak, nie będę ukrywał. To jedno z moich najlepszych dzieł, ale wciąż wiele mu brakuje do ideału. Jest nieposłuszny. Nie słucha się, gdy głód szarpie mu trzewia. Nie sposób nad nim tak do końca panować. Nie jest więc zbyt użyteczny dla waszych celów, a i ja bym go zabił za niesubordynację, tylko... No cóż, przywykłem do niego i jest dla mnie jak dziecię.

Symeon Złe Oko odzyskał panowanie nad ciałem. Chrząknął z obrzydzeniem i usunął się w kącie sali. Andronik wciąż tkwił z potylicą opartą o ścianę. Milczał.

– Robi wrażenie, jednak to Kalikst jest moim największym dziełem. Człowiek o duszy demona. Człowiek, zdolny złodziej i zabójca, a do tego pozbawiony ludzkich słabostek. Bo obżarstwo i lenistwo to ludzkie słabostki, nawet jeżeli tkwią w demonie. Dlatego też właśnie Kalikst Belzebub robi dla was to, czego chcecie. Ten niepozorny łachmyta, złodziej z Konstantynopola. Czarny Mnich podszedł powolnym krokiem do swojego nowego ulubieńca i wyciągnął przed nim dłoń. Chwilę stał tak, mrużąc coś, nagle odwrócił się i rzekł do Andronika:

– Dałem mu jeszcze jedno, czego nie ma żaden z ludzi. To, co jest też siłą czerwonej bestii o zapachu gnijącej ryby. Skrzydła nocy. Tylko pełne słońce może go odkryć. Jeśli będzie chciał, zniknie w cieniu, półcieniu, mroku, szarówce, okryty... Słowem, wystarczy

tylko trochę ciemności, by stał się niedostrzegalny dla ludzkiego wzroku, choć zawsze będą widziały go zwierzęta.

– Nie zobaczy go człek? Będzie w zupełności... Jak to powiedzieć... Niewidzialny?

– Tylko w nocy, mroku, szarówce... Nawet w południe, ale w cieniu. Wtedy nie będzie mógł z niego wyjść. Noc jest jego sprzymierzeńcem i pozwoli mu niepostrzeżenie zbliżyć się do uzurpatora. Nic go nie powstrzyma. Ponieważ jednak widzę, panie, nie kryjesz rozczarowania obrotem sprawy, mam dla ciebie dobre wieści. Dostaniesz ich obu. Jednak to Kalikst zabije uzurpatora, czym pozwoli powrócić na tron twemu bratu. A potem wróci do mnie, by przynieść zapłatę.

– Krew Diogenesa? Jakie niecne plany masz na myśli? – wyrwało się Dukasowi.

– Ha, ha, jakie słowo: *niecne!* Nie pasuje do twoich ust, mój drogi przyjacielu-spiskowcu. Moje plany nie mają żadnego związku z twoimi, więc nie musisz tego dociekać. W każdym razie, jak rzekłem, dostaniesz ich obu. Belzebub zabije, zaś Purrhos będzie dbał o to, by nikt mu nie przeszkodził w tym dziele. Pilnował go, jakby coś miało pójść nie tak. Tak jak dobry pies pilnuje swego pana.

Andronikowi wreszcie udało się oderwać od ściany. Na chwiejnych nogach, omijając z dala czerwonego demona, podszedł do Kaliksta.

– Wiesz, co masz zrobić? Wiesz, kogo masz zabić?

Belzebub wyrecytował:

– Tak, panie. Za siedem dni mam stawić się w Cezarei jako ochotnik do cesarskiego wojska podczas wyprawy do Syrii. To pozwoli mi podejść do uzurpatora Diogenesa, który przybrał bezprawnie tytuł *basileusa* Romana IV. Gdy już się zbliżę do niego, mam zatopić w jego sercu puginał. Jest to specjalny nóż: wewnątrz ostrza ma kanalik połączony ze zbiorniczkiem w rękojeści. Gdy wbiję puginał w serce Diogenesa i przytrzymam przez pół pacierza, krew zostanie wessana do środka, a kiedy zbiorniczek się wypełni, zmyślnie umieszczona zapadka zamknie odpływ, żeby krew nie uciekła i powietrze jej nie zepsuło. Jak to nastąpi, mam ostrze schować do pochwy i nie zwlekając ani chwili, wrócić tutaj.

Czarny Mnich zaśmiał się cicho.

– A widzisz...? Wie, co ma zrobić, wie też jak. Do Cezarei stąd najbliższej, a tam właśnie *basileus* Diogenes zarządził pobór ochotników z całej Kapadocji i Anatolii. Tam ciągną wszelkie męty, złodzieje i mordercy liczący, że zaciągając się, oddalą od siebie dawne wyroki. Tam też prowadzą szlaki najemników, którzy za garść solidów mogą służyć każdemu panu. Tam też pojedzie Kalikst. Żeby iść w zaciąg jak inni. Na ochotnika, bo to w tej chwili jedyna okazja, by dostać się w pobliże uzurpatora. Wojna idzie, Diogenes wyruszy na czele wielkiej armii najemników na Syrię. Kalikst zaś bez wątpienia znajdzie okazję, by dokonać naszego wielkiego dzieła. Potrafi walczyć, a do tego będzie miał Purrhosa do towarzystwa.

Zakonnik zamilkł na chwilę. Zaraz jednak powrócił do przerwanej wątku.

– Musisz jednak wiedzieć, że nasz skrytobójca doskonały nie jest jeszcze do końca



gotowy... Tym samym, znaczy się, nie osiągnął jeszcze doskonałości...

Andronik Dukas rzucił pytające spojrzenie, ale Czarny Mnich bez słowa skierował się ku wyjściu z komnaty. Zachęcenemu gestem ruszyli za nim.

Tylko Purrhos został.

\* \* \*

Po kilku klepsydrach wspinaczki krętymi, spiralnie ułożonymi schodkami Andronik zatracił już poczucie kierunku. Szedł owiewany stęchłym zapachem ciągnącym z wąskiego korytarza, nie tracąc z oczu habitu Czarnego Mnicha. Tuż za nim cicho stąpał Symeon Złe Oko, zaś pochód zamykał Kalikst szepczący coś niezrozumiale.

Nagle stanęli przed litą skałą. Zakonnik podszedł do niej, przykładając obie ręce do powierzchni kamienia, i po chwili ściana przesunęła się, ukazując wewnątrz oświetlone kilkoma dogasającymi pochodniami.

Weszli do środka. Mnich rozparił świeże zagwie, od razu przejaśniało.

– Znowuż... – posłyszeli z przeciwległego końca jakiś słaby głos. – Znowuż będziesz mnie dręczył zjawą...?

W kącie sali na krzyżu z grubych bali wisiała młoda niewiasta. Była naga i pokrwawiona, zardzewiałe łańcuchy ściśle oplatały jej ramiona i uda, utrzymując ją w nienaturalnej pozycji na drewnianych drągach. Strupy i zaschnięte ślady czerwieni nie odebrały jej urody, spod czarnych, posklejanych brudem włosów wyzierała miła twarz.

*Byłaby niezłą nalożnicą* – pomyślał Symeon, patrząc na jej kształtne piersi. – *Czyżby stary cap w habicie sobie tutaj używał, gdy mu się ckni?*

– Kalikst... – odezwała się znów dziewczyna. – To ty czy kolejna uluda? Nie... Znów mnie mamisz! Znów mnie dręczysz, przekłety demonie! Przyjdzie jeszcze czas, że bekniesz za swoje podłości. Kalikst dorwie cię i wydrze ci twoje czarne serce z piersi. A twój łeb zatknie na palu, jak tyś zatknął tamtych nieszczęśników.

Mnich syknął gniewnie:

– Zamknij się!

To jednak nic nie dało. Krzyczała dalej:

– Kalikst, ten prawdziwy, a nie jakaś uluda, dorwie cię! Dorwie, choćbyś się najgłębiej schował w tej swojej norze, i wypruje ci flaki, a później rzuci krukowi na rozwłóczenie! Łeb ci utnie i zatknie...

– I w kółko to samo... – rzekł zakonnik i odwrócił się do swoich gości. – Oto Zoe. Piękna Zoe, największa miłość Kaliksta, choć nie do końca uświadomiona. Przyjechała tu w ślad za swoim ukochanym, przez cały kraj z Konstantynopola, sama jedna, nie bacząc na niebezpieczeństwa i pewną śmierć. Tylko po to, by dotrzymać mu towarzystwa. Oto prawdziwa wierność... To jest prawdziwa miłość.

Słyszając te słowa, zamilkła i uniosła się na łańcuchach. Zardzewiałe ogniwa darły jej

miękką skórę.

– Kalikst? To ty? Ty jesteś czy miraż, znowu ułuda tego demona w czarnym habicie?

– To ja jestem, Zoe – odburknął zniecierpliwionym głosem. – No ja, Kalikst Belzebub. A któżby inny?

– Nie wierzę. – Dziewczyna pokręciła głową. – On mnie dręczył. Torturował. Pokazywał mi ciebie, ale to nie byłeś ty. To coś wyglądało jak ty, ale nie było tobą. Nic nie mówiło i on to zabijał. To znaczy jego trupi słudzy. Rozszarpywali go żywcem. A on nawet nie jęknął! Ale ty mówisz!

– No mówię, Zoe. Co mam nie mówić? Przecież to ja.

– Nie wierzę! To kolejne oszukaństwo!

– No co ty, dziewczyno?! Przeca to ja. Kalikst Belzebub, złodziej z Konstantynopola.

– To jeszcze jeden sposób, by mnie torturować! Jesteś tym samym mirażem, tylko teraz nauczyli cię mówić!

Kalikst podszedł do krzyża.

– No i gadaj tu z taką! Jak mam cię przekonać?

– Powiedz... – Zakrzuszyła się, plując różową śliną. – Powiedz mi, co robiliśmy w ostatni wieczór. Nim wyjechałeś z miasta.

– Noo, nie pamiętam...

– Wiedziała! Bo skąd masz pamiętać?! Precz, demonie!

– Nie w tym rzecz, że nie pomnę. No, piliśmy ogólnie. Z Nicetasem. Byliśmy w naszych ulubionych tawernach, jak zawsze, kiedy mamy solidy. A ty machałaś nożem wokół jaj jakiegoś takiego kurdupla z bliznami na gębie. A później... No już nie pamiętam, co było.

Zoe spojrzała na niego z nadzieją.

– No... Może to i ty. A może ten przeklęty demon w habicie nauczył cię, co masz mówić. Wydobył z prawdziwego Kaliksta podstępem albo torturami wszystko...

Straciła dech i zatrzęsła się od kaszlu. Łańcuchy opinające jej ciało zabrzączały mściwie.

– ...wszystko o nas – ciągnęła z wysiłkiem. – Żeby się nade mną dalej znęcać. Odejdź!

Belzebub wzruszył ramionami.

– Nie, nic ze mnie nie wydobywał. Co chcesz jeszcze wiedzieć? Jak ci mam udowodnić, że ja to ja?

– Ha, ha... Taki jesteś pewny siebie? To zadam ci inne pytanie. Lepsze. Takie, na jakie może znać odpowiedź tylko prawdziwy Kalikst. Nie, nic o nas. Na pewno nie zapytam, jak się poznaliśmy, bo on z ciebie już to wyciągnął. Więc powiedz, jaki tatuaż ma Nicetas?

– Gruby? To proste. Węża. Na plecach i na łbie.

– Masz rację... To za proste. Tego też mógł cię nauczyć. – Z jej ust pociekła następna strużka różowej śliny.

– Dość już tego! Odetnij ją! – zakomenderował Czarny Mnich. – To znaczy odetnij jej łańcuchy, jej nie tnij.

Zardzewiałe ogniwa nie puściły tak łatwo. Kalikst musiał sieknąć kilka razy, nim pękły. Zoe zaczęła się szamotać, ale stalowe warkocze oplatały ją zbyt gęsto, by mogła je z siebie zrzucić.

– Dalej, tnij!

Ale Belzebub nie od razu posłuchał. Dłuższą chwilę z podziwem patrzył na ostrze. Ani śladu! Najmniejszego wyszczerbienia. To była doskonała broń, teraz zrozumiał to w pełni.

Wziął zamach i zadał serię ciosów w grube ramiona krzyża. Wreszcie łańcuchy zaczęły puszczać, zgrzytając cicho. Zoe szarpnęła się z wyraźnym cierpieniem, ale też i ulgą. Uwolniła jedną rękę, drugą i zaciskając zęby, nie bacząc na ból rozjątrzonych ran, odplątywała metalowe zwoje coraz bliższa wolności.

– Pomóż mi – wystękała. – Jak to odwinę, to spadnę, więc mnie przytrzymaj! No, złap mnie po prostu!

Zbliżył się do krzyża i pociągnął za zwisający łańcuch. Zoe spadła jak dojrzały owoc z potrząśniętej jabłonki. Prosto w jego ramiona.

– To ty... – wyszeptwała. – Teraz wiem, że to ty. Prawdziwy. Kochany...

– Przecież mówiłem. To ja jestem.

– Dość tych gruchań – rozkazał nagle Czarny Mnich. – Zabij ją!

Dziewczyna skoczyła w tył, wyzwalając się z uścisku. Krzyknęła z przerażeniem.

– Co? Co on powiedział?

Cofnęła się trzy kroki, za krzyż. Dopiero teraz poczuła, że jest naga, słaba i bezbronna.

– Nuże! Zabij ją! Nie zwlekaj, bo goście radzi obejrzeć widowisko – poganiał Kaliksta Czarny Mnich, po czym powiedział do Andronika: – Jak widzisz, panie, mamy tu przykład bezgranicznej, ślepej miłości. Ale miłość to uczucie przegranych, miłość to słabość człowieka, a więc trzeba się jej wyzbyć, by osiągnąć swój cel. Miłość jest ślepa, więc ten, co ją odczuwa, również jest ślepcem. Nasz urodzony zabójca nie może czuć miłości. Jak się jej ostatecznie wyzbędzie, będzie gotów... Nuże, no zadaj jej cios i zakończ to przedstawienie!

Belzebub patrzył na nagie piersi Zoe, na jej zgrabne uda, na jej łono okolone lekkim puszkiem... Przyszło mu coś na myśl.

– Nie...

Upiorny zakonnik zamarł. Chwilę stał w milczeniu, patrząc na Kaliksta jednocześnie złamany i wściekły. Pomyślałbyś, że za chwilę spod ciemnego kaptura jak z najdalszych, najzimniejszych otchłani piekieł, gdzie jęczą potępione dusze, buchnie dym i odór siarki.

– Nie?! – ryknął z metalicznym pogłosem. – Sprzeciwiasz się?

– Nie... Chciałem rzec, że nie warto. Nie warto odrzucać takiego słodkiego owocu. Jest świeży. Apetyczny. Pachnie... No, pachnie strachem, ale taki zapach mi teraz najmiłszy... Nie lubię owoców tak za bardzo. Ale ten... Zawsze chciałem poznać jego słodycz.

Czarny Mnich uspokoił się. Sługa był posłuszny, tylko chciał troszkę poswawolić. Nic wielkiego, jednak jako pan musiał udzielić mu reprimendy.

– Do mnie nie mów *nie*. Tego słowa nie używaj, gdy wydaję ci rozkaz.

– Wybacz, panie.

– Dobrze. Zezwalam. Czyń, co chcesz, byle szybko.

– Kalikst? – jęknęła Zoe. – Co ty robisz?

Nie odpowiedział. Z uśmiechem podszedł do krzyża. Dziewczyna cofnęła się jeszcze dwa kroki, ale dalej była już tylko lita ściana.

Belzebub powolnym ruchem wy dobył szablę z pochwy. Jednym skokiem dopadł przerażonej Zoe.

– Tyle razy miałem na to chęć... Tyle było ku temu okazji, ale jakoś... Jakoś nigdy się nie udawało. Chyba... Bo nic nie pamiętałem nad ranem. Ale ty ze mną igrałaś! Ty wiedziałaś, że ja nie wiem, ale chcę wiedzieć! I wiedziałaś, że czekam, aż powiesz... No, zresztą nieważne! Teraz wezmę to, czego chciałem, i nie będzie już wątpliwości.

– Kalikst! O czym ty mówisz? Nic nie rozumiem! Kiedy igrałem? Ja cię...

Złapał ją za szyję, nie pozwalając dalej mówić.

– Milcz! Nie chcę tego słyszeć! Nie chcę słyszeć twoich tłumaczeń ani tych słów... Trujących słów, które mają mnie osłabić!

Szum, szepty, śmiechy, głosy znów ozwały się w jego głowie. Wspomnienia. Nie! Nie chciał ich. Wychodziły z zakamarków duszy. Odstąpił od Zoe i rzucił szablę: zabrzęczała o kamienie. Złapał się za głowę, naciskając skronie. Szum podsunął mu obrazy.

To było po tym, jak gildia obrobiła statek kupców w Chalcedonie. Po tym, jak dla nich nie zostało nic, tylko kreteńska retsina. Pili ją przytuleni. Bez słów, to znaczy bez TYCH słów, chociaż dziewczyna, już kompletnie upojona, chciała je wypowiedzieć. *Kalikst, ja cię...* Wtedy nie dał jej dokończyć pijany tak, że nie był w stanie pojąć wagi tego wyznania. Obrócił wszystko w śmiech, strącając wypełnioną jeszcze co najmniej do połowy beczułkę w skały. *Zoe, nie mamy już wina!* – zawołał wtedy. – *Wiem, ty mnie chcesz za to zabić, ha, ha! Nie zabijaj, moja słodka, nie zabijaj, proszę! Znajdzie się wino. Obiecuję.* Potem pomógł jej zejść po kamieniach, chociaż wcale tego nie potrzebowała. Trzymał ją za rękę, słuchając, jak szepcze: *Kalikst, ja cię kocham.* Jednak mówiła to tak cicho, że mógł udawać, że tego nie słyszy. A teraz nie chciał słyszeć, tego był pewien.

– Milcz, dziewczyno! Milcz, nie truj mnie swoimi słowami!

Pochwyił szablę i przyłożył sobie chłodny metal do czoła. Patrzył na Zoe wzrokiem diabła z ostatnich kręgów piekieł.

– Kalikst, kochany... Zabierz mnie stąd! Zabierz mnie stąd jak najdalej. Do Konstantynopola, nad brzeg Złotego Rogu. Pójdziemy do portu patrzeć na statki, a później do tawerny Epifaniasza.

– Dość! – krzyknął i uniósł ostrze.

– Kal... – zaczęła Zoe, ale klinga Belzebuba weszła głęboko, aż po jelec, w środek brzucha dziewczyny. Z rany jęła sączyć się krew.

Szarpnął ją za włosy. Odwrócił w stronę krzyża i unosząc lekko, wbił koniec szabli w drewno. Zoe zawyła rozdzierająco, jednak zaraz umilkła. Z ust pociekła jej spieniona czerwień.

– Dlhaczego?... – wycharczała. – Khoch... Khochałam cię... Dlhaczego mnie zabijasz...?

Teraz miał ją na odpowiedniej wysokości. Bezwolną i bezbronną. Oddaną. Jednak nie czuł radości. Ogarnęła go rezygnacja i obojętność, a w sercu rostała dziura. Pustka, która wysysa wszelkie uczucia i sprawia, że człek jest jako kamień, zimny i obojętny. Patrzył w zalane łzami oczy dziewczyny, w jej plujące krwią usta, kształtną pierś z trudem łapiącą powietrze. Kim była teraz dla niego? Kim była dla niego wcześniej? I co do niej czuł? Nic, teraz miał w sobie tylko ssącą pustkę.

– Kalikst, dlhaczego... – jęczała spazmatycznie Zoe.

Belzebub powstrzymał ssanie w sercu.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo wysysasz ze mnie siłę. Bo trujesz mnie tymi słowami. Bo mnie zawsze osłabiałaś, igrając ze mną. Wystawiając na pośmiewisko! A ja się nie dam osłabić! Ani dłużej upokarzać!

– Tho... Then przheklęty mhnich... On cię ophętał...

– Zamknij się! – krzyknął.

Puścił szablę i rozpiął portki.

– Bądź moją kochanką! Po raz ostatni – wyszeptał i wbił się w dziewczynę, jakby i tam, w spodniach, nosił drugą szablę. Poruszył nią kilka razy, wybijając spomiędzy białych zębów Zoe krwawe banieczki. Jęk przeszedł w charkot, później już tylko dusiła się od krwi.

– Nie... chciałaś... mi... dać... – sapał Kalikst. – To teraz... sobie wziąłem.

Gdy skończył, już straciła przytomność. Zalana krwią wisiała ze zwieszoną głową i bezwładnie opuszczonymi członkami.

– Jeszcze dycha... – mruknął Belzebub i wyszarpnął szablę z krzyża. Zoe runęła na ziemię bezwładna niczym szmaciana lalka.

Oparł stopę na jej szyi. Szybkim ruchem złamał dziewczynie kark. Krew z klingi otarł o włosy kochanki.

\* \* \*

– Zabić ich wszystkich! Co do jednego! I nie będzie problemu.

Jan Italos cofnął się zdziwiony.

– Zabić? Wyróżnić ich?

Chwilę stał zadumany, szarpiąc brodę.

– W istocie, to by było dobre rozwiązanie. Godne autokratora, prawdziwego władcy wielkiego imperium.

– Tak – zgodził się miło polechtany *basileus* Diogenes. – Zatem niezwłocznie wydaj

rozkazy logotetom. Niech uwiężą tych tam obwiesiów i stracą za zdradę cesarstwa. Czy cokolwiek innego. Wymyśl coś. Jakiś spisek... Zdradę. Cokolwiek.

*Konsul Filozofów* popatrzył wokół, czy za kolumnami pałacu nie kryją się szpiedzy. Nie było to możliwe – odkąd Roman IV Diogenes ogłosił przystąpienie do wojny przeciwko Seldżukom, straż pałacowa podwoiła patrole. Nie przemknąłby nikt. Jednak Italos nigdy nie był pewien – sam przecie wiedział, jak ominąć odzianych w białe uniformy żołdaków.

– Panie – przemówił – odradzam pośpiech. Może wydawać się to dziwne, ale faktem jest, że do Cezarei przybyły setki najemników... Tysiące. Do zaciągu zgłosiło swój akces blisko dwa tysiące ludzi. Niebywała to rzecz, bo nigdy wojaczka w imię cesarstwa nie wzbudzała wśród naszego ludu aż tak wielkiego zainteresowania. Spora część tej masy to zwykłe szumowiny, które niejedno mają na sumieniu. Złodziejaszki, mordercy, gwałciciele... Fama poszła, że za udział w wojnie odpuszczone zostaną ich grzechy i cofnięte wyroki. Uwierzyli w to, no i tłumnie zwałili się kupą. Ale są też wśród nich wolni najemnicy, nie zawsze pochodzący z rynsztoka. Tak czy inaczej, zgładzenia takiej ciżby ludzkiej nie da się zatuzować – wieść pójdzie w lud. Naród będzie sarkać, że pan ich, *basileus* Roman IV Diogenes, oszalał, każe mordować swoje własne wojska, i to tuż w przededniu wojny. Nie tylko nikt się więcej nie zgłosi. Będą unikać najmu, dezertować nawet, szepcząc po tawernach najgorsze słowa przeciw swemu władcy.

– Dobrze już, dobrze – przerwał tę przemowę cesarz. – Wiem, w czym problem. Skoro ich aż tylu... W takim razie musisz rzec, który to. Który chce mnie zabić. I kto jest jego zleceniodawcą.

Italos rozłożył bezładnie ręce.

– Niestety, panie. Jak mówiłem, wizja, która przyszła z czerwonego ognia, była niejasna. Owszem, słyszałem słowa: *Za siedem dni mam stawić się w Cezarei jako ochotnik do cesarskiego wojska podczas wyprawy do Syrii. To pozwoli mi podejść do uzurpatora Diogenesa, który przybrał bezprawnie tytuł basileusa Romana IV. Gdy już się zbliżę do niego, mam zatopić w jego sercu pugińał.* Słyszałem te słowa, jakby je mówił ktoś tuż obok, jednak twarzy nie widziałem. Głos bym poznał, ale nie każ mi, panie, rozmawiać ze wszystkimi najemnikami. Dość, że wina się napije, od karczemnych piosenek gardło zedrze, i już będzie inaczej gadał. To bez celu. Również nie widziałem jego pana, który wydał zlecenie. To było jakieś ciemne pomieszczenie, brudne, zapaćkane krwią. Mroczna postać w kapturze i paru innych ludzi, jednak widziałem ich jako zamazane kształty. I powiem ci, panie, to nie było przyjemne doznanie...

Mędrzec otarł pot z czoła. Cofnął się odruchowo, opierając potylicę o zimną kolumnę.

– Coś mnie dusiło. Ta czarna postać w kapturze... Jakby widziała, że ją widzę. Wyraźnie słyszałem głos, a może mi się zdawało, nie! nie mogło mi się zdawać, to było naprawdę. Słyszałem głos: *I ty też umrzesz.* Tylko to jedno zdanie, ponure memento powtarzane bez końca, aż padłem bez tchu na ziemię. Nie! Nie wiem, kto to był, nie wiem, kim jest morderca,

nie wiem, kto zlecił mu to plugawe zadanie! Nie wiem tego, panie!

Jan Italos trząsał się jak w febrze. Cesarz sapnął gniewnie:

– Co zatem? Co, mam czekać, aż przyjdzie skrytobójca i dokładnie wedle twoich wizji wbije mi pugi nał w serce? Aż przyjdzie, by mnie zabić i wyssać ze mnie krew? Krew? Po co? Dlaczego? Po co komu moja krew, jeżeli będę martwy? I dlaczego nie potrafisz tego powstrzymać, Italosie?

– Nie wiem, panie! To znaczy nie wiem, po co ktokolwiek potrzebuje twojej krwi. I twojej śmierci. Przyznam, że to dla mnie nie lada zagadka i dobry temat do badań i rozmyślań na najbliższe dni. Jednak co do tego skrytobójcy... Myślę, że rozwiązanie jest proste. Nie trać wszystkich najemników z Cezarei. To byłoby niepotrzebne marnowanie ludzi. Lepiej posłać ich na Antiochię. Niech oblegają ją tak długo, aż polegną. Do śmierci.

– Tak. Dobrze mi radzisz, Italosie. A jak zdobędą miasto i przeżyją, to skieruję ich do następnych działań. Do tego, by zdobyli kolejne miasto. Ma'arrat. Laodyceę. Utworzę z nich doborowy oddział straceńców, którzy nigdy nie zaznają spokoju, dopóki nie polegną. To korzyść wojenna i dobre rozwiązanie tego węzła gordyjskiego.

Filozof przytaknął.

– Toż właśnie to miałem na myśli.

*Panie, ty nie potrzebujesz doradcy, bo władasz myślą nie gorzej niż mieczem* – chciał jeszcze powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język. Jego pochlebstwo z nutką drobnej ironii mogło być przez cesarza zrozumiane nazbyt dosłownie. A nuż *basileus* chciałby wycofać Italosa do drugiej linii lub też całkowicie się go pozbyć?

– Widzę, panie, że się doskonale uzupełniamy – rzekł więc chętnie mędrzec. – Moja wiedza idzie w parze z twoją przenikliwością i doświadczeniem. Doborowy oddział straceńców! To piękny pomysł. Oczywiście, będzie to wymagało jeszcze jednego posunięcia: postępujące za zdobywcami Antiochii wojska, które powieszysz do boju ty, panie, będą musiały wstrzymać się tak długo, aż tamci oddadzą ducha. Lub też aż pójdą w przód na bezpieczną odległość.

Zniecierpliwiony władca machnął dłonią.

– Italosie, niebezpiecznie balansujesz między pochlebstwami a kpiną. Nie musisz mi tłumaczyć rzeczy oczywistych. Za to lepiej powiedz, ile czasu potrzeba ci, by przekonać się, kim jest skrytobójca. Niepodobna przecie, żebym całe życie pchał do boju ochotników z Cezarei tylko dlatego, że jeden chce mnie zabić. Pchał ich na kraj świata, do Syrii, Palestyny, Egiptu, Persji... I co dalej? Będziemy iść bez końca – oni na przedzie, ja za nimi – łupiąc i paląc cały znany nam świat tylko dlatego, że wśród tysiąca straceńców jest jeden morderca... No, oczywiście – dodał cesarz, widząc, że filozof otwiera usta, by zaprotestować – to wręcz nieprawdopodobne, by się ostali tak długo. To jeno rozważania czysto teoretyczne, by ukazać ci pułapkę, w którą sami wchodzimy. Od ciebie, Italosie, oczekuję zatem jednego: masz mi jasno powiedzieć, kto jest zabójcą. Masz się tego dowiedzieć niezwłocznie. Mimo wszelkich

pokus nie palę się, by iść zbrojnie na stepy mongolskie czy do państwa chińskiego tylko dlatego, że mój doradca nie wie, co robi.

Ten nagle zmałał, jakby ktoś przyłożył mu kijem w grzbiet.

– Nie, nie, nie... Panie, tak nie będzie! Na razie, jak mówię, nie wiem, kto zacz. Ale wiem, gdzie szukać! Myślę, że skrytobójca szybko się wyda swoimi czynami... To znaczy, mam na myśli – czynami, które planuje. Które zaistnieją w jego myślach. I w rozgałęzieniach przyszłości, które ja ujrę.

\* \* \*

Jastrząb gwałtownie zatrzepotał skrzydłami.

– Spokój! Siadaj spokojnie. – Czarny Mnich wyciągnął ramię osłonięte skórzanym rękawem. – Tutaj.

Ptak z ociąganiem wzbił się w powietrze, zatoczył koło pod sufitem i osiadł na ręce zakonnika. Ten przytaknął z zadowoleniem.

– Znamienne jest, że to skrzydlate stworzenie żyje z drapieżności. Zwłaszcza gołębie sobie ulubiło. Potrafi je chwycić w powietrzu, podczas lotu, jak i spadać na siedzące na gałęzi. Nie gardzi też innym ptactwem. Gdy nie ma ptactwa, uśmierci też zająca lub wiewiórkę. Na tym jego jadłospis się kończy. Nie zje niczego, na co nie może zapolować, czyli gdy nie morduje, umiera. Ziarna jak kura nie zje.

Andronik wzruszył ramionami.

– Chcesz sobie zapolować z ptakiem, mnichu? Ale jaki to ma związek?

– Nawet jakbym chciał zapolować, to nie z tym ptakiem. Chodźcie za mną!

Dukas posłusznie poszedł w ślad za mnichem. Tuż za nimi w milczeniu sunął Symeon Złe Oko, zaś pochód zamykał obojętny na wszystko Kalikst. Znalezionym kawałkiem szmaty ocierał szablę z krwi, klnąc pod nosem. Czerwień nie chciała zejść z klingi.

Czarny Mnich poprowadził ich schodkami w górę. *Znów!* – pomyślał gniewnie Andronik. Gubił się już w tych labiryntach i zachowanie zakonnika zaczynało go drażnić. Ten szalony eremita ciągał ich po tak odległych zakamarkach swojego monasteru, że gdyby zniknął, zostaliby tu na wieki – co do tego chyba nawet Symeon nie miał wątpliwości. Spiralne schody, korytarze wykute w miękkiej skale, przesmyki, dziesiątki przejść, pozbawione okien komnaty niespodziewanie przechodzące w ganki z kolumnadą, z widokiem na przepaść bez dna...

*Jednak tym razem mnich miał inne zamiary* – przyszło na myśl Dukasowi, gdy na szczycie schodów zobaczył okrągły wycinek nieba.

Wyszli na niewielką kamienną półkę na szczycie ostrej, postrzępionej po bokach skały.

Błękit... Błękit prawdziwego nieba i słońce rażące w oczy. Goszcząc u mnicha, krążąc po jego ponurych korytarzach, Andronik zapomniał, co to blask zwykłego dnia.

Teraz stał oszołomiony, mrugając. Nadmiar światła kłuł go w oczy drobnymi igielkami,



w ustach poczuł nagłą suchość.

Dopiero po kilkunastu oddechach Dukas odważył się szerzej rozchylić powieki.

Ich ponury gospodarz w czarnym habicie również źle znosił dzień. Choć krył twarz pod szerokim kapturem, zmęczony głos zakonnika i jego zgarbione plecy były wymowne aż nadto.

– Oto... Oto najwyższy punkt mojego monasteru – wydyszał mnich. – Jedyne miejsce, skąd można podziwiać całą okolicę.

Przerwał, z głośnym świstem wciągając powietrze. Po chwili jednak odzyskał siły. Stał prosto i rzekł:

– Tu możecie odkryć całe piękno Kapadocji, takiej, jaką ją stworzył nasz Pan, Satanael. Przyprowadziłem was tu, byście byli świadkiem ostatniego aktu mojego stworzenia. Stworzenia skrytobójcy doskonałego. Kaliksta Belzebuba.

Dukas powoli przyzwyczajał wzrok do jasności. Skrzywił się. Wciąż nie rozumiał, w czym rzecz. Nie interesowały go krajobrazy. To, co apostata zwał *pięknem Kapadocji*, te dziwaczne kamienie i wulkaniczne pustkowia, w nim budziło jeno niepokój i tęsknotę za cienistym gajem w rodowej rezydencji. Za szumiącą fontanną, dzbanem pełnym chłodnego wina i gładkim ciałem nałożnicy. Odwrócił z niechęcią wzrok i spojrzał w stronę mnicha.

Jastrząb na ramieniu zakonnika siedział spokojnie, nazbyt spokojnie, nie mając w sobie nic z dzikiego wojownika przestworzy. Jego pomarańczowe oko przypominało dogasającą świecę, a popielate skrzydła zwisały smętnie niczym znoszony, zbyt obszerny płaszcz. Andronik nie znał się zbyt dobrze na ptakach łowczych, jednak wiedział, że ten swe najlepsze chwile ma już za sobą. Musiał być bardzo stary albo chory.

Słowa apostaty w pewnym sensie potwierdziły te domysły.

– Dusza człowiecza jest nieśmiertelna. Nawet rozbita na okruchy jak szklane naczynie nie znika przecież, lecz wciąż trwa. Gdym z duszy Kaliksta wyjął to, co słabe, żalosne i nieudolne, to te drobiny jego ducha nie zniknęły, lecz trwały. I trwają nadal, a żeby nie wróciły tam, skąd zostały wyrwane, uwięziłem je w ciele tego tu oto jastrzębia. Ten drapieżny ptak jest w połowie Kalikstem Belzebubem, jego słabą częścią. To skrzydlate stworzenie nosi w sobie strach i tchórzostwo, litościwość, naiwną dobroć, bezgraniczną prawdomówność, no i wszystko inne, co tak oddala człowieka od zjednoczenia się z Bogiem. Ptak jest teraz słabą stroną Kaliksta, Kalikst jest swoją mocną stroną.

*Czyli jednak jest chory* – pomyślał z cichą satysfakcją Dukas, patrząc na jastrzębia. – *Dobrze go oceniłem.*

Czarny Mnich podniósł skrajem skórzanego rękawa jeden z pazurów drapieżnika.

– Patrzajcie na to! Idealne narzędzie zbrodni. Ptak potrafi nim chwycić i rozszarpać stworzenia, które z woli Pana powstały jako pożywienie dla silniejszych i odważniejszych niż one. Jednakże ze słabą częścią duszy złodziejaska z Konstantynopola nic nie upoluje. Nic nie zabije, nic nie rozszarpie. A nie polując, nie zdobędzie pożywienia, więc umrze.

Zakonnik zwrócił się ku swym gościom:

– Zapytacie: *Jak to jest, że drapieżny ptak zatracca swe zdolności dane mu przez Stwórcę, swe instynkty krwiożercze, które każą mu polować, zabijać i żywić się świeżym mięsem? Jak to jest, że słabe okruchy duszy Kaliksta biorą go w swe posiadanie, tłumiąc te siły, które pozwalają jastrzębiowi przeżyć?* Widzę to pytanie w waszych oczach, a odpowiedź jest niezwykle prosta. Dusza człowiecza, nawet najsłabsza jej część, zawsze będzie panować nad instynktami stworzenia, które z woli Demiurga nie posiada duszy. Człowiek został nią obdarzony, by panować nad zwierzęciem i nad światem doczesnym. I tak to, co najsłabsze w człowieku, może stać się najsilniejszym w dzikim ptaku.

Ponury apostata w habitcie o barwie nocy nie doczekał się jakiegokolwiek reakcji Andronika ani Symeona. Jednak niezrażony tym mówił dalej:

– Rozumiecie teraz? Ha, ha, ha – zarechotał złowrogo. – Wiecie już teraz, w czym rzecz? Nie mogę zabić tej części duszy człowieczej, ale mogę sprawić, że umrze sama, zabijając się swoją nieudolnością. Ten ptak padnie, gdy tylko zabraknie mu sił, które dał mu jego ostatni posiłek drapieżnika. Pan nasz stworzył go, by żywił się innym ptactwem, słabszym i mniejszym. By łapał koszatki i zające. By szarpał ich mięso i spijał krew. Ale teraz, ze słabymi okruchami duszy naszego konstantynopolitańskiego złodzieja, już nie zapoluje, o nie! Będzie zbyt słaby na to, a z woli Stwórcy nie sięgnie po inne pożywienie. Gdy padnie, umrze wraz z nim część duszy Kaliksta. Na zawsze odejdzie w niebyt, do piekła, może do czyśćca, gdziekolwiek, byle dalej z tego świata. Kiedy ta chwila nadejdzie, Kalikst będzie już gotów, by zabić uzurpatora Diogenesa.

Czarny Mnich podrzucił jastrzębia w górę. Ptak zatrzepotał skrzydłami, wydał z siebie rozziewający krzyk i z ciężkim łopotem wzbił się ku niebiosom.

Zatoczył wielki krąg, na chwilę niknąc z oczu w ostrym świetle słońca. Zaraz jednak wrócił nad ziemię. Przeleciał nad kamiennym grzbietem, niemal muskając skały pazurami.

– Gołębie... – powiedział zakonnik, wskazując kępę zeschniętych krzewów nieopodal. – Zobaczcie...

Znad skupiska głazów wyfrunęło stadko spłoszonych ptaków zaniepokojonych wielkim cieniem krążącego drapieżnika i jego wrzaskami. Jastrząb złożył skrzydła i spadł między nie, w mgnieniu oka, z ochryplym krzykiem, bo tak nakazywała mu jego natura, bo tak zawsze polował...

Jednak nie zabił. Zatoczył koło, dwa koła, i choć jego pazury wręcz muskały przerażone, tańczące w powietrzu gołębie, nie zacisnął ich na zdobyczy. Z ciężkim łopotem wzleciał ku słońcu.

Czarny Mnich krzyknął za nim:

– Leć! Leć i umrzyj! Najszybciej jak możesz!

\* \* \*

– Nie... Nie, on nie umrze tak łatwo.

Ślepiec w szkarłatnej riasie odwrócił twarz od słońca. Nie chciał już dłużej na to patrzeć. Widział to... Widział wszystko, w bezsilności zaciskając tylko kułaki. Monastyr w Kapadocji, trupich braciszków, okaleczonego złodzieja z Konstantynopola. Dwóch spiskowców, no i jego – mrocznego mnicha w habitie w kolorze północy.

Obraz, jaki malowały palące promienie na jego zasłoniętych bielmem oczach, zniknął, ale starzec wciąż słyszał złowróżbne słowa: *Leć i umrzyj! Najszybciej jak możesz! Umrzyj! Umrzyj! Umrzyj!* – słowa palące jak węgle wyciągnięte z ogniska.

Ukrył roztrzęsione dłonie w rękawach swej szaty o barwie krwi i zaczął iść do eremu. To, co widział pod powiekami, w duszy, rysowane żarem lejącym się z nieba, przywołało najgorsze wspomnienia i wzbudziło bolesny niepokój o przyszłość.

– Czarny Mnich jest zbyt silny... – szeptał ociemniały pustelnik, bezszelestnie stąpając po górskiej ścieżynie. Piął się na szczyt wzgórza *Throni* drogą, którą przemierzał już tyle razy, że oczy nie były mu do tego potrzebne. – Zgromadził w sobie tyle zła, że nikt mu nie dorówna w diabelstwie... Przeklęty... Przeklęty po stokroć, a przecież nie zawsze taki był...

Bezwiednie trącił podeszwą sandałów kamień, który podskakując po wysuszonej ziemi, poturlał się do przepaści. W dole zagrzmiało, gdy w ślad za skalnym okruczem poleciały większe głazy. Eremita w czerwonej szacie nie zwrócił na te hałasy uwagi, choć w jego uszach – wyczulonych przez ślepotę i lata spędzone na odludziu – zabrzmiały one tak, jakby waliły się całe góry Troodos. Szedł dalej rozgniewany, nie zważając, że w skalne osuwisko spadają następne kamienie.

– Ten jastrząb nie umrze tak łatwo, czarny diable! I on... On też nie umrze, nie umrze jego dusza, jego dobra część...

Powtarzał te słowa z narastającą furią. Wzbierała w nim złość, jakiej pędząc spokojny żywot na cypryjskim odludziu, dawno nie czuł.

– Satanaelskie ściervo, jeszcze będziesz błagać o litość! Ale próżne będą to jęki! Twe chwile są policzone! – ryknął ślepiec, strącając w przepaść kolejną, trzęsącą całymi górami lawinę.

Wysunął ramię ku słońcu i trwał tak chwilę. Nieruchomo jak posąg, powtarzając cicho słowa, które brzmiały jak magia.

– Logos... Nadejdzie Logos i kres dla sług Satanaela...

Wtedy z nieba, zdawać się mogło – z samego słońca, z jego blasku – sfrunął jastrząb, drobna samica o płowych piórach. Usiadła na ramieniu ociemniałego eremity, strzępiąc pazurami rękaw szkarłatnej riasy.

Czerwony pustelnik podrzucił ptaka, by pomóc mu wzbić się do lotu, i krzyknął za nim:

– Leć i ocal go! Najszybciej jak możesz!

*Koniec tomu pierwszego*